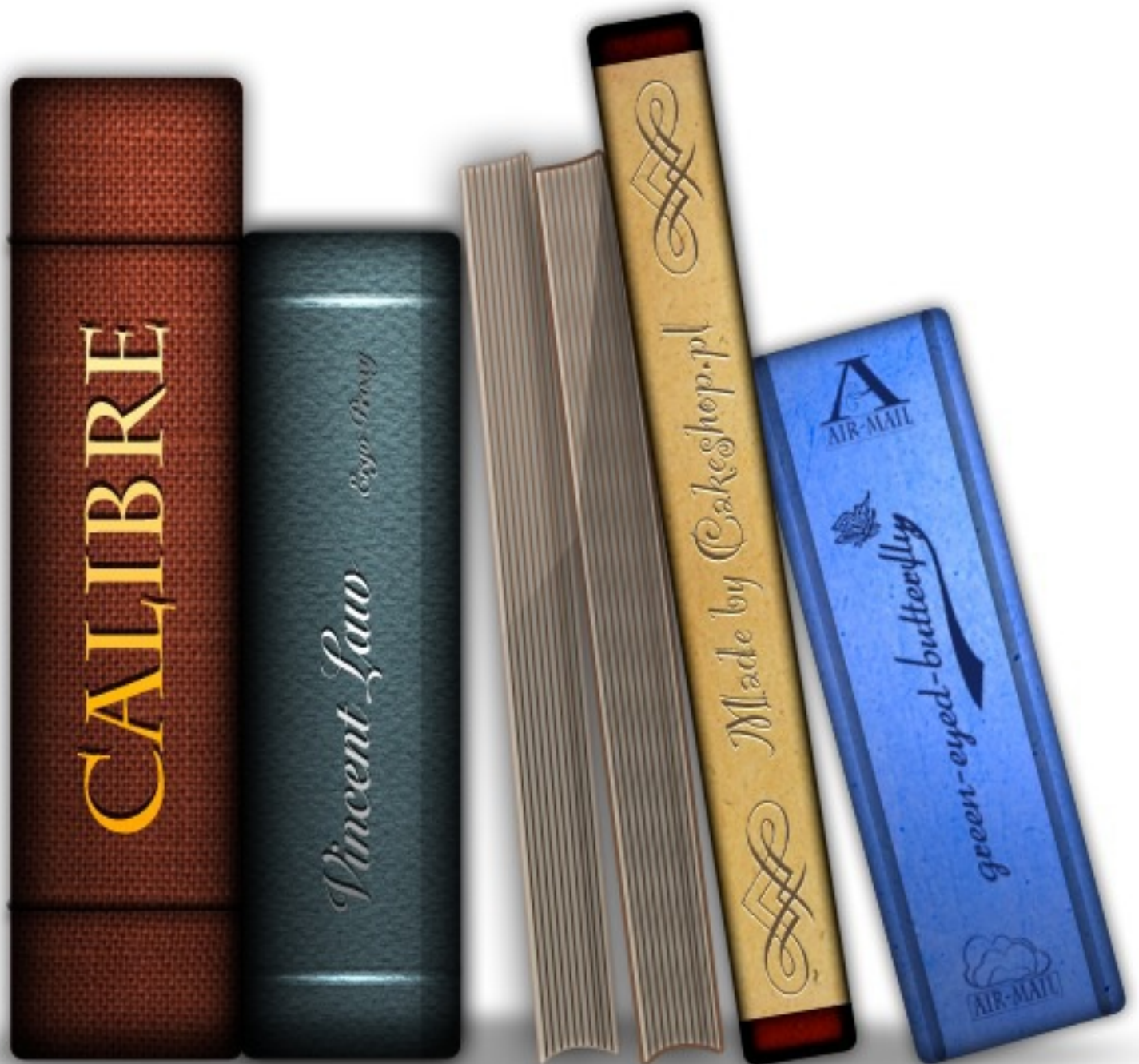


Hornblower w Indiach Zachodnich

C.S. FORESTER



calibre 0.7.3

C.S. FORESTER

Hornblower w Indiach Zachodnich

Przekład Henryka Stępień

WYDAWNICTWO MORSKIE GDAŃSK

„TEKOP” GLIWICE

1991

Tytuł oryginału angielskiego Hornblower in the West Indies

Redaktor Alina Walczak

Opracowanie graficzne Erwin Pawłusiński Ryszard Bartnik

Korekta Teresa Kubica

Mapki

Erwin Pawłusiński

© Copyright for the Polish edition, by Wydawnictwo Morskie 1974

ISBN 83-85297-16-2

Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1991

we współpracy z „Tekop” Spółka z o.o. Gliwice

Bielskie Zakłady Graficzne zam. 1725/K

Kontradmirał Lord Hornblower, mimo swego zaszczytnego stanowiska głównodowodzącego statków i okrętów Jego Królewskiej Mości w Indiach Zachodnich, składał oficjalną wizytę w Nowym Orleanie na „Crabie”, szkunerze JKM, uzbrojonym tylko w dwa działka sześciofuntowe i z załogą nie przekraczającą szesnastu ludzi, nie wliczając nadliczbowych.

Konsul generalny Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości w Nowym Orleanie, pan Cloudesley Sharpe, skomentował ten fakt po swojemu.

— Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że zobaczę waszą lordowską wysokość na takiej małej jednostce — powiedział, rozglądając się wokół siebie. Podjechawszy powozem do nabrzeża, przy którym stał „Crab”, wysłał lokaja w liberii do trapu, żeby go zaanonsował, i poczuł się nieco rozczarowany, że przywitały go gwizdki zaledwie dwóch bosmanów (tylko tylu wolno było „Crabowi” zamustrować), a na pokładzie rufowym poza admirałem i jego oficerem flagowym oczekiwał go jedynie dowódca w stopniu porucznika.

— Trudności z tonażem, sir — wyjaśnił Hornblower. — Jeśli jednak pozwoli pan za mną do mojej kajuty, to podejmę pana z całą gościnnością, na jaką stać ten mój tymczasowy okręt flagowy.

Pan Sharpe[1] — z pewnością nie było nazwiska, które by się bardziej kłóciło z postacią tego, co je nosił, był to bowiem mężczyzna otyły, po prostu góra mięsa — wcisnął się w fotel przy stole w przyjemnej małej kajucie, ale gdy Hornblower zaproponował mu śniadanie, odparł, że już jadł. Miał widocznie bardzo poważne wątpliwości co do jakości śniadania, jakie mógłby dostać na tym okręciku. Gerard, oficer flagowy, usadowił się dyskretnie w kącie kajuty z ołówkiem i notesem na kolanach, a Hornblower ponownie zagaił rozmowę.

— „Phoebe” trafił piorun w pobliżu przylądka Morant — powiedział. — A zamierzałem przybyć tu na jej pokładzie. „Clorinda” była już w doku, w trakcie wyposażania. Zaś „Roebuck”[2] przebywa w okolicy Curacao, gdzie ma oko na Holendrów — tam idzie teraz ożywiony handel bronią z Wenezuelą.

— No cóż, wiem o tym — rzekł Sharpe.

— To są moje trzy fregaty — ciągnął Hornblower. — Ponieważ wszystko zostało już tu przygotowane, doszedłem do wniosku, że lepiej przybyć na tym szkunerze, niż nie przybyć wcale.

— Jakże podupadli możni tego świata! — zauważył pan Sharpe. — Weźmy waszą lordowską wysokość, głównodowodzący, a ma pan zaledwie trzy fregaty plus pół tuzina słupów i szkunerów.

— Czternaście słupów i szkunerów, sir — poprawił go Hornblower. — To jednostki bardzo przydatne do zadań, jakie mam wykonywać.

— Na pewno, milordzie — zgodził się Sharpe. — Pamiętam jednak czasy, kiedy głównodowodzący Bazy Zachodnioindyjskiej miał do dyspozycji eskadrę okrętów liniowych.

— To było w czasie wojny, sir — odparł Hornblower, przypominając sobie uwagi

Pierwszego Lorda Admiralicji wypowiedziane w trakcie rozmowy, w której zaoferowano mu to stanowisko. „Izba Gmin prędeż dopuści, żeby flota Królewskiej Marynarki Wojennej gniła na cumowiskach, niż przywróci podatek dochodowy”.

— Tak czy owak wasza lordowska wysokość jest tutaj — stwierdził Sharpe. — Wasza lordowska wysokość wymienił saluty z Fortem Św. Filipa?

— Wystrzał za wystrzał, zgodnie z pańską depeszą.

— Doskonale! — powiedział Sharpe.

Dziwnie skromna była ta uroczystość powitalna. Cała załoga szkunera „Crab” stała, jak należało, w szeregu przy relingu, a oficerowie na baczność na pokładzie rufowym, lecz ta „cała załoga” była bardzo nieliczna, bo czterech ludzi obsługiwało działko, z którego oddawano salut, jeden marynarz był przy flaglinkach i jeden u steru. Do tego padał deszcz i lśniący lamówkami mundur Hornblowera przemókł i przylgnął mu do ciała.

— Wasza lordowska wysokość skorzystał z usług holownika parowego?

— Oczywiście! — wykrzyknął Hornblower.

— Niezwykle przeżycie dla waszej lordowskiej wysokości, nieprawdaż?

— Z pewnością tak — odrzekł Hornblower. — Ja...

Powstrzymał się przed wypowiedzeniem swych spostrzeżeń na ten temat, bo dałoby to asumpt do zbyt wielu pasjonujących dywagacji. Faktem było, że między świtem i zmierzchem holownik parowy przeprowadził „Craba” sto mil pod prąd, od morza do Nowego Orleanu, przybывая dokładnie co do minuty o czasie przewidzianym przez jego dowódcę. I oto jest Nowy Orlean, zatłoczony nie tylko pełnomorskimi żaglowcami, lecz także flotyllą długich, wąskich parowców wykonujących manewry odchodzenia w nurt rzeki i dobijania do nabrzeża z łatwością (dzięki dwóm kołom łopatkowym), z jaką nawet „Crab”, ze swym poręcznym ożagłowaniem skośnym, nie miał szans współzawodniczyć. Dzięki pracy tych kół łopatkowych mknęły pod prąd z niewiarygodną prawie prędkością.

— Para, milordzie, otworzyła dostęp do kontynentu — zauważył Sharpe, wtórując myślom Hornblowera. — Prawdziwe imperium. Tysiące, tysiące mil żeglownych dróg wodnych. Za kilka lat ludność doliny Missisipi będzie liczona w milionach.

Hornblower wspominał rozmowy w kraju, gdy jako oficer na połowie pensji czekał na awans do stopnia admiralskiego, kiedy to ktoś uczynił wzmiankę o „kotłach parowych”, nadmieniając nawet o możliwości budowy jednostek pełnomorskich napędzanych parą, co z pogardą wyśmiano — oznaczałoby to przecież upadek prawdziwej sztuki żeglarskiej. Hornblower nie był o tym tak bardzo przekonany, lecz przezornie zachował swoje opinie dla siebie, nie chcąc uchodzić za niebezpiecznego ekscentryka. Nie miał też zamiaru dać się teraz wciągać w podobną dyskusję, choćby tylko z cywilem.

— Ma pan dla mnie jakieś wiadomości, sir? — spytał.

— Bardzo dużo, milordzie.

Pan Sharpe wyjął zwitek papierów z kieszeni surduta.

— Oto najświeższe nowiny z Nowej Granady — sędzę, że świeższe od wszystkich, jakie pan miał dotychczas. Powstańcy...

Pan Sharpe zaczął szybko wyjaśniać sytuację wojskową i polityczną w Ameryce Środkowej. Kolonie hiszpańskie wchodziły w końcowy etap walki o niepodległość.

— Rząd jego królewskiej mości musi niedługo uznać tę niepodległość — powiedział. — Zaś nasz minister w Waszyngtonie informuje mnie, iż rząd Stanów Zjednoczonych również rozważa podobny krok. Pozostaje czekać, milordzie, co Święte Przymierze[3] będzie miało do powiedzenia na ten temat.

Nie ulega wątpliwości, że Europa pozostająca pod rządami monarchii absolutnej będzie patrzeć zawistnym okiem na powstawanie szeregu nowych republik. Ale to, co Europa ma do powiedzenia, niewiele znaczy, dopóki Królewska Marynarka Wojenna — nawet uszczuplona na czas pokoju — sprawuje kontrolę nad morzami, a rządy obu krajów mówiących językiem angielskim pozostają w przyjaznych stosunkach.

— Kuba zdradza pewne oznaki niepokoju — ciągnął Sharpe — mam też wiadomość o wystawieniu dalszych listów kaperskich przez rząd hiszpański statkom wypływającym z Hawany...

Listy kaperskie stanowiły jedno z głównych źródeł zmartwień Hornblowera. Wystawiane zarówno przez powstańców, jak i prawowite władze państwowe upoważniały do polowania na jednostki żeglujące pod starymi i nowymi banderami, zaś ich posiadacze w mgnieniu oka przekształcali się w piratów w razie niedostatku jednostek, które na podstawie takich listów mogłyby być zdobywane jako przyzy, i przy braku sprawnie działających sądów przyzowych. Spośród czternastu stateczków Hornblowera rozstawionych po Karaibach trzynaście śledziło poczynania korsarzy.

— Przygotowałem duplikaty moich raportów do wiadomości waszej lordowskiej wysokości — zakończył Sharpe. — Zabrałem je ze sobą w celu przekazania waszej lordowskiej wysokości wraz z kopiami skarg kapitanów odnośnych statków.

— Dziękuję, sir — odrzekł Hornblower, a Gerard wziął papiery, żeby się nimi zająć.

— A teraz, jeśli wasza lordowska wysokość pozwoli, przejdę do handlu niewolnikami — ciągnął Sharpe otwierając nowy plik papierów.

Handel niewolnikami był problemem równie nabrzmiałym co piractwo, a pod pewnymi względami nawet bardziej, ponieważ Stowarzyszenie do Zwalczenia Niewolnictwa powstałe w Anglii i dysponujące silnym i głośnym poparciem w obu izbach parlamentu podniosłoby znacznie gwałtowniejszy szum w sprawie ładunku niewolników wiezionego do Hawany czy do Rio de

Janeiro niż kompania żegluga w sprawie nękania jej przez korsarzy.

— Obecnie, milordzie, murzyński parobek bez kwalifikacji, świeżo przywieziony z Wybrzeża Niewolniczego, kosztuje w Hawanie osiemdziesiąt funtów, a we Whydach kupuje się go za towary warte nie więcej niż funta. Takie zyski są kuszące, milordzie.

— Naturalnie — zgodził się Hornblower.

— Mam powód sądzić, milordzie, że jednostki z brytyjską i amerykańską rejestracją są zaangażowane w tym handlu.

— I ja też.

Pierwszy Lord Admiralicji stuknął wtedy, w trakcie tamtej rozmowy, groźnie w stół, przechodząc do tej części instrukcji dla Hornblowera. Według nowego prawa poddani brytyjscy zajmujący się handlem niewolnikami mogli zostać skazani na powieszenie, a ich statki na konfiskatę. Trzeba jednak być przezornym, mówił, w postępowaniu ze statkami pływającymi pod banderą amerykańską. Jeśli odmówią stanięcia w dryf na otwartym morzu dla przeprowadzenia kontroli, należy podejść do nich z wielkim wyczuciem. Zestrzelenie drzewca na jednostce amerykańskiej lub zabicie obywatela amerykańskiego oznaczałoby kłopoty. Nie dawniej niż dziewięć lat temu Ameryka podjęła kroki wojenne przeciwko Anglii z bardzo podobnych przyczyn.

— Nie chcemy kłopotów, milordzie — rzekł Sharpe. Miał twarde, inteligentne szare oczy głęboko osadzone w nalanej twarzy.

— Zdaję sobie z tego sprawę, sir.

— A w związku z tym, milordzie, muszę położyć specjalny nacisk na zwrócenie uwagi waszej lordowskiej wysokości na statek przygotowujący się tu, w Nowym Orleanie, do wyjścia w morze.

— Co to za statek?

— Widać go stąd, milordzie. Chwileczkę... — Sharpe wygramolił się z fotela i podszedł do iluminatora kajuty. — Tak, to ten. Co pan sądzi o nim, milordzie?

Hornblower stanął obok Sharpe'a i popatrzył. Zobaczył piękny statek o tonażu rzędu ośmiuset ton, a może i większym. Miał kształtną sylwetkę, maszty strzelające wysoko w niebo i długie reje — a wszystko to wyraźnie wskazywało, że postawiono tam na prędkość żeglowania uzyskaną kosztem nośności ładunkowej. Był to gładkopokładowiec z sześcioma malowanymi furtami strzelniczymi w każdej burcie. Amerykańscy konstruktorzy okrętów zawsze zdradzali skłonność do budowy szybkich jednostek, lecz ta była szczególnie dobitnym przykładem tego typu.

— Czy za otworami strzelniczymi kryją się działa? — spytał Hornblower.

— Dwunastofuntowe, milordzie.

Nawet teraz, w czasie pokoju, nie było czymś niezwykczym wyposażenie w armaty statków handlowych wypływających w drogę do Indii Zachodnich lub Wschodnich, lecz to uzbrojenie było cięższe niż normalnie.

— Był budowany jako statek korsarski — orzekł Hornblower.

— Słusznie, milordzie. Nazywa się „Daring”[4]. Zbudowany w czasie wojny, odbył jedną wyprawę i zabrał nam sześć przyzów, zanim ogłoszono pokój gandawski. A teraz, milordzie?

— Może być statkiem niewolniczym.

— I znowu wasza lordowska wysokość ma oczywiście rację.

Takie ciężkie uzbrojenie byłoby pożądane na statku niewolniczym, rzucającym kotwicę na rzece zachodnioafrykańskiej, gdzie mógł zostać zdradziecko zaatakowany. Gładkopokładowa konstrukcja umożliwiała urządzenie pokładu niewolniczego, a duża prędkość zmniejszałaby do minimum zgony niewolników w drodze z Afryki Zachodniej do Indii Zachodnich. Na statku niewolniczym brak miejsca na ładunki masowe byłby bez znaczenia.

— Czy j e s t to statek niewolniczy? — spytał Hornblower.

— Chyba raczej nie, milordzie, mimo jego wyglądu. Został jednak wynajęty do przewozu dużej liczby ludzi.

— Byłbym rad, panie Sharpe, żeby zechciał mi pan to bliżej wyjaśnić.

— Mogę jedynie podać waszej lordowskiej wysokości fakty, tak jak zostały mi ujawnione. Wynajął go generał francuski, hrabia Cambronne.

— Cambronne? Cambronne? Ten, co dowodził gwardią cesarską pod Waterloo?

— Ten sam, milordzie.

— Człowiek, który powiedział: „Stara gwardia umiera, lecz się nie poddaje”?

— Tak, milordzie, chociaż podobno wyraził to w bardziej dosadnych słowach. Został ranny i wzięty do niewoli, ale wyżył.

— Słyszałem o tym. Lecz po co mu ten statek?

— Na pozór sprawa jest jasna i nie budząca zastrzeżeń. Po wojnie stara gwardia Bonia utworzyła organizację wzajemnej pomocy. W 1816 postanowili zostać osadnikami — wasza lordowska wysokość musiał słyszeć coś o tym projekcie?

— Chyba nie.

— Wyjechali i objęli w posiadanie szmat ziemi na wybrzeżu Teksasu, prowincji Meksyku

graniczącej ze stanem Luizjana.

— O tym słyszałem, ale to wszystko, co wiem.

— Zacząć było dosyć łatwo w warunkach, gdy w Meksyku wrzała rewolta przeciwko Hiszpanii. Jak można się było spodziewać, milordzie, nie napotkali więc żadnego oporu. Lecz trudniej było dalej prowadzić to przedsięwzięcie. Nie wierzę, żeby żołnierze starej gwardii w ogóle mogli być dobrymi rolnikami. W dodatku na tym zapowietrzonym wybrzeżu, będącym właściwie szeregiem ponurych, prawie nie zamieszkałych lagun.

— Przedsięwzięcie nie powiodło się?

— Jak wasza lordowska wysokość mógł oczekiwać. Połowa wymarła na malarię i żółtą febrę, a połowa z tych, co przetrwali, po prostu przymierała głodem. Cambronne przybył z Francji, żeby zabrać do ojczyzny tych pięciuset pozostałych przy życiu. Wasza lordowska wysokość rozumie, że to ich przedsięwzięcie nie było w ogóle w smak rządowi Stanów Zjednoczonych, a teraz władze powstańcze są na tyle silne, żeby się przeciwstawić obecności na wybrzeżu Meksyku dużej grupy wyszkolonych żołnierzy, choćby ich zamiary były nie wiem jak pokojowe. Jak wasza lordowska wysokość widzi, to co mówi Cambronne, może wcale nie mijać się z prawdą.

— Tak.

Ośmiusettonowy statek, wyposażony jak do przewozu niewolników, mógłby wziąć na pokład pięciuset żołnierzy i wykarmić ich przez okres długiej podróży.

— Cambronne zaopatruje statek głównie w ryż i wodę — niewolnicza strawa, milordzie, lecz właśnie dlatego najodpowiedniejsza do tego celu.

Handlarze niewolnikami mieli długie doświadczenie w utrzymywaniu przy życiu dużej liczby ciasno stłoczonych ludzi.

— Jeśli Cambronne zamierza zabrać ich z powrotem do Francji, nie powinienem nic robić, żeby mu przeszkodzić — stwierdził Hornblower. — Raczej wprost przeciwnie.

— Słusznie, milordzie.

Szare oczy Sharpe'a patrzyły na Hornblowera spojrzeniem pozbawionym wyrazu. Obecność pięciuset wyszkolonych żołnierzy na statku w Zatoce Meksykańskiej to duży problem dla głównodowodzącego admirała brytyjskiego w okresie, gdy wybrzeża zatoki i Karaiby są w stanie silnego wrzenia. Boliwar i inni hiszpańsko-amerykańscy powstańcy dobrze zapłaciliby za ich usługi w tej wojnie. Ktoś mógłby się też zastanawiać nad podbojem Haiti czy atakiem piratów na Hawanę. Możliwe są też jakieś wypadki korsarskie. Jeśli już o to idzie, to obecny rząd burboński we Francji też może szukać sprawy, w której mógłby maczać palce, okazji do błyskawicznego zdobycia kolonii i postawienia mocarstw strefy języka angielskiego przed *fait accompli*[5].

— Będę miał na nich oko, dopóki nie odplyną na bezpieczną odległość — rzekł Hornblower.

— Zwróciłem oficjalnie uwagę waszej lordowskiej wysokości na tę sprawę — dorzucił Sharpe.

Będzie to dodatkowe zadanie dla skąpej liczby jednostek, jaką dysponuje Hornblower dla sprawowania kontroli nad Karaibami. Zaczął się już zastanawiać, którą z nich mógłby odkomenderować do obserwacji wybrzeży zatoki.

— A teraz, milordzie — ciągnął Sharpe — jest moim obowiązkiem omówić szczegóły pobytu waszej lordowskiej wysokości tu, w Nowym Orleanie. Ułożyłem program oficjalnych wizyt waszej lordowskiej wysokości. Czy wasza lordowska wysokość mówi po francusku?

— Tak — odparł Hornblower, tłumiąc chęć powiedzenia: „Moja lordowska wysokość mówi tym językiem”.

— To świetnie, albowiem francuski jest tu w powszechnym użyciu wśród ludzi z towarzystwa. Oczywiście wasza lordowska wysokość złoży wizyty władzom morskim i gubernatorowi. Planowane jest wieczorne przyjęcie na cześć waszej lordowskiej wysokości. Mój powóz jest oczywiście do dyspozycji waszej lordowskiej wysokości.

— Bardzo to uprzejmie z pańskiej strony, sir.

— Ależ bynajmniej, milordzie. Wielka to dla mnie przyjemność móc przyczynić się do tego, aby wizyta waszej lordowskiej wysokości w Nowym Orleanie była możliwie jak najprzyjemniejsza. Mam tu listę wybitnych osobistości, z którymi zetknie się wasza lordowska wysokość, z krótką notką o każdej. Może powinienem omówić tę sprawę z pańskim oficerem flagowym?

— Z pewnością — zgodził się Hornblower, rad, że będzie mógł trochę rozluźnić uwagę. Gerard to dobry oficer flagowy. Bardzo przykładowie pomagał mu w czasie dziesięciu miesięcy sprawowania funkcji głównodowodzącego. Umie też znaleźć się w towarzystwie, o co on sam wcale nie dba. Sprawa została szybko załatwiona.

— No to świetnie, milordzie — odetchnął z ulgą Sharpe. — Mogę teraz odejść. Będę miał przyjemność spotkać się znowu z waszą lordowską wysokością w domu gubernatora.

— Jestem panu głęboko zobowiązany, sir.

Nowy Orlean był uroczym miastem i Hornblower z entuzjazmem myślał o perspektywie jego poznania. Nie tylko zresztą on, jak się okazało, gdy po odejściu Sharpe'a porucznik Harcourt, dowódca „Craba”, zatrzymał Hornblowera na pokładzie rufowym.

— Przepraszam, milordzie — powiedział salutując. — Czy są dla mnie jakieś rozkazy?

Nie mogło być wątpliwości, o co szło Harcourtowi. Większa część załogi „Craba” skupiona na dziobie opodal grotmasztu zerkała niecierpliwie ku rufie — na tak małej jednostce każdy orientuje się w sprawach współtowarzyszy i dyscyplina wygląda tu inaczej niż na dużych okrętach.

— Panie Harcourt, czy może pan zaufać swoim ludziom, że zachowają się spokojnie na lądzie?

— spytał Hornblower.

— Tak, milordzie.

Hornblower znowu spojrzął w kierunku dziobu okrętu. Marynarze wyglądali niezwykle elegancko — przez całą drogę z Kingston, od momentu, gdy oznajmiono, że „Crab” dostąpi niezwykłego wyróżnienia w postaci podniesienia na nim flagi admirałkiej, wszyscy pracownicy przygotowywali nowe ubrania. Mieli teraz na sobie porządne granatowe swetry, białe spodnie drelichowe i słomiane kapelusze z szerokim rondem. Hornblower widział ich niepewność — wiedzieli doskonale, o czym była mowa. Byli to marynarze czasu pokoju, z dobrowolnego zaciągu. Hornblower miał za sobą dwadzieścia lat służby wojennej z załogami z przymusowego poboru, po których zawsze można się było spodziewać dezercji, i teraz swój stosunek do załogi musiał dostosować do tej zmiany.

— Gdyby mógł mi pan zdradzić, kiedy zamierza pan wychodzić z portu, sir... to znaczy, milordzie — poprosił Harcourt.

— W każdym razie nie wcześniej niż jutro o świcie — odparł Hornblower, podejmując nagle decyzję, na co dotąd nie miał czasu.

— Tak jest, milordzie.

Czy bary przy nabrzeżach Nowego Orleanu różnią się od barów w Kingston lub Port of Spain?

— A teraz, panie Gerard, chciałbym zjeść śniadanie — powiedział Hornblower. — Chyba że ma pan coś przeciwko temu?

— Tak jest, milordzie — odrzekł Gerard, celowo ignorując sarkazm. Od dawna wiedział, że jego admirał nie znosi zabierać się do jakiegokolwiek działania przed śniadaniem.

Było po śniadaniu, gdy bosy, ciemnoskóry mężczyzna, niosący na głowie kosz owoców, podszedł do trapu i przekazał kosz w momencie, gdy Hornblower miał wyruszyć na oficjalne wizyty.

— Jest tu też list, milordzie — rzekł Gerard. — Mam go otworzyć?

— Tak.

— To od pana Sharpe'a — oznajmił Gerard po złamaniu pieczęci, a kilka sekund później dodał: — Może lepiej sam pan przeczyta, milordzie.

Hornblower wziął list niecierpliwym ruchem.

Milordzie (czytał),

Pozwalam sobie przesiać owoce Waszej Lordowskiej Wysokości. Uważam za swój obowiązek powiadomić Waszą Lordowską Wysokość, iż właśnie otrzymałem informację, że ładunek, który

hrabia Cambronne przywiózł tu z Francji i który leżał w składzie Służby Celnej Stanów Zjednoczonych, zostanie wkrótce przetransportowany na „Daring” barką celniczą. Jak Wasza Lordowska Wysokość zdaje sobie sprawę, stanowi to oczywiście wskazówkę, że „Daring” wkrótce odpływa. Zgodnie z posiadanymi przeze mnie informacjami ładunek złożony przez Cambronne'a w składzie wolnoctwowy jest bardzo duży i staram się dowiedzieć, z czego się składa. Może Wasza Lordowska Wysokość mógłby nakazać, aby z punktu obserwacyjnego u Waszej Lordowskiej Wysokości próbowano ustalić rodzaj tego ładunku.

Pozostaję z głębokim szacunkiem

pokorny i posłuszny sługa Waszej

Lordowskiej Wysokości

Cloudesley Sharpe

Konsul generalny JBKM w Nowym Orleanie

Cóż mógł przywieźć Cambronne z Francji w dużej ilości? Jaki legalny ładunek potrzebny do celu podanego przy wynajmowaniu „Daring”? Z pewnością nie rzeczy osobiste. Ani żywność czy napoje — to wszystko może dostać tanio w Nowym Orleanie. Więc co? Może cieplejszą odzież? Mogłaby być potrzebna gwardzistom wracającym do Francji z Zatoki Meksykańskiej. Bardzo możliwe. Lecz generał francuski, mający do dyspozycji pięciuset żołnierzy gwardii cesarskiej, powinien być pod bardzo skrupulatną obserwacją w okresie obecnych niepokojów na Karaibach. Bardzo dobrze byłoby wiedzieć, jaki rodzaj ładunku zabiera na statek.

— Panie Harcourt!

— Sir... milordzie!

— Chciałbym, żeby zszedł pan ze mną na chwilę do mojej kajuty.

Młody porucznik stanął w kajucie na baczność, czekając z niepokojem, co admirał ma mu do powiedzenia.

— To nie będzie nagana, panie Harcourt — rzekł Hornblower zirytowanym tonem. — Ani nawet upomnienie.

Dziękuję, milordzie — odparł Harcourt z ulgą.

Hornblower podprowadził go do iluminatora kajuty i wskazał, jak poprzednio Sharpe.

— To jest „Daring” — rzekł. — Były statek korsarski, obecnie wynajęty przez generała francuskiego. Harcourt patrzył na niego zdumiony.

— Tak rzecz się ma — ciągnął Hornblower. — A dziś będą odbierać jakiś ładunek z magazynu wolnoctwowego. Przywiezie go stamtąd barka.

— Tak, milordzie.

— Chciałbym wiedzieć możliwie najwięcej o tym ładunku.

— Tak milordzie.

— Nie życzę sobie oczywiście, żeby rozeszła się wiadomość, iż się rym interesuję. Niech bez potrzeby nikt się o tym nie dowie.

— Tak, milordzie. Mógłbym patrzeć stąd przez lunetę i przy pewnym szczęściu sporo zobaczyć.

— Bardzo słusznie. Niech pan notuje, czy to są beły, skrzynie czy worki. Ile czego jest. Po rodzaju użytej talii może pan ocenić ciężar. To może pan zrobić bez trudu.

— Tak jest, milordzie.

— Proszę notować dokładnie wszystko, co pan zaobserwuje.

— Tak jest, milordzie.

Hornblower utkwiał wzrok w twarzy młodziutkiego dowódcy okrętu flagowego, próbując ocenić jego dojrzałość. Pamiętał bowiem doskonale słowa wypowiedziane z naciskiem przez Pierwszego Lorda Admiralicji na temat konieczności bardzo ostrożnego postępowania ze względu na drażliwość Amerykanów. Zdecydował, że może zaufać temu młodzieńcowi.

— A teraz, panie Harcourt — ciągnął — niech pan szczególnie uważa na to, co powiem. Im więcej dowiem się o ładunku, tym lepiej. Lecz proszę to robić dyskretnie. Jeśli nadarzy się sposobność ustalenia, co to za ładunek, musi pan z niej skorzystać. Nie potrafię powiedzieć, jaka to mogłaby być sposobność, lecz sposobności przydarzają się tym, którzy je przewidują.

Dawno, dawno temu Barbara powiedziała, że szczęście jest udziałem tych, co na nie zasługują.

— Rozumiem, milordzie.

— Jeśliby się coś wydało — gdyby Amerykanie lub Francuzi dowiedzieli się o pańskich poczynaniach, panie Harcourt — pożałowałyby pan, że się pan narodził.

— Tak, milordzie.

— Do tego zadania, panie Harcourt, nie nadaje się oficer ze zbytnią fantazją. Potrzebny mi jest po prostu człowiek pomysłowy, ktoś ze sprytem. Na pewno rozumiemy się?

— Tak, milordzie.

Hornblower odwrócił wreszcie wzrok od twarzy Harcourta. Kiedyś sam był oficerem o wielkiej fantazji. Teraz bardziej niż kiedykolwiek współczuł swoim przełożonym, którzy musieli

powierzać mu jakieś zadania. Starszy rangą oficer powinien z konieczności ufać młodszemu, zawsze jednak na nim ciąży ostateczna odpowiedzialność. Jeśli Harcourt popełni błąd, jeśli wskutek jego niedyskrecji dojdzie do protestu dyplomatycznego, to naprawdę będzie żałować, że się w ogóle narodził — już on, Hornblower, tego dopilnuje. Lecz i on sam też pożałuje, że się narodził. Niemniej dalsze straszenie Harcourta nie miało sensu.

— A zatem panie, Harcourt, to wszystko.

— Tak jest, sir.

— Chodźmy, panie Gerard. Jesteśmy już spóźnieni.

Powóz pana Sharpe'a wybity był zieloną satyną i miał doskonale resorowanie, więc chociaż chwiał się i kołysał na nierównej nawierzchni ulic, nie dawał odczuć podskoków i wstrząsów. Jednakże po pięciu minutach chwiania i kołysania — a powóz stał przedtem przez jakiś czas w upalnym majowym słońcu — Hornblower poczuł, że robi się zielony jak obicie wnętrza. Ledwie rzucił okiem na Rue Royale, Place d'Armes i katedrę. Z radością witał postoje, mimo że każdy oznaczał oficjalne spotkanie z obcymi mu ludźmi, a więc rodzaj kontaktów, których najbardziej nie lubił. Oddychał ciężko wilgotnym powietrzem przez błogie chwile między wyjściem z powozu a wejściem pod ozdobne portyki, gdzie czekano, aby go powitać. Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że galowy mundur admirałski mógłby przecież być uszyty z czegoś cieńszego od sukna. A szeroką czerwoną wstęgę i lśniąca gwiazdę orderu nosił już zbyt często, aby afiszowanie się nią sprawiało mu jakąś przyjemność.

W dowództwie Marynarki Wojennej pił doskonałą maderę; generał poczęstował go ciężką marsalą[6]; w pałacyku gubernatora podano napój w wysokim kielichu zamrożony (przypuszczalnie lodem przywożonym tu zimą z Nowej Anglii i przechowywanym w lodowni prawie do połowy lata, kiedy to stawał się droższy od złota) w nadzwyczajny sposób do stanu, przy którym na szkle widać było prawdziwy szron. Rozkosznie chłodna zawartość kielicha znikła szybko i równie szybko ktoś napełnił go ponownie. Hornblower opanował się błyskawicznie, stwierdziwszy, że peroruje nieco zbyt głośno i z uporem na jakiś błahy temat. Był rad, gdy pochwyciwszy spojrzenie Gerarda mógł wycofać się możliwie grzecznie. Ucieszyło go, że Gerard wyglądał na całkiem opanowanego i trzeźwego i że sprawował pieczę nad pudełkami z wizytówkami, wykładając niezbędną ich liczbę na srebrne tace podstawiane przez kolorowych lokajów. Wróciwszy do domu Sharpe'a poczuł zadowolenie na widok przyjaznej twarzy — przyjaznej, mimo że ujrzał ją po raz pierwszy zaledwie tego ranka.

— Milordzie, mamy jeszcze godzinę do przybycia gości — powiedział Sharpe. — Może wasza lordowska wysokość chciałby chwilę odpocząć?

— Bardzo chętnie — zgodził się Hornblower.

Dom pana Sharpe'a wyposażony był w godne wielkiej uwagi urządzenie. Był to douche[7] — Hornblower znał tylko tę francuską nazwę. Zainstalowano go w kącie łazienki, gdzie podłoga i ściany były wyłożone najprzedniejszym drewnem tekowym. Z sufitu zwisał aparat z dziurkowanej blachy cynkowej, a przy nim łańcuszek z brązu. Gdy Hornblower stanął pod tym aparatem i

pociągnął za łańcuszek, z niewidocznego zbiornika w górze lunął na niego strumień rozkosznie chłodnej wody, równie odświeżający jak strumień z pompy pokładowej w trakcie podróży morskiej, z tą dodatkową zaletą, że tu woda była słodka, co teraz, po trudach dnia, działało jeszcze bardziej odświeżająco. Hornblower stał długo pod deszczem kropli, odżywając z każdą sekundą. Pomyślał, że trzeba będzie zainstalować coś takiego w Smallbridge House, jeśli w ogóle wróci do domu.

Kolorowy lokaj w liberii czekał z ręcznikami, żeby Hornblower nie spocił się przy osuszaniu się po kąpeli. Akurat go wycierał, gdy stukanie do drzwi oznajmiło przybycie Gerarda.

— Milordzie, kazałem przywieźć z okrętu świeżą koszulę dla pana — powiedział.

Gerard rzeczywiście dawał dowody inteligencji. Hornblower z wdzięcznością włożył czystą koszulę, potem z wewnętrznym sprzeciwem zacisnął węzeł krawata i wdział ponownie ciężki mundur. Przewiesił przez ramię czerwoną wstęgę, poprawił gwiazdę i już był gotów stawić czoło następnej sytuacji. Zapadał mrok wieczorny, lecz upał wcale nie zelżał. Wprost przeciwnie, salon w domu pana Sharpe'a był rzęsiście oświetlony świecami, przez co było tam gorąco jak w piecu. Sharpe, w czarnym surducie, czekał na Hornblowera. Koszula ozdobiona koronkowym żabotem sprawiała, że jego ciężka postać wyglądała jeszcze potężniej niż zwykle. Pani Sharpe, sunąca majestatycznie w turkusowobłękitnej sukni, była mniej więcej tego samego wzrostu co małżonek. Na ukłon Hornblowera, przedstawionego jej przez pana Sharpe'a, odpowiedziała głębokim dygiem dworskim, witając go w swym domu po francusku, a jej miękka wymowa miło zabrzmiała w jego uszach.

— Coś na orzeźwienie, milordzie? — spytał Sharpe.

— Dziękuję, nie teraz, sir — odparł spieszenie Hornblower.

— Spodziewamy się dwudziestu ośmiu osób, nie licząc waszej lordowskiej wysokości i pana Gerarda — oznajmił Sharpe. — Niektórych wasza lordowska wysokość poznał już w czasie dzisiejszych oficjalnych wizyt. Ponadto będą...

Hornblower bardzo się starał zapamiętać nazwiska gości i uwagi na ich temat. Gerard, który wszedł za nim i znalazł już sobie krzesło na boku, również słuchał uważnie.

— Będzie też oczywiście Cambronne — ciągnął Sharpe. — Naprawdę?

— Trudno byłoby mi wydać tak duży obiad nie zapraszając najznakomitszego po waszej lordowskiej wysokości gościa z zagranicy przebywającego w naszym mieście.

— To rzecz oczywista — przyznał Hornblower.

Jednakże sześć lat pokoju nie całkiem wygasilo uprzedzenia utrwalone przez dwadzieścia lat wojny. Było coś nienaturalnego w perspektywie spotkania z generałem francuskim na przyjaznej stopie, szczególnie z byłym głównodowodzącym cesarskiej gwardii Bonapartego. Spotkaniu może towarzyszyć pewne napięcie, ponieważ Bonaparte jest w więzieniu na Świętej Helenie i mocno się

na nie uskarża.

— Towarzyszyć mu będzie francuski konsul generalny — dodał Sharpe. — Przyjdzie też holenderski konsul generalny, szwedzki...

Lista wydawała się nie mieć końca, anonsowano pierwszych gości, gdy pan Sharpe kończył ją cytować. Zamożni obywatele i ich bogate żony; oficerowie marynarki wojennej i armii, których Hornblower poznał wcześniej, wraz ze swoimi paniami; przedstawiciele dyplomatyczni. W krotce obszerny salon wypełnił się mężczyznami gnącymi się w ukłonach i kobietami witającymi go dygiem dworskim. Prostując się z ukłonu Hornblower znowu znalazł pana Sharpe'a u swego boku.

— Mam zaszczyt poznać ze sobą dwie wybitne postacie — rzekł Sharpe po francusku.

— Son Excellence Rear-Admiral Milord Hornblower, Chevalier de l'Ordre Militaire du Bain. Son Excellence le Lieutenant-General le Comte de Cambronne, Grand Cordon de la Legion d'Honneur[8].

Nawet w takiej chwili Hornblower nie potrafił oprzeć się podziwowi dla eleganckiego sposobu, w jaki Sharpe obszedł drażliwą kwestię, kogo komu przedstawiać, prezentując generała francuskiego z tytułem hrabiego i angielskiego admirała z tytułem para. Cambronne był wysoki jak tyczka chmielowa. Przez chudy policzek i haczykowaty nos biegła purpurowa szrama — może po ranie odniesionej pod Waterloo czy też pod Austerlitz, Jena lub w którejś z innych bitew, w których armia francuska powalała narody. Miał na sobie granatowy mundur obszyty złotymi lamówkami, przepasany jasnoczerwoną jedwabną wstęgą Legii Honorowej, i złotą gwiazdę na lewej piersi.

— Jestem zachwycony, że mogę pana poznać, sir — przemówił Hornblower swoją najlepszą francuszczyzną.

— Nie bardziej niż ja jestem rad z poznania pana, milordzie — odrzekł Cambronne. Miał zimne szarozielone oczy z migocącymi w nich iskierkami. Górną wargę ozdabiał ostry, siwy wąsik.

— Baronowa de Vautour — mówił Sharpe. — Baron de Vautour, konsul generalny jego arcychrześcijańskiej królewskiej mości.

Hornblower skłonił się i znowu powiedział, że jest mu bardzo miło. Jego arcychrześcijańską królewską mością był Ludwik XVIII francuski, używający tytułu nadanego jego rodowi przez papieża przed setkami lat:

— Hrabia jest przekorny — powiedział Vautour wskazując na gwiazdę orderową Cambronne'a. — Nosi Wielkiego Orła przyznanego mu przez poprzedni reżim. Oficjalnie zastąpiono go Wielką Wstęgą, jak to słusznie zauważył nasz gospodarz.

Vautour wskazał na swoją gwiazdę, o znacznie skromniejszym wyglądzie. Order Cambronne'a przedstawiał dużego orła ze złota, symbol nie istniejącego obecnie cesarstwa francuskiego.

— Zdobyłem go na polu bitwy — wyjaśnił Cambronne.

— Don Alphonso de Versage — ciągnął Sharpe. — Konsul generalny jego arcykatolickiej królewskiej mości.

A więc to jest przedstawiciel Hiszpanii. Hornblower pomyślał, że warto by zamienić z nim kilka słów na temat nie załatwionej sprawy cesji Florydy. Ledwo jednak zdążył wymienić kurtuazyjne zwroty, już przedstawiano mu następnego gościa. Uplęnęła dłuższa chwila, nim złapał trochę oddechu i mógł popatrzeć na otaczającą go piękną scenerię, oświetloną blaskiem świec, na mundury i ubrania z luksusowego sukna, na obnażone ręce i ramiona kobiet w jasnych sukniach i lśniącej biżuterii i na małżonków Sharpe, poruszających się swobodnie w tej ciżbie i wprowadzających kolejno gości według ważności zajmowanych przez nich pozycji. Wejście gubernatora i jego żony stało się sygnałem do oznajmienia, że obiad jest podany.

Jadalnia była równie obszerna jak salon. Mieścił się w niej swobodnie stół z nakryciami dla trzydziestu osób, a dookoła było jeszcze dosyć miejsca dla licznych lokajów. Mimo przytłumionego tu blasku świec wspaniale lśniły srebra, którymi zastawiony był stół. Hornblower, usadowiony między panią gubernatorową i panią Sharpe, pomyślał, że powinien mieć się na baczności i bardzo uważać na swoje zachowanie przy stole, tym bardziej że z sąsiadką z jednej strony będzie musiał rozmawiać po francusku, a z drugiej po angielsku. Popatrzył niepewnie na sześć kielichów do wina, każdy inny, ustawionych przy wszystkich nakryciach — do pierwszego nalewano już sherry. Widział, że Cambronne, posadzony między dwiema urodziwymi dziewczętami, wyraźnie stara się być miłym dla obojgu. Nie zdradzał najmniejszych oznak niepokoju. Jeśli nawet myślał o wyprawie korsarskiej, to sprawa ta nie zaprzętała zbyt mocno jego umysłu.

Dymiący talerz zupy żółwiowej, gęstej od pływających w niej skrawków zielonkawego tłuszczu. Miał to być obiad serwowany na sposób kontynentalny, modny po Waterloo, bez ustawiania rozmaitych potraw na stole, żeby goście sami sobie nabierali. Ostrożnie, łyżka za łyżką, spożywał Hornblower gorącą zupę, gawędząc przy tym z sąsiadkami. Danie następowało za daniem i wkrótce w nagrzej sali stanął przed nim delikatny problem z dziedziny etykiety: czy lepiej otrzeć pot z twarzy, czy też pozwolić, żeby spływał z niej zauważalnym strumieniem. Pot jednak drażnił go do tego stopnia, że się zdecydował otrzeć go ukradkiem. A właśnie Sharpe poszukał jego wzroku, więc trzeba było podnieść się z miejsca i w zamierającym gwarze zmusić otumaniony mózg do pracy. Uniósł w górę swój kielich.

— Zdrowie prezydenta Stanów Zjednoczonych — rzekł. Już miał dodać idiotyczne: „Niech długo panuje”, lecz zreflektowawszy się błyskawicznie, ciągnął dalej: — Niech wielki naród, którego on jest prezydentem, długo cieszy się pomyślnością i dobrymi stosunkami z innymi krajami, czego to spotkanie jest symbolem.

Toast został spełniony z aplauzem, bez słowa o tym, że na ponad połowie kontynentu Hiszpanie i Hiszpano-Amerykanie wybijają się nawzajem. Siadł i znów otarł twarz z potu. Teraz wstał Cambronne.

— Zdrowie jego brytyjskiej królewskiej mości Jerzego Czwartego, króla Wielkiej Brytanii i Irlandii.

Po wypiciu toastu znowu przyszła kolej na Hornblowera, o czym Sharpe dał mu znać

spojrzeniem. Podniósł się więc, z kielichem w dłoni, i zaczął długą litanję.

— Zdrowie jego arcychrześcijańskiej królewskiej mości. Zdrowie jego arcykatolickiej królewskiej mości. Zdrowie jego arcywiernej królewskiej mości. — To załatwiało Francję, Hiszpanię i Portugalię. — Zdrowie jego królewskiej mości króla Niderlandów.

Za nic nie umiał sobie przypomnieć, kto ma być następny. Lecz Gerard pochwyciwszy jego zdesperowany wzrok wykonał znaczący ruch kciukiem.

— Zdrowie jego królewskiej mości króla Szwecji — wydusił z siebie Hornblower. — Zdrowie jego królewskiej mości króla Prus.

Uspokajającym skinieniem głowy Gerard upewnił go, że wyczerpana została lista reprezentowanych na obiedzie narodów, zakończył więc wystąpienie zdaniem, jakie udało mu się wyłowić z chaosu myśli.

— Niech ich królewskie moście długo panują w coraz większej czci i chwale.

No, nareszcie koniec, może znowu usiąść. Ale teraz wstał gubernator. Popłynęły retoryczne zwroty, przez przytępiony umysł Hornblowera przemknęło przypuszczenie, że teraz może być pite jego zdrowie, starał się więc słuchać. Czuł na sobie ciekawe spojrzenia rzucane zewsząd od stołu, gdy gubernator uczynił aluzję do obrony tego miasta, Nowego Orleanu, przed „źle dowodzonymi hordami”, atakującymi je daremnie, aluzja widać nieunikniona, chociaż od bitwy minęło ponad sześć lat — i spróbował wywołać uśmiech na twarz. Wreszcie gubernator skończył.

— Zdrowie jego lordowskiej wysokości admirała Hornblowera, z którego nazwiskiem łączę toast na cześć Brytyjskiej Marynarki Wojennej.

Hornblower powstał znowu, gdy ucichł aprobujący szmer zebranych.

— Dziękuję panu za ten nieoczekiwany zaszczyt — rzekł i połykając ślinę szukał w myśli dalszych słów.

— Zaś połączenie mego nazwiska z imieniem wielkiej marynarki wojennej, w której mam przywilej służyć tak długo, to zaszczyt dodatkowy, za który składam panu podziękowanie.

Gdy usiadł, panie zaczęły podnosić się od stołu, więc powstał czekając, aż wyjdą. Świetnie wytresowani lokaje w mgnieniu oka sprzątnęli wszystko ze stołu, zaś panowie skupili się w jednym jego końcu, gdzie karafka poszła w ruch. Podczas napełniania kieliszków Sharpe wciągnął do rozmowy jednego z kupców obecnych na przyjęciu, pytając go o zbiory bawełny. Był to bezpieczny grunt, z którego można było robić krótkie i ostrożne wypadki na bardziej dyskusyjny teren sytuacji światowej. Ale już po kilku minutach wszedł główny lokaj i szepnął coś panu Sharpe. Ten odwróciwszy się do francuskiego konsula generalnego przekazał mu otrzymaną wiadomość. Vautour podniósł się z miejsca z wyrazem konsternacji na twarzy.

— Zechce mi pan wybaczyć, sir — rzekł. — Jest mi niezmiernie przykro, ale muszę odejść.

— Nie bardziej przykro niż mnie, baronie — odparł Sharpe. — Mam nadzieję, że to tylko lekka niedyspozycja.

— I ja też — odrzekł Vautour.

— Baronowa czuje się niedysponowana — wyjaśnił Sharpe zebrany. — Jestem pewien, panowie, że wszyscy podzielacie mą nadzieję, iż jak rzekłem, niedyspozycja będzie lekka, i żal, że pozbawia nas ona czarującego towarzystwa barona.

Wśród pomruków współczucia Vautour zwrócił się do Cambronne'a.

— Hrabio, czy mam przysłać powóz z powrotem po pana? — zapytał.

Cambronne szarpnął swój ostry wąsik.

— Może lepiej będzie — rzekł — jeśli pojedę z panem. Chociaż bardzo mi żal opuszczać tak miłe towarzystwo.

Pożegnawszy się uprzejmie obaj Francuzi ruszyli do wyjścia.

— Było mi bardzo miło poznać pana, milordzie — zwrócił się Cambronne z ukłonem do Hornblowera. Sztywność ukłonu łagodził błysk w jego oku.

— Wielkie to dla mnie przeżycie spotkać tak wybitnego żołnierza byłego cesarstwa — odparł Hornblower.

Z wylewnymi wyrazami żalu Sharpe wyprowadził Francuzów z sali.

— Panowie — powiedział wróciwszy — nasze kielichy czekają, żeby je znowu napełnić.

Hornblower niczego bardziej nie znosił niż picia porta dużymi kieliszkami w nagrzanym, wilgotnym pokoju, mimo że teraz mógł rozmawiać swobodnie z hiszpańskim konsulem generalnym na temat Florydy. Był rad, że Sharpe odszedł, żeby przyłączyć się do pań. Gdzieś w salonie, w zasięgu słuchu, grała orkiestra smyczkowa, ale na szczęście cicho, tak że Hornblowerowi oszczędzona została irytacja, jaką zwykle odczuwał, gdy był zmuszony przysłuchiwać się muzyce swoim głuchym na tony uchem. Jak się okazało, usiadł przy jednej z pięknych młodych kobiet, między którymi siedział Cambronne w czasie obiadu. Odpowiadając na jej pytania musiał przyznać, że podczas pierwszego dnia pobytu nie zwiedził prawie wcale Nowego Orleanu, a to przyznanie spowodowało rozmowę na inne miejscowości, w których bywał. Dwie filiżanki kawy nalane przez lokaja krążącego po salonie rozwidniły mu trochę w głowie. Młoda dama zachowywała się z wielką atencją i była dobrą słuchaczką. Pokiwała głową ze współczuciem, gdy z -rozmowy wyniknęło, że Hornblower, wysłany służbowo, zostawił w Anglii żonę i dziesięcioletniego syna.

Stopniowo zbliżała się noc. W końcu gubernator z małżonką wstali ze swych miejsc i przyjęcie dobiegło końca. Jeszcze kilka ostatnich męczących minut nie klejącej się rozmowy, gdy kolejno anonsowano powozy i Sharpe, odprowadziwszy ostatniego gościa, wrócił do salonu.

— Chyba udał się wieczór. Mam nadzieję, że wasza lordowska wysokość zgodzi się ze mną — powiedział, po czym zwrócił się do żony. — Muszę cię jednak prosić, kochanie, żebyś nie zapomniała dać Groverowi reprimendy za suflet.

Zanim pani Sharpe zdążyła odpowiedzieć, wszedł znowu główny lokaj i przekazał szeptem nową wiadomość.

— Przepraszam waszą lordowską wysokość — rzekł Sharpe. Z wyrazem konsternacji na twarzy pośpiesznie opuścił salon, zostawiając Hornblowera i Gerarda uprzejmie dziękujących gospodyni za miły wieczór.

— Cambronne uprzedził nas! — zawołał Sharpe wracając do pokoju spieszonym, kaczkowatym chodem. — „Daring” odcumował trzy godziny temu. Prosto stąd Cambronne musiał się udać na jego pokład.

Odwrócił się w stronę żony.

— Czy baronowa rzeczywiście źle się poczuła? — spytał.

— Wyglądała blado — odparła pani Sharpe.

— To wszystko musiało być ukartowane — orzekł Sharpe. — Udawała. Cambronne wtajemniczył Vautourów, bo chciał mieć sposobność do odejścia.

— Jak pan myśli, co on zamierza robić? — spytał Hornblower.

— Bóg wie. Sądzę jednak, że przybycie tu okrętu królewskiego popsuło mu szyki. Po sposobie, w jaki się oddalił, należy przypuszczać, że nie ma dobrych zamiarów. San Domingo — Kartagena — dokąd zabiera tę swoją gwardię cesarską?

— W każdym razie płynę za nim — zdecydował Hornblower podnosząc się z miejsca.

— Będzie panu trudno go dogonić — powiedział Sharpe. — Fakt, że użył słowa „pan”, a nie „wasza lordowska wysokość”, świadczył o jego poruszeniu. — Wziął dwa holowniki, „Lightning”[9] i „Star”[10], a z tymi nowymi latarniami morskimi na rzece nawet koń idący galopem nie dopędziłby go przed wyjściem na otwarte wody. O świcie znajdą się daleko na pełnym morzu. Poza tym, milordzie, nie wiem, czy tej nocy uda nam się znaleźć holownik dla pana.

— Mimo to ruszam za nim upierał się Hornblower.

— Kazałem, milordzie, żeby zajechał powóz - rzekł Sharpe. — Wybacz nam, moja droga, że opuszczamy cię tak bezceremonialnie. Pani Sharpe przyjęła pośpieszne ukłony trzech mężczyzn, lokaj czekał już z nakryciami głowy. Wsiedli do czekającego przed domem powozu.

— Ładunek, który Cambronne zabrał ze strefy wolnocłowej, został załadowany o zmroku — powiedział Sharpe. — Mój człowiek czeka na mnie z meldunkiem przy pańskim okręcie.

— To może nam pomóc w podjęciu decyzji — zauważył Hornblower. Powóz kołyszząc się jechał przez ciemne jak smoła ulice.

— Milordzie, czy wolno mi coś zasugerować? — odezwał się Gerard.

— Słucham. Co takiego?

— Cokolwiek by Cambronne nie planował, milordzie, Vautour bierze w tym udział. A on jest w służbie rządu francuskiego.

— Ma pan rację. Burbonowie chcą wszędzie wtykać swoje trzy grosze — powiedział Sharpe w zamyśleniu. — Wykorzystują każdą sposobność do występowania z roszczeniami. Można by pomyśleć, że to ich, a nie Bonia, pobiliśmy pod Waterloo. Odgłos kopyt końskich zmienił się nagle, gdy powóz dojechał do nabrzeża. Zatrzymali się, a Sharpe otworzył drzwiczki, zanim lokaj zdążył zeskoczyć z kozła, żeby z kapeluszem w rękę, u drzwiczek, asystować przy wysiadaniu trójki mężczyzn. Jego ciemną twarz rozjaśniały światła powozu.

— Czekać! — rzucił Sharpe do woźnicy. Prawie biegnąc podążyli nabrzeżem ku miejscu, gdzie w migocącym świetle lampy widać było trap. Dwaj marynarze z wachty kotwicznej stanęli w ciemnościach na baczność, gdy przybysze spieszenie wchodzili na pokład.

— Panie Harcourt! — krzyknął Hornblower, gdy tylko jego stopa dotknęła pokładu - nie było czasu bawić się w ceremonie. Na oświetlonej zejściówce pojawił się Harcourt.

— Jestem tu, milordzie.

Hornblower przecisnął się do kajuty na rufie. U belki pokładowej wisiała zapalona latarnia, a Gerard przyniósł drugą.

— Co ma pan do zameldowania, panie Harcourt?

— „Daring” odpłynął o piątej szklance pierwszej wachty, milordzie — odparł Harcourt. — Miał dwa holowniki.

— Wiem. Co jeszcze?

— Barka z ładunkiem podeszła do jego burty na początku drugiej psiej wachty. Zaraz po zmroku, milordzie.

Niski, ciemnolicy mężczyzna wszedł do kajuty, gdy Harcourt wypowiadał te słowa, i dyskretnie czekał u drzwi.

— Co jest?

— To pan, którego przysłał pan Sharpe, milordzie, żeby uważał razem ze mną, co będą brali na pokład.

— Co to było?

— Liczyłem wciągane ładunki, milordzie. Mieli światła na sztagu stermasztu.

— I co?

Harcourt zaczął czytać z trzymanego w ręku kawałka papieru.

— Dwadzieścia pięć drewnianych skrzyń, milordzie. — I dodał, chcąc uprzedzić gniewne parsknięcie Hornblowera: — Rozpoznałem te skrzynie, milordzie. To takie, w jakie zwykle ładuje się muszkiety, po dwadzieścia cztery komplety broni w każdej.

— Sześćset muszkietów i bagnetów — obliczył szybko Gerard.

— Tyle się spodziewałem — zauważył Sharpe.

— Co jeszcze? — poganiał go Hornblower.

— Dwanaście wielkich beli, milordzie. Podłużnych. I dwadzieścia innych, długich i wąskich.

— Czy nie domyśla się pan? ...

— Milordzie, czy zechce pan wysłuchać meldunku marynarza wysłanego przeze mnie?

— Bardzo proszę.

— Chodźcie tu, Jones — krzyknął Harcourt do kogoś na zejściówce i znów odwrócił się do Hornblowera.

— Jones, milordzie, to dobry pływak. Posłałem jego i jeszcze jednego z załogi w łódce i Jones podpłynął do barki. Powiedzcie, Jones, jego lordowskiej wysokości, coście ustalili.

Jones, kościsty młodzieniec niskiego wzrostu, zbliżył się mrugając w świetle lamp, onieśmielony obecnością tak znacznych osób. Mówił z akcentem Seven Dials.

— To byli mundury, sir. W tych wielkich belach.

— Skąd wiecie?

— Podpłynełem do barki, sir. Wyciąłem rękę i pomacałem, sir.

— Czy ktoś was zauważył? — przerwał Sharpe.

— Nie, sir. Nikt zupełnie mnie nie widział, sir. Oni wszystkie byli tam zajęte wciąganiem skrzyń. A w tych belach, to jakem powiedział, byli mundury, sir. Wymacałem guziki przez worek, sir. Nie takie płaskie, sir, jak u pana, sir. Okrągłe guziki, jakby kulki, sir, rządками, na każdym mundurze. I chyba żem też wymacał obszywki, może złote lamowania, sir. To byli mundury, sir.

Mogę to powiedzieć na pewno.

W tym momencie wystąpił do przodu ciemnoskóry mężczyzna. Trzymał w rękach coś wiotkiego, przypominającego utopionego czarnego kota. Jones wskazał na ten przedmiot, zanim zaczął mówić dalej.

— Za nic z'em nie mógł zgadnąć, co było w drugich belach, sir, tych długich. No to z'em wyciągnął swój nóż...

— Jesteście pewni, że nikt was nie widział?

— Murowane, że nie, sir. Ja z'em wyjął noża i przeciął szwy na końcu. Bedo myśleć, sir, że im się rozpękło przy załadunku. Wyciągnęłam takie jedno coś za koniec i popłynęłam z tem nazad do łodzi, sir.

Ciemnoskóry wysunął to coś do przodu, żeby można było to obejrzeć. Hornblower ujął ostrożnie czarną, namiękłą masę włosów i obracając przedmiot w palcach natrafił na metal.

— Orzołki, sir — powiedział Jones.

Był tam mosiężny łańcuszek i duża mosiężna oznaka — taki sam orzeł z rozpostartymi skrzydłami, jakiego widział wieczorem na piersi Cambronne'a. To, co trzymał w ręku, było mundurową czapą z futra niedźwiedziego, z mosiężnymi ozdobami, mokrą od niedawnego przebywania w wodzie.

— Czy takie nosiła gwardia cesarska, milordzie? — pytał Gerard.

— Tak — odrzekł Hornblower.

Dosyć często oglądał sztychy wystawione na sprzedaż a przedstawiające najświeższy komplet wyposażenia gwardii pod Waterloo. Obecnie gwardia królewska w Londynie pyszni się czapami futrzanymi, mało się różniącymi od tej, którą trzymał w ręku. Przyznano je gwardzistom w nagrodę za klęskę zadaną gwardii cesarskiej w kulminacyjnym momencie walki.

— Wiemy więc wszystko, co potrzebowaliśmy wiedzieć — zauważył Sharpe.

— Muszę spróbować schwycić „Daring” — rzekł Hornblower. — Panie Harcourt, proszę wezwać całą załogę.

— Tak jest, milordzie.

Po tej automatycznej odpowiedzi Harcourt otworzył usta, żeby dodać coś jeszcze, lecz nie był w stanie wydać z siebie głosu.

— Pamiętam — powiedział Hornblower czując, jak kielich goryczy wypełnia się po brzegi. — Powiedziałem, że nie będę potrzebował ludzi przed rankiem.

— Tak, milordzie. Ale nie są daleko. Każę ich szukać przy nabrzeżach. Będę miał ich tu za godzinę.

— Dziękuję, panie Harcourt. Proszę zrobić, co się da. Panie Sharpe, trzeba będzie doholować nas do wylotu kanału. Zechce pan posłać kogoś, żeby zamówił parowy holownik?

Sharpe obrócił wzrok na ciemnowłosego, który przyniósł czapę futrzaną.

— Wątpię, czy znajdzie się jakiś do południa — odparł tamten. — „Daring” wziął dwa, i teraz wiem, po co. „President Madison” został wycofany z eksploatacji. „Toueur” holuje łodzie płaskodenne w górę rzeki do Baton Rouge. „Ecrevisse” — ten, który holował „Craba” w górę rzeki — ruszył z powrotem w dół rzeki dziś po południu. Sądzę, że „Temeraire” płynie w górę rzeki. Moglibyśmy kazać jej zawrócić, jak tylko się tu zjawi. I to wszystko, czym dysponujemy.

— Południe — zastanawiał się Hornblower. — Trzynastogodzinne wyprzedzenie. „Daring” będzie na morzu, zanim stąd wypłyniemy.

— A jest to jeden z najszybszych okrętów, jakie znam — dodał Sharpe. — Jak wykazywał log, wyciągał piętnaście węzłów, gdy w czasie wojny był ścigany przez „Tenedosa”.

— Co to za port meksykański, w którym mają brać żołnierzy na pokład?

— Zwykła wioska nad laguną, Corpus Christi, milordzie. Pięćset mil i sprzyjający wiatr.

Hornblower wyobraził sobie „Daring” z jego piękną sylwetką i ogromną powierzchnią żagli, jak mknie pasatowym fordewindem. Maleńki „Crab”, w którego kajucie teraz się znajdował, nie był przeznaczony do szybkich przebiegów oceanicznych. Został zbudowany i otaklowany jako mała, zwrotna jednostka, zdolna zachodzić do nieznanych, wąskich zatoczek w trakcie patrolowania archipelagu zachodnioindyjskiego. Na odcinku do Corpus Christi „Daring” z pewnością zyska kilka godzin, lub dzień albo i więcej, zwiększając swe już dwunastogodzinne wyprzedzenie. Doprowadzenie na pokład lub dowieszenie promem pięciuset zdyscyplinowanych ludzi nie zajmie wiele czasu, a potem „Daring” znowu odpłynie. Dokąd? Zmęczony umysł Hornblowera protestował przeciwko rozważaniu wielce skomplikowanej sytuacji politycznej na ziemiach w sąsiedztwie Corpus Christi. Gdyby potrafił to odgadnąć, mógłby uprzedzić „Daring” i wcześniej przybyć do punktu zagrożenia. Jeśli ograniczy się do pościgu za uciekinierem do Corpus Christi, to prawie na pewno przyplynie tam, aby się dowiedzieć, że statek wraz z żołnierzami i ładunkiem jest już gdzieś na morskich przestworzach, zdążając ku zdrożnemu celowi, jaki sobie zaplanował.

— „Daring” to jednostka amerykańska, milordzie — dodał Sharpe, pogłębiając tą uwagą jego już i tak kłopotliwą sytuację.

Bo to był ważny punkt, bardzo ważny. „Daring” dostał jakieś ostentacyjnie legalne zadanie do wykonania i płynie pod gwiazdzistą banderą. Hornblower nie potrafił wymyślić żadnego powodu do skierowania uciekiniera do portu na inspekcję. Otrzymał ściśle instrukcje w sprawie postępowania z jednostkami pod amerykańską banderą. Nie dawniej niż dziewięć lat temu Ameryka zuchwale wdała się w wojnę z największą potęgą morską na świecie z powodu stosunku Królewskiej

Marynarki Wojennej do amerykańskiej floty handlowej.

— Jest uzbrojony, milordzie, i wypchany ludźmi — zauważył Gerard.

To był dalszy istotny punkt, i to o wielkiej wadze. Z dwunastofuntowymi armatami i pięcioma setkami zdyscyplinowanego wojska — oraz liczną załogą amerykańską

— „Daring” może śmiać się z pogroźek „Craba” uzbrojonego w sześćofuntówki i mającego zaledwie szesnastoosobową załogę. „Daring” będzie w prawie odmówić posłuszeństwa jakimkolwiek sygnałom z „Craba”, a ten ostatni nic nie będzie mógł zrobić, żeby to posłuszeństwo wymusić. Zestrzelić drzewce? Nie tak łatwo dokonać tego przy pomocy sześćofuntowego działka. Jeśli nawet nikt nie zostałby przy tym zabity przez przypadek, zerwałaby się potężna burza dyplomatyczna z powodu ostrzelania statku pływającego pod gwiazdzistą banderą. Czy może iść w ślad za „Daring” jak cień, żeby przynajmniej być na miejscu, gdy ujawni się prawdziwy cel jego podróży? Nie, to niemożliwe. Wszędzie na pełnym morzu wystarczy, aby „Daring” rozpostarł swe skrzydła na pomyślny wiatr, a zostawi „Craba” za widnokregiem w jedno popołudnie i będzie mógł wrócić, nie ścigany, na swój właściwy kurs.

Pocąc się w duszną noc, Hornblower czuł się jak schwytane na lasso dzikie zwierzę. Co chwila nowa pętla omotywała mu szyję, czyniąc go coraz bardziej bezradnym. Kusiło go, żeby jak dzikie zwierzę przestać panować nad sobą i popaść w szaloną panikę; żeby wyładować całą swą siłę w wybuchu wściekłości. Podczas długiej zawodowej kariery widywał niekiedy starszych rangą oficerów pozwalających sobie na takie wybuchy. Ale to nic nie pomoże. Potoczył wzrokiem po kręgu twarzy w świetle lamp — miały kamienny wyraz, jaki przybierają twarze ludzi będących świadkami czyjegoś niepowodzenia, zdających sobie sprawę, że mają przed sobą admirała, który fatalnie rozegrał pierwszą ważną sprawę, na jaką się natknął. Już to samo mogło rozwścieczyć go do szaleństwa.

Na pomoc przyszła duma. Nie ulegnie ludzkim słabościom na oczach tych ludzi.

— Tak czy inaczej płynę — oświadczył chłodno — jak tylko będę miał załogę i holownik parowy.

— Mogę spytać, co wasza lordowska wysokość zamierza uczynić? — odezwał się Sharpe.

Hornblower szukał gwałtownie w myślach rozsądnej odpowiedzi na to pytanie, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Wiedział tylko, że nie zrezygnuje bez walki. Marnowanie czasu nigdy nie pomagało w trudnej sytuacji.

— Czas, jaki mi tu zostaje, spędzę na przygotowaniu rozkazów dla mojej eskadry — oświadczył. — Podyktuję je mojemu oficerowi flagowemu, a pana, panie Sharpe, poproszę o rozprawienie ich wszelkimi dostępnymi panu środkami.

— W porządku, milordzie.

W tym momencie Hornblower przypomniał sobie o czymś, co już powinien był zrobić. Nie

było jeszcze za późno na spełnienie swego obowiązku w tym względzie. A w każdym razie pomoże to ukryć rozterkę ducha.

— Panie Harcourt — powiedział — muszę pana bardzo pochwalić za sposób wykonania moich rozkazów. Zadanie obserwowania „Daring” przeprowadził pan wprost przykładowo. Może pan być pewien, że zwrócę uwagę ich lordowskich wysokości na pańskie zachowanie.

— Dziękuję, milordzie.

— A jeśli idzie o tego Jonesa — ciągnął Hornblower — to żaden marynarz nie mógłby zachować się w sposób bardziej rozgarnięty. Zrobił pan dobry wybór, panie Harcourt, a Jones to udowodnił. Będę pamiętał, żeby go wynagrodzić. Mogę go wstępnie awansować i potwierdzić ten awans przy pierwszej sposobności.

— Dziękuję, milordzie, on już był awansowany, a potem zdegradowany.

— Pijaństwo? Czy to dlatego nie dostał pozwolenia na wyjście na ląd?

— Niestety tak, milordzie.

— Cóż więc pan radzi?

Harcourt nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

— Może pan, milordzie, powtórzyć mu osobiście to, co mi pan teraz powiedział. Może mu pan uściśnąć dłoń...

Hornblower roześmiał się.

— I dać się poznać w całej Marynarce Wojennej jako najskąpszy admirał w jej dziejach? Nie. Co najmniej złota gwinea. Dwie gwinee. Wręczę mu je osobiście i poproszę pana o danie mu trzech dni urlopu, gdy tylko wrócimy do Kingston. Niech sobie pohula, jeśli jest to jedyny sposób, w jaki możemy go wynagrodzić. Muszę brać pod uwagę odczucia całej eskadry.

— Tak jest, milordzie.

— A teraz, panie Gerard, zaczynamy pisać rozkazy.

Zeszło do południa, zanim „Crab” odrzucił cumy i został wzięty na hol przez „Temeraire”. To, że Hornblower nie pomyślał ani przez moment, z czym związana jest ta słynna nazwa, świadczyło o stanie jego umysłu. Cały czas do odpłynięcia, cały długi, duszny ranek zajęło mu dyktowanie rozkazów, które miały zostać rozprawdzone wśród wszystkich jednostek jego eskadry. Trzeba było przygotować dużo kopii. Sharpe będzie je wysyłał pod pieczęcią każdym statkiem brytyjskim wychodzącym z Nowego Orleanu do Indii Zachodnich w nadziei, że jeśli któryś z nich napotka okręt królewski, rozkazy zostaną dostarczone bez zwłoki, nieuniknionej, gdyby je przesłano do Kingston i przekazywano dalej drogą urzędową. Wszystkie jednostki floty zachodnioindyjskiej miały pilnie uważać, czy pojawi się amerykański okręt „Daring”. Każda miała starać się wywiedzieć, z

jakim płynie zadaniem, i ustalić, czy ma wojsko na pokładzie. Lecz (formułując dalsze słowa, Hornblower spocił się bardziej niż dotąd) dowódcem jednostek JKM przypomina się ustęp w pierwotnych instrukcjach głównodowodzącego, dotyczący zachowania się wobec statków pod banderą amerykańską. Jeśli na okręcie nie będzie wojska, należy podjąć próbę ustalenia, gdzie zostało wysadzone na ląd; gdyby na pokładzie byli żołnierze, należy trzymać „Daring” pod obserwacją aż do ich wylądowania. Dowódcy mają zachować wielką rozwagę w zakresie ingerencji w operacje „Daring”.

Biorąc pod uwagę fakt, że te rozkazy nie wyjdą z Nowego Orleanu przed następnym rankiem i że będą wiezione przez powolny statek handlowy, istniało małe prawdopodobieństwo, że dotrą do jakiegokolwiek jednostki eskadry przed zrealizowaniem przez „Daring” jego planu. Trzeba jednak było podjąć wszelkie możliwe środki ostrożności.

Spoconą ręką podpisał Hornblower dwadzieścia kopii rozkazów, dopilnował, żeby zostały zapieczętowane i wręczył je panu Sharpe. Uścisnęli sobie dłonie i Sharpe zaczął schodzić trapem.

— Moim zdaniem, milordzie, Cambronne popłynie do Port-au-Prince albo do Hawany — powiedział Sharpe.

Obie te miejscowości były odległe od siebie o mniej więcej tysiąc mil.

— Nie mogłaby to być Kartagena lub La Guaira? — zapytał Hornblower z wymyślną ironią. I te miasta były odległe od siebie o tysiąc mil i o ponad tysiąc od Hawany.

— Całkiem możliwe — odparł Sharpe, wcale nie zauważając ironii. Nie można było jednak powiedzieć, że nie współczuł Hornblowerowi w jego kłopotach, dodał bowiem: — W każdym razie, milordzie, życzę powodzenia. Jestem pewien, że wasza lordowska wysokość odniesie sukces.

Rzuciwszy cumy, „Crab” ruszył na holu za „Temeraire”, z której kominów, ku wielkiemu oburzeniu Harcourta, buchał dym i sypały się iskry. Obawiając się nie tylko pożaru, lecz zabrudzenia swego nieskazitelnie czystego pokładu, kazał marynarzom pompować wodę z za burty, żeby ciągle splukiwać pokład i takielunek.

— Śniadanie, milordzie? — spytał Gerard stając obok Hornblowera.

Śniadanie? Była pierwsza po południu. Nie kładł się wcale od wczoraj. Wieczorem wypił o wiele za dużo, potem miał pracowity, niespokojny ranek, a w tej chwili też był pełen desperackich obaw. Miał już powiedzieć: nie, ale przypomniał sobie, że wczoraj (dopiero wczoraj? wydawało się, że więcej jak tydzień temu) narzekał na spóźnione śniadanie. Nie pozwoli dać poznać po sobie zdenerwowania.

— Oczywiście — odparł. — Mogło być podane wcześniej, panie Gerard — dodał uważając, że zachowuje się jak człowiek zły, że nie jadł śniadania o czasie.

— Tak jest, milordzie — odrzekł Gerard. Był oficerem flagowym Hornblowera już od kilku miesięcy i poznał jego obyczaje prawie w takim stopniu, w jakim mogłaby znać je żona. Znał również dobre serce Hornblowera. Otrzymał swe stanowisko, jako syn starego przyjaciela, w okresie, gdy synowie admirałów i książąt marzyli o służbie w randze oficera u legendarnego Hornblowera.

Hornblower zmusił się do zjedzenia podanych owoców i gotowanych jajek i mimo gorąca wypił kawę. Odczekał dłuższy czas, zanim znów wyszedł na pokład i przez ten czas udało mu się naprawdę zapomnieć o swoich problemach — przynajmniej prawie zapomnieć. Wróciły jednak z całą siłą, gdy tylko wszedł na pokład. Tak go nękały, że nie był w stanie zainteresować się tą wciąż jeszcze niecodzienną metodą żeglowania po rzece ani też niskimi brzegami przesuwanymi się szybko koło burty. Przecież ich spieszne wypłynięcie z Nowego Orleanu było tylko gestem rozpacz. Nie mógł mieć nadziei na pochwylenie „Daring”. Cambronne przeprowadzi pomyślnie swój zamiar prawie pod jego nosem, robiąc z niego pośmiewisko świata — a przynajmniej jego światka. Dla niego zaś będzie to ostatnie stanowisko dowódcze w życiu. Hornblower cofnął się myślą do lat na

połowie pensji po Waterloo. Można by sądzić, że były to lata godne i szczęśliwe, z mandatem w Izbie Lordów i wpływową pozycją w hrabstwie, z kochającą żoną i podrastającym synem, lecz z tym wszystkim nie żył wtedy prawdziwym życiem. Te pięć lat po Waterloo, do czasu gdy wreszcie naturalny bieg rzeczy przyniósł mu awans do stopnia admirałskiego, były denerwującym okresem. Zdał sobie z tego sprawę dopiero, kiedy przeżył głęboką radość z wysłania go do Indii Zachodnich. A teraz wszystkie przyszłe lata, aż do grobu, będą tak sarno ponure jak tamte pięć, a nawet gorsze, bo nie ożywiane nadzieją na przyszłe zatrudnienie.

No i właśnie rozczuła się nad sobą, stwierdził w duchu z goryczą, zamiast, jak powinien, zajmować się szukaniem rozwiązania stojących przed nim problemów. Co knuje Cambronne? Gdyby zdołał go wyprzedzić, przybyć triumfalnie tam, gdzie Cambronne zamierza zadać cios, mógłby uratować swą reputację. Przy dużej dozie szczęścia jego interwencja mogłaby mieć decydujące znaczenie. Lecz w całej Ameryce hiszpańskiej, a także w Indiach Zachodnich, z wyjątkiem kolonii brytyjskich, panuje wrzenie. Wszędzie jest tak samo. W każdym razie jest rzeczą wysoce wątpliwą, czy znajdzie się jakiś pozór dla interwencji — Cambronne ma przypuszczalnie upoważnienie do działania od Boliwara czy jakiegoś innego przywódcy. Z drugiej jednak strony kroki ostrożności podjęte przez Cambronne'a każą przypuszczać, że wolałby on co najmniej, żeby Królewska Marynarka Wojenna nie miała okazji do interwencji. Interwencji? Z szesnastoosobową załogą, bez nadliczbowych, i tylko z sześciofuntowymi działkami? Nonsens. Jest idiotą. Ale musi myśleć, myśleć, myśleć.

— Milordzie, słońce zajdzie, zanim zaoczmy St Philip — zameldował Harcourt.

— W porządku, panie Harcourt.

Nie będzie więc salutów armatnich. Opuści Stany Zjednoczone, żeby tak rzec, z podkulonym ogonem. Z pewnością będą komentarze na temat krótkości jego wizyty. Sharpe może nie wiem jak się wysilać nad wyjaśnieniem, czemu odpłynął w takim pośpiechu, lecz żadne wyjaśnienie nie będzie zadowalające. Tak czy inaczej misja, której tak pragnął, staje się śmiechu godnym fiaskiem.

Nawet ten pobyt, na który tak bardzo się cieszył, przyniósł rozczarowanie. Prawie wcale nie poznał Nowego Orleanu, Ameryki i Amerykanów. Nie zdążył poświęcić uwagi ogromowi Missisipi. Zaprzatające go problemy nie pozwalały interesować się otoczeniem, zaś otoczenie przeszkadzało mu w poświęcaniu dostatecznej uwagi owym problemom. Na przykład ta niezwykła metoda żeglowania — „Crab” pruł wodę z prędkością dobrych pięciu węzłów, do tego dochodził prąd rzeki. W rezultacie powstawał za nimi niezły wiatr względny. Nadzwyczajne było to posuwanie się naprzód przy absolutnie przeciwnym wietrze, bez przechyłów bocznych czy wzdłużnych, z cichutkim skrzypem takielunku stałego, lecz bez najmniejszego skrzypnięcia olinowania ruchomego.

— Obiad czeka na stole, milordzie — powiedział Gerard zjawiając się znów na pokładzie.

Ciemność zamykała się nad „Crabem”, gdy Hornblower schodził pod pokład, ale w kajucie było gorąco i duszno.

— Zupa szkocka[11], milordzie — oznajmił Giles, stawiając przed nim dymiący talerz.

Hornblower niedbałym ruchem zanurzył w zupie łyżkę i przełknawszy kilka łyków zaraz ją odłożył. Giles nalał mu szklankę wina. Nie miał chęci ani na wino, ani na zupę, lecz zmusił się do zjedzenia jeszcze odrobiny zupy, żeby się nie zdradzić z tą ludzką słabostką.

— Kurczę a la Marengo — powiedział Giles, stawiając przed nim następny talerz.

Przy kurczeniu łatwiej było zachowywać pozory. Hornblower podłubał w mięsie, zjadł kilka kęsów i odłożył nóż i widelec. Daliby mu znać z pokładu, gdyby zdarzył się cud, gdyby zepsuły się oba parowe holowniki ciągnące „Daring” albo uciekinier władował się na mieliznę, a oni minęliby go triumfalnie. Absurdalna nadzieja. Głupiec z niego.

Giles sprzątnął ze stołu, postawił paterę z serami i talerz do sera i nalał porto do szklaneczki. Plasterek sera, łyk porto i obiad można uznać za zjedzony. Giles postawił srebrną lampkę spirytusową, srebrny dzbanek do kawy, porcelanową filiżankę — ostatni prezent dla niego od Barbary. Mimo trudnego położenia Hornblower znalazł pociechę w kawie, jedyną pociechę na tym ponurym świecie.

Gdy wyszedł znowu na pokład, było zupełnie ciemno. Od dziobu z prawej strony zabłysło światło, przesuwając się wolno ku rufie na prawy trawers. Musiała to być któraś z latarni morskich, zainstalowanych przez Amerykanów, żeby żeglowanie po Missisipi było równie łatwe nocą jak za dnia. Stanowiło to jeszcze jeden dowód znaczenia rozwijającego się tutaj handlu — dalszym był fakt, że aż sześć parowych holowników było tu w ciągłym użyciu.

— Przepraszam, milordzie — odezwał się Harcourt stając w ciemnościach przy nim. — Zbliżamy się do ujścia. Jakie rozkazy, milordzie?

Cóż może zrobić? Ciągnąć przegraną grę do żalosnego końca. Ścigać „Daring”, płynąc za nim daleko, daleko w tyle w nadziei na cud, na szczęśliwy przypadek. Ma jedną szansę na sto, że do czasu, kiedy dotrą do Corpus Christi, ptaszek mu nie umknie, nie ulotni się jak kamfora. Może jednak władze meksykańskie, jeśli jakieś istnieją, czy też miejscowa plotka, gdyby udało się ją przechwycić, dadzą mu jakąś wskazówkę co do dalszego celu podróży gwardii cesarskiej.

— Panie Harcourt, gdy tylko wypłyniemy na morze, proszę łaskawie sterować na Corpus Christi.

— Tak jest, milordzie. Corpus Christi.

— Niech pan też, panie Harcourt, przejrzy w locji dla Zatoki Meksykańskiej część dotyczącą wejścia do tamtejszej laguny.

— Tak jest, milordzie.

A więc stało się, decyzja podjęta. Mimo to jednak został na pokładzie, żeby borykać się ze swoim problemem w całej jego niejasnej i irytującej złożoności.

Poczuł krople na twarzy, a wkrótce deszcz lunął z szumem na pokład mocząc doszczętnie jego najlepszy mundur. Trójgraniasty kapelusz ciążył mu na głowie jak ołów od wody zebranej za rondem.

Już miał schronić się pod pokład, lecz myśli płynące poprzednim torem sprawiły, że został. W ciemnościach zamajaczył Gerard w zydwestce i ubraniu sztormowym, ale Hornblower nie zwrócił na niego uwagi. Czy możliwe, że to wszystko było fałszywym alarmem? Że Cambronne chciał istotnie zabrać gwardię cesarską z powrotem do Francji? Nie, rzecz jasna, że nie. W takim wypadku nie ładowałby na pokład sześciuset muszkietów ani bel z mundurami i nie musiałby odplęwać w pośpiechu i potajemnie.

— Pan pozwoli, milordzie — powiedział Gerard nalegającym tonem, stając obok z płaszczem sztormowym.

Hornblower przypomniał sobie, że nim opuścił Anglię, Barbara wzięła Gerarda na bok i mówiła coś do niego długo i z przejęciem. Niewątpliwie przykazywała mu, żeby pilnował, aby Hornblower nie mókł i aby regularnie spożywał posiłki.

— Teraz za późno, panie Gerard — odparł szczerząc zęby. — Przemokłem na wskroś.

— Wobec tego, milordzie, proszę, niech pan zejdzie do kajuty i zmieni ubranie.

W głosie Gerarda brzmiał prawdziwy niepokój, nieklamana troska. W ciemnościach deszcz zlewał jego sztormowe ubranie, hucząc jak kruszarka saletry w fabryce prochu.

— No dobrze — zgodził się Hornblower.

Ruszył krótką zejściówką, a Gerard za nim.

— Giles! — huknął Gerard. Służący Hornblowera zjawił się natychmiast. — Wyciągnij suche ubranie dla jego lordowskiej wysokości.

Giles zaczął krzątać się w małej kajucie. Ukłął na deskach pokładowych, żeby wyłowić ze skrzyni świeżą koszulę. Pół galona wody wylało się obok niego z kapelusza, który Hornblower zdjął z głowy.

— Dopilnuj, żeby rzeczy jego lordowskiej wysokości porządnie wysuszono — polecił Gerard.

— Tak jest, sir — odparł Giles z hamowaną niecierpliwością w głosie, tak aby Gerard zrozumiał, że ten rozkaz nie był potrzebny. Hornblower wiedział, że obaj go lubią. Jak dotąd uczucia ich przetrwały jego niepowodzenia — na jak długo?

— Dobrze, dobrze — odezwał się nagle zirytowany. — Teraz sam potrafię dać sobie radę.

Stał sam w kajucie schylony pod belkami pokładu. Rozpinając guziki nasiąkłego wodą płaszcza zdał sobie sprawę, że wciąż ma na piersi wstęgę z gwiazdą. Gdy zdejmował ją przez głowę, zamoczyła się. Gwiazda i wstęga kpiły jakby z jego fiaska w tej samej chwili, gdy on szydził ze swej nadziei, że „Daring” osiadzie na mieliźnie w drodze w dół rzeki.

Zapukał Gerard i jeszcze raz wszedł do kajuty. — Powiedziałem, że sam dam sobie radę — burknął Hornblower.

— Wiadomość od pana Harcourta, milordzie — powiedział Gerard nie zbity z tropu. — Niedługo holownik oddaje hol. Wiatr jest pomyślny, silna bryza, wschód ku północy.

— W porządku.

Silna bryza, pomyślny wiatr, to wszystko będzie sprzyjać „Daring”. Przy zmiennym, przeciwnym wietrze „Crab” mógłby mieć szansę wyprzedzenia go. Los uczynił wszystko, co możliwe, żeby w tej grze sfalszować kości na jego niekorzyść.

Giles skorzystał z okazji, żeby wśliznąć się z powrotem do kajuty. Wziął mokry płaszcz z rąk Hornblowera.

— Czy nie kazałem ci się wynosić? — wybuchnął brutalnie Hornblower.

— Tak jest, milordzie — odparł niezmiyszany Giles. — Ale co z tym... tą czapą, milordzie?

Wyjął futrzaną czapę gwardii cesarskiej wciąż spoczywającą w schowku.

— Och, zabierz to! — wściekł się Hornblower.

Kopnięciem zrzucił z nóg buty i zabierał się do ściągania skarpetek, gdy nagle uderzyła go pewna myśl. Wciąż schylony zaczął się nad nią zastanawiać.

Czapa futrzana — bele czap futrzanych. Po co? Mógł zrozumieć zabranie muszkietów i bagnetów. Może też mundurów. Ale kto przy zdrowych zmysłach ubierałby w futrzane czapy pułk do służby w tropikalnej Ameryce? Powoli wyprostował się i stał bez ruchu zatopiony w myślach. Już mundury z guzikami i obszywkami byłyby nie na miejscu wśród obdartych żołnierzy Boliwara. A czapy futrzane byłyby zupełnym absurdem.

— Giles! — krzyknął głośno, a gdy służący się zjawił, rozkazał: — Przynieś mi tu z powrotem tę czapę!

Biorąc ją znowu do rąk, pomyślał że może trzyma w dłoniach klucz do tajemnicy. Czapa była ozdobiona ciężkim łańcuchem z lakierowanego mosiądzu i mosiężnym orłem cesarskim. Cambronne to bojowy żołnierz, z dwudziestoletnim doświadczeniem w polu, nie przyszłoby mu nigdy do głowy ubierać żołnierzy w coś takiego do walki na zdradliwych bagnach Ameryki Środkowej czy w dusznych gajach bambusowych w Indiach Zachodnich. A więc?... Gwardia cesarska, w mundurach i czapach, już historycznych, skojarzyłaby się każdemu z tradycją bonapartowską, nawet teraz robiąc wrażenie siły politycznej. Ruch bonapartowski? W Meksyku? Niemożliwe. A zatem we Francji?

Mimo przemoczonego ubrania Hornblower poczuł nagle falę ciepła, gdy krew zawrzała w nim na myśl, że odgadł rozwiązanie. Święta Helena! Jest tam Bonaparte, więzień, wygnaniec osadzony na jednej z najodludniejszych wysp świata. Pięciuset zdyscyplinowanych żołnierzy wysiadających nieoczekiwanie ze statku płynącego pod amerykańską banderą mogłoby go uwolnić. A wtedy? Na świecie jest niewiele jednostek szybszych od „Daring”. Kierując się do Francji, przybędzie tam, zanim jakiegokolwiek ostrzeżenie dotrze do cywilizowanego świata. Bonaparte wylądował ze swoją gwardią — teraz cel załadowania mundurów i czap stał się zupełnie jasny. Wszyscy pamiętają

sławne dni Cesarstwa. Armia francuska zbiegnie się tłumnie pod jego sztandar, jak uczyniła, gdy Bonaparte wrócił z Elby. Burbonowie wyczerpali już kredyt gorącego przyjęcia — Sharpe mówił o ich intrygach na arenie międzynarodowej w nadziei olśnienia narodu sukcesami w polityce zagranicznej. Bonaparte raz jeszcze wmaszeruje bez przeszkód do Paryża. A wówczas świat ponownie znajdzie się w stanie wrzenia. Europa znów będzie przeżywać krwawy cykl klęsk i zwycięstw.

Po Elbie trzeba było studniowej kampanii, żeby pokonać Bonapartego pod Waterloo, lecz podczas tych stu dni zginęło sto tysięcy ludzi, a straty materialne można obliczać na miliony. Tym razem może być nawet trudniej niż wówczas. W warunkach zakłóconego ładu w Europie Bonaparte może znaleźć sprzymierzeńców. Wojna może potrwać dwadzieścia lat, zostawiając Europę w ruinie. Hornblower walczył przez całe dwadzieścia lat wojny. Poczł się niedobrze na myśl, że trzeba będzie przeżywać to ponownie. Perspektywa była straszna, więc raz jeszcze skontrolował w myślach swoje rozumowanie, lecz doszedł do tej samej konkluzji.

Cambronne to bonapartysta. Ten, kto stał na czele gwardii cesarskiej, nie może nim nie być. Świadczył o tym nawet szczegół — Cambronne nosił bonapartowskiego Wielkiego Orła Legii Honorowej, a nie burbońską Wielką Wstęgę, którą tamten order został zastąpiony. Czynił to za wiedzą i zgodą Vautoura. Vautour jest w służbie Burbonów — lecz wiarołomny musi być z niego sługa. Cała sprawa wynajęcia „Daring” i dostarczenia śmiertelnośnego ładunku na jego pokład mogła zostać zrealizowana jedynie przy współdziałaniu władz francuskich — być może Francja stoi wobec nowego spisku bonapartowskiego. Zachowanie baronowej było dalszym na to dowodem.

Ameryka Środkowa i Indie Zachodnie mogą być w stanie wrzenia, ale nie ma tu żadnego punktu strategicznego (o czym Hornblower był przekonany po tylu rozważaniach na ten temat), zachęcającego do wtargnięcia tam gwardii cesarskiej w mundurach i czapach futrzanych. Musi to być Święta Helena, a potem Francja. Teraz nie może już mieć co do tego wątpliwości. Teraz życie milionów, pokój na całym świecie zależy od decyzji, jakie podejmie w tej chwili.

Nad głową na pokładzie usłyszał tupot stóp, a potem pacnięcia lin o deski, wydawane rozkazy, głośnie skrzypienie. Operacja stawiania żagli sprawiła, że kajuta przechyliła się nagle na boki, a on, kompletnie tym zaskoczony, zachwiał się i upuścił futrzaną czapę. Upadła, nie zauważona u jego stóp. „Crab” znów się wyprostował. Pokład pod stopami Hornblowera ożył nagle, jakby coś tchnęło w niego życie. Znajdowali się w morzu, szli w kierunku Corpus Christi. Przy wietrze wschodnim ku północy „Crab” będzie płynął pod żaglami „w motylka”. Trzeba myśleć szybko, teraz, gdy droga jest każda sekunda. Jeśli chce zmienić plany, nie wolno mu pozwalać na takie przesuwanie się ku zawietrznej.

A wiedział, że zmieni plany. Tak bardzo pragnął odgadnąć, dokąd uda się „Daring” po zawinięciu do Corpus Christi. Teraz można będzie interweniować. Teraz jest szansa utrzymania pokoju na świecie. Wpatrzony nie widzącymi oczyma w niezmierzoną dal, stał w kołyszącej się kajucie, oglądając w wyobraźni morskie mapy Zatoki Meksykańskiej i Karaibów. Wieje tu pasat północno-wschodni, o tym czasie może nie tak niezawodny, jak w zimie, lecz dosyć stały, aby stał się czynnikiem wymiernym. Okręt kierujący się z Corpus Christi na Południowy Atlantyk — ku Świętej Helenie — musi przepłynąć kanałem Yucatan. A potem — jeśli jego zadanie jest tego rodzaju, że wolałby nie zwracać na siebie uwagi — podąży środkiem Morza Karaibskiego w

kierunku wybrzuszenia łądu Ameryki Południowej, z dziesiątkami mil otwartego morza po obu trawersach. Będzie jednak musiał przejść między łańcuchem Antylów, zanim wypłynie na Atlantyk.

Istnieje sto możliwych przejść, lecz tylko jedno oczywiste, jedyna droga, która zostanie od razu wzięta pod uwagę przez kapitana statku płynącego na Świętą Helenę przy wiejących obecnie pasatach, z którymi trzeba się będzie borykać. Okrąży on cypel Galera, najdalej na północ wysunięty punkt Trynidadu, zachowując możliwie dużą bezpieczną odległość. Jednakże nie będzie ona zbyt duża, ponieważ na północ od cypla Galera leży wyspa Tobago, zaś kanał Tobago między nimi ma szerokość nie większą — tu Hornblower nie miał całkowitej pewności — z pewnością nie większą niż pięćdziesiąt mil. W sprzyjających warunkach jeden okręt wystarczy, żeby patrolować ten kanał i pilnować, aby żadna jednostka nie przeszła tamtędy nie zauważona. Jest to typowy przykład strategii morskiej na małą skalę. Wpływ potęgi morskiej jest odczuwalny wszędzie na rozległych oceanach, lecz właśnie na wąskich wodach, w punktach zapalnych wydarzają się decydujące momenty. Kanał Yucatan byłby znacznie mniej wygodny niż Tobago, gdyż jego szerokość wynosi ponad sto mil. „Crab” dopłynie tam pierwszy — można to uznać za rzecz pewną, biorąc pod uwagę fakt, że aby zejść do Corpus Christi „Daring” będzie musiał przepłynąć wzdłuż dwóch ramion trójkąta, z koniecznością długiego halsowania pod wiatr w kierunku nawietrznym. Najlepiej będzie, wykorzystując tak zdobytą przewagę, ruszyć natomiast w kierunku kanału Tobago. Będzie miał czas — akurat tyle czasu — żeby tam dopłynąć przed „Daring”, w dodatku z poważną szansą, iż po drodze napotka którąś z jednostek swojej eskadry i będzie mógł zabrać ją ze sobą. Może fregatę. Miałby wtedy takie siły, jakich potrzebuje. Poczul przyśpieszenie pulsu towarzyszące podejmowaniu decyzji.

— Giles! — krzyknął.

Giles zjawił się znowu i ze swobodą rozpuszczonego sługi dał wyraz zdumieniu i dezaprobachie na widok swego pana wciąż jeszcze w mokrej koszuli i spodniach.

— Przekaż ode mnie pozdrowienia panu Harcourtowi i powiedz, że chciałbym widzieć go tu tak szybko, jak będzie to dla niego dogodne.

To znaczyło oczywiście, że bardzo szybko, gdy sam admirał wzywał porucznika przed swe oblicze.

— Panie Harcourt, postanowiłem zmienić plan. Nie ma czasu do stracenia. Proszę łaskawie położyć okręt na kurs na przylądek San Antonio.

— Przylądek San Antonio. Tak jest, sir.

Harcourt to dobry oficer. Po usłyszeniu tego zaskakującego rozkazu nie zdradził w głosie ani zdziwienia, ani wątpliwości.

— Gdy już będziemy, panie Harcourt, na nowym kursie, powiem, co zamierzam zrobić, jeśli zechce się pan

zameldować u mnie z mapami morskimi. Proszę przyprowadzić ze sobą Gerarda.

— Tak jest, sir.

Teraz mógł zdjąć mokrą koszulę i wytrzeć się ręcznikiem. W ciasnej kajucie zrobiło się jakby chłodniej — może dzięki temu, że byli już w morzu, a może dlatego, że miał za sobą podjęcie decyzji. Nakładał właśnie spodnie, gdy z rozkazu Harcourta przełożono ster na nawietrzną. Ze zwinnością frygi „Crab” wykonywał zwrot, w miarę jak krzepkie ramiona marynarzy wybierały szoty. Pod półwiatrem przechylił się mocno na prawą burtę i Hornblower, z jedną nogą w nogawce, po gwałtownym podskoku dla zachowania równowagi wylądował twarzą na koi z nogami w powietrzu, by z trudem wrócić do pozycji stojącej. „Crab” wciąż przechylał się na prawą burtę, to głębiej, to znów płycej, w miarę jak przesuwwały się pod nim wały wodne bocznej fali, a każdy wał miotał Hornblowerem próbującym wsunąć drugą nogę w nogawkę, tak że jeszcze dwukrotnie przewracał się na koję, zanim mu się to udało. Szczęśliwie Harcourt i Gerard weszli do kajuty dopiero, gdy był już ubrany. Spokojnie wysłuchali, do jakich wniosków doszedł Hornblower na temat planów „Daring” i jak zamierza przechwycić statek w kanale Tobago. Harcourt wziął cyrkiel i zmierzwszy odległości, skinął potakująco głową.

— Na odcinku do San Antonio możemy, milordzie, zyskać cztery dni w stosunku do nich — rzekł. — Czyli że będziemy tam dobre trzy dni przed nimi.

Trzy dni powinny być dla „Craba” dostatecznym wyprzedzeniem w długim, długim wyścigu przez cały obszar Karaibów.

— Czy moglibyśmy, milordzie, zająć po drodze do Kingston? — spytał Gerard.

Hornblowera kusilo, żeby wziąć to pod uwagę, lecz pokręcił głową przecząco. Na nic zda się zajście do kwatery głównej, zrelacjonowanie nowin, ewentualnie zabranie posiłków, jeśli w tym czasie „Daring” prześliznie się obok nich.

— Za długo trwałoby wchodzenie do portu — odrzekł. — Nawet z bryzą od morza. A postój w porcie spowodowałby opóźnienie. I tak nie mam za dużo czasu.

— Raczej nie, milordzie - zgodził się Gerard niechętnie. Odgrywał swoją rolę oficera sztabowego, którego obowiązkiem jest postawa krytyczna wobec każdego proponowanego planu. — A co zrobimy, jak się natkniemy na nich?

Hornblower spokojnie napotkał wzrok Gerarda — pytanie to zostało już przedtem postawione i zostawione bez odpowiedzi.

— Opracowuję plany na tę okoliczność — odrzekł, a ostry ton jego głosu powstrzymał Gerarda od dalszych nalegań.

— Milordzie, tor głębokiej wody w kanale Tobago ma nie więcej szerokości niż dwadzieścia mil — wtrącił Harcourt wciąż manipulując swoim cyrklem.

— A zatem trudno będzie mu przemknąć obok nas niepostrzeżenie nawet nocą — odparł Hornblower. — Myślę, panowie, że działamy według planu najlepszego z możliwych. Być może

jedyne, jaki jest w ogóle możliwy.

— Tak, milordzie — przyznał Harcourt i wybiegając wyobraźnią w przyszłość dodał: — Jeśli Bonio znowu znajdzie się na wolności...

Nie potrafił mówić dalej. Nie mógł wprost uzmysłowić sobie tej okropnej możliwości.

— Musimy, panowie, dopilnować, żeby mu się to nie udało. A teraz, kiedy zrobiliśmy już wszystko, co w naszej mocy, rozsądnie będzie trochę odpocząć. Chyba żaden z nas nie spał od dłuższego czasu.

Tak było rzeczywiście. Teraz, gdy postanowił, jakie kroki podejmie, gdy się już zaangażował, na dobre czy na złe, poczuł, że powieki mu opadają i ogarnia go senność. Po wyjściu oficerów położył się na koi. Szli półwiatrem z lewego trawersu, a że koka przylegała do grodzi prawej burty, mógł leżeć całkiem swobodnie, bez obawy, że z niej wypadnie. Zamknął powieki. W myślach zaczął już formułować odpowiedź na pytanie Gerarda. Była to odpowiedź przerażająca i strasznie było zastanawiać się nad nią. Wyglądało jednak, że jest nie do uniknięcia. Musi wypełnić swój obowiązek, a teraz miał pewność, że czyni to najlepiej, jak umie. Ponieważ miał czyste sumienie i pocieszającą pewność, że postępuje według swoich najlepszych możliwości, nieuniknioność tego, co ich czekało, wzmogła tylko potrzebę snu. Spał do świtu. Zbudziwszy się, leżał jeszcze z zamkniętymi oczyma kilka minut, aż w blasku dnia rozjaśniło mu się w głowie na tyle, że owa straszna myśl znów zaczęła go gnębić. Tak właśnie „Crab”, przechylony na burtę pod naporem silnego pasatu, rozpoczął swą historyczną podróż do kanału Tobago na trasie długością prawie równej szerokości Atlantyku. Cała załoga na pokładzie wiedziała, że idzie tu o wyścig — na tak małej jednostce jak „Crab” niczego nie można było utrzymać w tajemnicy — i cała załoga poddała się nastrojowi wyścigu z entuzjazmem, jakiego można się było po niej spodziewać. Spojrzenia pełne zrozumienia zwracały się ku samotnej, wyprostowanej sylwetce admirała stojącego wśród wycia wichru na małym pokładzie rufowym. Wszyscy wiedzieli, ile ryzykuje; wszyscy uważali, że powinien wygrać, i nikt nie domyślał się jego wzburzenia, gdy tak stał w obliczu krystalizującej się w jego umyśle pewności, że będzie to dla niego koniec kariery, niezależnie od tego, czy wygra w tym wyścigu, czy przegra.

Nikt z załogi nie żalił się na nieprzerwany trud wyciskania z „Craba” każdego możliwego jarda prędkości, nieustannego wybierania i luzowania szotów, towarzyszącego trymowaniu żagli przy najłżejszej zmianie kierunku wiatru, sadzenia i pośpiesznego skracania żagli możliwie w ostatniej chwili przed uderzeniem przelotnych szkwałów i natychmiastowego stawiania ich na powrót, gdy tylko szkwał przeszedł. Każdy marynarz uważał się za nieoficjalnego obserwatora. Admirał wcale nie potrzebował obiecywać gwinei w złocie pierwszemu, który spostrzeże „Daring” — zawsze istniała przecież szansa natknięcia się na uciekiniera jeszcze przed dotarciem do kanału Tobago. Nikt nie przejmował się mokrymi koszulami i kojami spryskiwanymi bryzgami rozpylającymi się nad dziobem „Craba” w olśniewające tęcze i sączącymi się pod pokład przez otwierające się szwy w poszyciu pokładu, gdy szkuner pracował nad siły na dużej fali. Załoga, zazwyczaj okazująca absolutną, fatalistyczną obojętność zatwardziały w bojach marynarzy na wyniki codziennego rzucania logu i obliczania dziennego przebiegu okrętu, z wielkim przejęciem usiłowała je teraz przewidywać.

— Milordzie, zmniejszam racje wody — poinformował Harcourt Hornblowera pierwszego

ranka po wyjściu w morze.

— Do jakiej ilości? — Hornblower zadał to pytanie, żeby wyglądało, że istotnie jest ciekaw odpowiedzi i nie chce zdradzić się, że gnębią go inne sprawy.

— Do pół galona, milordzie.

Dwie kwarty słodkiej wody dziennie na osobę — będzie to mało dla marynarzy ciężko harujących w tropikach.

— Bardzo słusznie pan czyni, panie Harcourt — odrzekł Hornblower.

Należało podjąć wszelkie możliwe środki ostrożności. Nie można przewidzieć, jak długo potrwa podróż ani do jakiego czasu będą musieli kontynuować patrolowanie bez ponownego napełnienia baryłek. Byłoby absurdem, gdyby lekkomyślne szafowanie wodą zmusiło ich do przedwczesnego zawinięcia do portu.

— Powiem Gilesowi — dodał Hornblower — żeby brał tyle samo dla mnie.

Harcourta trochę to zdziwiło. Mało wiedząc o admirałach, sądził, że wiedą żywot w maksymalnym luksusie. Gdyby się głębiej zastanowił, mógłby sobie uświadomić, iż gdyby Giles miał wolną rękę w pobieraniu pitnej wody dla swego admirała, on sam, a może i wszyscy jego kompani mieliby jej tyle, ileby chcieli. Na twarzy Hornblowera nie było uśmiechu. Malował się na niej ten sam chłodny, obojętny wyraz, z jakim po wyjściu w morze patrzył na wszystkich od momentu podjęcia decyzji.

Któregoś popołudnia dostrzegli przylądek San Antonio i już było wiadomo, że mają kanał Yucatan za sobą. Nie tylko otwierało to przed nimi nowe horyzonty, lecz uświadamiało im, że odtąd zaoczenie „Daring” w każdej chwili nie jest już tak bardzo nieprawdopodobne — od tego punktu bowiem szli mniej więcej tym samym kursem co uciekinier. Dwie noce później minęli Wielki Kajman. Nie widzieli wysepki, lecz słyszeli ryk fal przyboju rozbijających się o jedną z bardziej wysuniętych raf. Było to dowodem, jak ostro Harcourt ścinał zakręty. Hornblower pomyślał, że on sam mijałby Wielki Kajman w większej odległości — w takiej chwili bardziej niż zwykle denerwował go zwyczaj zabraniający admirałowi wtrącania się do prowadzenia jego okrętu flagowego. Następnej nocy sondowanie wykazało, że przechodzą płyciznę Pedro Bank, i wiedzieli, że Jamajka i Kingston są zaledwie o sto mil po nawietrznej od nich. Stąd mógł Harcourt ruszyć nowym kursem, prosto na kanał Tobago, ale miał trudności z trzymaniem tego kursu. Pasatowi spodobało się wykręcić na południowy wschód — co zresztą nie było rzeczą dziwną wobec zbliżania się środka lata — i teraz dmuchał w zupełnie nie sprzyjającym dla nich kierunku. Harcourt przeszedł „Crabem” na prawy hals — na Karaibach żaden rozsądny dowódca nigdy dobrowolnie nie odchodzi nawet o jard na południe — i pruł wodę idąc tak ostro na wiatr, jak na to pozwalał takielunek.

— Widzę, panie Harcourt, że sprzątnął pan marsle[12] — zauważył Hornblower wchodząc na śliski grunt cudzych kompetencji.

— Tak, milordzie. — Odpowiadając na wciąż pytające spojrzenie admirała, Harcourt raczył dać dalsze wyjaśnienie: — Szkuner szeroki, milordzie, jak nasz nie jest przystosowany do pływania w przechyle. Póki idziemy bejdewindem, przy silnym wietrze, mniej nas znosi na zawietrzną przy obecnej, umiarkowanej liczbie postawionych żagli.

— Oczywiście, panie Harcourt, pan zna swój okręt najlepiej — wycofał się niechętnie Hornblower.

Trudno było wierzyć, że „Crab” płynie szybciej bez swoich wspaniałych, prostokątnych marsli rozpostartych na wiatr. „Daring” ma na pewno postawione wszystkie żagle — może zrefowane pojedynczo. Borykając się z falami „Crab” pchał się do przodu, od czasu do czasu zalewany zieloną wodą od dziobu z prawej burty, a wtedy każdy musiał łapać się czegoś i trzymać kurczowo. O świcie następnego ranka ujrzeli wprost przed sobą ląd, siną kreskę na widnokręgu — góry Haiti. Harcourt szedł tym samym kursem do południa, tak że góry stawały się coraz bardziej widoczne nad wodą — a potem zmienił hals. Hornblower uznał to za słuszne — za godzinę czy dwie może zerwać się bryza od lądu, a muszą opłynąć jeszcze cypel Beata. Złościł się, że na tym halsie tracą faktycznie trochę na dystansie, bo „Daring”, gdziekolwiek się znajduje, może przecież mieć wiatr o rumb albo dwa pomyślniejszy i będzie w stanie iść prostym kursem. Warto było przy tym widzieć marynarzy z obsługi fokmasztu podnoszących zwilżone palce dla sprawdzania kierunku wiatru, badających uważnym wzrokiem widnokrąg po nawietrznej i krytykujących sposób, w jaki sternik u rumpla stara się zdobywać jard po jardzie w kierunku nawietrznym.

Przeciwny wiatr dał przez półtora dnia. W środku drugiej nocy Hornblower, leżący bezsennie w koi, poderwał się na odgłos wywoływania całej załogi. Gdy siadł, sięgając po szlafrok, usłyszał nad głową tupot stóp. „Crab” skakał na falach jak szalony.

— Cała załoga do skracania żagli!

— Refować potrójnie grotżagiel — grzmiał Harcourt, gdy Hornblower wchodził na pokład.

Wiatr szarpał połami jego szlafroka i podwiewał koszulę nocną, gdy stanął z boku przy relingu rufowym. Wokół huczała ciemność. W mroku nocnym nadleciał ku nim letni szkwał, lecz ktoś baczył na pogodę i był na to przygotowany. Szkwał szedł od południa.

— Odpadać od wiatru! — krzyczał Harcourt. — Załoga do szotów!

W skłębionej kipieli „Crab” wykonał zwrot przez sztag, zakołysał się pionowo i wyprostował na kursie. Teraz mknął w ciemnościach, zadając kłam swej niewdzięcznej nazwie. Zyskiwał na tak ważnej odległości na północ. Ten szkwał był nieoceniony, jak długo pozwalał im trzymać kurs. Pędzili w huczących ciemnościach, poły szlafroka biły o uda Hornblowera. Trudno było nie odczuwać uniesienia, gdy tak walczyli, gdy zmuszali żywioły do pracy na swoją rzecz, oszukując wiatr, któremu się zdawało, że ich zaskoczył.

— Dobra robota, panie Harcourt — wykrzyknął Hornblower poprzez wiatr, kiedy Harcourt podszedł w ciemnościach i stanął obok niego.

— Dziękuję, sir... milordzie. Dwie godziny takiego wiatru — oto czego nam trzeba.

Los darował im bądź co bądź półtorej godziny, zanim szkwał ustał i pasat z głupim uporem zaczął dmuchać znowu z kierunku wschód ku południu. Lecz następnego ranka przy śniadaniu Giles mógł podać dobrą wiadomość.

— Wiatr skręca na północ, milordzie — rzekł. Giles, jak wszyscy inni, emocjonował się pościgiem za „Daring”.

— Doskonale — odparł Hornblower. Dopiero po kilku sekundach znów poczuł w duszy tępy ból. Ten wiatr niesie go szybciej ku przeznaczeniu.

W miarę upływu dnia pasat zaczął zdradzać swą letnią kapryśność. Zamierał coraz bardziej i bardziej, aż do pojedynczych podmuchów, tak że chwilami „Crab” dryfował bezradnie po szkliscie błękitnym morzu, zwracając się dziobem kolejno we wszystkie strony kompasu, gdy tymczasem słońce w zenicie lało na pokład żar, od którego smoła topniała w spoinach. Latające ryby zostawiały przelotne czarne smugi na gładkiej jak emalia powierzchni wody. Nikt nie zwracał na nie uwagi, oczy wszystkich badały widnokrąg, wypatrując pierwszych oznak świeżych muśnięć wolno zbliżającego się wiatru. Może gdzieś niezbyt daleko na tych kapryśnych Karaibach „Daring” mknie swoim kursem z wszystkimi żaglami wypełnionymi wiatrem. Minał dzień i przeszła noc, a pasat wciąż nie chciał wiać i tylko chwilowe podmuchy popychały od czasu do czasu „Craba” niby ducha w kierunku kanału Tobago. Słońce paliło, a załoga, na dwóch kwartach wody dziennie, cierpiała nieustanne pragnienie.

Dostrzegli zaledwie kilka statków, ale takich, które nie byłyby przydatne do dalszej realizacji planów Hornblowera. Szkuner miejscowy w drodze do Belize, statek holenderski wracający z Curacao do kraju — żadnemu z nich nie mógłby Hornblower powierzyć listu. I ani jednej jednostki z jego eskadry — rzecz granicząca prawie z niemożliwością. Dni płynęły, a on mógł tylko czekać z ponurą, zawziętą cierpliwością. W końcu kapryśny wiatr zjawił się znowu, ze wschodu ku północy, więc postawiwszy ponownie marsie mogli płynąć swoim kursem prosto na Antyle, odczytując z logu prędkość sześciu węzłów, godzina po godzinie. Teraz, gdy znaleźli się bliżej wysp, widzieli więcej statków, lecz były to tylko jednostki komunikacji międzywypowej, krążące między Wyspami Zawietrzynymi a Trynidadem. Dostrzeżony na widnokręgu rejowiec wzniecił chwilowe podniecenie, lecz nie był to „Daring”. Płynął pod czerwono-złotą banderą Hiszpanii — fregata hiszpańska, zdążająca ku wybrzeżom wenezuelskim przypuszczalnie dla rozprawienia się z powstańcami. Podróż dobiegała prawie końca. Hornblower usłyszał z salingu okrzyk zwiastujący zaoczenie lądu, a było to na chwilę przed wejściem Gerarda do kajuty.

— Widać Grenadę, milordzie.

— W porządku.

Wpływali teraz na wody, gdzie rzeczywiście mogą się spodziewać spotkania „Daring”. Teraz od kierunku wiatru zależało więcej niż dotychczas. Na razie wiał z północnego wschodu, co było im na rękę, wykluczało bowiem ewentualność, że „Daring” mógłby dokonać przejścia na północ od Tobago, a nie przez sam kanał.

— „Daring”, milordzie, powinien dokonać takiego samego zaoczenia lądu jak my — stwierdził Gerard — i to w miarę możliwości przy świetle dnia.

— W każdym razie możemy się tego spodziewać — odparł Hornblower.

Jeśli „Daring” równie długo jak „Crab” nie widział lądu, to przy zmiennych wiatrach i niemożliwych do przewidzenia prądach na Morzu Karaibskim jego dowódca z pewnością podejmie wszelkie środki ostrożności przy tym podejściu.

— Myślę, panie Harcourt — dodał Hornblower — że możemy spokojnie trzymać kurs na cypel Galera.

— Tak jest, milordzie.

Teraz nadszedł najgorszy okres czekania; medytowania, czy cała ta podróż nie okaże się wymysłem głupca, halsowania aż do Trynidadu, zmian halsu i żeglugi półwiatrem, po przepłynięciu Tobago, znowu w kierunku Grenady. Żadne czekanie nie jest przyjemne. A jeśli pogoń okaże się bezpodstawnym pomysłem głupca, to trzeba być przygotowanym na potworną ewentualność, lecz o tym wiedział wyłącznie Hornblower. Gerard znów wrócił do tej sprawy.

— Milordzie, jak pan chce go zatrzymać?

— Można znaleźć sposób — odparł Hornblower, starając się, aby ochrypli ton jego głosu nie zdradził niepokoju.

Owego upalnego dnia o barwach błękitu i złota, gdy „Crab” sunął jak duch słabiutkim fordewindem, obserwator z salingu przekazał wiadomość na pokład.

— Widzę żagiel! Prosto z lewej burty, sir!

Mógł to być każdy inny statek, ale z kolejnych meldunków, podawanych w długich odstępach czasu, w miarę jak „Crab” podchodził coraz bliżej, wynikało coraz wyraźniej, że ta obca jednostka to „Daring”. Miał trzy maszty — już pierwszy uzupełniający meldunek stwierdzał to z dużą pewnością, gdyż niewiele dużych statków wychodziło na Południowy Atlantyk z Karaibów. Wszystkie żagle były na nim postawione, nawet topżagiel i żagle boczne, aż po bombramreie. Ale to miało mniejsze znaczenie.

— Wygląda na amerykański, sir!

Topżagle wyraźnie na to wskazywały. Harcourt wspiął się na maszt z własną lunetą. Gdy wrócił na pokład, oczy pałały mu podnieceniem.

— To „Daring”, milordzie. Jestem tego pewien.

Oba okręty, ścigający i ścigany, płynęły w odległości dziesięciu mil po lśniącym lazurze morza i pod lśniącym błękitem nieba, ze smugą lądu widniejącą w dali na widnokręgu. „Crab” wygrał wyścig z dwudziestopięciogodzinnym wyprzedzeniem. „Daring” „recytował wszystkie rumbly

róży kompasowej”, obracając się we wszystkie strony pod piramidą żagli przy całkowitym braku wiatru; „Crab” sunął jeszcze chwilę rozpędem, a potem i on znieruchomiał pod lejącym żar niebem. Oczy wszystkich skierowały się na admirała, który stał wyprostowany, z dłońmi splecionymi na plecach, wpatrując się w odległe, białe prostokąty żagli, wskazujące, gdzie czeka go przeznaczenie. Wielki grotżagiel szkunera załopotał leniwie, a potem jeszcze raz, a po chwili bom zaczął się przesuwać na burtę.

— Załoga do szotów! — krzyknął Harcourt.

Powiew był tak słaby, że nie czuli go prawie na spoconych twarzach, lecz wystarczający na wypchnięcie bomów, a w chwilę później sternik wyczuł, że okręt nabrał sterownej prędkości. Bukszpryt „Craba” był skierowany prosto na „Daring”. Powiew szedł z prawej burty z rufy, właściwie prawie całkiem od rufy i w kierunku zupełnie nie sprzyjającym dla „Daring”, jeśli w ogóle tam doleciał. Lecz „Daring” stał unieruchomiony ciszą. Wiatr nasilał się, aż spod dziobu doleciał szum wody rozgarnianej przez sunący od przodu szkuner, a potem zamarł nagle, zostawiając „Craba” na łasce fal. Po chwili dmuchnął znowu, tym razem od lewej ćwiartki rufowej, potem bardziej od rufy, tak że marsie trzeba było zbrasować na fordewind, a fokżagiel można było przełożyć na lewą burtę. „Crab” płynął „na motylka” przez dziesięć błogosławionych minut, zanim wiatr zamarł do zupełnej, prażącej upałem ciszy. Wtedy spostrzegli, że „Daring” łapie wiatr. Ustawiono tam jednak żagle na moment dostatecznie długi, żeby zdradziło to ich zamiary, a potem okręt znowu stanął bez ruchu. Mimo olbrzymiej powierzchni żagli większy ciężar własny czynił „Daring” mniej podatnym na te bardzo słabe powiewy.

— Bogu dzięki za to — powiedział Gerard z lunetą przy oku, obserwując, jak znowu uciekający stoją bezradnie. — Myślę, milordzie, że chcą nas minąć poza zasięgiem strzału armatniego.

— Nie byłbym tym zdziwiony — odparł Hornblower.

Nowy podmuch, niewielkie zbliżenie i jeszcze raz martwa cisza.

— Panie Harcourt, może byłoby dobrze, gdyby pozwolił pan załodze zjeść teraz obiad.

— Tak jest, milordzie.

Solona wołowina i puree z grochu pod słońcem południa w tropikach — kto mógłby mieć na to apetyt, zwłaszcza w stanie nerwowości towarzyszącym czatowaniu na wiatr. W połowie obiadu marynarze znowu zostali posłani do szotów i brasów, żeby wyzyskać jeszcze jeden powiew.

— Kiedy pan będzie jadł obiad, milordzie? — zapytał Giles.

— Nie teraz — to była cała odpowiedź rzucona przez Hornblowera stojącego z lunetą przy oku.

— Milordzie, wciągnęli banderę — pokazywał Gerard. — Amerykańska.

Gwiazdzista bandera, którą miał przykazane traktować szczególnie ostrożnie. Zresztą i tak nie

mógł inaczej wobec faktu, że „Daring” był uzbrojony w dwunastofuntowe armaty i wypchany ludźmi.

Teraz oba okręty dostały wiatr, lecz o ile „Crab” pchał się dzielnie naprzód z prędkością całych dwóch węzłów, o tyle „Daring”, usiłujący ruszyć na południe ostro pod wiatr, prawie się nie posunął, a teraz w ogóle stanął, obracając się bezradnie pod podmuchem zbyt słabym, żeby mu zapewnić sterowną prędkość.

— Milordzie, widzę bardzo niewielu ludzi na jego pokładzie — powiedział Harcourt. Oko, którym z wysiłkiem patrzył przez lunetę, zaszło mgłą od ostrego blasku słońca i morza.

— Będą ich trzymać pod pokładem, a nie na widoku — orzekł Gerard.

Tak też chyba było istotnie. Cokolwiek Cambronne na „Daring” sądził o intencjach „Craba”, najbezpieczniej dla niego było ukryć fakt, że zmierza na Południowy Atlantyk z pięciuset ludźmi na pokładzie.

A między nim i Południowym Atlantykiem jest „Crab” najslabsza bariera, jaką można sobie wyobrazić. Niech tylko „Daring” wypłynie z kanału na otwarte morze, a nic już nie da się zrobić, żeby go zatrzymać. Żaden okręt nie może marzyć o wyprzedzeniu go. Dopłynie do Świętej Heleny, żeby zabrać stamtąd Napoleona, a on, Hornblower, nie jest w stanie przekazać ostrzeżenia. Trzeba działać teraz lub nigdy. To on, Hornblower jest winien, że sprawy przybrały taki obrót. W Nowym Orleanie wystrychnięto go kompletnie na dudka. Dał się wyprzedzić Cambronne'owi. Teraz musi być gotów na każdą ofiarę, jakiej żąda od niego sytuacja, absolutnie każdą ofiarę, żeby uratować pokój na świecie. „Crab” nie może nic zrobić, żeby zatrzymać „Daring”. Może to zostać osiągnięte tylko jego osobistym wysiłkiem.

— Panie Harcourt — odezwał się Hornblower ochryłym, bezdźwięcznym głosem. — Chciałbym, jeśli łaska, mieć łódź rufową przygotowaną do opuszczenia na wodę. Proszę wyznaczyć pełną załogę, po dwóch na wiosło.

— Tak jest, milordzie.

— Kto nią popłynie, milordzie? — spytał Gerard.

— Ja — odrzekł Hornblower.

Załopotał grotzagiel, bom przesunął się ze skrzypieniem ku środkowi okrętu, potem na zewnątrz i z powrotem. Podmuchał wiatru znowu zamierał. Jeszcze przez kilka minut „Crab” sunął swoim kursem, a potem bukszpryt zaczął się odwracać od „Daring”.

— Nie mogę utrzymywać go na kursie, sir — zameldował sternik.

Hornblower omiół wzrokiem widnokrąg w jaskrawym blasku popołudnia. Nie było oznak następnego powiewu. Nadeszła decydująca chwila. Zatrzasnął futerał lunety.

— Panie Harcourt, wezmę teraz łódź.

— Milordzie, niech mi pan też pozwoli płynąć — odezwał się Gerard z nutką protestu w głosie.

— Nie — syknął Hornblower.

Nie chciał mieć bezużytecznego obciążenia, gdyby wiatr zaczął wiać w ciągu najbliższych trzydziestu minut, w trakcie pokonywania dwumilowej odległości.

— Przyłóżcie się porządnie — powiedział do załogi łodzi, gdy odbili od burty. Pióra wiosel zanurzyły się w bardzo niebieskiej wodzie, połyskując złociście na jej tle. Odprowadzana zaniepokojonymi spojrzeniami łódź okrążyła rufę „Craba”. Hornblower wychylił rumpel i skierował się prosto na „Daring”. Płynęli to wznosząc się na łagodnej fali, to opadając. Po każdym wzlocie i opadnięciu „Crab” robił się coraz mniejszy, a „Daring” coraz większy, wspaniałały w popołudniowym świetle, w którym, jak mówił sobie w duchu Hornblower, mijały ostatnie godziny jego zawodowej kariery. Podpływali do „Daring” coraz bliżej, aż wreszcie przez rozgrzane powietrze dobiegło ich obwołanie.

— Łódź, ahój!

— Przybywam na pokład! — odkrzyknął Hornblower. Stał na ławce rufowej, żeby dobrze było widać jego admiralski, lamowany złotem mundur.

— Nie zbliżać się: — rozległ się czyjś głos, lecz Hornblower dalej szedł swoim kursem.

Nie uzbrojona łódka, przywożąca admirała w pojedynkę na unieruchomiony ciszą okręt, nie mogła stać się przedmiotem incydentu na skalę międzynarodową. Skierował łódź w stronę podwiewi wantowych stermasztu.

— Nie zbliżać się! — powtórzył ktoś, był to głos Amerykanina.

Hornblower wykonał łódką manewr dochodzenia do burty okrętu.

— Wiosła złość! — rozkazał.

Łódź podeszła rozpędem do „Daring”. Hornblower obliczył w czasie, najlepiej jak potrafił, swoje ruchy, z poprawką na swój brak zwinności. Skoczył ku podwiewiom, nabierając wody w jeden but, lecz utrzymał się i zaczął wciągać się w górę.

— Odbijcie i czekajcie na mnie — krzyknął do załogi, a potem odwrócił się i wciągnął się przez nadburcie na pokład.

Wysoki, szczupły mężczyzna z cygarem w ustach to pewnie dowódca amerykański, a ten krzepki człowiek obok niego to jeden z oficerów pokładowych. Działa były odmocowane, choć nie wytoczone, a marynarze amerykańscy stali przy nich, gotowi otworzyć ogień.

— Czyś pan nie słyszał, panie, jak mówiłem, żeby się nie zbliżać? — spytał kapitan.

— Muszę przeprosić, sir, za to najście — odparł Hornblower. — Jestem kontradmirał Horatio Hornblower w służbie jego brytyjskiej królewskiej mości i mam bardzo pilną sprawę do hrabiego Cambronne.

Przez chwilę stali mierząc się wzrokiem na zalanym słońcem pokładzie, a potem Hornblower zobaczył, że podchodzi Cambronne.

— Ach, hrabia — powiedział Hornblower i przechodząc na francuski dodał: Jak to miło znów spotkać pana, Monsieur le Comte.

Zdjął trójgraniasty kapelusz i przyłożywszy go do piersi zgiął się w niezdarnym, jak wiedział, ukłonie.

— Czemuż to zawdzięczam, milordzie? — spytał Cambronne. Stał sztywno wyprostowany, kocie, szczecinowate wąsiki sterczały mu w obie strony.

— Muszę z żalem oznajmić, że przybywam z najgorszą nowiną, jaką mógłbym przynieść panu — odrzekł Hornblower. W ciągu wielu bezsennych nocy powtarzał sobie tę przemowę. Teraz usiłował nadać jej naturalne brzmienie. — A także, aby wyświadczyć panu przysługę, hrabio.

— Co pan chce przez to powiedzieć, milordzie?

— Zła nowina.

— Jaka?

— Hrabio, muszę powiadomić pana z najgłębszym żalem o śmierci pańskiego cesarza.

— Nie!

— Cesarz Napoleon zmarł na Świętej Helenie w ubiegłym miesiącu. Składam panu, hrabio, wyrazy współczucia.

— To nie może być prawda!

— Zapewniam pana, hrabio, że to prawda.

Muskuł w policzku hrabiego przy purpurowej szramie zadrgał niespokojnie. Jego twarde, wylupiające oczy wbiły się w Hornblowera jak świdry.

— Otrzymałem tę wiadomość dwa dni temu w Port of Spain — ciągnął Hornblower. — I w związku z nią odwołałem wydane przeze mnie zarządzenie zaareztowania tego okrętu.

Cambronne nie mógł się domyślić, że „Crab” nie potrafiłby przebyć tej drogi tak szybko, jak by to wynikało ze słów Hornblowera.

— Nie wierzę panu — powiedział jednak. Taką właśnie bajeczkę można było wymyślić, żeby

zatrzymać „Daring” w jego podróży.

— Sir! — odparł Hornblower wyniośle. Wyprostował się jeszcze bardziej, odgrywając, najlepiej jak potrafił, rolę człowieka honoru, którego słowa zostały poddane w wątpliwość. Odniosło to prawie pożądany skutek.

— Rozumie pan chyba znaczenie tego, co pan powiedział, milordzie — odezwał się Cambronne z leciutkim tonem przeprosin w głosie. Lecz zaraz dodał te fatalne, nienawistne słowa, których spodziewał się Hornblower: — Milordzie, daje mi pan słowo honoru dżentelmena, że to, co pan mówi, jest prawdą?

— Moje słowo honoru dżentelmena — odpowiedział Hornblower.

Od wielu dni z udręką przewidywał ten moment. Był do niego przygotowany. Zmusił się do odpowiedzi tak, jak by na to odpowiedział człowiek honoru. Udało mu się wyrzec te słowa tonem spokojnym i szczerym, jakby wyrzeczenie ich nie łamało mu serca. Był pewien, że Cambronne poprosi go o słowo honoru.

To była ostatnia ofiara, jaką mógł uczynić. W ciągu dwudziestu lat wojny lekko wystawiał na ryzyko własne życie dla dobra kraju. Doświadczał niebezpieczeństw, obaw, niedostatków. Ale jak dotąd nigdy nie proszono go o słowo honoru. To była dalsza cena, którą musiał płacić. To z jego winy pokój na świecie został zagrożony. I słuszną jest rzeczą, że musi za to zapłacić. Zaś honor jednego człowieka to niska cena za pokój na świecie, za uchronienie ojczyzny od śmiertelnych niebezpieczeństw, z którymi borykała się tak ciężko przez dwadzieścia lat. Gdy w owych szczęśliwych latach przeszłości wracał do kraju po ciężkiej wyprawie, rozglądał się wokół, wdychał powietrze Anglii i mówił sobie z napuszonym patriotyzmem, że Anglia jest warta, aby się bić o nią, aby umierać za nią. Anglia jest też warta honoru człowieka. Tak, to prawda. Lecz ta prawda rozdzierała mu serce. To, że właśnie jego honor musiał zostać poświęcony, było dużo, dużo gorsze od śmierci.

Na pokładzie zjawiała się grupka oficerów i stanawszy po bokach Cambronne'a przysłuchiwała się każdemu słowu. Opoдал przystanął dowódca amerykański ze swoim oficerem pokładowym. Sam wobec nich, w paradnym mundurze, Hornblower stał pod rozjarzonym słońcem i czekał. Oficer po prawej ręce Cambronne'a odezwał się pierwszy. Widocznie był kimś w rodzaju adiutanta czy oficera sztabowego, z gatunku jakiego nie znosił Hornblower. Musiał oczywiście zadać jeszcze raz to samo pytanie, pogrzebać w bolącej ranie.

— Pańskie słowo honoru, milordzie?

— Moje słowo honoru — powtórzył Hornblower, wciąż spokojny spokojem człowieka honoru.

Nikt nie mógłby nie uwierzyć słowu honoru brytyjskiego admirała, człowieka będącego w służbie króla przez przeszło dwadzieścia lat. Hornblower przystąpił więc teraz do wygłoszenia przygotowanych argumentów.

— Ten pański wyczyn, hrabio — mówił — może teraz pójść w zapomnienie. Wraz ze śmiercią

cesarza upadły wszelkie nadzieje na przywrócenie cesarstwa. Nikt nie musi się dowiedzieć, co pan planował. Pan, ci panowie tutaj i gwardia cesarska, znajdująca się pod pokładem, mogą pozostać nie skompromitowani w oczach reżymu rządzącego obecnie Francją. Może ich pan wszystkich zabrać z powrotem do kraju, co według pańskiego oświadczenia zamierzał pan uczynić, wyrzucając spokojnie po drodze za burtę swoje zapasy wojenne. Właśnie dlatego przybyłem tu w ten sposób, sam jeden. Ani mój kraj, ani pański nie życzą sobie, żeby jakiś nowy incydent zagroził dobrym stosunkom na świecie. Nikt nie musi się dowiedzieć. To, co się stało, może pozostać naszą tajemnicą.

Cambronne słyszał, co on mówi i słuchał jego słów, lecz pierwsza wiadomość tak bardzo go poruszyła, że nie był w stanie mówić o niczym innym.

— Cesarz nie żyje! — powiedział.

— Zapewniłem już pana, hrabio, o moim współczuciu — powtórzył Hornblower. — Wyrażam je również tym panom. Moje najgłębsze współczucie.

Amerykański dowódca przerwał szepty ludzi ze sztabu Cambronne'a.

— Nadchodzi leciutki powiew — oznajmił. — Za pięć minut popłyniemy. Zostaje pan z nami, panie, czy wraca do łodzi?

— Zaczekać — rzucił Cambronne, widocznie znał trochę angielski. Odwrócił się do swych oficerów i zaczął z nimi rozmowę. Kiedy wszyscy zaczęli mówić naraz, francuszczyzna Hornblowera okazała się za słaba, żeby szczegółowo nadążać za ich słowami. Widział jednak, że wszyscy zostali przekonani. Powinien się cieszyć, jeżeli zostało mu jeszcze trochę radości na tym świecie. Ktoś przeszedł przez pokład i krzyknął coś do luku i już po chwili żołnierze gwardii cesarskiej zaczęli tłumnie wylewać się na pokład. Stara gwardia Bonapartego, wszyscy w pełnym umundurowaniu, widocznie gotowi do walki na wypadek, gdyby „Crab” zgłupiał na tyle, żeby wdać się w nią. Było ich pięciuset, w pióropuszech i czapach futrzanych, z muszkietami w ręku. Na głośny rozkaz ustawili się na pokładzie, szereg za szeregiem, wąsaci, wychudzeni mężczyźni, którzy wmaszerowywali do wszystkich stolic Europy, z wyjątkiem Londynu. Zasalutowali muszkietami i wyprostowali się w pozycji na baczność. Tylko kilku z nich nie miało wzroku skierowanego prosto przed siebie — ci rzucali ukradkiem zaciekawione spojrzenia na brytyjskiego admirała. Gdy Cambronne zwrócił się do nich z przemową, po jego znaczonych bliznami policzkach spływały łzy. Podał im wiadomość przerywanymi zdaniami, bo z żalu ledwie był w stanie mówić. Jego słowa wywołały jęk przypominający pomruk dzikich zwierząt. Myśleli o swoim cesarzu umierającym jako więźniem na wyspie, surowo traktowanym przez angielskich dozorców. Spojrzenia kierowane teraz na Hornblowera wyrażały nie ciekawość, lecz nienawiść, ale Cambronne ściągnął uwagę żołnierzy na siebie, zaczawszy mówić o przyszłości. Mówił o Francji i pokoju.

— Cesarz nie żyje! — powiedział jeszcze raz, takim tonem, jakby oznajmiał koniec świata.

Szeregi zmieszaly się, wzruszenie złamało żelazną dyscyplinę starej gwardii. Cambronne wyjął szpadę, podnosząc jej rękojeść do ust w pięknym geście salutu. W zachodzącym słońcu błysnęła stal.

— Wydobywałem tę szpadę dla cesarza — powiedział. — Nigdy jej więcej nie użyję.

Obu dłońmi ujął szpadę przy gardzie i oparł ją o podniesione kolano. Konwulsyjnym wysiłkiem szczupłego, mocnego ciała przełamał klingę i odwróciwszy się cisnął kawałki w morze. Stara gwardia wydała odgłos przypominający długi jęk. Jeden z żołnierzy złapał swój muszkiet za koniec lufy, zakręcił kolbą nad głową i grzmotnął nią o pokład. Muszkiet odłamał się przy cieńszym końcu kolby. Inni poszli jego śladem. Deszcz muszkietów pofrunął za burtę.

Amerykański kapitan obserwował tę scenę pozornie nieporuszony, jakby nic nie mogło go już zaskoczyć, lecz nie zapalone cygaro w jego ustach zrobiło się znacznie krótsze, pewnie odgryzł jego koniec. Podeszedł do Hornblowera, chcąc widocznie poprosić o wyjaśnienie, co oznaczała ta scena, lecz adiutant francuski stanął między nimi.

— Francja — powiedział. — Płyniemy do Francji.

— Francja? — powtórzył kapitan. — Nie?... Nie wyrzekł nazwy „Święta Helena”, lecz można się było tego domyślić z ruchu jego ust.

— Francja — powtórzył z naciskiem adiutant. Podeszedł do nich Cambronne, jeszcze bardziej wyprostowany niż przedtem. Już opanował wzburzenie.

— Hrabio, nie będę dłużej zakłócać pańskiego smutku — rzekł Hornblower. — Proszę zawsze pamiętać, że towarzyszy panu współczucie Anglika.

Cambronne przypomni sobie później te słowa, kiedy się zorientuje, że został wyprowadzony w pole przez pozbawionego honoru Anglika, ale mimo to należało wypowiedzieć je w tej chwili.

— Będę pamiętał — odparł Cambronne. Zmuszał się do przestrzegania ceremoniału. — Muszę podziękować, milordzie, za pańską uprzejmość i okazane mi względy.

— Spełniłem swój obowiązek wobec świata — odrzekł Hornblower.

Nie wyciągnął dłoni. Cambronne mógłby czuć się później skalany, gdyby jej teraz dotknął. Stanął tylko na baczność i zasalutował.

— Do widzenia, hrabio — powiedział. — Mam nadzieję, że spotkamy się znowu w szczęśliwszych okolicznościach.

— Do widzenia, milordzie — odparł Cambronne z powagą.

Hornblower wspiął się na podwieszania wantowe stermasztu i kiedy łódź podeszła, opadł ciężko na ławkę rufową, zamiast zsunąć się na nią.

— W drogę! rzucił. Nikt nie mógł czuć się bardziej wyczerpany niż on w tej chwili. Ani tak nieszczęśliwy.

Harcourt, Gerard i inni czekali na niego z niepokojem na pokładzie „Craba”. Wdrapując się

przez burzę musiał zachowywać nieporuszony wygląd. Miał jeszcze sprawy do załatwienia.

— Panie Harcourt — rzekł. — Może pan przepuścić „Daring”. Wszystko załatwione.

— Załatwione, milordzie? — To pytał Gerard.

— Cambronne zrezygnował ze swego planu. Płyną spokojnie do Francji.

— Francja? Do Francji, milordzie?...

— Słyszał pan, co powiedziałem.

Patrzyli na pasmo wody, purpurowe teraz, u schyłku dnia. „Daring” przebrasowywał żagle, chcąc złapać słaby powiew.

— Pan każe ich przepuścić, milordzie? — pytał jeszcze Gerard.

— Tak, u diabła — wybuchnął Hornblower i natychmiast pożałował, że pozwolił sobie na ten wybuch gniewu i ordynarne odezwanie się. Zwrócił się do Harcourta: — Możemy teraz skierować się do Port of Spain. Sądzę, że nawet gdyby wiatr był pomyślny, nie zechce pan ryzykować przechodzenia nocą przez Dragon's Mouth. Ma pan moją zgodę na odczekanie do świtu.

— Tak jest, milordzie.

Nawet gdy się odwrócił, żeby zejść do kajuty, nie dali mu spokoju.

— Obiad, milordzie? — spytał Gerard. — Każę podać natychmiast.

Chciał odburknąć, że nie potrzebuje obiadu, ale to nie miało sensu. Dyskusja, jaką by to wywołało, byłaby gorsza niż udawanie, że je obiad. Niemniej oznaczało to, że wszedłszy do kajuty nie mógł, jak pragnął, paść na koję z twarzą w dłoniach i zatonać w męce duchowej. Musiał siedzieć sztywno wyprostowany, kiedy Giles nakrywał, podawał i sprzątał ze stołu. Tropikalny zachód zapalił się na niebie, a potem czarna noc opadła na okręcik na purpurowym morzu. Dopiero po ostatnim „Dobranoc, milordzie” Gilesa mógł znowu oddać się myślom i przebiec pamięcią cały ten koszmar.

Przestał być dżentelmenem. Okrył się hańbą. Wszystko się skończyło. Będzie musiał zrezygnować z dowództwa — zrezygnować ze stanowiska. Jak spojrzeć w twarz Barbarze? Gdy mały Ryszard dorośnie i będzie w stanie pojąć, co zaszło, czy potrafi w ogóle spojrzeć chłopcu w oczy? Zaś dla arystokratycznej rodziny Barbary stanie się przedmiotem świadomego naigrawania się. I nigdy już nie będzie spacerował po pokładzie rufowym, nigdy nie wejdzie na pokład z dłonią u kapelusza, witany przenikliwym salutem gwizdków bosmańskich. Już nigdy. Skończyła się jego zawodowa kariera — koniec ze wszystkim. Uczynił ofiarę świadomie i z zimną krwią, lecz ten fakt nie łagodził bynajmniej tej całej okropności.

Myśli jego pobiegły w innym kierunku. Nie mógł postąpić inaczej. Gdyby popłynął do Kingston albo do Port of Spain, „Daring” — sądząc po czasie, w jakim dotarł do Tobago —

prześliznąłby się i wszelkie posiłki, jakie Hornblower byłby sprowadził — gdyby udało się coś w ogóle ściągnąć, co było raczej rzeczą nieprawdopodobną — okazałyby się bezużyteczne. A gdyby został w Kingston i wysłał stamtąd wiadomość do Londynu? W takim wypadku byłby kryty, przynajmniej u swoich władz. Lecz to byłoby bezcelowe. Ile by czasu upłynęło między dotarciem jego listu do Londynu a przybyciem „Daring” na wybrzeże Francji z Bonapartem na pokładzie? Dwa tygodnie? Pewnie jeszcze mniej. Początkowo urzędnicy w Admiralicji odnieśliby się do przekazanej przez niego informacji jak do pochodzącej od obłąkańca. Nastąpiłaby zwłoka w dotarciu jej do Pierwszego Lorda i dalsza zwłoka w przedstawieniu jej rządowi, zwłoka na omówienie ewentualnej linii działania, zwłoka na poinformowanie francuskiego ambasadora i dalsza, na uzgodnienie wspólnej akcji.

A jakaż mogłaby to być akcja — jeśliby nawet rząd nie zbył lekceważąco jego listu, jako pochodzącego od panikarza kąpanego w gorącej wodzie? Flota wojenna Anglii, szczuplejsza w czas pokoju, w żaden sposób nie zdołałaby wyjść w porę w morze, nie rozporządzając przy tym dostateczną liczbą jednostek, aby obstawić całe wybrzeże Francji i uniemożliwić „Daring” wylądowanie na ląd śmiertelnie obciążonego ładunku. Poza tym nieunikniony przeciek informacji, że Bonaparte jest w morzu i ma wylądować, wywołałby we Francji natychmiastową rewolucję — to nie ulega wątpliwości, a Włochy same są w stanie wrzenia. Uznał, że pisząc do Londynu osłoniłby się przed krytyką ze strony rządu. Lecz miarą wykonywania obowiązków przez człowieka nie jest unikanie odpowiedzialności. Otrzymał określone zadanie do wykonania i wykonał je w jedyny możliwy sposób. Nic innego nie powstrzymałoby Cambronne'a. Hornblower znał swój obowiązek. Znał jego cenę i teraz ją płacił. Kupił pokój na świecie za cenę własnego honoru. Nie jest już dżentelmenem. Wrócił myślami na dawny tor.

Borykał się teraz desperacko z wyobrazeniami o przyszłości, jak człowiek w kompletnych ciemnościach pogrążony po pas w bagnie. Wkrótce świat usłyszy o jego hańbie. Przemówi Cambronne i pozostali Francuzi. Niezadługo świat dowie się o admirałe brytyjskim, który dał słowo w pełnej świadomości, że kłamie. Powinien więc przedtem pożegnać się z marynarką, zrezygnować z dowództwa i stanowiska. Musi to zrobić zaraz, jego splamiony proporzec nie może dłużej powiewać nad okrętem, nie wolno mu dalej wydawać rozkazów dżentelmenom. W Port of Spain przebywa gubernator Trynidadu. Jutro oświadczy mu, że eskadra zachodnioindyjska nie ma już głównodowodzącego. Gubernator będzie mógł podjąć wszelkie niezbędne oficjalne kroki, powiadamiając eskadrę i informując rząd — tak jakby febra lub apopleksja sprzątnęła głównodowodzącego ze świata. W ten sposób ograniczy się anarchię do minimum, a zmiana dowództwa będzie mogła być przeprowadzona bez żadnego trudu — to jest ostatnia, najostatniejsza przysługa, jaką może zrobić swojej ojczyźnie. Gubernator pomyśli z pewnością, że Hornblower zwariował — ale on i tak mógłby jutro znaleźć się w kaftanie bezpieczeństwa, jeśliby nie wyznał swojej hańby. Gubernator będzie mu oczywiście współczuł — pierwsza porcja współczucia, pierwsza doza pogardy, jaką będzie musiał znosić do końca życia. Barbara

— Ryszard — zatracona dusza brnęła przez cuchnące bagno, poprzez czerń nocy.

Pod koniec tej strasznej nocy rozległo się stukanie do drzwi i wszedł Gerard. Wiadomość, z którą przybywał, zamarła mu na ustach, gdy spojrzął na twarz Hornblowera, białą pod opalenizną, i na jego zapadłe oczy.

— Czy dobrze się pan czuje, milordzie? — spytał zaniepokojony.

— Zupełnie dobrze. Co jest?

— Pan Harcourt przysłała pozdrowienia, milordzie, i zawiadamia, że jesteśmy w pobliżu Dragon's Mouth. Wieje pomyślny wiatr, północno-północno-wschodni i za pół godziny, jak tylko zaświta, możemy, milordzie, wejść do portu. Staniemy na kotwicy w Port of Spain o dwóch szklankach wachty przedpołudniowej, milordzie.

— Dziękuję, panie Gerard. — Mówił z przymusem, powoli i chłodnym tonem. — Pozdrowienie dla pana Harcourta i proszę mu powiedzieć, że to mi zupełnie odpowiada.

— Tak jest, milordzie. Będzie to pierwsza wizyta pańskiej bandery w Port of Spain, więc zostanie oddany salut.

— W porządku.

— Gubernator z racji swego stanowiska jest ważniejszy od pana, milordzie, dlatego wasza lordowska wysokość musi pierwszy złożyć wizytę. Czy mam nadać odpowiedni sygnał?

— Dziękuję, panie Gerard, będę bardzo za to zobowiązany.

Trzeba jeszcze przejść przez ten koszmar i wytrwać. Musi wyglądać jak z igły, nie może pojawić się na pokładzie nie ogolony, brudny, z ubraniem w nieładzie. Musi się ogolić i przetrzymać gadaninę Gilesa.

— Słodka woda, milordzie — oznajmił Giles, wnosząc parujący dzbanek — kapitan dał pozwolenie, bo dziś będziemy pobierać wodę.

Kiedyś, bywało, odczuwał prostą, zmysłową przyjemność używając słodkiej wody do golenia, ale nie teraz. Mógłby się cieszyć, że stoi na pokładzie i obserwuje, jak „Crab” przeprawia się przez Dragon's Mouth, że ogląda nowe krainy i wpływa do nowego portu, lecz obecnie było mu to obojętne. Kiedyś cieszyłby się świeżą bielizną czy nawet świeżo nakrochmalonym halsztukiem albo gwiazdą ze wstęgą i szpadą ze złożoną rękojeścią; znajdowałby przyjemność w słuchaniu trzynastostrzałowego salutu oddawanego na cześć gubernatora i odpowiedzi na ten salut, ale to było kiedyś. Teraz pozostała mu tylko bolesna świadomość, że już nigdy nie będzie pozdrawiany salutem z armat, nigdy cały okręt nie stanie na baczność, kiedy on będzie przechodził przez burtę. Musiał trzymać się prosto i sztywno, żeby się nie słać jak słabeusz w swoim bólu. Musiał też pomruć energicznie powiekami, żeby powstrzymać łzy od stoczenia się po policzkach, jakby był sentymentalnym Francuzem. Dla niego olśniewająco błękitne niebo mogłoby teraz być czarne.

Gubernator, ociężały mężczyzna w randze generała-majora, miał również na piersi czerwoną wstęgę i gwiazdę. Po oficjalnym przywitaniu porzucił sztywność, gdy tylko znaleźli się sami.

— Bardzo jestem rad z pańskiej wizyty, milordzie — powiedział. — Proszę siadać. Myślę, że w tym fotelu będzie panu wygodnie. Mama trochę sherry, które, jak sądzę, uzna pan za znośne. Czy mogę nalać kieliszek waszej lordowskiej wysokości?

Nie czekając na odpowiedź, sięgnął po karafkę i kieliszki.

— A propos, milordzie, słyszał pan nowinę? Bonio nie żyje.

Hornblower nie usiadł jeszcze. Postanowił też odmówić wypicia sherry, gubernatorowi nie będzie zależało na picu z człowiekiem, który utracił honor. Teraz rzucił się gwałtownie w fotel i automatycznie wziął do ręki podany mu kieliszek. Na nowinę odpowiedział tylko ochryłym chrząknięciem.

— Tak — ciągnął gubernator. — Zmarł trzy tygodnie temu na Świętej Helenie. Tam go pochowano i koniec z nim. Ale... czy dobrze się pan czuje, milordzie?

— Dziękuję, zupełnie dobrze.

Chłodny, tonący w półmroku pokój wirował wokół niego. Gdy wrócił do przytomności, przyszła mu na myśl Święta Elżbieta Węgierska. Nieposłuszna woli swego małżonka niosła pożywienie dla ubogich — fartuszek pełen chleba — gdy mąż ją zobaczył.

— Co masz w fartuszku? — spytał.

— Róże — skłamała Święta Elżbieta.

— Pokaż — zażądał mąż.

Święta Elżbieta pokazała — fartuszek był pełen róż.

Życie może zacząć się od nowa — pomyślał Hornblower.

„Gwiazda Południa”

Tu, gdzie pasat dmie najmocniej, w samym sercu strefy zwrotnikowej, na rozległym, dziewiczym Atlantyku, rozciąga się, jak Hornblower uznał w tym momencie, najwspanialszy chyba z istniejących na naszym globie przestwór wody na spacer jachtem. Obecna podróż nie była też dla niego niczym innym, jak właśnie przejażdżką jachtem. Miał za sobą niedawne ciężkie zmagania duchowe, kiedy pokój na świecie zależał od jego decyzji. W porównaniu z tym wydawało mu się teraz, że odpowiedzialność wiążąca się ze stanowiskiem głównodowodzącego w Indiach Zachodnich to po prostu drobnostka. Z szumem pasatu w uszach stał na pokładzie rufowym „Clorindy”, fregaty jego brytyjskiej królewskiej mości, balansującej lekko na falach przy posuwaniu się bejdewindem z umiarkowaną liczbą postawionych żagli, i wystawiał się na słońce poranka. Przy przechyłach wzdłużnych i poprzecznych, towarzyszących dźwiganiu się „Clorindy” na fale, cień nawietrznego takielunku przesuwał się tam i z powrotem po pokładzie. Gdy okręt przechylał się w kierunku nawietrznym, ku wczesnemu słońcu, jeszcze leżącemu nisko nad widnokretem, cienie wyblinek na sterwantach raz po raz migały mu hipnotyzująco przed oczyma, wzmagając dobre samopoczucie. Być głównodowodzącym i nie mieć żadnych kłopotów poza tłumieniem handlu niewolnikami, zwalczaniem piractwa i patrolowaniem Karaibów to uczucie znacznie przyjemniejsze od wszystkich, jakich mógłby doznawać cesarz czy nawet poeta. Bosonodzy marynarze śmieli się i

dowcipkowali przy zmywaniu pokładu; słońce leżące jeszcze nisko nad wodą wywoływało olśniewające tęcze w bryzgach wyrzucanych przez dziób w górę po nawietrznej. W dodatku w każdej chwili, gdy tylko zechce, może dostać śniadanie — stojąc tu, na pokładzie rufowym, znajdował dodatkową przyjemność w oczekiwaniu na tę chwilę i przekornym jej odwlekaniu.

Pojawienie się kapitana Sir Thomasa Fella popsuło mu nieco to świetne samopoczucie. Sir Thomas, ponury osobnik o zapadłych policzkach, uznawał za swój święty obowiązek zjawiać się tu i być miłym dla swego admirała, nie umiając przy tym wyczuć, kiedy jego obecność nie jest pożądana.

— Dzień dobry, milordzie — powiedział salutując.

— Dzień dobry, Sir Thomasie — odrzekł Hornblower, odwzajemniając gest pozdrowienia.

— Piękny, rześki ranek, milordzie.

— Tak, istotnie.

Sir Thomas przebiegł okiem dowódcy po okręcie, po pokładach i takielunku, a potem obrócił się ku rufie, żeby popatrzeć na szarawą, poszarpaną kreskę na widnokręgu, znaczącą położenie wzgórz Puerto Rico. Hornblower pomyślał nagle, że niczego tak nie pragnie, jak śniadania, a jednocześnie, że nie może teraz błyskawicznie zaspokoić tego pragnienia, na co pozwalało przecież stanowisko głównodowodzącego. Istnieją pewne względy uprzejmości krępujące nawet głównodowodzącego — a w każdym razie jego. Nie może odwrócić się i zejść do kajuty, nie zamieniwszy jeszcze paru zdań z Fellem.

— Może dziś uda się nam coś złapać, milordzie — ciągnął Fell. Przy tych słowach oczy obu mężczyzn zwróciły się instynktownie w górę, gdzie na wysokości salingu grotmasztu, mogącej przyprawić o zawrót głowy, siedział obserwator.

— Miejmy nadzieję, że tak — odparł Hornblower, a ponieważ, jak dotąd, nie udało mu się polubić Fella, zaś ostatnią rzeczą, na jaką miałby chęć przed śniadaniem, to dyskusja na tematy techniczne, brnął dalej, chcąc ukryć swe uczucia. — To całkiem możliwe.

— Hiszpanie będą chcieli przewieźć tyle towaru, ile się da przed podpisaniem konwencji — dodał Fell.

— Tak ustaliliśmy. — Nie lubił przed śniadaniem wałkować już podjętych decyzji, co było typowe dla Fella.

— A to jest miejsce, gdzie mogliby podchodzić do lądu — ciągnął Fell, nieubłaganie, znowu popatrując na Puerto Rico widniejące za rufą na widnokręgu.

— Tak — mruknął Hornblower. Jeszcze minuta, dwie tej zbytecznej rozmowy i będzie mógł wycofać się do kajuty.

Fell wziął tubę i skierował ją w górę.

— Hej, na salingu! Uważaj dobrze, bo popamiętasz! — krzyknął.

— Tak jest, sir — nadbiegła odpowiedź.

— Poglówne, sir — usprawiedliwił się Fell..

— Wszystkim by się przydało — odrzekł uprzejmie Hornblower.

Rząd brytyjski wypłacał pogłówne za niewolników uwolnionych na pełnym morzu tym okrętom Królewskiej Marynarki Wojennej, które brały udział w zajmowaniu statków niewolniczych. Dzielono je, jak każde przyzwoje, między załogę okrętu. Było to niewiele w porównaniu z olbrzymimi sumami otrzymywanymi w czasie wielkich wojen, lecz przy pięciu funtach za głowę mogło dać sporą sumkę okrętowi, który przyłapał większy statek. A z tej sumki jedna czwarta przypadała kapitanowi. Natomiast jedna ósma dostawała się głównodowodzącemu admirałowi, gdziekolwiek by się znajdował. Hornblower, mający dwadzieścia okrętów w morzu pod swoją komendą, był uprawniony do jednej ósmej całego zdobytego przez nie pogłównego. Ten system podziału wyjaśniał, jak podczas wielkich wojen admirałowie dowodzący flotą na Kanale lub na Morzu Śródziemnym, jak na przykład Lord Keith, stawali się milionerami.

— Nikomu bardziej się nie przyda niż mnie, milordzie — westchnął Fell.

— Być może — powiedział Hornblower. Słyszał coś niecoś o trudnościach finansowych Fella, który przez szereg lat, od czasu Waterloo, pozostawał na połowie pensji, a teraz, jako kapitan piątej klasy, otrzymywał, łącznie z dodatkami, mniej niż dwadzieścia funtów miesięcznie — mimo że i tak miał szczęście, dostając w czas pokoju dowództwo nawet piątej klasy. Hornblower sam na sobie doświadczył, co to znaczy być ubogim kapitanem, nosić pończochy bawełniane, zamiast jedwabnych, i epolety mosiężne, zamiast złotych. Przed śniadaniem nie miał jednak najmniejszej ochoty na dyskusję na temat tabel płac personelu.

— Lady Fell, milordzie — ciągnął Fell z uporem — musi utrzymywać swoją pozycję w towarzystwie.

Była to, jak słyszał Hornblower, ekstrawagancka niewiasta.

— Miejmy więc nadzieję, że dziś dopisze nam szczęście — odrzekł, wciąż myśląc o śniadaniu.

Melodramatycznym zbiegiem okoliczności właśnie w tym momencie rozległ się z salingu okrzyk:

— Widzę żagiel! Statek prosto z nawietrznej!

— Może to właśnie to, na co czekamy, Sir Thomasie — zauważył Hornblower.

— Oby, milordzie. Hej, na salingu! Jakim kursem idzie ten statek? Panie Sefton, ostrzej na wiatr.

Hornblower wycofał się do relingu rufowego. Czuł, że nigdy nie przywyknie do swej roli admirała, do stania beczynnym, wyłącznie w charakterze zaciekawionego obserwatora, gdy w rozstrzygających momentach ktoś inny prowadzi okręt. Bardzo trudno być tylko obserwatorem, ale znacznie trudniej byłoby zejść do kajuty i siedzieć tam w nieświadomości tego, co się dzieje — znacznie trudniej, niż jeszcze raz odłożyć śniadanie.

— Hej, pokład! To dwumasztowiec. Płyne kursem prosto na nas. Pod wszystkimi żaglami aż po bramsle. Kapitanie, sir, to szkuner! Duży szkuner, sir. Cały czas płynie na nas.

Młody Gerard, oficer flagowy, przybiegł pędem na pokład po pierwszym okrzyku z salingu, na swoje miejsce u boku admirała.

— Urejony szkuner — oznajmił. — Duży. Może to być to, czego wyglądamy, milordzie.

— Ale i mnóstwo innych rzeczy — odparł Hornblower, bardzo się starając nie zdradzać absurdalnego podniecenia.

Gerard patrzył przez lunetę w kierunku nawietrznym.

— Mam go! Płyne dość szybko, prosto na nas. Proszę spojrzeć na pochylenie masztów. I na krój marsli! Milordzie, to nie jest szkuner miejscowy.

Nie byłoby szczególnym zbiegiem okoliczności, gdyby zaoczona jednostka okazała się statkiem niewolniczym. Hornblower doprowadził „Clorindę” tu, na nawietrzną San Juan, z wielką nadzieją, że tędy właśnie będą przepływać jednostki z towarem ludzkim. Hiszpania rozważała możliwość przyłączenia się do akcji tłumienia handlu niewolnikami i każdy statek niewolniczy uległby pokusie dostarczenia swego ładunku i uzyskania wyższych cen, zanim wejdzie w życie zakaz handlu niewolnikami. Główny rynek niewolniczy dla kolonii hiszpańskich znajdował się w Hawanie, tysiąc mil w kierunku zawietrznym, lecz można było uznać za pewnik, że hiszpańskie statki niewolnicze w drodze z Wybrzeża Niewolniczego zajdą przedtem do Puerto Rico w celu uzupełnienia zapasów wody, a może i pozbycia się części ładunku. Było rzeczą po prostu logiczną postawić tu „Clorindę”, żeby je przechwytywała.

Hornblower wziął lunetę i skierował ją na szybko zbliżający się szkuner. Zobaczył to, o czym mówił Gerard. Kadłub widoczny był już nad widnokretem i Hornblower widział, że ma długie drzewca i że był budowany z myślą o uzyskiwaniu dużych prędkości. Z tą świetną, opływową sylwetką opłacałoby mu się jedynie wozic szybko psujący się ładunek — ładunek ludzki. Patrząc na statek Hornblower zauważył, że prostokąt jego żagli zwęża się w pionie i że mały odstęp między masztami znacznie się powiększył. Ucieka więc od czekającej na niego „Clorindy” — doskonały dowód, jeśli jakiś dowód jest w ogóle potrzebny, że jest tym, na co wygląda. Przeszedłszy na prawy hals, starał się utrzymywać bezpieczny dystans i zwiększać go jak najszybciej.

— Panie Sefton! huknął Fell. — Wybrać bras grotmarsła! Prawym halsem za nimi! Postawić bombramsle!

Z systematycznym, zdyscyplinowanym pośpiechem część marynarzy pobiegła do brasów, a inni

na wanty stawiać dalsze żagle. Po kilku chwilach „Clorinda” ruszyła w pościg najostrzejszym bejdewindem, jaki można było utrzymać. Zbrasowawszy wszystkie żagle jak najostrzej i postawiwszy ich tyle, na ile pozwalał dość silny pasat, przechyliła się mocno na burtę, nurząc się dziobem w wodę, a każda kolejna fala rozbijała się o dziób ze strony nawietrznej, aż bryzgi leciały strumieniami ku rufie, a wiatr gwizdał w napiętych wantach nawietrznych. Było to niezwykle przejście od spokoju, jaki panował jeszcze nie tak dawno.

— Wciągnąć banderę! — komenderował Fell. — Zobaczymy, jak się nam przedstawi.

Hornblower patrzył przez lunetę na szkuner podnoszący w odpowiedzi swoją banderę — czerwono-żółte barwy Hiszpanii.

— Widzi pan, milordzie? — spytał Fell.

— Przepraszam, kapitanie — przerwał Sefton, oficer wachtowy. — Wiem, co to za jednostka. Widziałem ją dwukrotnie w poprzedniej podróży. To „Estrella”.

— „Australia”[13]? — wykrzyknął Fell, źle zrozumiawszy hiszpańską nazwę w wymowie Seftona.

— „Estrella”, sir. „Estrella del Sur” — „Gwiazda Południa”, sir.

— No to i ja wiem coś o niej — rzekł Hornblower. — Jej kapitan, Gomez, przewozi w każdej podróży czterystu niewolników, jeśli nie straci zbyt wielu w drodze.

— Czterystu! — powtórzył Fell.

Po twarzy Fella Hornblower poznał, że robi w myślach błyskawiczne obliczenie. Pięć funtów od głowy to w sumie dwa tysiące funtów, a jedna czwarta z tego to pięćset funtów. Dwuletni żołd za jednym pociągnięciem. Fell rzucał spojrzenia na maszty i przez burtę.

— Trzymać ostro do wiatru! — krzyknął do sternika. — Panie Sefton! Załogę na dziobie do bulin!

— Mija nas po nawietrznej — powiedział Gerard z lunetą przy oku.

Właściwie można się było spodziewać, że dobrze skonstruowany szkuner będzie szedł ostrzej na wiatr niż najlepsza fregata.

— I wyprzedza nas — dodał Hornblower, mierząc wzrokiem odległości i kąty. Nie tylko szedł ostrzej na wiatr, lecz i płynął szybciej. To prawda, że niewiele szybciej — węzeł, może dwa — dosyć jednak, żeby się odbić na bezpieczną odległość od goniącej go „Clorindy”.

— A jednak dostanę go! — stwierdził Fell. — Panie Sefton! Cała załoga na pokład! Przetoczyć działa na burtę nawietrzną. Panie James: Niech pan poszuka pana Noakesa. I powie mu, żeby zaczął wypompowywać wodę. Panie Sefton, obsadzić pompy! Wypompować wszystką wodę!

Marynarze tłumnie wybiegli z luków. Po otwarciu furt strzelniczych obsada dział, ciągnąc z największym wysiłkiem za talie, przesuwała armaty cal po calu ku burcie nawietrznej po stromo nachylonym pokładzie. Głośny turkot drewnianych kół na spojeniach desek pokładu brzmiał podniecająco — tak zaczynały się desperackie bitwy za dawnych dni. Teraz przetaczano działa po to tylko, żeby zmniejszyć trochę przechył, tak aby okręt lepiej trzymał się wody i mniej dawał się znosić. Hornblower obserwował obsadzanie pomp. Ochoczo i z całych sił marynarze poruszali korbami, a szybkie klang-klang mówiło, jak bardzo się śpieszyli wypompowując za burtę dwadzieścia ton wody pitnej, którą można by nazwać krwią życia okrętu krążącego po morzach. Lecz nieznaczne zmniejszenie zanurzenia uzyskane w ten sposób, w połączeniu z przetoczeniem dział na burtę nawietrzną mogło zwiększyć prędkość okrętu o kilka jardów.

Gwizdki wzywające całą załogę wyciągnęły też na pokład pana Erazma Spendlove'a, sekretarza Hornblowera. Spendlove patrzył na zorganizowaną bieganinę po pokładzie z olimpijską wyższością, zawsze bawiącą Hornblowera. Jego sekretarz pozował na człowieka niewzruszenie spokojnego, co jednych drażniło, a innych śmieszyło. Był jednak wyjątkowo sprawnym sekretarzem i Hornblower nigdy nie pożałował, że za radą Lorda Exmouth przyjął go na to stanowisko.

— Widzi pan, panie Spendlove, tę prostacką zgraję przy ciężkiej pracy — odezwał się Hornblower.

— W samej rzeczy, milordzie. — Obrócił spojrzenie w stronę nawietrzną ku „Estrelli”. — Mam nadzieję, że ten trud nie pójdzie na marne.

Nadbiegł zaaferowany Fell, wciąż rzucając spojrzenia na maszty i nad burtą na „Estrellę”.

— Panie Sefton! Wezwać cieślę. Niech obluzuje kliny grotmasztu. Większy luz może zwiększyć prędkość.

Hornblower dostrzegł zmianę wyrazu twarzy Spendlove'a i oczy ich spotkały się. Spendlove studiował z zapalem teorię budowy okrętu, a Hornblower miał za sobą wiele lat doświadczenia, toteż spojrzenia, jakie wymienili, chociaż krótkie, wystarczyły na zorientowanie się, że obaj uważają ten nowy pomysł za nieroztropny. Hornblower patrzył, jak grotwanty po nawietrznej przyjmują dodatkowe naprężenie. Dobrze jeszcze, że „Clorinda” ma nowy takielunek.

— Trudno powiedzieć, milordzie, żebyśmy szli szybciej — zauważył Gerard wciąż patrząc przez lunetę.

„Estrella” wyraźnie oddaliła się, i to w kierunku nawietrznym. Jeśli zechce, do południa praktycznie zniknie z pola widzenia „Clorindy”. Hornblower zaobserwował dziwny wyraz na twarzy Spendlove'a. Badał on węchem powietrze, wciągając w nozdrza przelatujący nad nimi wiatr. Hornblower uświadomił sobie, że i on sam, nie wyciągając żadnych wniosków z tego zjawiska, poczuł raz i drugi, że świeży pasat zalatuje chwilami potwornym smrodem. Powąchał więc powietrze raz jeszcze i znowu pochwycił odór przypominający zapach piżma. Wiedział, co to jest — dwadzieścia lat temu miał okazję wąchać ten sam odór, kiedy hiszpańska galera wypchana niewolnikami mijała go po nawietrznej. Pasat wiejący ku „Clorindzie” prosto z kierunku „Estrelli” niósł ze sobą fetor zatłoczonego statku niewolniczego, zanieczyszczając powietrze nad czystą błękitną

wodą na dużą odległość ku zawietrznej.

— Możemy być pewni, że wiezie pełny ładunek — stwierdził.

Fell ciągle usiłował poprawić sprawność morską „Clorindy”.

— Panie Sefton! Niech pan pośle ludzi do przenoszenia pocisków na burtę nawietrzną.

— Zmieniają kurs! — zawołało naraz pół tuzina głosów.

— Odwołać rozkaz, panie Sefton!

Fell, jak inni, skierował lunetę na „Estrellę”. Zmieniwszy nieco hals, śmiało zmierzała do przejścia „Clorindzie” przed dziobem.

— Przekłęta bezczelność! — wykrzyknął Fell. Wszyscy patrzyli z niepokojem na dwa okręty gnające z impetem zbieżnymi kursami.

— Miną nas poza zasięgiem — orzekł Gerard. Z każdą sekundą stawało się to rzeczą coraz bardziej oczywistą.

— Załoga do brasów! — ryknął Fell. — Sterniku! Ster w lewo! Powoli! Powoli! Tak trzymać!

— Dwa rumby tępiej do wiatru — zauważył Hornblower. — Teraz mamy większą szansę.

Dziób „Clorindy” ustawiony był teraz w kierunku, który przecinał drogę „Estrelli” w jakimś odległym punkcie, o kilka mil dalej. Ponadto w rezultacie nieznacznego odpadnięcia obu jednostek od wiatru wyglądało, że teraz „Estrelli” niewiele pomoże jej wspaniałe skośne ożaglowanie i opływowa sylwetka.

— Gerard, niech pan weźmie namiar — polecił Hornblower.

— Mam wrażenie — wtrącił Spendlove, który patrzył z wyteżeniem ponad bardzo niebieską wodą — że wciąż zyskuje na dystansie w stosunku do nas.

— Jeśli tak — odrzekł Hornblower — to możemy mieć tylko nadzieję, że coś jej się zerwie.

— I ja tak myślę, milordzie — powiedział Spendlove. Spojrzenie skierowane przez niego na maszty zdradzało obawę, że to „Clorinda” okaże się jednostką, której takielunek nie wytrzyma. Miała teraz wiatr i fale prawie na trawersie. Mocno kładła się na burtę pod postawionymi wszystkimi możliwymi żaglami i opornie dźwigała się na fale zalewające ją i wdzierające się przez otwarte furty strzelnicze. Hornblower poczuł, że jest przemoczony do suchej nitki, pewnie tak samo jak wszyscy inni na pokładzie.

— Milordzie — odezwał się Gerard. — Pan nie jadł śniadania.

Hornblower próbował ukryć zmieszanie spowodowane tym przypomnieniem. Zapomniiał

zupełnie o śniadaniu, chociaż jeszcze niedawno tak się na nie cieszył.

— To racja, panie Gerard — odparł starając się mówić żartobliwym tonem, co nie bardzo mu wyszło z powodu zaskoczenia. — I cóż z tego?

— Mam obowiązek przypominać panu o tym — odrzekł Gerard. Jej lordowska wysokość...

— Jej lordowska wysokość nakazała panu pilnować, żebym jadał regularnie — zareplikował Hornblower. — Wiem o tym. Lecz z powodu braku doświadczenia jej lordowska wysokość nie wzięła pod uwagę możliwości naszego natknięcia się na szybkie statki niewolnicze właśnie w porze posiłków.

— Czy nie dałby się pan jednak namówić, milordzie?

Myśl o śniadaniu, na nowo rozbudzona w jego umyśle, stała się jeszcze bardziej kusząca. Trudno jednak schodzić do kajuty w trakcie takiego gorączkowego pościgu.

— Niech pan weźmie jeszcze jeden namiar, nim się zdecyduję — odrzekł grając na zwłokę.

Gerard podszedł raz jeszcze do kompasu.

— Namiar ciągle się powiększa, milordzie — zameldował. — Muszą iść z dużą prędkością.

— To jasne — wtrącił Spendlove z lunetą skierowaną na „Estrellę”. — I wygląda... wygląda mi na to, że wybierają szoty. Może...

Hornblower podniósł błyskawicznym ruchem lunetę do oczu.

— Robią zwrot przez sztag — stwierdził. — Niech to licho, patrzcie, jak dziób statku idzie na wiatr!

„Estrella” musiała mieć odważnego dowódcę i dobrze wyszkoloną załogę. Po wybraniu szotów czekali w pogotowiu przy brasach marsli. Następnie ze sterem wyłożonym na burtę „Estrella” zrobiła zwrot i Hornblower ujrzał w lunecie całą jej piękną sylwetkę. Zamierzała przeciąć „Clorindzie” drogę z prawa w lewo, i to niezbyt daleko przed nią.

— Co za bezczelność! — rzekł Hornblower, pełen jednak podziwu dla odwagi i umiejętności uciekających.

Fell stał obok niego ze wzrokiem utkwionym w impertynencki szkuner. Trzymał się sztywno, choć wiatr szarpał połami jego płaszcza. Przez kilka sekund wyglądało, że drogi obu jednostek zetkną się w tym samym punkcie. Lecz wrażenie to szybko minęło. Nawet bez brania pod uwagę namiaru kompasowego stało się rzeczą oczywistą, że „Estrella” przejdzie swobodnie przed nosem fregaty.

— Wtoczyć działa! — zagrzmiął Fell. — Załoga do zwrotu przez rufę! Wy tam, przygotować pościgówki dziobowe.

Może się przecież zdarzyć, że szkuner będzie przepływał w zasięgu tych pościgówek, lecz trzeba by wielkiego szczęścia, żeby go trafić z dużej odległości i na wzburzonym morzu. A gdyby się udało, to pocisk może równie dobrze uderzyć w kadłub, w nieszczęsnych niewolników, jak w drzewce czy takielunek. Hornblower postanowił odwieść Fella od ostrzału.

Wtoczono działa i po ponownej stracie minuty na zorientowanie się w sytuacji Fell kazał przełożyć ster na lewo, kładąc okręt na pełny wiatr. Hornblower widział przez lunetę, że szkuner tak mocno jest przechylony pod półwiatrem, że w czasie uniesienia na fali pokazywał pas swego miedzianego poszycia, różowawy na tle błękitu morza. Nie ulegało wątpliwości, że przechodzi przed dziobem fregaty, co Fell potwierdził, nakazując dalszy zwrot o dwa rumby w lewo. Dzięki większej o dwa węzły prędkości, lepszej zwrotności i nawietrzności „Estrella” dosłownie tańczyła wokół „Clorindy”.

— Budowano ją dla osiągnięcia dużych prędkości, milordzie — stwierdził Spendlove spoza lunety.

„Clorindę” również, lecz była różnica między nimi. „Clorinda” to okręt bojowy, dostosowany do transportu siedemdziesięciu ton sprzętu artyleryjskiego i czterdziestu ton prochu i pocisków w magazynach. Nie potrzebowała się wstydić, że taki statek jak „Estrella” wyprzedził ją i przewyższył taktycznie.

— Myślę, Sir Thomasie, że popłyną w kierunku San Juan — powiedział Hornblower.

Gdy Fell odwrócił się do swego admirała, na jego twarzy malował się wyraz bezsilnej wściekłości. Widać było, z jakim trudem hamuje się, żeby nie dać upustu złości w potoku przekleństw.

— To jest... to jest... — jękał się ze zdenerwowania.

— Wystarczy, żeby świętego doprowadzić do szau — rzekł Hornblower.

„Clorinda” została ustawiona na idealnej pozycji, dwadzieścia mil w kierunku nawietrznym od San Juan. Można by powiedzieć, że „Estrella” wpadła jej prosto w ręce, a mimo to wymknęła się, sprytnie zapewniając sobie swobodne wejście do portu.

— Jeszcze się doczekam, że ją diabli wezmą, milordzie! — zaklął się Fell. — Sterniku!

Czekał ich teraz długi przelot do San Juan, położonego w kierunku różniącym się o rumb od kierunku wiatru, w wyścigu z praktycznie równego startu. Fell wykreślił kurs na San Juan. Było rzeczą oczywistą, że „Estrella”, bezpiecznie oddalona na prawym trawersie poza zasięg dział, zdąży do tego samego punktu. Obie jednostki szły faktycznie półwiatrem, a ten długi odcinek będzie ostatecznym sprawdzianem ich sprawności morskiej, jakby to były dwa jachty kończące przebieg po trójkacie w wyścigu w cieśninie Solent[14]. Hornblower przypominał sobie, że już rano porównywał obecną podróż do przejażdżki jachtem. Jednakże wyraz twarzy Fella świadczył, że dowódca jego okrętu flagowego nie widzi sprawy w tym samym świetle. Podchodził do niej ze śmiertelną powagą, i to bynajmniej nie z powodu filantropijnego stosunku do niewolnictwa. Po

prostu zależało mu na pogłównym.

— Co ze śniadaniem, milordzie? — spytał Gerard.

Któryś z oficerów, salutując, zwrócił się do Fella z pytaniem, czy można uznać, że już jest południe.

— Niech będzie — odparł Fell. Entuzjastycznie przyjęte wcześniejsze zawołanie „Do grogu” poniosło się po okręcie.

— Śniadanie, milordzie? — potworzył Gerard.

— Poczekajmy, aż się okaże, jak nam idzie na tym kursie — odparł Hornblower. Widząc rozczarowanie na twarzy Gerarda, dodał ze śmiechem: — Rozumiem, że chodzi zarówno o pańskie śniadanie, jak i o moje. Nic pan jeszcze nie jadł od rana?

— Nie, milordzie.

— Widzę, że morzę głodem młodzież na moim okręcie — stwierdził Hornblower, przenosząc wzrok z Gerarda na Spendlove'a, ale wyraz twarzy tego ostatniego był dziwnie obojętny i Hornblower przypomniał sobie, co o nim wiedział. — Założę się o gwineę, że Spendlove nie pościł dziś rano.

Odpowiedzią był szeroki uśmiech.

— Nie jestem marynarzem, milordzie — odparł Spendlove. — Przebywając na morzu nauczyłem się jednak jednej rzeczy, tego mianowicie, że należy konsumować każdy posiłek natychmiast, gdy znajdzie się w zasięgu. Złoto w bajce nie znika szybciej niż na morzu okazja do zjedzenia czegokolwiek.

— A więc gdy pański admirał cierpiał głód, pan spacerował sobie po pokładzie z pełnym brzuchem. Niech się pan wstydzi.

— Milordzie, jestem głęboko zawstydzony, jak przystoi w takiej sytuacji.

Spendlove posiadał niewątpliwie takt, tak ważny u sekretarza admirała.

— Załoga do grobrasów — huknął Fell.

„Clorinda” szła półwiatrem po błękitnym morzu. W takich warunkach spisywała się najlepiej i Fell robił wszystko, żeby wyciągnąć z niej maksimum. Hornblower popatrzył na „Estrellę”.

— Chyba zostajemy w tyle — rzekł.

— I mnie się tak zdaje, milordzie — potwierdził Gerard, spojrzawszy w tym samym kierunku. Poszedł odczytać namiar, a Fell obrzucił go zirytowanym spojrzeniem, zanim zwrócił się do Hornblowera.

— Mam nadzieję, milordzie, że zgodzi się pan, iż „Clorinda” dała z siebie wszystko, na co stać taki okręt.

— Na pewno, Sir Thomasie — odrzekł Hornblower. Fell w istocie chciał przez to powiedzieć, że nie można mu niczego zarzucić, jeśli idzie o prowadzenie okrętu, a Hornblower, przekonany wprawdzie, że robiłby to lepiej, nie miał wątpliwości, że tak czy owak „Estrella” uniknęłaby schwytania.

— Ten szkuner gna jak czarownica — ciągnął Fell. — Niech pan teraz popatrzy na niego, milordzie.

Nawet z tej odległości rzucała się w oczy zgrabna sylwetka „Estrelli” i jej świetny plan ożaglowania.

— Piękna jednostka — zgodził się Hornblower.

— Wyprzedza nas bez wątpienia — zawołał Gerard od kompasu. — I chyba oddala się od nas również w kierunku nawietrznym.

— Tak ucieka nam sprzed nosa pięćset funtów — westchnął Fell z goryczą. Niechybnie bardzo potrzebował pieniędzy. — Sterniku! Trzymać o rumb ostrzej do wiatru! Załoga do brasów!

Położył „Clorindę” trochę ostrzej na wiatr, obserwując jej zachowanie, zanim zwrócił się znowu do Hornblowera.

— Milordzie, nie zrezygnuję z pościgu, dopóki nie będę zmuszony — oświadczył.

— Całkiem słusznie — przyznał Hornblower.

Twarz Fella zdradzała rezygnację pomieszaną z rozpaczą. Hornblower zdał sobie sprawę, że to, co gnębi Fella, to nie tylko strata pieniędzy. Meldunek, że próbował pochwycić „Estrellę” i przegrał prawie w śmiechu godny sposób, dotrze oczywiście do lordów Admiralicji. Nawet jeśli Hornblower w swoim raporcie pomniejszy przegraną, będzie to jednak przegrana. A to oznacza, że po upływie obecnego dwuletniego kontraktu Fell nie zostanie ponownie zatrudniony. W Królewskiej Marynarce Wojennej na każdego kapitana piastującego dowództwo jakiejś jednostki przypada teraz co najmniej dwudziestu pragnących je otrzymać. Najdrobniejsze potknięcie zostanie skwapliwie wykorzystane jako powód do przekreślenia czyjejś kariery — nie może być inaczej. Fell myśli teraz z obawą o bytowanie do końca życia na połowie pensji. A Lady Fell to kobieta kosztowna i ambitna. Nic dziwnego, że rumiane zwykle policzki Fella przybrały szarawą barwę.

Nieznaczna zmiana kursu, zarządzona przez Fella, stanowiła faktycznie ostateczne przyznanie się do klęski. „Clorinda” utrzymywała swoją pozycję po nawietrznej już tylko za cenę śledzenia szybkiego posuwania się „Estrelli” do przodu.

— Boję się, że z łatwością dotrze przed nami do San Juan — dodał Fell z godnym podziwu stoicyzmem. Na wprost przed nimi purpurowe pasemko na widnokręgu, znaczące wzgórze Puerto Rico, stawało się wyższe i wyraźniejsze. — A w takim wypadku, milordzie, jakie będą pańskie dla mnie rozkazy?

— Ile ma pan jeszcze wody? — odpowiedział Hornblower pytaniem na pytanie.

— Pięć ton, milordzie. Jakies sześć dni na zmniejszonych racjach.

— Sześć dni — powtórzył Hornblower raczej do siebie. To przykra komplikacja. Najbliższe terytorium brytyjskie znajduje się o sto mil po nawietrznej.

— Musiałem, milordzie, sprawdzić, co da zmniejszenie obciążenia okrętu — tłumaczył się Fell.

— Wiem, wiem. — Hornblowera zawsze drażniło, gdy ktoś próbował się usprawiedliwiać. — No cóż, wejdziemy do portu za „Estrellą”, jeśli nie dostaniemy jej przedtem.

— Czy to będzie oficjalna wizyta, milordzie? — zapytał natychmiast Gerard.

— Nie może być inna, kiedy płynę pod moim proporcem — odparł Hornblower. Nie znosił oficjalnych wizyt. — Przy tej okazji możemy upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Czas, żebym złożył wizytę władzom hiszpańskim, a przy sposobności możemy uzupełnić zapas wody.

— Tak jest, milordzie.

Ceremonialne zajście do obcego portu, pomyślał z irytacją, stawia liczne zadania przed jego oficerami, ale nie tak liczne jak przed nim.

— Zjem śniadanie, zanim coś je znów przesunie— oznajmił. Doskonały humor, w jakim był rano, zniknął bez śladu. Wpadnie w całkiem zły nastrój, jeśli ulegnie ludzkim słabostkom.

Gdy wrócił na pokład, fiasko pogoni za „Estrellą” było już boleśnie oczywiste. Szkuner wysunął się przed nich o całe trzy mile i oddalał się w kierunku nawietrznym, tak że „Clorinda” znalazła się prawie w jego śladzie torowym. Brzeg Puerto Rico rysował się już bardzo wyraźnie. „Estrella” wchodziła na wody terytorialne, gdzie była zupełnie bezpieczna. Na „Clorindzie” załoga trudziła się, doprowadzając wszystko do stanu perfekcji — w gruncie rzeczy w niczym się nie różniącego od panującego na niej normalnie — jaki jednostka brytyjska musi prezentować wchodząc do obcego portu i wystawiając się na zawistne spojrzenia obcokrajowców. Pokład doprowadzono do białości aż oślepiającej w tropikalnym słońcu, podobnie — w stopniu nieomal sprawiającym ból, gdy ich odbicie padało prosto w oczy — lśniły elementy metalowe. Wyczyszczone do blasku kordelasy i piki ustawiono w artystycznym ładzie pod grodzią rufową, wszędzie poobkładano na kołkach białe liny bawełniane z ozdobnymi opaskami tureckimi.

— Świetnie, Sir Thomasie — pochwalił Hornblower.

— Władza w San Juan jest reprezentowana przez generała-kapitana, milordzie — rzekł Spendlove.

— Tak. Będę musiał złożyć mu wizytę — westchnął Hornblower. — Sir Thomasie, będę zobowiązany, jeśli zechce mi pan towarzyszyć.

— Tak jest, milordzie.

— Trzeba będzie niestety wystąpić w orderach, Sir Thomasie.

— Tak jest, milordzie.

Fell dostał tytuł rycerski Orderu Łaźni po desperackiej bitwie fregat w 1813. Był to hołd oddany raczej jego odwadze niż umiejętnością zawodowym.

— Szkuner bierze pilota na pokład! — zawołał obserwator z salingu.

— W porządku!

— Niedługo nasza kolej — powiedział Hornblower. — Czas ubrać się pięknie dla naszych gospodarzy. Mam nadzieję, że wdzięczni nam będą, że przybywamy po godzinie sjesty.

Była to również pora, kiedy zaczynała się bryza od morza. Pilot, którego przyjęli na pokład — duży, przystojny kwarteron[15] — wprowadził okręt bez najmniejszej trudności, chociaż sterczał przy nim oczywiście Fell pożerany niepokojem. Hornblower, wolny od wszelkiej tego rodzaju odpowiedzialności, mógł przejść na śródokręcie do furty wejściowej i obejrzeć podejście do miasta. Obecnie panował pokój, lecz Hiszpania, która do niedawna była krajem nieprzyjacielskim,

mogła stać się nim znowu. Tak czy owak nie zaszkodzi, jeśli osobiście zbierze, ile się da, wiadomości o urządzeniach obronnych. Nie potrzebował wiele czasu, żeby zrozumieć, dlaczego San Juan nie zostało nigdy zaatakowane, nie mówiąc już o zdobyciu przez rozlicznych nieprzyjaciół Hiszpanii, przez długi przecież okres istnienia tego miasta. Otaczał je wysoki, gruby mur, z rowami i bastionami oraz zwodzonymi mostami. Na wyniosłym, urwistym cyplu, sterczącym nad wejściem, zamek Morro osłaniał podejścia artylerią. Była też druga forteca — zapewne to San Cristobal — a wzdłuż wybrzeża stała bateria za baterią, z ciężkimi działami widocznymi przez otwory strzelnicze. Nic, poza regularnym oblężeniem, z potężną armią i machinami burzącymi, nie mogło zagrozić San Juan, dopóki miasto było bronione przez dostatecznie liczny garnizon.

Bryza odmorska przywiodła ich do kanału wejściowego. Jak zwykle, Hornblower przeżył moment niepewności, czy Hiszpanie są gotowi oddać salut jego prorocowi, lecz obawa ta rozproszyła się, gdy tylko działa Morro huknęły w odpowiedzi na salut „Clorindy”. Hornblower stał sztywno na baczność, gdy okręt wchodził do portu, a salutowa karonada na dziobówce oddawała strzały w zadziwiająco równych odstępach. Marynarze sprzątnęli żagle w dobrze o nich świadczącym tempie — Hornblower obserwował ich dyskretnie spod runda trój graniastego kapelusza — a potem „Clorinda” wykręciła dziobem do wiatru i linia kotwiczą z wyciem wysunęła się z kluzy. Przez burtę wszedł bardzo opalony oficer, we wspaniałym mundurze, i zaanonsował się w znośnej angielszczyźnie jako lekarz portowy, po czym przyjął oświadczenie Fella, że „Clorinda” nie miała na pokładzie wypadków choroby zakaźnej w ciągu ostatnich dwudziestu jeden dni.

Teraz, gdy znaleźli się wewnątrz portu, gdzie bryza morska docierała z trudnością, a okręt stał unieruchomiony, zaczęli odczuwać obezwładniający upał. Hornblower poczuł natychmiast strumyczki potu pod koszulą i ciężkim mundurem i zaczął kręcić nerwowo głową, dokuczał mu bowiem ucisk wykrochmalonego halsztuka. Króciutki gest stojącego obok Gerarda zwrócił jego uwagę na to, co on sam już zauważył — „Estrella del Sur”, olśniewająco biała, cumowała przy nabrzeżu w ich bezpośredniej bliskości. Miał wrażenie, że odór z jej otwartych luków wciąż dociera do jego nozdrzy. Żołnierze w granatowych mundurach z białymi koalicijkami stali pod komendą sierżanta na nabrzeżu w dosyć niedbałym szeregu. Z ładowni szkunera dobiegał żałosny jęk - długie, płaczliwe zawodzenie. Patrząc dalej ujrzeli rząd nagich Murzynów wychodzących z wysiłkiem z luków. Ledwie się wlekli — a niektórzy nie mogli nawet iść i na czworakach wypelzali z pokładu na nabrzeże.

— Wyładowują towar — powiedział Gerard.

— A przynajmniej jego część — odparł Hornblower. Dzięki studium nad problemem handlu niewolnikami wiedział sporo na ten temat. Tu, w Puerto Rico, zapotrzebowanie na niewolników było niewielkie w porównaniu z Hawaną. Ci, których teraz oglądał, przez czas podróży z Afryki trzymeni byli na pokładach niewolniczych ciasno poukładani, jak łyżka w łyżce, na boku, ze zgiętymi kolanami wsuniętymi pod zgięte kolana sąsiada. Należało się więc spodziewać, że dowódca „Estrelli” skorzysta ze sposobności, żeby porządnie przewietrzyć swój łatwo psujący się towar.

Uwagę ich odwróciło wołanie zza burty. Zbliżała się łódź z flagą hiszpańską na dziobie. Na ławce rufowej siedział oficer we wspaniałym mundurze ze złotymi lamowaniami, w których odbijały się promienie zachodzącego słońca.

— Nadpływa władza — zauważył Hornblower.

Obsadzono burtę i oficer wszedł na pokład przy akompaniamencie gwizdków bosmańskich, podnosząc, jak należało, dłoń w geście pozdrowienia. Hornblower podszedł do Fella, żeby wziąć udział w powitaniu przybysza. Oficer mówił po hiszpańsku, a Hornblower wiedział, że Fell nie zna wcale tego języka.

— Major Mendez-Castillo — przedstawił się oficer. — Pierwszy i główny adiutant jego ekscelencji generał-kapitana Puerto Rico.

Był wysoki i szczupły i miał cienki wąsik, który wyglądał jakby był namalowany tłustą farbą. Patrzył uważnie i wyczekująco na dwóch oficerów z czerwonymi wstęgami i gwiazdami i lśniąщими epoletami, którzy go przyjmowali.

— Witam pana, majorze — odezwał się Hornblower. — Jestem kontradmirał Lord Hornblower, głównodowodzący okrętów i statków jego brytyjskiej królewskiej mości na wodach zachodnioindyjskich. Pozwoli pan, że przedstawię kapitana Sir Thomasa Fella, dowódcę „Clorindy”, fregaty jego brytyjskiej królewskiej mości.

Mendez-Castillo skłonił się obydwóm z ledwie dostrzegalną ulgą, że już wie, kto jest kim.

— Witamy, ekscelencjo, w Puerto Rico — powiedział. — Słyszeliśmy oczywiście że sławny Lord Hornblower jest tu teraz głównodowodzącym i od dawna żywiliśmy nadzieję, że nas zaszczyci swoją wizytą.

— Bardzo dziękuję — odparł Hornblower.

— Witamy również pana, kapitanie, i pański okręt — dodał spieszenie Mendez-Castillo, nie chcąc, żeby wyglądało, iż tak go zafrapowało spotkanie z legendarnym Hornblowerem, że nie poświęcił dostatecznej uwagi komuś, kto był tylko kapitanem. Fell odklonił się niezręcznie — tłumaczenie tych słów nie było potrzebne.

— Jego ekscelencja polecił mi — ciągnął Mendez-Castillo — abym spytał, czy jego ekscelencja może być w jakiś sposób pomocny waszej ekscelencji przy tak ważnej okazji tej wizyty?

W języku hiszpańskim frazeologia tego pompatycznego zdania była jeszcze bardziej zawiła niż w angielskim. A w trakcie jego wypowiedzania Mendez-Castillo zwrócił na moment wzrok ku „Estrelli”. Oczywiście znano już tu wszystkie szczegóły próby pochwylenia jej przez „Clorindę” — znaczna część bezowocnego pościgu musiała być widoczna z Morro. Coś w zachowaniu majora świadczyło, że nie należy mówić na temat „Estrelli”.

— Zamierzamy, majorze, zatrzymać się tu na krótko. Kapitan Fell chce uzupełnić zapas wody na okręcie — rzekł Hornblower. Po tych słowach napięcie w twarzy Mendez-Castilla zelżało natychmiast.

— Oczywiście — odparł z pośpiechem. — Nic łatwiejszego. Dam polecenie kapitanowi portu, żeby udostępnił kapitanowi Fellowi wszystko, co jest do tego celu potrzebne.

— Jest pan nazbyt łaskaw, majorze — podziękował Hornblower. Znowu wymieniono ukłony i Fell też się skłonił, mimo że nie miał pojęcia, o czym była mowa.

— Jego ekscelencja poinformował mnie również — dodał Mendez-Castillo — że spodziewa się, iż wasza ekscelencja zaszczyci go swoją wizytą.

— Ja zaś żywiłem nadzieję, że jego ekscelencja zechce mnie łaskawie zaprosić.

— Jego ekscelencji będzie miło to usłyszeć. Może wasza ekscelencja będzie łaskaw przybyć do jego ekscelencji dziś wieczór? Jego ekscelencja będzie rad przyjąć waszą ekscelencję o ósmej, wraz z członkami sztabu waszej ekscelencji, w La Fortaleze, w pałacu Santa Catalina.

— Jego ekscelencja jest nazbyt dobry. Będziemy naturalnie zachwyceni.

— Powiadomię jego ekscelencję. Może wasza ekscelencja uzna za dogodną, abym przybył na pokład o tym czasie i towarzyszył jego ekscelencji i świcie?

— Będziemy niezmiernie wdzięczni, majorze.

Major oddalił się, raz jeszcze wspomniawszy o kapitanie portu i zaopatrzeniu okrętu w wodę. Hornblower wyjaśnił pokrótce rzecz Fellowi.

— Tak jest, milordzie.

Ale już następny gość wchodził przez burtę okrętu, przysadzisty, mocno zbudowany mężczyzna w olśniewająco białym garniturze i kapeluszu z szerokim rondem, który zdjął ze skrupulatną kurtuazją dotarłszy do pokładu rufowego. Hornblower patrzył, jak przybysz zwraca się do midszypmena wachtowego, widział wahanie na twarzy chłopca, który rzucał wokół spojrzenia, próbując zdecydować, czy ma spełnić prośbę przybyłego.

— W porządku, midszypmenie — wtrącił Hornblower. — Czego chce ten pan?

Sam mógł to odgadnąć bez trudu. Może to być sposobność do nawiązania kontaktu z lądem inną drogą niż przez oficjalne kanały — rzecz zawsze pożądana, a szczególnie w obecnej chwili. Przybysz postąpił do przodu, para jasnych, niebieskich oczu o badawczym spojrzeniu patrzyła przy tym uważnie na Hornblowera.

— Milordzie? — odezwał się. — Potrafił przynajmniej rozpoznać admirała po mundurze.

— Tak. Jestem admirał Lord Hornblower.

— Nie chciałbym sprawiać kłopotu, milordzie, moją sprawą. — Mówił po angielsku jak Anglik, może jak Tynesider[16], ale jakby nie używał tego języka od lat.

— O co chodzi?

— Przybyłem tu, żeby nawiązać kontakt z pańskim stewardem i starszym mesy oficerskiej, a także z intendentem. Jestem, milordzie, głównym dostawcą portu.

Woły na mięso, drób, jaja, świeży chleb, owoce, jarzyny.

— Jak się pan nazywa?

— Eduardo Stuart — Edward Stuart, milordzie. Drugi oficer brygu „Columbine”, z Londynu. Schwytyany, milordzie, w 1806 i przywieziony tu jako jeniec. Ponawiazywałem przyjaźnie, a kiedy w 1808 Donowie[17] przeszli na stronę przeciwnika, zaczęli się jako dostawca okrętowy i mieszkam tu od tego czasu.

Hornblower patrzył na mówiącego równie uważnie, jak on na niego. Mógł się domyślić wiele z tego, co nie zostało powiedziane. Mógł się domyślić bogatego ożenku i może też zmiany religii — chyba że Stuart przyszedł na świat jako katolik, co było całkiem możliwe.

— I jestem do pańskich usług, milordzie — ciągnął Stuart, wytrzymując jego spojrzenie bez mrugnięcia okiem.

— Za chwilę będzie pan mógł rozmawiać z intendentem — odrzekł Hornblower. — Lecz przedtem proszę powiedzieć, jakie wrażenie zrobiło tu nasze przybycie?

Twarz Stuarta zmarszczyła się w szeroki uśmiech.

— Całe miasto, milordzie, wyległo, żeby obserwować pański pościg za „Estrellą del Sur”.

— Tak myślałem.

— Wszyscy cieszyli się ujrzawszy, że panu umknęła. A gdy zobaczyli, że pan nadpływa, obsadzili baterie.

— Naprawdę?

Opinia o Królewskiej Marynarce Wojennej, że działa szybko, a przy tym śmiało i bezwzględnie, musi być ciągle bardzo żywa, skoro choć przez chwilę mogli obawiać się, że jakaś fregata mogłaby w pojedynkę próbować wyprowadzić przyz spod ochrony tak dobrze strzeżonego portu jak San Juan.

— Po dziesięciu minutach nazwisko pańskie, milordzie, można było usłyszeć na każdej ulicy.

Hornblower upewnił się bystrym spojrzeniem, że nie jest to tylko czczy komplement.

— A co zamierza teraz robić „Estrella”?

— Zawinęła tu tylko po to, milordzie, żeby uzupełnić zapas wody i wysadzić na ląd kilku chorych niewolników. Tu jest na nich słaby popyt. Wyjdzie do Hawany natychmiast, gdy się upewni, dokąd pan się udaje, milordzie.

— Natychmiast?

— Odpłynie jutro o świcie, z bryzą lądową, milordzie, chyba że pan będzie czekał na zewnątrz portu.

— Raczej nie będę czekał.

— W takim razie, milordzie, opuszczą port na pewno. Będą chcieli wysadzić ładunek na ląd w Hawanie i sprzedać go przed podpisaniem konwencji przez Hiszpanię.

— Rozumiem — mruknął Hornblower.

Lecz cóż to? Te dawne objawy, łatwe, jak zawsze, do rozpoznania, to przyśpieszone bicie serca, uczucie ciepła pod skórą, ogólny niepokój. Coś wyłaniało się z gmatwaniny myśli, świecił jakiś pomysł. I już po sekundzie Hornblower miał go prawie w polu świadomości, jeszcze w słabych zarysach, jak ląd zaoczony za mgłą, lecz równie pewny i tak samo dodający ducha jak każde zaoczenie lądu. A za tym jednym przebłyskiwały dalsze pomysły. Nie mógł powstrzymać się od spojrzenia na „Estrellę”, oceniając sytuację taktyczną, szukając tam dalszej inspiracji, pragnąc potwierdzenia wniosku, do jakiego doszedł w myślach.

Zdobył się na uprzejme podziękowanie Stuartowi za informacje, nie zdradzając podniecenia i nie kończąc rozmowy w sposób podejrzenie nagły. Słódko do Fella zdecydowało, że Stuart dostanie zamówienie na zaopatrzenie „Clorindy”. Machnąwszy ręką w odpowiedzi na jego podziękowania, Hornblower odwrócił się z pozornie całkowitą obojętnością.

Wokół „Estrelli”, podobnie jak „Clorindy”, panował duży ruch w związku z przygotowaniami do napełniania baryłek na wodę. Trudno było myśleć w tym zgiełku i upale, patrzeć na rozgardiasz na pokładzie. A przecież nadchodził zmrok i wkrótce będzie ósma, godzina jego wizyty u generała-kapitana, toteż rzecz jasna wszystko musi zostać obmyślane przedtem. Były też komplikacje. Pomysły wyłaniały się jeden z drugiego, jak powsadzane jedno w drugie pudełeczka chińskie, i każdemu kolejno trzeba się było przyjrzeć, czy nie ma skaz. Słońce opadło za wzgórze, zostawiając za sobą rozplamione niebo, nim podjął ostateczną decyzję.

— Spendlove! — w podnieceniu mówił lakonicznie. — Proszę ze mną do kajuty.

W obszernej kajucie rufowej było niesamowicie gorąco. Czerwone niebo odbijało się w wodach portu, ale jego wspaniałe blask wpadający przez okna rufowe osłabł po zapaleniu lamp. Hornblower opadł na fotel. Stojąc Spendlove patrzył na niego badawczo. Spendlove zdawał sobie sprawę, że jego głównodowodzący, tak zmienny w nastrojach, głowi się nad czymś poważnie. Ale nawet jego zdumiał naszkicowany pobieżnie plan i wydane rozkazy, tak że ośmielił się zaprotestować.

— Milordzie... — zaczął.

— Panie Spendlove, niech pan wykonuje rozkazy. Ani słowa więcej.

— Tak jest, milordzie.

Spendlove opuścił kajutę i Hornblower został sam ze swoim oczekiwaniem. Minuty — cenne minuty — płynęły wolno. Zostało ich niewiele, kiedy usłyszał wreszcie upragnione pukanie do drzwi. Wszedł Fell, wyraźnie zdenerwowany.

— Ma pan chwilę czasu, milordzie?

— Sir Thomasie, zawsze miło mi widzieć pana tutaj.

— Obawiam się, milordzie, że tym razem chodzi o coś szczególnego. Chciałbym coś zaproponować — coś niezwykłego.

— Zawsze rad słucham czyichś propozycji, Sir Thomasie. Niech pan siada i mówi. Mamy co najmniej godzinę do zejścia na ląd. Jestem bardzo zaintrygowany.

Fell siadł na krześle wyprostowany jak struna, zaciskając kurczowo ręce na poręczy i przełknął dwukrotnie ślinę. Hornblowerowi było przykro, że człowiek, który zaglądał śmierci w twarz, czuje przed nim lęk. Poczł się zakłopotany.

— Milordzie... — zaczął Fell i znowu przełknął ślinę.

— Zamieniam się w słuch, Sir Thomasie — powiedział Hornblower łagodnym tonem.

— Przyszło mi na myśl — raz zacząwszy Fell z każdym słowem mówił coraz płynniej, aż jego mowa stała się gwałtowna — że wciąż mamy szansę, jeśli idzie o „Estrellę”.

— Naprawdę, Sir Thomasie? Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż taka możliwość. Chciałbym usłyszeć, co pan proponuje.

— No więc tak, milordzie. „Estrella” wychodzi w morze jutro. Najprawdopodobniej o świcie, z bryzą od lądu. Dziś w nocy moglibyśmy... moglibyśmy przymocować jej od spodu coś w rodzaju dryfkotwy. Może do steru. Jest od nas szybsza najwyżej o węzeł albo dwa. Moglibyśmy iść za nią i schwytać ją na morzu...

— Świetna myśl, Sir Thomasie. Naprawdę wspaniała — niech mi jednak będzie wolno dodać, że właśnie czegoś takiego można było oczekiwać po żeglarzu o pańskiej reputacji.

— Jest pan nazbyt uprzejmy, milordzie. — Na twarzy Fella widać było wyraźnie wewnętrzną walkę, zanim wydusił z siebie po dłuższym wahaniu: — To pański sekretarz, Spendlove, podał mi tę myśl.

— Spendlove? Wprost trudno mi w to uwierzyć.

— Nie miał dość odwagi, żeby przyjść z tym do pana, więc zwrócił się do mnie.

— Jestem pewien, że nie zrobił nic poza puszczeniem w ruch kółek w pańskim mózgu, Sir Thomasie. W każdym razie skoro pan bierze na siebie odpowiedzialność, to zasługa musi

oczywiście należeć do pana, gdy przyjdzie do nagradzania zasług. Miejmy nadzieję, że nagroda będzie wysoka.

— Dziękuję, milordzie.

— A teraz, co do tej dryfkotwy. Co pan proponuje, Sir Thomasie?

— Wystarczy tej wielkości co duża kotwica pływająca. Sztuka płótna żaglowego Nr 1 zszyta w lej szerszy z jednego końca.

— Trzeba go będzie jednak wzmocnić. Nawet płótno Nr 1 nie wytrzyma naporu wody przy prędkości dwunastu węzłów, jaką rozwija „Estrella”.

— Tak, milordzie, wiem o tym. Trzeba powszywać dużo liklin. Z tym nie będzie, rzecz jasna, trudności. Mamy na pokładzie zapasowy łańcuch watersztagu. Można go wszyć w szerszy obwód dryfkotwy...

— I przymocować do „Estrelli”, żeby przyjął główny napór.

— Tak, milordzie. Tak właśnie myślałem.

— Pozwoli to również utrzymywać dryfkotwę pod wodą, żeby nie było jej widać.

— Tak, milordzie.

Szybkość, z jaką Hornblower chwycił szczegóły techniczne, działała uspokajająca. Zdenerwowanie Fella przeszło w entuzjazm.

— Sir Thomasie, gdzie proponuje pan przymocować tę dryfkotwę?

— Myślałem... Spendlove mówił, milordzie... że można by ją przewlec przez któryś z dolnych czopów steru.

— Ale wtedy zadziaławszy z całą siłą mogłaby oderwać ster.

— To też, milordzie, przysłużyłoby się naszemu celowi.

— Oczywiście, rozumiem.

Fell przeszedł przez kajutę ku wielkiemu, otwartemu teraz iluminatorowi.

— Stąd, gdzie stoimy, nie widać jej, milordzie — powiedział. — Ale można ją słyszeć.

— I czuć nosem — dodał Hornblower stając obok.

— Tak, milordzie. Właśnie splukują statek węzem. Ale, jak powiedziałem, może pan ich słyszeć.

Po wodzie razem z wyziewami z „Estrelli” dobiegały wyraźnie ciągle zawodzenia nieszczęsnych niewolników. Hornblowerowi wydało się nawet, że słyszy szczęk kajdan na ich nogach.

— Sir Thomasie — rzekł — sędzę, że dobrze byłoby, gdyby opuścił pan teraz łódź na wodę, żeby krążąc wokół okrętu strzegła go w nocy.

— Pilnować okrętu, milordzie? — Fell nie od razu pojął, co Hornblower miał na myśli. W marynarce wojennej w czasie pokoju nie trzeba było podejmować skomplikowanych środków ostrożności dla zapobiegania dezercji.

— Ależ tak, koniecznie. Połowa załogi udałaby się wpław na brzeg po zapadnięciu nocy. Na pewno zdaje sobie pan z tego sprawę, Sir Thomasie. Musimy zapobiec ich pragnieniu dezercji z tej brutalnej służby. A w każdym razie łódź strażnicza nie dopuści do sprzedawania alkoholu przez furty strzelnicze.

— Mhm... tak, chyba tak, milordzie. — Lecz Fell dalej nie był w stanie domyślić się, co się kryje za tą propozycją, toteż Hornblower musiał mu pomóc.

— Miejmy łódź strażniczą spuszczoną już teraz, przed zapadnięciem zmroku. Wytłumaczę władzom, po co jest to konieczne. Potem, gdy nadejdzie pora...

— Będziemy ją mieli gotową na wodzie! — Nareszcie Fellowi rozjaśniło się w głowie.

— Bez zwracania uwagi — dorzucił Hornblower.

— Oczywiście!

Krwawy blask zachodzącego słońca ukazał ożywioną twarz Fella.

— Niech pan zaraz wyda odpowiedni rozkaz, Sir Thomasie. Ale zostało nam już mało czasu. Muszą zacząć robić gryfkotwę przed naszym odpłynięciem na ląd.

— Mam już wydać rozkazy, milordzie?

— Dla Spendlove'a liczby to żaden problem. Może obliczyć wymiary. Zechce pan, Sir Thomasie, posłać łaskawie po niego?

W kajucie robiło się ciasno od ludzi w miarę rozdzielania pracy. Najpierw przybył Spendlove, potem posłano po Gerarda, następnie po Seftona, pierwszego oficera. Za nimi przybył żaglomistrz, zbrojmistrz, cieśla i bosman. Żaglomistrzem był starszy wiekiem Szwed — wcielony siłą do Brytyjskiej Marynarki Wojennej dwadzieścia lat temu po jakiejś bezpardonowej akcji łapankowej pozostał w służbie do chwili obecnej. Na jego pooraną zmarszczkami twarz wyływał szeroki uśmiech rozjaśniający ją jak okno po wybiciu szyby, w miarę jak wysłuchując planu zaczynał rozumieć jego zalety. Już chciał trzepnąć się z uciechy po udach, lecz powstrzymała go świadomość, że znajduje się w dostojnej obecności admirała i dowódcy okrętu. Spendlove szkicował ołówkiem dryfkotwę na kawałku papieru, a Gerard zaglądał mu przez ramię.

— Może i ja mógłbym coś dorzucić do tego pomysłu — odezwał się Hornblower i wszyscy obrócili wzrok na niego. Na spojrzenie Spendlove'a odpowiedział martwym wyrazem oczu, nie pozwalając mu w ten sposób napomknąć nawet słówkiem, że cały ten plan wyszedł właśnie od niego.

— Tak, milordzie? — powiedział wyczekująco Fell.

— Linka z nici konopnej — wyjaśniał Hornblower — przymocowana do węższego końca dryfkotwy i przeciągnięta do przodu, a drugi jej koniec uwiązany do łańcucha. Wystarczy jedna pokrętka, żeby utrzymać dryfkotwę końcem do przodu przy nabieraniu prędkości przez „Estrellę”. Potem, gdy postawią tam żagle i przyjdzie napór wody...

— Nic pęknie! — wykrzyknął Spendlove. — Ma pan rację, milordzie. — Dryfkotwa nabierze wody...

— I, miejmy nadzieję, „Estrella” będzie nasza — zakończył Hornblower.

— Doskonale, milordzie — powiedział Fell.

Czyżby wyrzekł te słowa tonem leciutko protekcyjnym, z odcieniem łaskawości? Hornblower przez moment czuł się dotknięty tym do żywego. Fell już nabrał przekonania, że cały pomysł jest jego własny, chociaż poprzednio przyznał lojalnie, że Spendlove ma w nim udział — i teraz pozwalał łaskawie Hornblowerowi dorzucić drobną propozycję. Hornblower jednak stłumił irytację, kwitując w duchu cynicznym uśmiechem słabość natury ludzkiej.

— W stymulującej atmosferze pomysłów — rzekł skromnie — trudno się człowiekowi nie zarazić.

— T...ak, milordzie — odparł Gerard, obrzucając go zaciekawionym spojrzeniem. Gerard był w sumie bardzo bystry i zbyt dobrze go znał. Wyczuł w słowach Hornblowera ton udawanej skromności i był bliski odgadnięcia prawdy.

— Nie ma potrzeby, panie Gerard, żeby pan wtrącał swoje trzy grosze — zareplikował ostro Hornblower. — Mam przypominać panu o tym, co do pana należy? Gdzie mój obiad, panie Gerard? Czy zawsze muszę być głodny, kiedy jestem pod pańską pieczęcią? Co powie Lady Barbara, gdy się dowie, że pozwala mi pan chodzić o pustym brzuchu?

— Przepraszam, milordzie — wybąkał Gerard zupełnie stropiony. — Całkiem zapomniałem... milord był taki zajęty...

Ogromnie zakłopotany kręcił się po zatłoczonej kajucie jakby się rozglądając za nie podanym obiadem.

— Teraz nie czas na to, panie Gerard — zdecydował Hornblower. Do momentu, gdy argument ten stał mu się potrzebny dla odwrócenia uwagi Gerarda, sam nie pamiętał o obiedzie. — Miejmy nadzieję, że ekscelencja zaproponuje nam małą przekąskę.

— Muszę naprawdę prosić pana, milordzie, o wybaczenie — dołączył się Fell, też zmieszany.

— Och, Sir Thomasie, nie ma o czym mówić — odrzekł Hornblower, gniewnym ruchem ręki przerywając przeprosiny. — Obaj jesteśmy w tym samym położeniu. Panie Spendlove, niech mi pan da spojrzeć na ten szkic.

Wciąż tak się składało, że wbrew sobie musiał grać rolę porywczego, starszego pana. Złość mu jednak mijała w miarę ponownego sprawdzania szczegółów budowy dryfkotwy. Wyraził swoją aprobatę.

— Sądzę, Sir Thomasie, że zdecydował pan powierzyć wykonanie dryfkotwy panu Seftonowi, podczas gdy my będziemy na lądzie?

Fell potwierdził skinieniem głowy.

— Panie Sefton, pan Spendlove będzie na pańskie rozkazy. Pan Gerard będzie towarzyszył Sir Thomasowi i mnie. Nie wiem, Sir Thomasie, co pan postanowił, lecz proponowałbym, żeby na przyjęcie u jego ekscelencji wziął pan któregoś z poruczników i midszypmena.

— Tak jest, milordzie. — Panie Sefton, mogę ufać, że zakończy pan tę pracę do naszego powrotu, na początku pierwszej wachty po północy?

— Tak, milordzie.

A więc wszystko załatwione, i teraz nastąpi męczący okres czekania. Tak właśnie bywa na wojnie, czekanie w pogotowiu na zbliżanie się decydującego momentu.

— Obiad, milordzie? — zaproponował skwapliwie Gerard.

Nie miał chęci na obiad. Teraz, gdy załatwił już co było trzeba i napięcie zelżało, poczuł się zmęczony.

— Zawołam Gilesa, jak poczuję się głodny — odrzekł tocząc spojrzeniem po zatłoczonej kajucie. Zapragnął, żeby wszyscy poszli sobie i szukał w myślach słów, jakimi mógłby ich odesłać w uprzejmy sposób.

— Wobec tego, milordzie, zajmę się innymi moimi obowiązkami — odezwał się nagle Fell niespodziewanie taktownie.

— Proszę bardzo, Sir Thomasie, dziękuję panu.

Kajuta szybko opustoszała. Wystarczyło spojrzenie Hornblowera, żeby Gerard przestał ociągać się z wyjściem. Mógł teraz zasiąść znowu w fotelu i odetchnąć, ignorując świadomie Gilesa, który wniósł jeszcze jedną zapaloną lampę do pociemniałej kajuty. Okręt rozbrzmiewał odgłosami towarzyszącymi załadunkowi wody, piszczały krążki w blokach linowych, zgrzytały pompy, słychać było rozkazy rzucane ochrypłym głosem, i hałas ten przeszkadzał myślom Hornblowera płynąć jakimś ustalonym torem. Na pół drzemał, gdy pukanie do drzwi poprzedziło wejście midszypmena.

— Kapitan przysyła wyrazy szacunku. Od lądu płynie łódź.

— Pozdrowienia dla kapitana. Zaraz przychodzę na pokład.

W ciemnościach portu łódź z lądu jaśniała oświetlona latarnią zawieszoną nad ławką rufową i ukazującą błyszczący od ozdób mundur Mendez-Castilla. Zeszli do niej: midszypmen, porucznicy, kapitan i admirał, w porządku odwrotnym w stosunku do zasady obowiązującej przy wchodzeniu na jednostki marynarki wojennej. Mocne pociągnięcia wiosel poniosły ich czarną wodą ku miastu znaczącemu się nielicznymi światłami. Przepłynęli blisko „Estrelli”. Na jej takielunku wisiała latarnia, ale widocznie pobieranie wody zostało zakończone, bo wokół panował spokój.

Jednakże z otwartych luków dochodził nieustanny cichy lament. Może niewolnicy opłakiwali odejście tych, których od nich zabrano, albo wyrażali obawy o czekającą ich przyszłość. Hornblower pomyślał, że ci nieszczęśnicy, wyrwani z domów, załadowani na statek, jakiego nigdy przedtem nie widzieli, i pilnowani przez białych (a dla nich białe twarze muszą być równie niezwykle, jak byłyby dla Europejczyka szmaragdowozielone), mogli być w tym samym stopniu niepewni swego losu jak on sam, gdyby się znalazł na innej planecie.

— Jego ekscelencja — przemówił Mendez-Castillo za jego plecami — miał przyjemność zadecydować, że przyjmie waszą ekscelencję z wszelkimi honorami.

— Niezwykle to uprzejmie ze strony jego ekscelencji — odparł Hornblower, z trudem wracając do swoich bieżących obowiązków i z większym jeszcze trudem formułując to zdanie po hiszpańsku.

Sternik wychylił rumpel i łódź ostro skręciła za róg nabrzeża. Ujrzeni jasno oświetlony pomost, a za nim masywną bramę wjazdową. Łódź zacumowała przy pomoście. Pół tuzina postaci w mundurach stanęło na baczność, gdy schodzili na ląd.

— Tędy, wasza ekscelencjo — powiedział półgłosem Mendez-Castillo.

Przeszli przez bramę na dziedziniec oświetlony dziesiątkami latarni rzucających blask na żołnierzy ustawionych w dwa potrójne szeregi. W momencie wejścia Hornblowera na dziedziniec jakiś głos rzucił rozkaz sprezentowania muszkietów i w tej samej chwili zagrała orkiestra. Usłyszawszy swoim głuchym na tony uchem niezgrane dźwięki, Hornblower stanął na baczność z dłonią u ronda trójganiastego kapelusza. Towarzyszący mu oficerowie poszli jego śladem i stali tak, dopóki nie umilkł ogłuszający hałas muzyki, odbity echem i zwielokrotniony przez otaczające ich mury.

— Świetnie wyglądają ci żołnierze, majorze — zauważył Hornblower patrząc na równe szeregi białych bandoletów.

— Wasza ekscelencja jest nazbyt łaskaw. Czy wasza ekscelencja zechce się udać w stronę wejścia frontowego?

Imponująca kondygnacja schodów, po obu stronach obstawionych postaciami w mundurach,

dalej otwarte podwoje i wielka sala. Po dłuższej naradzie szeptem między Mendez-Castillą a urzędnikiem przy drzwiach zaanonsowano ich głośno po hiszpańsku — Hornblower pożegnał się już z nadzieją, że kiedykolwiek usłyszy własne nazwisko wymówione poprawnie w obcym języku.

Centralna postać w sali podniosła się z fotela — prawie tronu — aby stojąc powitać brytyjskiego głównodowodzącego. Był to mężczyzna znacznie młodszy, niż oczekiwał Hornblower, niewiele po trzydziestce, o ciemnej cerze i szczupłej, ruchliwej twarzy, której pogodny wyraz kłócił się z haczykowatym, aroganckim nosem. Mundur jego lśnił od złotych obszywek, na piersiach wisiał Order Złotego Runa.

Mendez-Castillę dokonał prezentacji. Anglicy pochylili się w niskim ukłonie przed przedstawicielem jego arcykatolickiej królewskiej mości, a on odklonił się uprzejmie każdemu. Mendez-Castillę ośmielił się nawet podać półgłosem tytuły gospodarza — naruszając przypuszczalnie etykietę, należało bowiem przyjąć, że są one gościom dobrze znane.

— Jego ekscelencja markiz de Ayora, generał-kapitan dominium Puerto Rico jego arcykatolickiej królewskiej mości.

Ayora przywitał ich serdecznym uśmiechem.

— Wiem, ekscelencjo — powiedział — że mówi pan po hiszpańsku. Miałem już przyjemność słyszeć pana rozmawiającego.

— Naprawdę, ekscelencjo?

— Byłem majorem migueletów pod Clarosem w czasie ataku na Rosas. Miałem zaszczyt służyć u boku waszej ekscelencji — pamiętam dobrze waszą ekscelencję. Wasza ekscelencja nie będzie mnie naturalnie pamiętała.

Udawanie, że tak nie jest, byłoby bez sensu — Hornblowerowi zabrakło tym razem słów i tylko skłonił się po raz drugi.

— Ekscelencja — ciągnął Ayora — bardzo mało się zmienił od tamtego czasu, jeśli wolno mi to powiedzieć. A minęło już jedenaście lat.

— Ekscelencja jest nazbyt łaskaw. — To jeden z najbardziej przydatnych zwrotów przy wymianie kurtuazyjnych grzeczności.

Ayora miał też słówko dla Fella — komplement o wyglądzie jego okrętu — oraz dodatkowy uśmiech dla młodszych oficerów. Potem, jakby właśnie nadszedł odpowiedni moment, Mendez-Castillo zwrócił się do nich.

— Może panowie pozwolą, że przedstawię ich damom z towarzystwa? — rzekł. Jego wzrok prześliznął się po Hornblowerze i Fella i zatrzymał się na oficerach i midszypmenach. Hornblower przetłumaczył im jego słowa i patrzył, jak oddalają się nieco zdenerwowani pod eskortą Mendez-Castilla.

Ayora, wbrew etykiecie i manierom hiszpańskim, nie tracił czasu i znalazłszy się sam na sam z Hornblowerem i Fellem, z miejsca przystąpił do rzeczy.

— Obserwowałem przez lunetę pościg panów za „Estrellą del Sur” — powiedział i Hornblower znowu nie potrafił znaleźć słów, zaś ukłon i uśmiech wydały mu się tu nie na miejscu. Patrzył więc tylko zakłopotany.

— Jest to sytuacja nienormalna — ciągnął Ayora. — Stosownie do wstępnej umowy między naszymi rządami Brytyjska Marynarka Wojenna ma prawo aresztować na pełnym morzu statki hiszpańskie wiozące niewolników. Lecz wszedłszy na hiszpańskie wody terytorialne te statki są bezpieczne. Gdy zostanie podpisana nowa konwencja o tłumieniu handlu niewolnikami, statki te przejdą drogą konfiskaty na rzecz rządu jego arcykatolickiej królewskiej mości, lecz do tego czasu jest moim obowiązkiem zapewnić im wszelką możliwą ochronę.

— Ekscelencja ma oczywiście całkowitą słuszość — odparł Hornblower. Fell spoglądał tępo, nie rozumiejąc wcale, o czym jest mowa, lecz Hornblower czuł, że nie zdobędzie się na wysiłek tłumaczenia.

— I zamierzam w pełni wykonać mój obowiązek — dodał twardo Ayora.

— Naturalnie — zgodził się Hornblower.

— Może zatem będzie najlepiej, jeśli porozumiemy się jasno co do przyszłych kroków.

— Niczego bardziej nie pragnę, ekscelencjo.

— A zatem ustalamy, że nie będę tolerował żadnego ingerowania w sprawę „Estrelli”, jak długo przebywa na wodach objętych moją jurysdykcją?

— Oczywiście, to rzecz zrozumiała, ekscelencjo — odparł Hornblower.

— „Estrella” chce wyjść z portu jutro o pierwszym brzasku.

— Tak właśnie przypuszczałem, ekscelencjo.

— I dla dobrych stosunków między naszymi rządami najlepiej będzie, jeśli pański okręt odczeka w porcie, aż „Estrella” wypłynie.

Twarde spojrzenie Ayory napotkało wzrok Hornblowera. Twarz hiszpana była kamienna, a we wzroku nie wyczuwało się groźby. Lecz groźba taka była w podtekście jego słów, w poczuciu własnej, przeważającej siły. Na rozkaz Ayory setka trzydziestodwufuntowych armat omiecie ogniem baseny portowe. Hornblowerowi przypomniawszy się Rzymianin, który przyznawał rację swemu cesarzowi, bo niedobrze jest spierać się z władcą trzydziestu legionów. Przyjął tę pozę, na ile pozwalały mu jego zdolności aktorskie. Uśmiechnął się uśmiechem człowieka umiejącego elegancko przegrywać.

— Mieliśmy szansę, ekscelencjo, i zaprzepaściliśmy ją — odrzekł. — Nie możemy się

właściwie użalać.

Jeśli Ayora poczuł jakąś ulgę po tym przyznaniu, to była ona prawie równie niewyczuwalna jak poprzednio jego aluzja o sile.

— Wasza ekscelencja wykazuje duże zrozumienie sytuacji — powiedział.

— Pragniemy naturalnie wykorzystać bryzę od lądu, żeby odpłynąć jutro rano — dodał uprzejmie Hornblower. — Teraz, gdy uzupełniliśmy wodę — za umożliwienie nam tego musimy podziękować waszej ekscelencji — nie chcielibyśmy zbyt nadużywać gościnności waszej ekscelencji.

Hornblower starał się jak mógł zachowywać pozory niewinności pod badawczym spojrzeniem Ayory.

— Posłuchajmy może, co ma do powiedzenia kapitan Gomez — odparł Ayora, odwracając się, żeby skinąć na stojącego opodal mężczyznę. Był to młody człowiek, wybitnie przystojny. Miał na sobie proste, lecz eleganckie granatowe ubranie, a u boku szpadę z posrebrzaną rękojeścią.

— Pozwoli pan — ciągnął Ayora — że przedstawię Don Miguela Gomeza y Gonzaleza, dowódcę „Estrelli del Sur”?

Panowie wymienili ukłony.

— Chciałbym pogratulować, kapitanie, sprawności morskiej pańskiego okrętu.

— Bardzo dziękuję, senior.

— „Clorinda” to szybka fregata, lecz pański statek przewyższa ją prędkością niezależnie od kierunku wiatru względem kursu statku. — Hornblower nie bardzo wiedział, jak oddać to techniczne określenie po hiszpańsku, ale został jakoś zrozumiany.

— Jeszcze raz bardzo dziękuję, senior.

— Ośmieliłbym się nawet — Hornblower rozłożył ręce w samokrytycznym geście — pogratulować dowódcy świetnego prowadzenia „Estrelli”.

Kapitan Gomez skłonił się i wtedy Hornblower zreflektował się nagle. Bardzo dobrze, ale nie można przesadzać z komplementowaniem na modłę hiszpańską. Nie chciał robić wrażenia, że jest człowiekiem pragnącym do przesady zadowolić każdego, lecz rzut oka na twarz Gomeza uspokoił jego obawy. Malował się na niej głupawy, afektowany uśmiech — tylko tak można było to określić. Hornblower uznał go za młodzieńca bardzo zdolnego i wielce w sobie zadufanego. Nie zaszkodzi jeszcze jeden komplement.

— Poddam myśl moim władzom — ciągnął — żeby się zwróciły o pozwolenie na skopiowanie sylwetki „Gwiazdy Południa” i zapoznanie się z jej planem ożaglowania w celu zbudowania podobnej jednostki. Byłaby idealna do zadań marynarki wojennej na tych wodach.

Niełatwo będzie jednak, rzecz jasna, znaleźć odpowiedniego dowódcę.

Gomez skłonił się raz jeszcze. Trudno nie być zadowolonym z siebie, gdy się słucha komplementów z ust żeglarza o legendarnej sławie.

— Jego ekscelencja — wtrącił Ayora — pragnie opuścić port jutro rano.

— Tak też przypuszczaliśmy — odparł Gomez.

Nawet Ayora wyglądał na lekko zakłopotanego tym oświadczeniem. Hornblower widział to wyraźnie. Stuart, tak ochotnie służący informacjami, nie zawahał się pomóc obu stronom, jak zresztą Hornblower się spodziewał. Poszedł prosto do władz hiszpańskich z tym, czego się dowiedział od niego. Hornblower nie chciał jednak, żeby jakiś zgrzyt wkraść się do rozmowy.

— Rozumie pan, kapitanie, że chciałbym wyjść przy tej samej wysokiej wodzie i pod tą samą bryzą od lądu, która wyniesie pana. Po naszych dzisiejszych doświadczeniach boję się, że nie potrzebuje pan żywić żadnej obawy.

— Żadnej — powiedział Gomez, uśmiechając się nieco protekcyjnie. Ta zgoda była wszystkim, czego pragnął Hornblower. Z trudem ukrył ulgę.

— Będzie moim obowiązkiem ruszyć za panem w pościg, jeśli pańska jednostka była jeszcze w polu widzenia po moim wyjściu z portu — dodał przeproszającym tonem. Spojrzeniem dał do zrozumienia, że kieruje te słowa zarówno do generała-kapitana, jak i Gomeza. Lecz to Gomez pośpieszył z odpowiedzią.

— Nie boję się — rzekł.

— W takim razie, wasza ekscelencjo — zamknął sprawę Hornblower — mogę oficjalnie powiadomić waszą ekscelencję, że okręt jego królewskiej mości, nad którym powiewa mój proporzec, opuści port jutro rano, o tak wczesnej porze, jak to będzie dogodne dla kapitana Gomeza.

— Uzgodnione — zgodził się Ayora. — Ogromnie żałuję, że wizyta waszej ekscelencji będzie taka krótka.

— W życiu marynarza — odrzekł Hornblower — obowiązek wciąż, jak się wydaje, staje w sprzeczności z chęciami. W każdym razie w czasie tej krótkiej wizyty miałem przyjemność poznać pana, ekscelencjo, i kapitana Gomeza.

— Jest wiele innych osób pragnących zawrzeć znajomość z waszą ekscelencją — powiedział Ayora. — Czy mogę je przedstawić waszej ekscelencji?

Wszystko, co miało być załatwione tego wieczora, zostało załatwione, a teraz trzeba było tylko przebrnąć przez część oficjalną. Zgodnie z przewidywaniem i obawą Hornblowera dalsza część przyjęcia była nudna i równie nieciekawi byli przedstawiani mu kolejno portorykańscy magnaci. O północy Hornblower poszukał wzrokiem Gerarda i przywołał swoich ludzi do siebie. Ayora zauważył ten gest i w kurtuazyjnych słowach wyraził pozwolenie na odejście, co musiał uczynić

jako reprezentant jego katolickiej królewskiej mości, aby nie zarzucono gościom, że są niegrzeczni.

— Wasza ekscelencja będzie z pewnością potrzebował wytchnienia przed jutrzejszym wczesnym wyjściem — rzekł. — Nie będę zatem zatrzymywał waszej ekscelencji, chociaż bardzo sobie cenimy jego tu obecność.

Po słowach pożegnania Mendez-Castillo podjął się odprowadzenia gości z powrotem na „Clorindę”. Hornblower był nieco zaskoczony, że orkiestra i gwardia honorowa wciąż czekały na dziedzińcu, żeby oddać mu oficjalne honory przy odejściu. Stał salutując przez czas, gdy orkiestra grała nierówno jakąś melodię, a potem wszyscy zeszli do czekającej łodzi.

Płynęli przez basen portowy w czarnych jak smoła ciemnościach, których prawie nie rozpraszały nieliczne światła. Opłynęli róg nabrzeża i znowu przeszli za rufą „Estrelli”. Z grotmasztu zwisała jedyna latarnia, a na statku panował spokój. Nie — w ciszy nocnej Hornblower usłyszał w pewnej chwili cichy pobrzęk kajdanów na nogach. Pewnie któryś z niewolników w ładowni nie spał jeszcze i kręcił się niespokojnie. To dobrze. Z oddali po czarnej jak atrament wodzie poniosło się spokojnie obwołanie od strony plamki czerni gęściejszej od otaczających ją ciemności.

— Flagowy — odkrzyknął midszypmen. — „Clorinda”.

Te dwa krótkie słowa to było wszystko, czego potrzeba, żeby powiadomić łódź strażniczą o zbliżaniu się admirała i dowódcy okrętu.

— Jak pan widzi, majorze — zauważył Hornblower — kapitan Fell uznał za konieczne, aby łódź strażnicza krążyła przez noc wokół okrętu.

— Tak przypuszczałem, wasza ekscelencjo — odparł Mendez-Castillo.

— Nasi marynarze stanęliby na głowie, żeby się zanurzyć w rozkoszach, jakie ofiarowuje ład.

— Naturalnie, wasza ekscelencjo — zgodził się Mendez-Castillo.

Łódź dobiła do burty „Clorindy”. Stojąc chwiejnie na ławce rufowej Hornblower wypowiedział ostatnie słowa pożegnania i wyraził ostatnie słowa podziękowania przedstawicielowi gospodarza, zanim wszedł na okręt. Z furty wejściowej patrzył, jak łódź odbija i znika w ciemności.

— Teraz — rzekł — możemy zrobić lepszy użytek z czasu, jaki nam został.

Na pokładzie głównym, słabo widoczne w świetle latarni na grotsztagu, leżało coś, bo tylko tak można było określić rzecz wykonaną z płótna żaglowego i lin, z odcinkiem łańcucha przymocowanym na końcu. Obok stał Sefton.

— Widzę, panie Sefton, że już pan skończył.

— Tak, milordzie. Pełną godzinę temu. Żaglomistrz z pomocnikami spisali się doskonale.

Hornblower zwrócił się do Fella.

— Przypuszczam, Sir Thomasie — powiedział — że ma pan już obmyślane rozkazy. Może mi je pan przedtem zdradzi?

— Tak jest, milordzie.

Ta niezmienna odpowiedź, obowiązująca w marynarce wojennej, była jedyną, jaką mógł dać Fell w takich okolicznościach, choćby nawet nie przemyślał do końca czekających go problemów. Gdy znalazł się sam na sam z Hornblowerem pod pokładem, nie bardzo jednak wiedział, co mówić.

— Przypuszczam — podpowiedział Hornblower — że wyznaczy pan ludzi do tego zadania. Któremu oficerowi może pan zaufać, że zachowa całkowitą dyskrecję? Krok po kroku ustalono szczegóły. Silni pływacy, umiejący pracować pod wodą; pomocnik zbrój mistrza, któremu można spokojnie powierzyć założenie w ciemnościach ostatniej szekli na łańcuch. Wyznaczona obsada łodzi została wezwana i poinformowana szczegółowo o planie. Gdy łódź strażnicza podeszła do burty, żeby zmienić obsadę, czekający w pogotowiu ludzie weszli do niej szybko i cicho, mimo że nieśli ze sobą to c o ś i niezbędny ekwipunek.

Łódź odbiła w ciemnościach. Stojąc na pokładzie rufowym Hornblower odprowadzał ją wzrokiem. Może z tego wyniknąć incydent na skalę międzynarodową albo on sam wyjdzie na durnia w oczach świata, co będzie rzeczą nie mniej fatalną. Wyteżył słuch, pragnąc wyłowić w ciemności jakieś odgłosy, które by mu powiedziały, jak posuwa się praca. Nie usłyszał jednak nic. Zaczęła się właśnie bryza lądowa, lekka, lecz wystarczająca, żeby obrócić „Clorindę” na kotwicy. Pomyślał, że odwieje każdy odgłos od okrętu — ale równocześnie uciszy wszelkie podejrzone hałasy, jeśliby ktoś na „Estrelli” nastawiał na nie uszy. Statek ten, jak się należało spodziewać, miał duży nawis rufowy ze sporym wychyłem. Pływak, dotarłszy niespostrzeżenie pod rufę, będzie z pewnością mógł nie zauważony majstrować przy sterze.

— Milordzie — odezwał się obok Gerard przyciszonym głosem. — Czy nie jest to odpowiedni czas na wypoczynek?

— Ma pan zupełną słuszość, panie Gerard. Jak najbardziej odpowiedni — przyznał Hornblower, dalej opierając się o reling rufowy.

— A zatem, milordzie?...

— Przyznałem panu rację, panie Gerard. Czyż nie zadowala to pana?

Jednakże głos Gerarda rozbrzmiewał dalej, nieubłagany jak głos sumienia.

— Milordzie, w kajucie podano wołowinę na zimno. Świeży chleb i butelkę bordo.

To zmieniało postać rzeczy. Hornblower nagle poczuł, że jest bardzo głodny. W ciągu ubiegłych trzydziestu godzin jadł tylko jeden posiłek, bo zimna kolacja, na którą liczył na przyjęciu, nie została podana. Mógł jednak dalej udawać, że jest wyższy ponad słabości ciała.

— Z pana, panie Gerard, byłaby doskonała mamka — rzekł — gdyby natura szczodrzej pana wyposażyla. Boję się jednak, że mój żywot stanie się nie do zniesienia, jeśli nie ulegnę pańskiej natarczywości.

Idąc w stronę zejściówki, minęli się z Fellem. Chodził w ciemnościach tam i z powrotem po pokładzie rufowym, słyszeli jego ciężki oddech. Hornblower stwierdził z przyjemnością, że nawet mężczyźni będący, jak Fell, uosobieniem tężyzny fizycznej mogą odczuwać niepokój. Zaproszenie, żeby Fell zjadł z nim zimną kolację, byłoby uprzejmym, nawet miłym gestem, lecz odsunął tę myśl. Miał już i tak dość towarzystwa Fella.

W oświetlonej kajucie czekał Spendlove.

— Zleciały się sępy — zazartował Hornblower. Ubawił go widok twarzy Spendlove'a, również bladej, z wyrazem napięcia. — Mam nadzieję, że panowie zjedzą ze mną posiłek.

Młodzi oficerowie jedli w milczeniu. Hornblower kontemplował przez chwilę aromat wina w szklance.

— Sześć miesięcy w tropikach nie wyszło temu bordo na dobre — orzekł, pociągawszy łyk. Jego opinia, jako gospodarza, admirała i starszego wiekiem, powinna była zostać przyjęta z respektem. Spendlove przerwał milczenie zapadłe po tych słowach.

— Ta linka konopna, milordzie — zaczął. — Naprężenie rozrywające...

— Panie Spendlove — przerwał mu Hornblower. — Żadna dyskusja nie zmieni już niczego. Dowiemy się w odpowiednim czasie. A na razie nie psujmy sobie obiadu rozmową na tematy techniczne.

— Przepraszam, milordzie — wycofał się skonfundowany Spendlove. Czy tylko zbiegiem okoliczności, czy może dzięki telepatii Hornblower myślał właśnie o naprężeniu potrzebnym do rozerwania kawałka tej długości linki przytrzymującej dryfkotwę, lecz ani mu się śniło przyznać się do tego. Obiad włókł się dalej.

— No cóż — odezwał się Hornblower — możemy uznać, że sprawy przyziemne istnieją od tak dawna, że zasługują na toast. Za pogłównie.

Wychylając szklanki, usłyszeli nie pozostawiające wątpliwości odgłosy na pokładzie i za burtą. Łódź strażnicza wróciła ze swej wyprawy. Spendlove i Gerard wymienili spojrzenia i już byli gotowi zerwać się z miejsc, ale Hornblower, zadając sobie gwałt, przechylił się na oparcie fotela i pokiwał smętnie głową, wciąż trzymając szklankę w dłoni.

— Bardzo niedobre to bordo, panowie — stwierdził. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i przyszła oczekiwana wiadomość.

— Wyrazy szacunku od kapitana, milordzie. Łódź wróciła.

— Pozdrowienia ode mnie dla kapitana. Niech przyjdą tu z porucznikiem, jak tylko będą

możli.

Jedno spojrzenie na wchodzącego Fella wystarczyło, żeby się zorientować, że — przynajmniej jak dotąd — wyprawa się powiodła.

— Wszystko w porządku, milordzie — zameldował Fell, z twarzą pałającą podnieceniem.

— Doskonale. — Porucznik był siwowłosym mężczyzną, starszym wiekiem od Hornblowera i Hornblower musiał pomyśleć, że gdyby nie łańcuch pomyślnych zbiegów okoliczności przy kilku okazjach, on sam też byłby tylko porucznikiem. — Usiądziecie, panowie? Szklaneczkę wina? Panie Gerard, proszę łaskawie zatroszczyć się o szklanki. Sir Thomasie, czy pozwoli pan, że wysłucham opowieści pana Fielda z jego własnych ust?

Porucznik Field nie był szczególnie wymowny i trzeba było wyciągać z niego relację pytaniami. Wszystko przebiegło dobrze. Dwaj silni pływacy z uczernionymi twarzami ześliznęli się z łodzi strażniczej i nie zauważeni podpłynęli do „Estrelli”. Przy pomocy noży podważyli osłonę z blachy miedzianej na drugim członie zawieszenia steru, pod linią wodną. Potem wykonali świdrem otwór dostateczny na przesunięcie przez niego liny. Najryzykowniejszą częścią zadania było podejście łodzią strażniczą dostatecznie blisko i wyrzucenie za burtę dryfkotwy po jej przytwierdzeniu do liny, lecz według słów Fielda nie było słyhać żadnego obwołania z „Estrelli”. Za liną poszedł łańcuch i został bezpiecznie zaszeklowany. Teraz dryfkotwa wisi u rufy „Estrelli”, zupełnie niewidoczna pod wodą, gotowa do stawiania oporu sterowi, gdy — i jeżeli — pęknie pokrętka linki utrzymująca ją w odwróconym kierunku.

— Doskonale — powtórzył Hornblower, gdy Field jękając się wyrzekł ostatnie zdanie. — Bardzo dobrze się pan spisał, dziękuję panu, panie Field.

— Dziękuję, milordzie.

Po wyjściu Fielda Hornblower mógł zwrócić się do Fella.

— Pański plan, Sir Thomasie, został świetnie zrealizowany. Teraz pozostaje tylko schwytać „Estrellę”. Usilnie zalecałbym panu poczynić wszystkie przygotowania do wyjścia z portu o świcie. Im szybciej ruszymy po odpłynięciu „Estrelli”, tym lepiej, nie uważa pan?

— Tak jest, milordzie.

Dźwięk dzwonu okrętowego na pokładzie uprzedził następne pytanie, jakie chciał zadać Hornblower.

— Trzy godziny do świtu — rzekł. — Powiem więc panom dobranoc.

Dzień był pracowity od wczesnego ranka, wypełniony nieustanną pracą, jeśli nie fizyczną, to umysłową. Po długim, upalnym wieczorze Hornblower miał wrażenie, że napuchłe stopy są dwa razy większe niż zwykle, i że się nie mieszczą w trzewikach ozdobionych złotymi sprzączkami — ledwie udało mu się ściągnąć je z nóg. Zdjął wstęgę, gwiazdę i lamowany złotem mundur, myśląc z niechęcią, że za trzy godziny będzie musiał wkładać znowu to wszystko na uroczystość wypłynięcia.

Przetarł ciało gąbką zmoczoną w misce z wodą i z westchnieniem ulgi padł na koję w sypialnej części kajuty.

Zbudził się automatycznie w trakcie wywoływania wachty. W kajucie było jeszcze, zupełnie ciemno i przez kilka sekund nie wiedział, co go tak wewnętrznie popędza. Ale zaraz sobie przypomniał i natychmiast ocknął się całkowicie. Krzyknął do wartownika u drzwi, żeby posłano po Gilesa. Ogolił się przy blasku lampy z gorączkowym pośpiechem i wdziawszy znieprawiony mundur galowy pośpieszył trapem na pokład rufowy. Wokół noc była jeszcze czarna jak smoła. Nie, chyba jednak rozwidniało się nieznacznie. Niebo nad Morro było jakby nieco jaśniejsze. Może. Na pokładzie rufowym roiło się od majaczących postaci — było ich więcej nawet niż powinno, z załogą na stanowiskach w gotowości do ruszania w drogę. Na ich widok omal nie zawrócił, żeby się nie zdradzić, że podlega tym samym słabościom co inni, lecz Fell już go dojrzał.

— Dzień dobry, milordzie.

— Dzień dobry, Sir Thomasie.

— Jest silna bryza od lądu, milordzie.

Nie było co do tego wątpliwości, Hornblower czuł wokół siebie jej oddech, rozkoszny po piekielnej duszności kajuty. Tu, w tropikach, w środku lata taka bryza trwa krótko. Ustanie, gdy tylko słońce podnosząc się nad widnokrąg zacznie wywierać swój potężny wpływ na ląd.

— „Estrella” szykuje się do wypłynięcia, sir.

Co do tego też nie było wątpliwości, odgłosy przygotowań dobiegały stamtąd w półmroku po wodzie.

— Nie muszę pytać, Sir Thomasie, czy pan jest gotów.

— Wszystko gotowe, milordzie. Marynarze czekają przy kabestanie.

— Doskonale.

Z całą pewnością było już widniej, postacie na pokładzie rufowym — rysując się teraz znacznie wyraźniej — przeszły wszystkie na prawą burtę i oblepiły reling. Wyjęto pół tuzina lunet i skierowano na „Estrellę”.

— Proszę zrobić z tym koniec, Sir Thomasie. Niech ich pan odeśle pod pokład.

— Bardzo chcą zobaczyć...

— Wiem, co chcą zobaczyć. Niech ich pan natychmiast odeśle pod pokład.

— Tak jest, milordzie.

Wszyscy oczywiście bardzo chcieli się przekonać, czy widać coś na linii wodnej u rufy

„Estrelli”, co mogłoby zdradzić rezultat pracy wykonanej tej nocy. Nie było jednak pewniejszego sposobu zwrócenia uwagi dowódcy statku, że coś podejrzanego może się kryć pod rufą „Estrelli”, niż kierowanie lunet na to miejsce.

— Oficerze wachtowy!

— Milordzie?

— Proszę pilnować, żeby nikt ani przez moment nie patrzył przez lunetę na „Estrellę”.

— Tak jest, milordzie.

— Gdy rozjaśni się na tyle, że dobrze będzie widać, może pan omieść lunetą port, jak się tego po panu oczekuje. Na „Estrellę” nie więcej niż pięć sekund, lecz proszę niczego nie przeoczyć.

— Tak jest, milordzie.

Niebo na wschodzie przybrało teraz kolor jasnej zieleni i żółci. Na jego tle wspaniale, chociaż niewyraźnie, rysowała się sylwetka Morro, lecz w cieniu fortecy wszystko było jeszcze ciemne. Można było odczuć romantyzm chwili, nawet jeśli się jeszcze nie jadło śniadania. Hornblowerowi przyszło do głowy, że sama obecność admirała na pokładzie rufowym o tak wczesnej porze mogłaby wzbudzić podejrzenia.

— Sir Thomasie, schodzę pod pokład. Proszę informować mnie na bieżąco.

— Tak jest, milordzie.

W kajucie dziennej Gerard i Spendlove poderwali się na jego wejście, przypuszczalnie byli wśród tych, których przepędzono pod pokład.

— Panie Spendlove, korzystam z chwalebego przykładu, jaki dał pan wczoraj. Zjem śniadanie, póki to jest możliwe. Będzie pan łaskaw zamówić śniadanie, panie Gerard? Sądzę, że zechcą panowie sprawić mi przyjemność swoim towarzystwem.

Opadł niedbale na krzesło i przyglądał się przygotowaniom. Gdy były już w pół drogi, zastukał Fell i wszedł do kajuty.

— Milordzie, „Estrella” jest już wyraźnie widoczna. A spod jej rufy nic nie wystaje.

— Dziękuję, Sir Thomasie.

Kubek kawy był rzeczą pożądaną o tej porze ranka, i Hornblower nie musiał udawać, że pilno mu go wypić. Światło dzienne wpelzające przez okna kajuty sprawiało, że blask lampy stał się rażący i zbędny. Znowu pukanie i w drzwiach stanął midszypmen.

— Wyrazy szacunku od kapitana, milordzie. „Estrella” rzuca cumy.

— W porządku.

Wkrótce ruszy, i to, co do niej przyczepili, zostanie poddane próbie. Hornblower siłą zmusił się, żeby ugryźć i przeżuć jeszcze kęs grzanki.

— Czy wy, młodzi, nie potraficie usiedzieć spokojnie ani przez chwilę? — warknął. — Gerard, proszę mi dolać kawy.

— „Estrellę” przeciągają do kanału wejściowego, milordzie — meldował znów midszypmen.

— W porządku — rzekł Hornblower i popijał z grymaśną miną kawę, ale miał nadzieję, że nikt się nie domyśla, jak galopuje mu puls. Minuty wlokły się.

— „Estrella” szykuje się do stawiania żagli, milordzie.

— W porządku. — Hornblower powolnym ruchem odstawił kubek i podniósł się z krzesła jak umiał najwolniej. Wciąż czuł na sobie oczy obu młodzieńców.

— Myślę — rzekł przeciągając słowa — że teraz możemy wyjść na pokład.

Stąpając tak wolno, jak gdy kiedyś pełnił na pogrzebie Nelsona rolę żałobnika, minął wartę i zaczął wchodzić po trapie — obaj idący za nim młodzieńcy musieli hamować niecierpliwość. Na pokładzie było oślepiająco jasno, bo słońce wzniosło się już nad Morro. Środkiem toru wodnego w odległości mniej niż kabla sunęła „Estrella”, lśniąca białą farbą. W momencie, gdy spoczął na niej wzrok Hornblowera, jej kliwer pomknął w górę, chwycił wiatr i obrócił okręt. W następnej chwili wypełnił się grotżagiel. „Estrella” położyła się na kurs i zaczęła nabierać prędkości. Po kilku sekundach mijała już „Clorinę”. Teraz nadeszła właściwa chwila. Fell, z oczyma utkwionymi w „Estrelli”, mruczał coś do siebie i kłął z podniecenia. „Estrella” oddała salut banderą. Na jej pokładzie Hornblower rozpoznał postać Gomeza, który stojąc kierował manewrami szkunera. Gomez też go spostrzegł i ukłonił się, przykładając kapelusz do piersi. Hornblower odpowiedział tym samym gestem.

— Nie robi nawet dwóch węzłów — zauważył.

— Bogu za to dzięki — odrzekł Fell.

„Estrella” szła ku wyjściu, przygotowując się do zmiany halsu w kierunku morza. Gomez świetnie ją prowadził pod wszystkimi normalnymi żaglami.

— Mam już ruszać za nią, milordzie?

— Myślę, Sir Thomasie, że czas.

— Załoga do kabestanów! Szoty kliwrów, panie Field!

Nawet prędkość dwóch węzłów będzie wywierała wpływ naprężający na ten kawałek linki. Ale linka nie może pęknąć — nie wolno jej — póki „Estrella” nie wyjdzie na dobre w morze.

Ochocze ramiona i silne grzbiety wybrały linię kotwiczną „Clorindy” prawie do pionu.

— Hej tam, przygotować karonadę do salut!

„Estrella” przeszła na inny hals, jej grotżagiel zniknął już prawie za zakrętem. Fell rzucał rozkazy, starając się mimo podniecenia wyprowadzać „Clorindę” na morze spokojnie i pewnie. Hornblower obserwował go uważnie. Była to niezła próba jego ewentualnego zachowania się w boju, sposobu wprowadzania okrętu w tuman i szal bitewny.

— Do brasów grotmarsla!

Fell robił zwrot wielką fregatą tak samo sprawnie jak Gomez „Estrella”. „Clorinda” położyła się na kurs i nabierała prędkości sunąc kanałem wyjściowym.

— Załoga ustawia się przy relingu!

Cokolwiek działo się za zakrętem, cokolwiek stawało się z „Estrellą”, już będącą poza zasięgiem widzenia, ceremoniał musiał zostać dopełniony. Można było zaangażować do tego dziewięć dziesiątych załogi „Clorindy”. Na okręcie idącym wolno z bryzą od lądu wystarczała jedna dziesiąta ludzi, żeby nim manewrować. Hornblower wyprostował się i z dłonią przy kapeluszu obrócił twarz ku fladze hiszpańskiej nad Morro. Obok stał Fell, a w tyle reszta oficerów według starszeństwa. Odezwał się salut i został odwzajemniony, bandery pochylili się z szacunkiem.

— Z powrotem na stanowiska!

Zbliżali się do zakrętu. W każdej chwili któraś z tych szczyrzących zęby armat na górze mogła oddać w ich stronę wystrzał ostrzegający, że setka dalszych dział jest gotowa roztrzaskać fregatę w drzazgi. Stałoby się tak, gdyby dryfkotwa zaczęła w sposób zauważalny oddziaływać na „Estrellę”.

— Do brasów grotmarsla! — dobiegł znowu rozkaz Fella.

Dawał się już odczuwać wpływ ogromnych fal atlantyckich. Hornblower czuł, jak dziób „Clorindy” chwilami dźwiga się przerażająco wysoko.

— Lewo na burtę! — „Clorinda” spokojnie zmieniała hals. — Wstrzymywać! Tak trzymać!

Ledwie fregata ustawiła się na nowym kursie, gdy „Estrellą” stała się znów widoczna, o milę przed nimi, dziobem zwrócona prawie w przeciwnym kierunku. Bogu dzięki, wciąż idzie pod częściowo tylko postawionymi żaglami, przygotowując się do ostatniej zmiany halsu przy wyjściu z kanału na ocean. Grotmarsel „Clorindy” załopotał przelotnie, gdy wzniesienie Morro zasłoniło ją przed bryzą lądową, lecz zaraz się wypełnił. „Estrellą” wykonywała kolejny zwrot. Wychodziła już prawie poza zasięg dział z Morro. — W prawo ster! — dobiegł rozkaz Fella. — Tak trzymać.

Bryza lądowa dmuchała teraz prosto w rufę, ale coraz słabiej, częściowo z powodu większego oddalenia okrętu od brzegu, a częściowo wskutek nasilającego się żaru słonecznego.

— Postawić grotżagiel!

Fell postępuje całkiem słusznie, należy się śpieszyć, żeby okręt nie wytracił prędkości w strefie bezwietrznej między bryzą lądową, a pasatem. Olbrzymia powierzchnia płótna grotżagla niosła dzielnie „Clorinę” do przodu, i znów było słychać szum prutej dziobem wody. „Estrella” wyszła już z kanału. Patrząc za nią z niepokojem Hornblower widział, jak stawiano na niej fokżagiel, sztaksle i kliwry, faktycznie wszystkie żagle skośne. Płynęła na północ ostrym bejdewindem, oddalając się w prostej linii od lądu. Musiała chwycić pasat i brała — bardzo rozsądnie — kierunek północny. Idąc swoim kursem na Old Bahama Channel i Hawanę będzie przecież musiała obchodzić Haiti po nawietrznej przed jutrzejszym rankiem. Znajdowali się na tyle daleko od Morro i od „Estrelli”, że obserwacja jej przez lunety nie będzie wzbudzała podejrzeń. Hornblower patrzył długo i uważnie. Nie dostrzegł nic niezwykłego w jej wyglądzie. Pomyślał nagle, że Gomez odkrył może dryfkotwę pod rufą, kazał ją odciąć i w tej chwili pęka ze śmiechu ze swoimi oficerami, spoglądając na brytyjską fregatę płynącą z najlepszymi nadziejami w ślad za nimi.

— Ster w prawo! — dobiegł znów rozkaz Fella, i „Clorinda” po raz ostatni zmieniła kurs.

— Znaki nabieżnikowe w linii, sir! — zameldował oficer nawigacyjny, patrząc z rufy przez lunetę na ląd.

— W porządku. Tak trzymać.

Napotykanne teraz fale były prawdziwymi atlantyckimi wałami wodnymi, wpierały się pod dziób, dźwigając go w górę z prawej burty, potem przesuwwały się pod dnem. Wtedy dziób leciał w dół, a lewa ćwiartka rufowa wlatywała wysoko. W przodzie „Estrella” dalej szła ostrym bejdewindem na północnym kursie, pod żaglami skośnymi.

— Robi jakieś sześć węzłów — ocenił Gerard stojący ze Spendlovem o jard od Hornblowera.

— Ta linka powinna trzymać jeszcze przy sześciu węzłach — powiedział niepewnie Spendlove.

— Sonda nie sięga dna! — zameldował sondujący z ławy wantowej.

— Cała załoga do stawiania żagli!

Gwizdki poniosły rozkaz po okręcie. Rozpostarto bramsle i bombramsle, wkrótce „Clorinda” miała postawione wszystkie żagle, do ostatniego skrawka płótna.

Bryza lądowa jednak zamierała szybko i „Clorinda” z trudem utrzymywała sterowną prędkość. Raz i drugi żagle załopotwały jak grzmot, ale fregata jeszcze szła wytyczonym kursem, sunąc wolno po błękitnym morzu pod słońcem lejącym na nią żar z błękitnego, prawie bezchmurnego nieba.

— Nie daję rady trzymać kursu, sir — zameldował sternik.

„Clorinda” myszkowała niemrawo pod naporem potężnych fal atlantyckich. „Estrella”, daleko przed nimi, znikła już prawie za widnokregiem. Ale oto nadleciał, jeszcze słabiutki, powiew innego

powietrza. Hornblower poczuł jego prawie niewyczuwalne łaskotanie na spoczonej twarzy na długo przed reakcją „Clorindy”. Powiew był istotnie całkiem inny, nie to gorące powietrze bryzy lądowej, lecz chłodniejsze, pasatowe, odświeżone przelotem nad trzema tysiącami mil oceanu. Żagle łopotały i drżały. „Clorinda” zaczynała coraz bardziej odchodzić od kursu.

— Nadchodzi! — krzyknął Fell. — Pełnymi żaglami ostro na wiatr.

Nadleciał silniejszy powiew i ster mógł złapać opór wody. Cisza, następny powiew, znowu cisza i jeszcze jedno dmuchnięcie, a każde następne było silniejsze. Któryś z kolei powiew nie zamarł. Wiał, przechylając „Clorindę” na burtę. Wielka fala uderzyła w dziób z prawej burty, rozbijając się w olśniewające tęcze. Złapali wiatr pasatowy i będą mogli płynąć bejdewindem na północ śladem torowym „Estrelli”. Owiani świeżym, czystym wiatrem, z poczuciem, że robią z niego skuteczny użytek, marynarze znów się ożywili. Na twarzach pojawiły się uśmiechy.

— Milordzie, na „Estrelli” nie postawiono jeszcze marsli — zameldował Gerard wciąż z lunetą przy oku.

— Wątpię, czy to zrobią, płynąc kursem północnym — odparł Hornblower.

— Idąc bejdewindem może się wysunąć na nawietrzną i zyskać w kierunku na wiatr — zauważył Spendlove — Tak jak zrobiła wczoraj.

Wczoraj? To było zaledwie wczoraj? Równie dobrze mogło być miesiąc temu, tak wiele zdarzyło się od wczorajszej pogoni.

— Czy uważa pan, że dryfkotwa powinna już wywierać jakiś wpływ? — spytał Fell podchodząc do nich.

— Praktycznie żaden, sir — odpowiedział Spendlove. — Żaden, póki linka trzyma ją końcem do przodu.

Fell wbił swoją wielką dłoń w drugą, pocierając kostkami o jej wewnętrzną stronę.

— Jeśli idzie o mnie — odezwał się Hornblower i oczy wszystkich zwróciły się na niego — to zamierzam rozstać się z galowym mundurem. Lżejszy mundur i luźniejszy halsztuk.

Może sobie Fell zdradzać niepokój i zdenerwowanie, on sam zejdzie pod pokład, jakby się w ogóle nie interesował wynikiem przedsięwzięcia. W rozgrzanej kajucie z ulgą zdjął galowy strój — dziesięć funtów sukna i złotych obszywek — a Giles przygotował mu czystą koszulę i białe drelichowe spodnie.

— Wezmę kąpiel — oświadczył po namyśle.

Wiedział doskonale, że według Fella admiralskie pluskanie się pod pompą pokładową i polewanie go wężem przez szczerzących zęby marynarzy nie licuje z powagą stanowiska i jest niebezpieczne dla dyscypliny, lecz nie zgadzał się z nim i nie dbał o jego zdanie. Żadne nędzne nacieranie się gąbką nie mogło zastąpić kąpeli. Marynarze pompowali ochoczo, a Hornblower z

lekceważeniem pozorów charakterystycznym dla starszego wieku podskakiwał pod kłującymi strugami wody. Włożenie czystej koszuli i spodni sprawiło mu teraz podwójną przyjemność. Wracając na pokład czuł się jak nowo narodzony, a jego beztroska, gdy zdenerwowany Fell podszedł do niego, nie była tak całkiem udawana.

— Milordzie, znów ucieka od nas — zameldował Fell.

— Wiemy, Sir Thomasie, że stać ją na to. Możemy tylko czekać, aż zmieni hals i postawi marsie.

— Jak długo pozostaje w naszym polu widzenia... — dodał Fell.

„Clorinda” płynęła przechylona na burtę, torując sobie drogę przez fale na północ.

— Sir Thomasie, widzę przecież, że robimy wszystko, co możliwe — rzekł uspokajająco Hornblower.

Ranek włókł się powoli. Rozległ się gwizdek „Do grogu!” Fell przychylił się do zdania oficera nawigacyjnego, że już jest południe, i posłano marynarzy na obiad. Luneta nakierowana z pokładu rufowego na prawo od dziobu pozwalała dojrzeć mignięcia żagli „Estrelli” nad widnokręgiem tylko w chwilach, gdy „Clorinda” podnosiła się na fali. Na szkunerze wciąż jeszcze nie postawiono marsli. Gomez czyni to świadomie, wiedząc że pod bejdewindem jego statek lepiej się sprawnia bez żagli rejowych — jeśli oczywiście nie robią sobie tam zabawy ze swych prześladowców. Wzgórza Puerto Rico skryły się za widnokrąg, pozostawszy daleko, daleko za rufą.

A pieczeń wołowa na obiad, ze świeżej wołowiny, twarda, łykowata i bez żadnego smaku, bardzo Hornblowera rozczarowała.

— Milordzie, Stuart mówił, że przysyła mi najlepszą polędwicę, jaką można dostać na wyspie — tłumaczył się Gerard w odpowiedzi na wymówki Hornblowera.

— Chciałbym mieć go tutaj — odrzekł Hornblower. — Kazałbym mu to zjeść, bez soli, do ostatniego kęsa. Sir Thomasie, proszę przyjąć moje wyrazy ubolewania.

— Ee... tak, milordzie — odrzekł Fell zaproszony na obiad do admirała. Przeprosiny gospodarza wyrwały go z własnych rozmyślań. — Ta dryfkotwa...

Wypowiedziawszy te słowa — a raczej to jedno, specjalne — nie był w stanie powiedzieć więcej. Patrzył przez stół na Hornblowera. Jego twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi — przy takich rysach ceglastoczerwone policzki zawsze robiły dziwne wrażenie — zdradzała niepokój, podkreślany wyrazem oczu.

— Dowiemy się wszystkiego — odparł Hornblower — jeśli nie dziś, to kiedyś później.

To była prawda, chociaż można ją było wyrazić uprzejmiej.

— Staniemy się pośmiewiskiem Wysp — mruknął Fell.

Trudno wyglądać bardziej nieszczęśliwie niż on w tej chwili. Hornblower sam był skłonny pożegnać się z nadzieją, ale widok rozpaczliwego podwładnego sprowokował jego przekorną naturę.

— Jest olbrzymia różnica między sześcioma węzłami, jakie „Estrella” robi teraz idąc bejdewindem, a dwunastoma, jakie będzie osiągać, kiedy odpadnie od wiatru — powiedział. — Obecny tu pan Spendlove powie panu, że opór wody jest proporcjonalny do kwadratu prędkości. Czy nie tak, panie Spendlove?

— Może raczej proporcjonalny do sześciastu lub jeszcze wyższej potęgi, milordzie.

— A zatem, Sir Thomasie, wciąż jeszcze jest nadzieja. Po zmianie kursu przez „Estrellę” na linkę zacznie działać siła ośmiokrotnie większa niż teraz.

— A do tego linka zacznie się już przecierać, milordzie — dorzucił Spendlove.

— Jeśli ubiegłej nocy nie zauważyli dryfkotwy i nie odcięli jej — mrucał Fell, wciąż z ponurą miną.

Gdy wyszli znów na pokład rufowy, słońce chyliło się ku zachodowi.

— Hej, saling! — krzyknął Fell. — Czy ciągle widać ścigany obiekt?

— Tak, sir. Kadłub pod widnokregiem, ale reszta dobrze widoczna. Jakies dwa rumby po nawietrznej od dziobu.

— Odsunęła się na północ tyle, ile potrzebuje — mrucał Fell. — Czemu nie zmienia kursu?

Nie pozostało nic do zrobienia, tylko czekać i cieszyć się świeżym wiatrem i białobłękitnym morzem, lecz teraz była to słaba przyjemność, a i morze nie wydawało się tak błękitne. Nic do roboty, tylko czekanie, a minuty wloką się jak godziny. I wtedy stało się.

— Hej, pokład! Obiekt ścigany zmienia kurs w lewo. Płynie pełnym wiatrem.

— Doskonale.

Fell potoczył wzrokiem po twarzach oficerów na pokładzie rufowym. Na jego obliczu było to samo napięcie co u pozostałych.

— Panie Sefton, zmienić kurs o cztery rumby w lewo.

Zamierzał rozegrać grę do końca, mimo że i wczorajsze doświadczenie, i dzisiejsze mówiło, że w normalnych warunkach „Clorinda” nie miała szans na przechwycenie zbiega.

— Hej, pokład! Stawiają marsie. I bramsle też, sir!

— Doskonale.

— Teraz rychło się dowiemy — zauważył Spendlove. — Jeśli dryfkotwa działa, to „Estrella” musi tracić na prędkości. M u s i.

— Hej, pokład! Kapitanie, sir! — Głos obserwatora nasilił się do podnieconego krzyku. — Wykręciła na wiatr! Żagle pracują wstecz! Poszła stenga fokmasztu, sir.

— I czopy steru — dorzucił Hornblower ochrypłym głosem.

Fell zaczął skakać, a właściwie tańczyć po pokładzie. Wnet się jednak opanował.

— Dwa rumb w prawo — rozkazał. — Panie Jones, niech pan wejdzie na saling i poda mi ich zamiar.

— Zwijają grotzagiel! — krzyknął obserwator.

— Próbują jeszcze pójść fordewindem — zauważył Gerard.

— Kapitanie, sir! — To Jones wołał z salingu. — Płyniemy o rumb na zawietrzną od nich.

— Doskonale.

— Idzie pełnym wiatrem — nie, sir, żagle pracują wstecz!

A więc to coś przytrzymuje „Estrellę” za ogon, jej wysiłki będą tak daremne, jak szarpanie się łani w pazurach lwa.

— Steruj małymi wychyleniami, ty... — rzucił Fell do sternika, dodając na końcu brzydkie przekleństwo.

Wszyscy byli podnieceni, każdego wydawała się nękać obawa, że „Estrella” odetnie szczątki i jakoś się wymknie. — Bez steru nie będzie mogła trzymać kursu — zauważył Hornblower. — A przecież straciła też fokstengę.

I znów czekanie, ale teraz zupełnie inne. Walcząc z falami „Clorinda”, jakby zaraziwszy się podnieceniem, nagłym zrywem skoczyła ku ofierze, pędząc naprzód do triumfu.

— Jest! — powiedział Gerard, patrząc przez lunetę. — Żagle wciąż jeszcze biorą z przodu.

Gdy następna fala uniosła „Clorindę” w górę, wszyscy zobaczyli szkuner. Zbliźali się szybko ku niemu. Przedstawiał opłakany, żaloszny widok, z fokstenga odłamaną u nasady i żaglami łopoczącymi na wietrze.

— Przygotować pościgówkę dziobową! — rozkazał Fell. — Oddać strzał przed jej dziób.

Wystrzelono pocisk. Na szkunerze coś pofrunęło na pik grotzagiela i rozwinęło się w czerwień i złoto Hiszpanii. Wisiało tak przez moment, a potem wolno osunęło się na dół.

— Gratulacje, Sir Thomasie, z okazji powodzenia pańskiego planu — powiedział Hornblower.

— Dziękuję, milordzie — odparł Fell. Twarz jaśniała mu zadowoleniem. — Nie mógłbym niczego dokonać bez akceptacji moich propozycji przez waszą lordowską wysokość.

— Bardzo to miło z pańskiej strony, Sir Thomasie — skwitował jego słowa Hornblower, odwracając się, żeby popatrzeć na przyz.

„Estrella” przedstawiała smutny widok, coraz żałośniejszy, w miarę jak przybliźali się do niej

i wyraźniej widzieli płataninę szczątków wleczonych przy dziobie i oderwany ster na rufie. Gdy dryfkotwa zaczęła działać, jej nagłe szarpnięcie, o wielkiej sile i dużym momencie obrotowym, złamało lub wyrwało czopy z solidnego brązu, na których był zawieszony ster. Sama dryfkotwa, obciążona łańcuchem, dalej wisiała niewidoczna pod dyndającym sterem. Gomez, sprowadzony triumfalnie na pokład „Clorindy”, wciąż nie miał pojęcia, co spowodowało katastrofę i nie domyślał się przyczyny utraty steru. Ten młody, przystojny mężczyzna zachował się z godnością w obliczu niezasłużonego pecha. Przykro jednak było patrzeć, jak się zmienił, usłyszawszy prawdę. Bardzo przykro. Widok młodzieńca załamującego się na oczach swych pogromców zmącił nawet radość z triumfu. Ostatecznie jednak uwolniono ponad trzystu niewolników.

Hornblower dyktował raport do ich lordowskich wysokości. Spendlove, wśród swych zadziwiających zalet posiadający znajomość nowo wymyślonej stenografii, pisał z szybkością nadającą płynność kulejącym zdaniom Hornblowera — nie przyswoił on sobie jeszcze sztuki dyktowania.

„Konkludując — dyktował Hornblower — jest mi szczególnie miło zwrócić uwagę ich lordowskich wysokości na pomysłowość i zachowanie kapitana Sir Thomasa Fella, które umożliwiło to przykładowe zdobycie statku”.

Spendlove podniósł wzrok znad papieru i popatrzył na Hornblowera. Znał prawdę. Lecz niewzruszone spojrzenie, jakim odpowiedział Hornblower, powstrzymało go od odezwania się.

— I zwykle urzędowe zakończenie — dodał Hornblower.

Nie musi wyjaśniać sekretarzowi swoich motywów. Nie potrafiłby zresztą, nawet gdyby próbował. Wcale nie czuł teraz do Fella większej sympatii niż przedtem.

— I jeszcze list do mojego agenta — powiedział.

— Tak jest, milordzie — odrzekł Spendlove odwracając kartkę.

Hornblower zaczął układać w myślach zdania do następnego listu. Chciał powiedzieć, że ponieważ szkuner dostał się do niewoli dzięki przyjęciu propozycji Sir Thomasa, on sam rezygnuje z dochodzenia udziału w pogłównem. Jego życzeniem jest, żeby suma przypadająca na admirała dostała się Sir Thomasowi.

— Nie — zdecydował. Zostawmy to jednak.

— Tak jest, milordzie.

Można przekazywać innemu wyróżnienia i zaszczyty, ale nie pieniądze. Byłoby w tym coś rzucającego się w oczy, coś podejrzanego. Sir Thomas mógłby się domyślić, poczuć się zraniony w swojej dumie, a tego Hornblower wolał nie ryzykować. Mimo wszystko chciałby bardziej lubić Sir Thomasa.

Piraci wyprowadzeni w pole

Och, dziewczeczki we Francji są słodkie i-i frywolne

A u-usteczka flamandzkie ponętne.

To młody Spendlove wyśpiewywał z zapalem o dwa tylko pokoje od apartamentu Hornblowera w Domu Admiralicji, a brzmiało to tak, jakby był w tym samym pomieszczeniu, bo wszystkie okna pootwierano szeroko, żeby wpuścić jamajską bryzę morską.

I słodkie dziewczęta I-ita-alii...

To Gerard dołączył się do niego.

— Pozdrowienia ode mnie dla panów Gerarda i Spendlove'a — powiedział ze złością Hornblower do Gilesa pomagającego mu przy ubieraniu — i niech się skończy ta kocia muzyka. Powtórz, żebyś dobrze zapamiętał słowa.

— Panowie, pozdrowienia od jego lordowskiej wysokości i niech się skończy ta kocia muzyka — powtórzył służbiście Giles.

— W porządku. Biegnij i powiedz im to.

Giles pognał, a Hornblower stwierdził z satysfakcją, że śpiew urwał się nagle. Fakt, że ci dwaj młodzi ludzie śpiewali i, co więcej, zapomnieli, że admirał jest w zasięgu słyszenia, dowodził, że są w doskonałym nastroju. Nic zresztą dziwnego, bo stroili się na bal. Nie mogło to być jednak wymówką, wiedzą przecież doskonale, że ich głównodowodzący jest głuchy na tony i nie cierpi muzyki. Powinni też zdawać sobie sprawę, że właśnie przez ten bal będzie drażliwszy niż zazwyczaj, bo będzie musiał spędzić długi wieczór, słuchając uprzykrzonych dźwięków, przesłodzonych i drażniących równocześnie. Znajdzie się tam na pewno jakiś stolik do wista, niejeden zresztą — pan Hough orientuje się z pewnością, co lubi jego najważniejszy gość — lecz spodziewać się, że żadne odgłosy muzyki nie będą docierać do pokoju karcianego, to byłoby za wiele. Tak więc perspektywa balu wcale tak nie radowała Hornblowera, jak jego oficera flagowego i sekretarza.

Zawiązał biały halsztuk i jakoś doprowadził go do geometrycznej symetrii, a Giles pomógł mu wdziąć czarny smoking. Hornblower obejrzał się w lustrze oświetlonym przez świece okalające jego ramę. Można wytrzymać, stwierdził. Wiele przemawiało na korzyść przyjmującego się coraz szerzej w okresie pokoju obyczaju, że oficerowie marynarki wojennej i wojskowi pokazywali się w ubraniach cywilnych. To samo można by powiedzieć o szerzeniu się mody czarnych smokingów dla mężczyzn. Barbara pomogła mu wybrać ten właśnie i pilnowała dopasowywania go przez krawca. Krój ma świetny, orzekł Hornblower, to zbliżając się do lustra, to oddalając, a w bieli i czerni było mu bardzo do twarzy. „Tylko dżentelmeni mogą się ubierać na czarno i biało” — orzekła Barbara, a jemu przyjemnie było to usłyszeć.

Włożył na głowę podany przez Gilesa cylinder i popatrzył uważnie, jak wygląda w tym dodatkowym elemencie ubrania męskiego. Potem wziął białe rękawiczki i nie zapomniawszy o zdjęciu cylindra, wyszedł przez drzwi, które Giles przed nim otworzył, by znaleźć się w korytarzu, gdzie Gerard i Spendlove, w swoich najlepszych mundurach, czekali na niego.

— Przepraszam, milordzie, w imieniu Spendlove'a i moim, za to śpiewanie — powiedział Gerard.

Mitygujący wpływ czarnego ubrania wieczorowego sprawił, że zamiast ostrej reprimendy Hornblower zapytał:

— Panie Spendlove, co powiedziałaaby panna Lucy, gdyby usłyszała pana wyśpiewującego o dziewczeczkach Francji?

Spendlove uśmiechnął się czarująco na te słowa.

— Muszę prosić waszą lordowską wysokość o jeszcze jedną łaskę. Niech pan jej o tym nie mówi — rzekł.

— Zgoda, ale pod warunkiem, że od teraz będzie się pan zachowywał przyzwoicie — odparł Hornblower.

Przed drzwiami frontowymi Domu Admiralicji czekał otwarty powóz, czterech marynarzy z lampami dodatkowo oświetlało zejście słabo widoczne w blasku lamp portyku. Hornblower wsiadł do powozu i usadowił się wygodnie. Tu, na lądzie, przepisy etykiety były inne. Brakowało mu rozdzierających uszy dźwięków piszczałek, które w jego odczuciu powinny mu teraz towarzyszyć, jak towarzyszyłyby, gdyby zstępował do łodzi. Do powozu oficer starszy rangą wsiadał pierwszy, tak że kiedy już w nim siedział, Spendlove i Gerard musieli obejść wehikuł naokoło, żeby wejść przez drugie drzwiczki. Gerard zajął miejsce obok Hornblowera, a Spendlove naprzeciwko, plecami do koni. Trzasnęły drzwi i powóz wytoczył się przez bramę z latarniami po obu stronach w ciemną jak smoła noc jamajską. Wdychając ciepłe, tropikalne powietrze Hornblower przyznał niechętnie w duchu, że być na balu to ostatecznie nie taki wielki trud.

— Spendlove, może pan myśli o bogatym ożenku? — spytał. — O ile wiem, panna Lucy dziedziczy wszystko. Radziłbym panu jednak upewnić się przed wszczęciem wiążących kroków, czy nie ma jakichś kuzynów ze strony ojca.

— Bogaty ożenek mógłby być pożądanym, milordzie — dobiegła z ciemności odpowiedź Spendlove'a — ale muszę panu przypomnieć, że w sprawach sercowych jestem upośledzony od urodzenia — a w każdym razie od mego chrztu.

— Od pańskiego chrztu? — zdziwił się Hornblower.

— Tak, milordzie. Może pan pamięta, jak mam na imię?

— Erazm — odparł Hornblower.

— No właśnie, milordzie. Nie nadaje się do zdrobnień. Czy jakaś kobieta może się zakochać w Erazmie? Czy mogłaby wyszeptać czule: „Erazmku, kochanie”?

— Myślę, że jednak tak — zastanawiał się Hornblower.

— Obym żył dosyć długo, żeby to usłyszeć — odrzekł Spendlove.

Bardzo było przyjemnie jechać tak przez jamajską noc w powozie zaprzężonym w dwa dobre konie, w towarzystwie dwóch miłych młodzieńców, zwłaszcza że po dobrym wykonaniu zadania zasługiwał na wytchnienie. Na jednostkach pod jego dowództwem panuje ład, patrolowanie Karaibów przebiega zadowalająco, a szmugiel i piractwo zostały zredukowane do niewielkich rozmiarów. Dziś wieczorem nie jest za nic odpowiedzialny. Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, absolutnie żadne. Niebezpieczeństwo jest daleko, za horyzontem czasu i przestrzeni. Może swobodnie oprzeć się o skórzane poduszki powozu, trochę tylko uważając, żeby nie pognieść czarnego smokingu i nie zmiąć starannie zaprasowanych zakładek koszuli.

U Houghów przywitano go naturalnie nieco zbyt wylewnie. Wciąż tylko słyszał „milordzie” i „wasza lordowska wysokość”. Hough był właścicielem dużych plantacji, człowiekiem bardzo zamożnym. Osiadł tu, bo wprost nie znosił zim w Anglii, więc nie musiało się go traktować jak zwyczajnego zachodnioindyjskiego posiadacza ziemskiego, żyjącego z dala od kraju. Przy całym swym bogactwie był jednak pod ogromnym wrażeniem faktu, że gości w jednej i tej samej osobie para, admirała i głównodowodzącego — kogoś, czyje wpływy mogą zawsze bardzo się przydać. Powitanie z jego strony i ze strony pani Hough było tak serdeczne, że objęło nawet Gerarda i Spendlove'a. Być może Houghowie uznali, że aby pozostawać na dobrej stopie z głównodowodzącym, powinni podtrzymywać dobre stosunki również z jego oficerem flagowym i jego sekretarzem.

Lucy Hough była dosyć urodziwą panią w wieku lat siedemnastu czy osiemnastu. Hornblower spotkał ją przy kilku innych okazjach, ale uznał, że nie może go interesować dziewczynka prosto z ławy szkolnej — niemalże z przedszkola — choćby była nie wiem jak ładna. Gdy uśmiechnął się do niej, spuściła oczy, potem spojrzała na niego i znowu odwróciła wzrok. Ciekawe, że nie robiła wrażenia aż tak nieśmiałej, kiedy napotykała spojrzenia i odpowiadała na ukłony młodych ludzi, którzy powinni interesować ją daleko bardziej.

— O ile wiem, wasza lordowska wysokość nie tańczy — powiedział Hough.

— Przykra to rzecz dla mnie takie przypomnienie, ile tracę w obecności tylu piękności — odparł Hornblower, kierując znowu uśmiech do pani Hough i do Lucy.

— Może zatem roberek wista, milordzie? — zaproponował Hough.

— Mając do wyboru Boginię Szansy i Muzę Muzyki — odrzekł Hornblower — zawsze starał się mówić tak o muzyce, jakby coś dla niego znaczyła — będę ubiegał się o względy tej pierwszej.

— Sądząc z tego, co słyszałem o talencie waszej lordowskiej wysokości do wista — stwierdził Hough — powiedziałbym, że wasza lordowska wysokość nie musi właściwie zabiegać o względy Bogini Szansy.

Bał musiał się zacząć widocznie na jakiś czas przed przybyciem Hornblowera. Na parkiecie wielkiej sali kręciło się ze cztery dziesiątki młodzieży, na krzesłach pod ścianami rozsiadł się tuzin majątnych wdów, a w rogu sali grała orkiestra. Hough poprowadził gościa do innego pokoju.

Skinięciem głowy Hornblower odprawił towarzyszących mu podwładnych i zasiadł do wista z Houghem i dwiema okropnymi staruszkami. Na szczęście po zamknięciu drzwi nie było prawie słychać nieznośnego hałasu orkiestry, a starsze panie grały niezłe, toteż godzina upłynęła dosyć przyjemnie. Grę przerwało wejście pani Hough.

— Czas na poloneza przed kolacją — oznajmiła. — Bardzo proszę zostawić karty i przyjść popatrzeć na tańczących.

— Wasza lordowska wysokość pozwoli?... — zapytał Hough przeproszającym tonem.

— Życzenie pani Hough jest dla mnie rozkazem — odparł Hornblower.

W sali balowej było oczywiście duszno. Chociaż tancerze mieli twarze spocone i błyszczące, nie widać było, aby im brakło energii, gdy formowali się w podwójny rząd do poloneza. Orkiestra produkowała dziwaczne odgłosy, mające zachęcić młodzież do tańca. Spendlove prowadził Lucy trzymając ją za rękę i oboje rzucali na siebie uszczęśliwione spojrzenia. Z wyżyn swoich czterdziestu sześciu lat Hornblower spoglądał pobłażliwie na tych młodziutkich, niespełna dwudziestoletnich chłopców i dziewczęta, na ich młodość i entuzjazm. Trudno mu się było połapać w coraz skoczniej szych dźwiękach orkiestry, lecz tancerze znajdowali w nich jakiś sens. Płasali po salonie z rozwianymi koszulami i powiewającymi połami smokingów, wszyscy uśmiechnięci i weseli. Podwójne rzędy formowały się w kółka i znowu w rzędy, zawracały i ustawiały się na nowo, aż wreszcie przy potwornym końcowym łomocie orkiestry panie pochyliły się w dygu dworskim, a panowie zgięli się przed nimi w pół w ukłonie — piękny widok, gdy orkiestra już umilkła. Ze śmiechem i oklaskami tancerze rozeszli się. Panie, obrzucając się ukradkowymi spojrzeniami, połączyły się w grupki i nieznacznie opuściły salę. Poszły naprawiać szkody powstałe w gorączce tańca.

Hornblower znowu napotkał spojrzenie Lucy i raz jeszcze dziewczyna opuściła wzrok, a potem znów podniosła go na niego. Nieśmiała? Zaciekawiona? Trudno to wiedzieć, gdy się ma do czynienia z takimi jeszcze dziećmi, nie był to jednak ten rodzaj spojrzeń, jakimi obdarowywała Spendlove'a.

— Mamy co najmniej dziesięć minut do przejścia na kolację, milordzie — odezwał się Hough. — Czy wasza lordowska wysokość zechce poprowadzić panią Hough?

— Oczywiście, z największą przyjemnością — odparł Hornblower.

Podszedł Spendlove ocierając twarz chusteczką.

— Wyjdę odetchnąć chłodniejszym powietrzem, milordzie — powiedział. — Może...

— Pójdę z panem — zdecydował Hornblower, wcale nie zmartwiony, że ma wymówkę dla uwolnienia się od męczącego towarzystwa Hougha.

Weszli do mrocznego ogrodu. Wyszędłszy z jaskrawego blasku świec w sali balowej, musieli początkowo kroczyć bardzo ostrożnie.

— Chyba dobrze się pan bawi — odezwał się Hornblower.

— Dziękuję, milordzie, doskonale.

— I pańskie konkury posuwają się naprzód?

— Tego nie jestem pewien, milordzie.

— W każdym razie ma pan moje najlepsze życzenia.

— Dziękuję, milordzie.

Oczy Hornblowera przywykły już trochę do ciemności. Podniósłszy wzrok, dojrzał gwiazdy. Widać było Syriusza, raz jeszcze podejmującego swoją odwieczną pogoń za Orionem po nocnym niebie. Z ustaniem bryzy odmorskiej powietrze stało się ciepłe i spokojne.

I wtedy to się stało. Hornblower usłyszał szmer za plecami, szelest poruszonego listowia, lecz nim zdążył się odwrócić, czyjeś ręce schwyciły go za ramiona i czyjaś dłoń zakryła mu usta. Zaczął się wrywać. Podskoczył, uczuwszy ostry, piekący ból pod prawą łopatką.

— Spokój — odezwał się czyjś stłumiony, gruby głos. — Albo to.

Znowu poczuł ból. To czubek noża w jego plecach. Przestał się szarpać. Niewidzialne ręce popychały go do przodu, otaczało go co najmniej trzech mężczyzn. Poczuł nosem, że się poca — pewnie ze zdenerwowania.

— Spendlove? — rzekł.

— Cicho — powtórzył ten sam głos.

Szedł, popychany, przez długi ogród. Ostry, urywany krzyk, natychmiast zduszony, chyba Spendlove'a w tyle za nim. Ponaglany do przodu, Hornblower tracił chwilami równowagę, a wtedy ramiona tych, co go schwyтали, podtrzymywały go. Przy każdym potknięciu czuł, jak zwiększa się nacisk czubka noża, dziurawiąc mu ubranie na plecach. Przeszedłszy ogród, wyszli na wąską ścieżkę, gdzie coś ciemnego majaczyło na tle nocy. Uderzył o coś prychającego i wierzgającego — chyba muł.

— Wsiadać — powiedział ktoś za nim.

Zawahał się i od razu poczuł dotyk noża na żebrach.

— Wsiadać — powtórzył głos, ktoś inny zawracał muła, żeby Hornblower mógł go dosiąść.

Nie było ani strzemion, ani siodła. Hornblower uchwycił się kłębów zwierzęcia i wskoczył na grzbiet okrakiem. Nie umiał znaleźć cugli, mimo że słyszał dźwięk wędzidła, złapał się więc palcami za rzadką grzywę. Wokół panował ruch towarzyszący dosiadanemu pozostałym mułom. Jego wierzchowiec ruszył z podskokiem aż Hornblower musiał kurczowo uczeplić się grzywy. Ktoś przed

nim też dosiadł muła i połączywszy go linką z mułem Hornblowera, pojechał przodem. Mułów było chyba cztery, a mężczyzn ośmiu. Zwierzęta przeszły w trucht i Hornblower zaczął jeździć niebezpiecznie po śliskim grzbiecie swego muła, lecz po obu stronach biegli mężczyźni pilnując, żeby nie spadł. W sekundę czy dwie później znów zwolnili, kiedy muł na przodzie wszedł w trudny zakręt.

— Kim jesteście? — spytał Hornblower — pierwszym tchem, którego ta jazda nie wytrzymała z jego płuc.

Mężczyzna przy jego prawym kolanie machnął w jego stronę czymś, co zalśniło w blasku gwiazd. To był kordelas — maczeta Indii Zachodnich.

— Cicho — warknął — albo utnę ci nogę.

Po chwili muł znowu szedł truchtem i Hornblower, nawet gdyby chciał, nie potrafiłby wydusić z siebie słowa. Kawalkada posuwała się pośpiesznie ścieżką między rozległymi plantacjami trzciny cukrowej, z Hornblowerem podskakującym na grzbiecie swego wierzchowca. Próbował patrzeć na gwiazdy, żeby się zorientować, którędy jadą, lecz było trudno, a w dodatku jeźdźcy często zmieniali kierunek, klucząc po okolicy. Zostawiwszy za sobą pola trzciny, wyjechali, jak mu się wydawało, na otwartą sawannę. Gdy pojawiły się drzewa, zwolnili, żeby wjechać na strome podejście, a po drugiej stronie ponownie przeszli w kłus — piesi niestrudzenie biegli przy mułach — żeby znowu piąć się po niepewnej powierzchni zbocza, gdzie muły ślizgały się i potykały. Raz i drugi Hornblower spadłby na ziemię, gdyby nie podtrzymał go mężczyzna u jego boku. Wkrótce zaczął przykro odczuwać otarcia od siodła — jeśli można to tak nazwać przy jeździe na oklep — ostry grzbiet muła zadawał mu potworny ból. Spływał potem, usta miał spieczone i czuł się strasznie zmęczony. Mimo bólu stawał się coraz bardziej otępiały. Raz i drugi przejechali z chlupotem przez wąskie strumyki spadające z szumem z gór i znów jechali przez strefę zadrzewioną. Kilka razy przedostawali się chyba przez jakieś wąskie przejścia.

Hornblower nie miał pojęcia, jak długo jechali, zanim znaleźli się nad spokojną, jak mu się wydało, rzeczką, w której przeglądały się gwiazdy. Po jej drugiej stronie majaczyła w ciemnościach wyniosła ściana skalna. Tu grupa zatrzymała się, a ten, co szedł przy nim, szarpnął go za kolano, dając znak, że ma zsiadać. Hornblower zsunął się po boku muła — przez moment stał oparty o niego, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Kiedy mógł już stanąć prosto i rozejrzeć się, wśród smagłych twarzy wokół siebie, zauważył jedną białą. Z trudem rozpoznał Spendlove'a, który stał podtrzymywany z obu stron. Nogi ugiwały się pod nim, a głowa chwiała się na boki.

— Spendlove! — zawołał.

Upłynęła chwila dręczącego oczekiwania, zanim omdlewająca postać odrzekła „milordzie” — ochryplym, nienaturalnie brzmiącym głosem.

— Spendlove! Czy pan ranny?

— Czuję się... dobrze... milordzie.

Ktoś szturchnął Hornblowera w plecy.

— Dalej, płyn — usłyszał czyjś głos.

— Spendlove!

Kilka rąk odwróciło Hornblowera do tyłu. Pchnięty ruszył, potykając się, ku wodzie. Opór był beznadziejny. Domyślał się, że Spendlove, ogłuszony ciosem, wracał właśnie do przytomności i że do tego miejsca wieziono na mule jego bezwładne ciało.

— Płyn — powtórzył głos i czyjaś ręka pchnęła go do wody.

— Nie! — zaprotestował Hornblower charczącym głosem.

Rzeka wydała mu się bardzo szeroka i ciemna. Broniąc się na skraju wody przed wepchnięciem, uświadomił sobie głębię zniewagi, jakiej doznawał on, głównodowodzący, szamocący się jak dziecko w rękach tych ludzi. Ktoś obok wprowadzał powoli muła do wody.

— Złap się ogona — tym słowom znów towarzyszyło uklucie nożem w plecy.

Chwycił muła za ogon i rzucił się całym ciałem na wodę. Przez chwilę muł stąpał niepewnie, potykając się, a potem szybko ruszył wplaw. Hornblowerowi woda wydała się niewiele chłodniejsza od powietrza. Miał wrażenie, że upłynęła tylko chwila, ale już muł gramolił się na drugi brzeg, a on sam, ociekając wodą, wymacał grunt pod nogami i pobrnął za zwierzęciem. Z tyłu chlupocąc szła reszta ludzi i muły. Ktoś chwycił go za ramię i obróciwszy w bok pchnął do przodu. Usłyszał przed sobą dziwne skrzypienie i jakiś dyndający przedmiot uderzył go w pierś. Dłońmi wyczuł gładki bambus i coś w rodzaju pnąca, lianę przywiązaną do pręta bambusowego — miał przed sobą luźno zwisającą prowizoryczną drabinę linową.

Włazić! — usłyszał czyjś głos. — Włazić!

Nie mógł — nie chciał, lecz znowu poczuł dotknięcie czubka noża na plecach, wyciągnął więc rękę w górę i uchwycił się pręta, szukając desperacko stopami drugiego szczebelka w dole.

— Włóż!

Zaczął wchodzić. Drabinka — jak wszystkie drabiny sznurowe — skręcał się pod stopami niby zwierzątko. Strasznie było szukać w ciemnościach stopami każdego następnego umykającego szczebla. Mokre buty ślizgały się po gładkim bambusie, a uchwyt dłoni obejmujących lianę nie był zbyt pewny. Ktoś wspinał się tuż za nim, powodując, że drabinka wykonywała ruchy zupełnie niemożliwe do przewidzenia. Hornblower czuł, że kołysze się w ciemnościach jak wahadło. Piął się w górę, szczebel po szczeblu, tak konwulsyjnie chwytając się drabinki rękami, że tylko świadomym wysiłkiem woli udawało mu się rozluźnić kolejno uchwyt, by szukać następnego. Wreszcie chwiejne ruchy i skręty drabinki ustały. Wyciągnawszy rękę w górę dotknął ziemi czy może skały. Następny moment nie był łatwy, niepewny uchwytu Hornblower zawahał się. Wiedział, że znajduje się bardzo niebezpiecznie wysoko w powietrzu. Z drabiny pod sobą usłyszał krótkie polecenie rzucone przez posuwającego się za nim mężczyznę, i zaraz ktoś chwycił go za rękę i pociągnął w górę. Wyczuł

stopami następnym szczebel i oto sapiąc leżał już na brzuchu na stałym gruncie. Ręka szarpnęła go znowu, więc odczołgał się w bok, żeby zrobić miejsce wchodzącemu za nim. Mało brakowało, a rozplakałby się. Ani śladu nie zostało z owej wyniosłej, zadowolonej z siebie istoty ludzkiej, podziwiającej się w lustrze nie tak wiele godzin temu.

Jacyś ludzie przechodzili obok niego.

— Milordzie! Milordzie!

To wołał go Spendlove.

— Spendlove! — odpowiedział, siadając.

— Dobrze się pan czuje, milordzie? — pytał Spendlove, nachylając się nad nim.

Co kazało mu wziąć się w karby? Poczucie humoru czy obawa przed śmiesznością, wrodzona duma czy też może siła nawyku?

— Dziękuję, na tyle dobrze, na ile to możliwe po tych dość interesujących przeżyciach — odparł. — Ale pan... co było z panem?

— Stuknęli mnie w głowę — odparł zwyczajnie Spendlove.

— Niech pan nie stoi, proszę usiąść — powiedział Hornblower i Spendlove osunął się przy nim na ziemię.

— Czy orientuje się pan, milordzie, gdzie jesteśmy? — spytał.

— Zdaje się, że gdzieś na szczycie urwiska — rzekł Hornblower.

— Ale gdzie, milordzie?

— W jakimś miejscu na Jamajce, lojalnej kolonii jego królewskiej mości. Więcej nie potrafię powiedzieć.

— Chyba niedługo będzie świtać — zauważył Spendlove słabym głosem.

— Niezadługo.

Wokół nikt nie zwracał na nich uwagi. Mężczyźni trajkotali jak najęci, co bardzo kontrastowało z milczeniem — prawie zdyscyplinowanym milczeniem — zachowywanym w czasie spiesznej podróży do tego miejsca. Głosy rozmawiających mieszały się z szumem niewielkiego wodospadu — Hornblower uświadomił sobie, że słyszał go przez cały czas wspinaczki. Ludzie, którzy ich porwali, mówili prostą angielszczyzną. Hornblower zrozumiał z ich rozmowy, że napawają się swym osiągnięciem. Słyszał też głosy kobiece. Mężczyźni chodzili tam i z powrotem, zbyt podnieceni, mimo trudów nocy, żeby usiąść.

— Jeśli można coś powiedzieć, milordzie — odezwał się Spendlove — to wątpię, czy znajdujemy się na szczycie urwiska.

Wskazał w górę. Niebo robiło się jaśniejsze, gwiazdy gasły, pionowo nad głowami widać było nawis skalny. Podniósłszy wzrok wyżej, Hornblower dojrzał mgliste zarysy listowia na tle nieba.

— Dziwne — mruknął. — Musimy być na czymś w rodzaju półki.

Mimo że lewa strona nieba była jeszcze zupełnie ciemna, po prawej pojawił się słaby odbłask z leciutkim odcieniem różowości.

— Zwróconej na północno-północny zachód — dodał Spendlove.

Blask nasilał się wyraźnie. Gdy Hornblower popatrzył znowu na wschód, różowość nieba przeszła w barwę pomarańczowej zieleni. Mieli wrażenie, że znajdują się bardzo wysoko, zdawało im się, gdy tak siedzieli, że półka urywa się tuż pod ich stopami. Hen w dole świat, jeszcze zacieniony, przybierał kształt, zamazany w tej chwili lekką mgiełką. Hornblower przypomniał sobie nagle, że jest w mokrej odzieży, i zadrżał.

— To mogłoby być morze — powiedział Spendlove, wskazując przed siebie.

I było morze, błękitne, piękne i dalekie. Kilkumilowej szerokości pasmo lądu, jeszcze spowite mgłą, rozpościerało się między urwiskiem, na którym siedzieli, a skrajem wody. Hornblower wstał, dał krok do przodu i wychylił się przez niski, prymitywny szaniec ułożony z kamieni. Cofnął się przerażony, zanim odważył się spojrzeć ponownie. Pod jego stopami była pustka. Znajdowali się rzeczywiście na półce w zboczu urwiska, mniej więcej na wysokości grotrei fregaty, sześćdziesiąt stóp albo i więcej. Pionowo pod nimi Hornblower dojrzał strumyk, który przebył uczepiony ogona muła. Z miejsca, gdzie stał, wciąż zwisała sięgająca wody drabinka sznurowa. A gdy wysiłkiem woli wychylił się i popatrzył w dół, zobaczył muły stojące z rezygnacją na wąskiej przestrzeni między rzeczką a podnóżem urwiska. Nawis musiał być spory. Znajdowali się na półce wymytej w ciągu wieków w zboczu przez płynącą dołem rzeczkę w okresach gwałtownego wezbrania wód. Nic nie dosięgnie ich od góry i nic od dołu, jeśli drabina zostanie wciągnięta. W najszerszym miejscu półka miała najwyżej dziesięć jardów szerokości, a jej długość mogła wynosić jakieś sto jardów. Na jednym końcu słyszany wcześniej wodospad, spadając po ścianie wyżłobionym przez siebie żlebem, rozbijał się po drodze o stos połyskujących głazów i potem dalej leciał w dół. Na ten widok Hornblower poczuł, że bardzo chce mu się pić, więc ruszył w tamtą stronę. Stanie pod bryzgami wody, ze ścianą zbocza przy jednym łokciu i pionową przepaścią pod drugim, przyprawiało o zawrót głowy, lecz mógł tu nabrać parokrotnie wody w dłonie i wypić, a na końcu odświeżyć się ochlapując sobie twarz i głowę. Wrócił do Spendlove'a czekającego, aż skończy. Młody człowiek ukląkł, żeby się napić i obmyć czarny zlepek krwi za lewym uchem i na szyi, a powstawszy, obmacał ostrożnie czaszkę.

— Niczego mi nie oszczędzili — powiedział.

Mundur też miał zbryzgany krwią. U pasa zwisała pusta pochwa, szpadę, która tkwiła w niej

kiedyś, zobaczyli, odwróciwszy się od wodospadu, w rękach jednego z prześladowców. Stał czekając na nich. Był to niski, barczysty, mocno zbudowany mężczyzna, bardziej przypominający Metysa niż Murzyna. Miał na sobie brudną białą koszulę i luźne, podarte granatowe spodnie, a na rozplaszczonych stopach rozdeptane trzewiki ze sprzączkami.

— Hej ty, lordzie — odezwał się.

Mówił akcentem wyspiarskim, zgrubiając samogłoski i połykając spółgłoski.

— Czego chcesz? — spytał ostro Hornblower, nadając swemu tonowi całą szorstkość, na jaką potrafił się zdobyć.

— Niech pan napisze nam list — odparł ten ze szpadą.

— List? Do kogo?

— Do gubernatora.

— Z prośbą, żeby przybył tu i powywieszał was? — zadrwił Hornblower.

Mężczyzna potrząsnął dużą głową.

— Nie. Chcę, żeby dał papier. Papier z pieczęcią. Prawo łaski. Dla nas wszystkich. Z pieczęcią.

— Coś ty za jeden?

— Ned Johnson. — Nazwisko to nic nie mówiło ani jemu, ani — jak zorientował się ze spojrzenia — wszystko wiedzącemu sekretarzowi.

— Pływałem z Harknessem — wyjaśnił Johnson.

Te słowa mówiły coś niecoś. Harkness był jednym z ostatnich pomniejszych piratów. Nie dalej jak tydzień temu jego słup „Blossom”[18] został odcięty przez „Clorindę” pod Savannalamar, a próbę ucieczki na zawietrzną udaremniono. Pod dalekosiężnym ostrzałem fregaty zdesperowany słup wszedł na mieliznę przy ujściu Sweet River. Cała załoga uciekła na bagna i rozlewiska mangrowe w tej okolicy wybrzeża, wszyscy, oprócz dowódcy, którego ciało znaleziono przecięte prawie na pół przez pocisk z „Clorindy”. I to była właśnie ta załoga, pozbawiona dowódcy — chyba że uznaliby się za dowódcę Johnsona — i po to, żeby ją wytropić, gubernator wezwał dwa bataliony wojska, gdy tylko „Clorinda” wróciła z nowiną do Kingston. Po to właśnie, żeby im odciąć drogę ucieczki morzem, gubernator, za radą Hornblowera, rozstawił posterunki na wszystkich plażach rybackich całej dużej wyspy — w przeciwnym bowiem razie cykl, który prawdopodobnie już realizowali, zaczęłyby się od nowa kradzieżą łodzi rybackiej, zdobyciem większej jednostki, i tak dalej, aż znów staliby się plagą.

— Nie ma łaski dla piratów — odrzekł Hornblower.

— Jest — powiedział Johnson. — Niech pan napisze list, a gubernator nas ułaskawi.

Odszedł na bok i sięgnął po coś leżącego na ziemi pod ścianą urwiska. Była to oprawna w skórę książka — drugi tom „Waverley”[19], jak stwierdził Hornblower, gdy mu ją wręczono. — Johnson wyszukał i podał mu ogryzek ołówka.

— Niech pan pisze do gubernatora — rzekł. Otworzył książkę na początku i wskazał na czystą stronę przed kartą tytułową.

— Co mam pisać według ciebie? — spytał Hornblower.

— Prosić go o prawo łaski dla nas. Z pieczęcią.

Widocznie Johnson usłyszał gdzieś w rozmowach z braćmi piratami o „prawie łaski z Wielką Pieczęcią” i zachował to w pamięci.

— Gubernator nigdy tego nie robi.

— Wtedy pošlę mu pańskie uszy. A potem pański nos — dodał Johnson.

Straszna to rzecz usłyszeć coś takiego. Hornblower spojrział na Spendlove'a, któremu twarz zbieleła przy tych słowach.

— Ty admirał — ciągnął Johnson. — Ty lord. Gubernator to robi.

— Wątpię — rzekł Hornblower.

Przywołał w myśli obraz zaaferowanego starego zrzędy, generała Sir Augusta Hoopera, i spróbował odgadnąć jego reakcję na żądanie Johnsona. Jego ekscelencja będzie bliski apopleksji na samą myśl o przyznaniu prawa łaski dwóm tuzinom piratów. Rząd w kraju, gdy się o tym dowie, będzie bardzo niezadowolony i to niezadowolenie niewątpliwie obróci się głównie przeciwko człowiekowi, który dawszy się porwać przez własną głupotę, postawił wszystkich w tej absurdalnej sytuacji. Myśl ta zrodziła pytanie.

— W jaki sposób dostaliście się do ogrodu?

— Czekalim, aż będzie pan wracał do domu, ale pan wyszedł wcześniej.

Jeśli zamierzali...

— Cofnąć się! — wrzasnął Johnson.

Skoczył do tyłu z zadziwiającą zręcznością, jak na jego tuszę, i stanął ze szpadą w ręku w postawie obronnej, ze zgiętymi kolanami i napiętym ciałem. Tocząc wokół zdumionym spojrzeniem Hornblower zdążył zobaczyć, że Spendlove, widocznie sprężony przedtem do skoku, rozluźnia teraz mięśnie. Gdyby dostał szpadę do ręki i przyłożył jej ostrze do gardła Johnsona, sytuacja odwróciłaby się. Na krzyk Johnsona nadbiegło kilku mężczyzn. Jeden z nich, trzymający coś w dłoni

— chyba drzewce piki bez szpica — zadał okrutny cios w twarz Spendlove'a. Ten zachwiał się, a pirat machnął drzewcem, chcąc zwalić go z nóg, lecz Hornblower zasłonił go sobą.

— Nie! — krzyknął i wszyscy stanęli w miejscu, patrząc po sobie. Dramatyczne napięcie zelżało. Któryś z mężczyzn, z kordelasem w ręku, podszedł z boku do Hornblowera.

— Obciąć mu ucho? — spytał przez ramię Johnsona.

— Nie. Jeszcze nie. Siadać, wy dwaj. — Gdy zawahali się, Johnson podniósł głos do krzyku.

Pod groźbą kordelasa nie pozostawało nic innego jak usiąść. Byli bezradni.

— Pisz pan ten list? — spytał Johnson.

— Zaczekaj chwilę — odparł Hornblower znużonym głosem. Nie umiał wymyślić nic innego, co można by powiedzieć w tej sytuacji. Grał na zwłokę, beznadziejnie, jak dziecko w porze kładzenia się do snu pod okiem surowego opiekuna.

— Zjedzmy śniadanie — poradził Spendlove.

Na drugim krańcu półki płonęło małe ognisko. W spokojnym ranku dym snuł się cienkim pasemkiem pod nawisem urwiska. Na łańcuchu zwisającym z trójnoga zawieszony był nad ogniem kocioł żeliwny, pilnowany przez dwie siedzące w kucki niewiasty. Pod tylną ścianą leżały skrzynie, beczki i baryłki. W stojaku stały muszkiety. Hornblowerowi przyszło do głowy, że znalazł się w sytuacji opisywanej często w popularnych powieściach: w jaskini piratów. Być może skrzynie te kryją niezmiernie bogactwa pereł i złota. Piraci, jak wszyscy żeglarze, muszą mieć bazę na lądzie, a ci tutaj założyli ją sobie nie na jakiejś samotnej rafie koralowej, lecz na urwisku. Jego bryg „Clement” oczyścił w ubiegłym roku jedną z takich kryjówek.

— Pisz pan ten list, lordzie — powiedział Johnson. Trącił Hornblowera w pierś szpadą, ostrze przebiło cienką koszulę i dotknęło ciała w okolicy mostka.

— Czego chcecie? — spytał Hornblower.

— Prawa łaski. Z pieczęcią.

Hornblower badał wzrokiem śniade twarze stojących przed nim ludzi. Wiedział, że przyszedł koniec na piractwo w rejonie Karaibów. Amerykańskie okręty wojenne na północy, francuskie okręty wojenne operujące z Małych Antyli i jego ruchliwa eskadra na Jamajce sprawiły, że ten proceder stał się nieopłacalny i niebezpieczny. Ta zaś szajka, resztką bandy Harknessa, po stracie statku i mając ucieczkę na morze odcięta dzięki środkom ostrożności doradzonym przez Hornblowera, znalazła się w jeszcze niebezpieczniejszym położeniu niż inni. Przypuszczalnie ich plan został obmyślony i wprowadzony w życie przez osobnika o dość ograniczonym wyglądzie, którego miał przed sobą. Ale pozory mogą mylić. Może też ich desperacka sytuacja pobudziła tępy umysł do wyjątkowej aktywności.

— Słucha pan mnie? — krzyknął Johnson, po raz drugi kłując go szpadą i przerywając tok jego

myśli.

— Proszę powiedzieć, milordzie, że tak — szepnął Spendlove Hornblowerowi do ucha. — Zyskajmy na czasie.

Johnson odwrócił się teraz do niego, celując szpadą w twarz.

— Stul pysk — powiedział. Świeża myśl przyszła mu do głowy, bo obejrzawszy się na Hornblowera, rzekł:

— Pisz pan albo wydłubię mu oko.

— Piszę — odrzekł Hornblower.

Usiadł z tomem „Waverley”, otwartym na wewnętrznej stronie okładki, z ogryzkiem ołówka w rękę, a Johnson cofnął się o dwa kroki, pewnie chcąc pozwolić mu na swobodny przyływ natchnienia. Co ma pisać? „Drogi Sir Auguście”? „Wasza Ekscelencjo”? Tak będzie lepiej, „Jestem tu trzymany ze Spendlovem przez niedobitków bandy Harknessa, chcących otrzymać okup. Może oddawca niniejszego wyjaśni warunki. Żądają ułaskawienia w zamian za...” Hornblower trzymał ołówek nad papierem, zastanawiając się, co pisać dalej. „Nasze życie”? Potrząsnął głową na tę myśl i napisał „uwolnienie nas”. Nie chciał być melodramatyczny. „Wasza Ekscelencja lepiej, oczywiście, oceni sytuację niż ja. Pański posłuszny sługa”. Znów się zawahał, a potem szybko podpisał „Hornblower”.

— Masz — powiedział, podając książkę Johnsonowi. Ten popatrzył na tekst z zaciekawieniem, a potem odwrócił się do towarzyszy. Było ich koło tuzina. Siedzieli milcząc w kucki i czekali, jaki sprawa przybierze obrót.

Popatrzyli przez plecy Johnsona na to, co zostało napisane. Inni też podeszli, żeby zobaczyć, i zaraz zaczęli gadać między sobą.

— Żaden z nich, milordzie, nie umie czytać — zauważył Spendlove.

— Na to wygląda.

Piraci przenosili spojrzenia z pisma na jeńców i z powrotem, dyskusja stawała się coraz gorętsza. Wyglądało, że Johnson robi im wymówki lub nakłania do czegoś, a ci, do których się zwracał, odmawiają, kręcąc głowami.

— Idzie o to, kto ma zanieść pismo do Kingston — powiedział Hornblower. — Który z nich uda się do jaskini lwa.

— On nie panuje nad swoimi ludźmi — zauważył Spendlove. — Harkness do tej pory położyłby ze dwóch trupem.

Johnson wrócił wskazując grubym paluchem na pismo.

— Co pan tu napisał? — spytał.

Hornblower odczytał treść notatki na głos. Nie miało znaczenia, czy to, co przeczytał, było tam naprawdę, czy nie, bo nie mogli sprawdzić. Johnson śledził badawczo twarz Hornblowera, zdradzając przy tym jeszcze większą niepewność niż poprzednio. Pirat stanął wobec sytuacji zbyt dla niego skomplikowanej — usiłował realizować plan nie przemyślany wcześniej we wszystkich szczegółach. Żaden z jego kompanów nie chciał ryzykować dostania się w ręce sprawiedliwości, wioząc pismo o nie znanej treści. W gruncie rzeczy piraci nie będą mieli zaufania do kogokolwiek spośród nich wyruszającego z taką misją. Mógłby przecież zdezerterować, wyrzucając cenne pismo, próbować ucieczki na własną rękę. Biedni, obdarci, bezradni nieszczęśnicy, ze swymi niechlujnymi kobietami, stali wobec trudnego dylematu, bez wodza, który znalazłby dla nich wyjście. Hornblower o mało nie roześmiał się na myśl o ich trudnym położeniu, lecz pohamował się wyobraziwszy sobie, co grupa wyprowadzonych z równowagi mężczyzn mogłaby w napadzie furii zrobić z jeńcami będącymi w ich mocy. Debatowali wciąż gorączkowo i nie było widać, żeby dochodzili do jakiegoś rozwiązania.

— Jak pan sądzi, milordzie, czy moglibyśmy przedostać się do drabiny? — zapytał Spendlove i od razu sam sobie odpowiedział: — Nie. Mieliby nas, zanim zdążylibyśmy się stąd oddalić. Szkoda.

— Możemy mieć tę ewentualność na uwadze — rzekł Hornblower.

W tym momencie jedna z kobiet gotujących strawę na ogniu przerwała debatę, krzycząc coś donośnym, ochrypłym głosem. Nalewano jedzenie w drewniane miski. Młoda Mulatka, dziecko prawie, w podartej, wspaniałej niegdyś sukni, przyniosła im miskę — jedną, bez łyżki czy widelca. Patrzyli na siebie, nie mogąc opanować rozbawienia. Potem Spendlove wyjął scyzoryk z kieszeni spodni, otworzył go i podał swemu dowódcy.

— Może to się przyda, milordzie — powiedział przepaszającym tonem i oceniwszy wzrokiem zawartość miski, dodał — Temu posiłkowi, milordzie, daleko do świetnego obiadu, jaki nas ominął u Houghów.

Gotowane słodkie ziemniaki i odrobina gotowanej solonej wieprzowiny — ziemniaki wykopane pewnie ukradkiem w ogródku jakiegoś niewolnika, a mięso z którejś z baryłek zmagazynowanych na półce skalnej. Jedli z trudem, na wyraźne życzenie Hornblowera pomagając sobie na zmianę scyzorykiem, żonglując gorącą strawą, na którą nagle obaj poczuli wilczy apetyt. Większość piratów i ich kobiet jadła siedząc na piętach. Posiliwszy się, wrócili do sporu o sposób wykorzystania jeńców.

Hornblower znowu popatrzył z urwiska na rozciągający się przed nimi widok.

— To musi być Cockpit Country — orzekł.

— Z całą pewnością, milordzie.

Cockpit Country to była niezależna republika w północno-zachodniej części Jamajki,

terytorium nie zbadane jeszcze przez białego człowieka. Po zabraniu wyspy Hiszpanom półtora wieku temu Brytyjczycy stwierdzili, że okolica ta była już zamieszkała przez zbiegłych niewolników i niedobitków ludności indiańskiej, którym udało się zostać przy życiu. Kilka prób ujarznienia tego terenu skończyło się niepowodzeniem — wskutek żółtej febry i odstrasząco ciężkich warunków panujących w tej okolicy, w połączeniu z desperackim męstwem jej obrońców — tak że w końcu zawarto traktat przyznający niepodległość Cockpit Country pod jednym tylko warunkiem, że w przyszłości jej mieszkańcy nie będą udzielać schronienia zbiegłym niewolnikom. Traktat przetrwał już pięćdziesiąt lat i wyglądało, że będzie obowiązywał znacznie dłużej. Gniazdo piratów znajdowało się na skraju tego rejonu, z górami w tyle.

— A to jest zatoka Montego, milordzie — powiedział Spendlove wskazując palcem.

Hornblower był tam na „Clorindzie” w ubiegłym roku — odludna reda, stanowiąca nie najgorsze kotwicowisko i miejsce schronienia nielicznych łodzi rybackich. Spoglądał tęsknie na błękitną wodę w oddali. Chciał się zastanowić nad sposobem ucieczki, nad jakimś honorowym układem z piratami, lecz bezsenna noc sprawiła, że mózg pracował ospale, tym bardziej teraz, po zjedzeniu posiłku. Złapał się na tym, że opada mu głowa, więc otrząsnął się i zbeształ w duchu. Dla niego, człowieka w połowie piątego krzyżyka, nie przespana noc to poważna sprawa, szczególnie noc wypełniona ciężkim wysiłkiem, do jakiego nie był przywykły.

Spendlove zauważył, że admirałowi głowa się kiwa.

— Uważam, milordzie, że mógłby się pan przespać — powiedział łagodnie.

— Może i tak.

Pozwolił ciału osunąć się na twardy grunt. Było mu niewygodnie bez poduszki.

— Proszę, milordzie — rzekł Spendlove.

Ujął go rękami za ramiona i ułożył tak, że głowa spoczęła na jego udzie jak na poduszce. Przez moment świat wirował wokół Hornblowera. Szemrał wiatr, piraci gwarzyli monotennie z kobietami, wodospad spadał z pluskiem i bulgotaniem. A potem ogarnął go sen.

Ocknął się po jakimś czasie pod dotknięciem dłoni Spendlove'a.

— Milordzie, milordzie.

Uniósł głowę zdziwiony. Potrzebował kilka sekund na przypomnienie sobie, gdzie się znajduje i jak się tu dostał. Przed nim stał Johnson z dwoma piratami. Jedna z kobiet patrzyła na nich z pewnej odległości w sposób, z którego można było sądzić, że przyczyniła się do podjętej już widocznie decyzji.

— Lordzie, wysyłamy pana do gubernatora — oświadczył Johnson.

Hornblower patrzył na niego mrugając powiekami. Chociaż słońce przesunęło się za urwisko, niebo nad nim było oślepiająco jasne.

— P a n — powiedział Johnson. — P a n pójdzie. A jego zatrzymamy.

Johnson wskazał na Spendlove'a.

— Co ty mówisz? — zdziwił się Hornblower.

— Pan pójdzie do gubernatora i dostanie dla nas ułaskawienie — odparł Johnson. Pan może go poprosić i on da. A ten zostanie tutaj. Możemy obciąć mu nos, możemy wydlubać oczy.

— Boże wszechmocny! — jęknął Hornblower.

Johnson i jego doradcy — może tamta kobieta — okazali jednak sporo przebiegłości. Mieli, jak widać, pewne pojęcie, co to jest honor i dżentelmeńska powinność. Zauważyli, że coś łączy Hornblowera i Spendlove'a — może nasunął im to widok Hornblowera śpiącego z głową na kolanach Spendlove'a. Wyciągnęli z tego wniosek, że Hornblower nigdy nie zostawi go na łasce porywaczy, że uczyni wszystko, co będzie możliwe, by go uwolnić. Może nawet — wyobraźnia Hornblowera pokonała wysoką falą barierę senności — może nawet wróci, żeby dzielić ze Spendlowem niewolę i jego los w razie niemożności uzyskania żądanego ułaskawienia.

— Posyłamy pana, lordzie — powiedział Johnson.

Stojąca opodal kobieta powiedziała coś głośno.

— Posyłamy pana zaraz — dodał Johnson. — Niech pan wstaje.

Hornblower podniósł się wolno. I tak nie śpieszyłby się, usiłując zachować resztki godności, ale nawet gdyby chciał, nie byłby w stanie wstać szybko. Zesztywniały mu stawy — słyszał prawie, jak trzeszczą przy ruchach. Ciało miał straszliwie obolałe

— Ci dwaj zabierają pana — dodał Johnson.

Spendlove powstał również.

— Dobrze się pan czuje, milordzie? — pytał zatroskany.

— Tylko zesztywniały i zreumatyzowany — odparł Hornblower. — Ale co z panem?

— Och, w porządku, milordzie. Proszę, milordzie, zupełnie nie zaprzętać sobie mną głowy.

Patrzył mu przy tym prosto w oczy, starając się coś przekazać tym spojrzeniem.

— Zupełnie, milordzie — powtórzył.

Chciał w ten sposób dać swemu dowódcy do zrozumienia, że trzeba go tu zostawić, że nie można nic zrobić, żeby go uwolnić i że z ochotą zniesie wszelkie tortury, jeśli jego dowódca wyjdzie cało z opresji.

— Wciąż będę myślał o panu — odrzekł Hornblower, odwzajemniając spojrzenie.

— Szybko — popędzał Johnson.

Drabinka sznurowa ciągle zwisała z krawędzi półki. Ze swymi zbolałymi stawami Hornblower miał trudności z przewieszeniem się przez krawędź skalną i znalezieniem oparcia dla stóp na śliskich szczelach bambusowych. Pod naciskiem stóp drabinka odsunęła się, jakby była żywym stworzeniem, usiłującym go zrzucić. Z plecami wygiętymi w dół, trzymając się kurczowo, spróbował, wbrew instynktowi, wyprostować się, żeby drabinka mogła przesunąć się z powrotem do skały. Poszukał ostrożnie oparcia dla stóp i schodził dalej. Jeszcze nie przywykł zupełnie do ruchów drabinki, a już rytm schodzenia został zmałowany przez pierwszego z eskorty, który zaczął schodzić za nim. Musiał, przywarłszy do drabinki, odczekać chwilę, nim znów ruszył. Ledwie jego stopy dotknęły ziemi, gdy pierwszy pirat z eskorty zeskoczył obok niego, a za nim drugi.

— Do widzenia, milordzie. Powodzenia.

To wołał z góry Spendlove. Stojąc na skraju rzeki, z twarzą uniesioną ku urwisku, Hornblower musiał mocno odchylić się do tyłu, żeby dojrzeć jego głowę nad szaniec, sześćdziesiąt stóp wyżej, i machającą ku niemu rękę. Odpowiedział podobnym gestem. Eskortujący podprowadzili tymczasem muły do brzegu wody.

Znów trzeba było przepływać rzekę. Miała nie więcej niż trzydzieści stóp szerokości i ubiegłej nocy w ciemnościach mógłby przebyć ją bez pomocy, gdyby o tym wiedział. Teraz rzucił się, jak stał, z chlupnięciem do wody — biedny wspaniały czarny smoking! — i przewróciwszy się na plecy płynął pomagając sobie nogami. Ubranie jednak szybko nasiąkało i bardzo mu ciążyło, przeżył nawet trudną chwilę, zanim znużone członki wyniosły go na skalisty brzeg. Wyczołgał się na czworakach, w ociekającej odzieży, i nie chciało mu się ruszyć z miejsca, nawet gdy obok muły wychodziły z wody. Spendlove, wychylony przez szaniec, pomachał mu raz jeszcze.

Trzeba było znowu wsiadać na muła. Mokra odzież ciążyła jak ołów. Z trudem się wgramolił — grzbiet zwierzęcia był śliski — a gdy tylko usadowił się okrakiem, poczuł, że boli go siedzenie po ubiegłonocnej jeździe i że bardzo cierpi z powodu otartej skóry. Ale musiał wytrzymać. Szczególnie bolesne były momenty, gdy wierzchowiec kręcił zadem, posuwając się po nierównym terenie. Zaraz za rzeką ruszyli w góry tą samą stromą ścieżką, nie ścieżką, drogą, nie drogą, którą zjeżdżali poprzednio. Wjechali do spadzistego wąwozu, zjechali na drugą stronę i znowu w górę. Z chlupotem przejeżdżali małe potoki i posuwali się krętą drogą wśród drzew.

Hornblowerowi zdrętwiało już ciało i otępsiał mózg. Jego muł, zmęczony, nie szedł zbyt pewnie, chwilami potykał się i wtedy Hornblower tylko kurczowym wysiłkiem utrzymywał się na jego grzbiecie. Słońce kłoniło się ku zachodowi, gdy po nierównej drodze zaczęli zjeżdżać w dół. Po przejechaniu obok ostatnich drzew, znaleźli się na otwartej przestrzeni oświetlonej wspaniałym tropikalnym słońcem. Tu, na sawannie, prawie nie było skał. W oddali pasło się bydło, a dalej, jak sięgnąć okiem, rozciągało się ogromne morze zieleni — rozległe plantacje trzciny cukrowej Jamajki. Przejechawszy jeszcze pół mili, dotarli do przyzwoitej drogi i tu eskortujący zatrzymali swoje wierzchowce.

— Teraz może pan jechać dalej — powiedział jeden z nich wskazując na krętą ścieżkę prowadzącą ku odległym polom trzciny cukrowej.

Hornblower potrzebował jednej lub dwóch sekund, żeby pojąć, że puszczają go wolno.

— Tędy? — spytał niepotrzebnie.

— Tak — odpowiedzieli eskortujący.

Obaj zawrócili muły. Hornblower szarpał się ze swoim, niezadowolonym z rozstania się z towarzyszami. Któryś z piratów trzepnął zwierzę po zadzie, zmuszając je do ruszenia ścieżką nierównym truchtem, sprawiającym ból Hornblowerowi usiłującemu skutecznie utrzymać się na grzbiecie. Wkrótce zmęczony muł zwolnił do stępa i Hornblower był rad, że może siedzieć swobodniej. Muł wolno posuwał się ścieżką. Słońce skryło się za chmury i wnet, poprzedzona silnym wiatrem, lunęła oślepiająca ulewa, zamazując widnokrąg i zmuszając muła do jeszcze wolniejszego posuwania się po śliskim gruncie. Hornblower siedział wyczerpany na spiczastym grzbiecie zwierzęcia. Ulewa była tak gwałtowna, że z trudem oddychał pod potokami wody zalewającej mu twarz.

Stopniowo ulewny deszcz ustawał. Niebo nad głową, wciąż zasnuwane chmurami, otwarło się po stronie zachodniej, przepuszczając promienie zachodzącego słońca, i krajobraz po lewej ręce Hornblowera wypiękniał pod łukiem ledwo przez niego zauważonej tęczy. Oto i pierwsza plantacja trzciny cukrowej. Ścieżka, którą jechał, przeszła w wąską, nierówną, porytą koleinami drogę. Muł szedł bez końca przez pola trzciny. Potem droga skrzyżowała się z inną i muł zatrzymał się. Hornblower chciał unieść się, żeby pobudzić go do ruchu, gdy z prawej strony usłyszał wołanie. Daleko na drodze, w blasku zachodzącego słońca, dostrzegł grupę jeźdźców. Z tętentem kopyt galopowali spieszenie w jego kierunku, a dojechawszy, zatrzymali się przy nim — jeden biały i dwóch kolorowych.

— Lord Hornblower, nieprawdaż? — spytał biały. Mimo otępienia Hornblower zauważył, że to człowiek młody i że jest w stroju wieczorowym, z koronkowym żabotem przekrzywionym i całkiem przemoczonym.

— Tak — odparł.

— Bogu dzięki, że pan jest cały i zdrow, sir — wykrzyknął młodzieniec. — Czy coś panu dolega? Może jest pan ranny, milordzie?

— Nie — powiedział Hornblower, chwiejąc się ze zmęczenia na grzbiecie muła.

Młody człowiek zwrócił się do jednego z towarzyszących mu kolorowych z krótkim rozkazem, a ten zawrócił konia i odjechał drogą pełnym galopem.

— Przeczesano całą wyspę, milordzie, w poszukiwaniu pana — ciągnął młodzian. — Co się z panem stało? Szukamy pana cały dzień.

Admirałowi, głównodowodzącemu nigdy nie przystoi zdradzać się z niemęską słabością.

Hornblower wyprostował się z trudem.

— Zostałem porwany przez piratów — rzekł. Chciał mówić nonszalancko jak o czymś, co może się przecież zdarzyć każdemu, ale było mu trudno. Zamiast głosu, z jego ust wydobywał się ochryply skrzek. — Muszę zaraz udać się do gubernatora. Gdzie jest jego ekscelencja?

— Pewnie w Domu Rządowym — odparł młody człowiek. — Nie dalej niż trzydzieści mil stąd.

Trzydzieści mil! Hornblower czuł się tak, jakby nie był w stanie przejechać nawet trzydziestu jardów.

— W porządku — odrzekł sucho. — Muszę tam jechać.

— Dwie mile stąd, tą drogą, jest dom Houghów, milordzie — powiedział młodzieniec. — Sądzę, że jest tam jeszcze pański powóz. Wysłałem już posłańca.

— A więc tam pojedziemy najpierw — zdecydował Hornblower możliwie najobojętniejszym tonem.

Na słówko rzucone przez młodzieńca drugi kolorowy zsiadł z konia. Hornblower zsunął się niezdarnie z muła i z największym trudem włożył stopę w strzemię — kolorowy musiał pomóc mu w przerzuceniu prawej nogi. Ledwie Hornblower ujął wodze w ręce — jeszcze nie wiedząc, która jest która, gdy biały puścił się kłusem, a koń Hornblowera za nim. Podskoki na siodle były torturą.

— Nazywam się Colston — odezwał się biały, hamując konia, żeby Hornblower mógł jechać przy nim. — Miałem zaszczyt być przedstawiony waszej lordowskiej wysokości wczoraj wieczorem na balu.

— Oczywiście — odparł Hornblower. — Niech pan powie, jak tam było.

— Czekano z przejściem na kolację na pana, bo pan miał iść jako pierwszy prowadząc panią Hough. Ale pana nie było. Pana i pańskiego sekretarza, pana... pana...

— Spendlove'a — podpowiedział Hornblower.

— Tak, milordzie. Początkowo przypuszczano, że jakaś pilna sprawa wymagała pańskiej uwagi. Chyba dopiero po godzinie czy dwóch pański oficer flagowy i pan Hough doszli do wniosku, że został pan porwany w jakiś tajemniczy sposób. Towarzystwo bardzo było zmartwione, milordzie.

— I co?

— Wtedy wszczęto alarm. Wszyscy obecni panowie rozjechali się szukać pana. O świcie wezwano policję. Przetrząsnięto całą okolicę. Myślę, że w tej chwili pułk góralskich szkockich maszeruje ku nam w szybkim tempie.

— Co pan mówi? — dziwił się Hornblower. Tysiąc żołnierzy piechoty idzie forsownym

marszem trzydzieści mil z jego powodu, tysiąc jeźdźców przeczesuje wyspę.

Przed nimi zadźwięczały kopyta końskie. Z gęstniejącej ciemności wyłoniło się dwóch jeźdźców. Hornblower z trudem rozpoznał Hougha i posłańca.

— Bogu dzięki, milordzie — powiedział Hough. — Co się stało?

Hornblower miał ochotę odrzec „pan Colston panu powie”, lecz zmusił się do sensowniejszej odpowiedzi. Hough skwitował ją spodziewanymi frazesami.

— Muszę natychmiast udać się do gubernatora — oświadczył Hornblower. — Trzeba pomyśleć o Spendlove'ie.

— Spendlove, milordzie? O tak, oczywiście, pański sekretarz.

— Jest wciąż w rękach piratów — wyjaśnił Hornblower.

— Naprawdę, milordzie? — odrzekł Hough.

Wyglądało, że Spendlove nikogo nie obchodzi, z wyjątkiem może Lucy Hough.

Oto dom i dziedziniec, we wszystkich oknach jaśnieją światła.

— Proszę wejść, milordzie — zapraszał Hough. — Wasza lordowska wysokość na pewno potrzebuje posiłku.

O jakiejś porze tego ranka zjadł słodkie ziemniaki i soloną wieprzowinę. Nie czuł teraz głodu.

— Muszę jechać do Domu Rządowego — odparł. — Nie mogę tracić czasu.

— Jeśli wasza lordowska wysokość nalega...

— Tak — upierał się Hornblower.

— Idę więc, milordzie, kazać, żeby zaprzęgli konie.

Hornblower został sam w rześście oświetlonym salonie. Zdawało mu się, że gdyby się zagłębił w któryś z ogromnych foteli, nigdy by się z niego nie podniósł.

— Milordzie! Milordzie!

Lucy Hough wpadła do salonu, szeleszcząc spódnicami od szybkiego biegu. Będzie musiał powiedzieć jej o Spendlove'ie.

— Och, jest pan, cały i zdrow! Cały i zdrow!

Cóż to znaczy? Dziewczyna padła przed nim na kolana, chwyciła jego dłoń w ręce i całowała jak szalona. Cofnął się, próbując wyrwać rękę, ale przywarła do niej i posuwała się za nim na

kolanach, wciąż ją obsypując pocałunkami.

— Panno Lucy!

— Nie dbam o nic, skoro pan jest zdrow i cały — powiedziała podnosząc ku niemu wzrok i wciąż trzymając go za rękę, po jej policzkach łzy spływały strumieniem. — Cały dzień byłam taka roztrzęsiona. Nic się panu nie stało? Proszę powiedzieć! Niech pan odezwie się do mnie.!

To było okropne. Znowu przytuliła usta i policzek do jego dłoni.

— Panno Lucy! Proszę! Niech się pani opanuje!

Jak siedemnastoletnia dziewczyna może zachowywać się w ten sposób wobec czterdziestopięcioletniego mężczyzny? Czyż nie jest zakochana w Spendlove'ie? Ale może o nim właśnie myśli.

— Dopilnuję, żeby pan Spendlove był bezpieczny — rzekł.

— Pan Spendlove? Spodziewam się, że jest bezpieczny. Ale to pan... pan... pan...

— Panno Lucy! Nie wolno pani mówić takich rzeczy! Błagani, niech pani wstanie!

Jakoś udało mu się podnieść ją na nogi.

— Nie mogłam tego znieść! — powiedziała. — Pokochałam pana od pierwszego wejrzenia!

— No, no, spokojnie! — rzekł Hornblower najłagodniej jak umiał.

— Milordzie, powóz zostanie podstawiony za dwie minuty! — rozległ się głos Hougha od drzwi. — Szklaneczkę wina i coś na ząb przed odjazdem?

Hough wszedł uśmiechając się.

— Dziękuję — odparł Hornblower opanowując zakłopotanie.

— To dziecko było od rana w dziwnym nastroju — mówił Hough pobłaźliwie. — Ci młodzi... była chyba jedyną osobą na wyspie, która pomyślała i o głównodowodzącym, i o jego sekretarzu.

— Ehm... tak. Ci młodzi — powtórzył za nim Hornblower.

W tym momencie wszedł lokaj z tacą.

— Lucy, kochanie, nalej szklaneczkę wina jego lordowskiej wysokości — polecił Hough i zwracając się do Hornblowera dodał: — Moja żona bardzo się przejęła. Ale zejdzie tu za chwilę.

— Błagam, niech jej pan nie niepokoi — powiedział Hornblower. Dłoń mu drżała, gdy sięgał po szklankę. Hough wziął duży nóż i widelec i zabrał się do krajania kurczęcia na zimno.

— Przepraszam — szepnęła Lucy.

Odwróciła się i wybiegła z pokoju z gwałtownym płaczem, równie szybko jak się tu pojawiła.

— Nie sądziłem, że aż tak jej zależy — zauważył Hough.

— Ani ja — mruknął Hornblower. Ze zdenerwowania wypił wino do dna. Teraz zabrał się do kurczenia na zimno najspokojniej, jak potrafił.

— Powóz czeka przed domem, sir. — oznajmił lokaj.

— Wezmę to ze sobą — rzekł Hornblower z kromką chleba w jednej ręce i skrzydełkiem kurczenia w drugiej. — Czy będzie to dla pana wielki kłopot, jeśli poproszę o pchnięcie posłańca przodem, żeby powiadomił jego ekscelencję o moim przybyciu?

— Już to zostało zrobione, milordzie — odrzekł Hough. — Rozesłałem też gońców do patroli z wiadomością, że jest pan zdrow i cały.

Hornblower opadł na wyścielane siedzenie powozu. Incydent z Lucy miał przynajmniej ten skutek, że wybił mu chwilowo z głowy wszelkie myśli o zmęczeniu. Teraz mógł oprzeć się wygodnie i odetchnąć. Dopiero po pięciu minutach przypomniał sobie, że trzyma w rękach chleb i kurczaka, i zabrał się do jedzenia. Długa jazda nie przyniosła wypoczynku, bo wciąż coś ją przerywało. Patrole, nie powiadomione jeszcze, że jest zdrow i cały, zatrzymywały powóz. Ujechawszy dziesięć mil, natknęli się na batalion górali szkockich biwakujących przy drodze, i pułkownik nalegał, aby mu pozwolono podejść i złożyć wyrazy uszanowania głównodowodzącemu z marynarki wojennej i pogratulować mu. Nieco dalej galopujący jeździec zatrzymał się przy powozie. Był to Gerard. W świetle latarni było widać, że zgoniony koń pokryty jest pianą. Hornblower musiał wysłuchać jego „Bogu dzięki, milordzie, że jest pan zdrow i cały” — wszyscy witali go tymi słowami — i powiedzieć mu, co zaszło. Gerard przy pierwszej sposobności zostawił konia i siadł w powozie obok Hornblowera. Miał sobie bardzo za złe, że dopuścił, aby coś takiego przydarzyło się jego szefowi (Hornblowerowi nie bardzo spodobał się wniosek nasuwający się z jego słów, że on sam nie potrafi siebie upilnować, chociaż przebieg wypadków wydawał się ten fakt potwierdzać) i że go nie uratował.

— Próbowaliśmy, milordzie, korzystać z psów gończych, używanych do tropienia zbiegłych niewolników, ale nie zdały się na nic.

— Naturalnie, skoro jechałem na mule — odrzekł Hornblower. — Zresztą po kilku godzinach ślad musiał wywietrzeć. Teraz zapomnijmy o tym, co było i niech pomyślę o przyszłości.

— Milordzie, ci piraci zawisną na stryczku przed upływem dwóch dni.

— Czyżby? A co ze Spendlovem?

— O... hm. Tak, milordzie, oczywiście.

Nikt, nawet Gerard, jego przyjaciel, nie zaprzętał tu sobie specjalnie głowy Spendlovem. Lecz Gerardowi należało zapisać na plus, że pojął w lot, co gnębi Hornblowera.

— Jasna sprawa, milordzie. Nie wolno nam dopuścić, żeby coś mu się stało.

— Ale jak możemy temu zapobiec? Czy przyznamy to prawo łaski — czy będziemy namawiać ekscelencję, żeby je przyznał?

— No cóż, milordzie...

— Zrobiłbym wszystko, żeby uwolnić Spendlove'a — wybuchnął Hornblower. — Rozumie pan? Wszystko!

Dzięki swej głęboko zakorzenionej skłonności do samoanalizy Hornblower spostrzegł się, że zwiera szczęki w zawziętej determinacji. Powiedział sobie cynicznie, że jest zaskoczony emocjonalną reakcją ze swojej własnej strony, tą mieszaniną zawziętości i czułości. Niechby tylko włos spadł Spendlove'owi z głowy przez tych piratów, to... — lecz jak temu zapobiec? Jak uwolnić go z rąk ludzi zdających sobie sprawę, że ich życie, właśnie życie, a nie tylko majątek, zależą od trzymania go w niewoli? Jak będzie mógł żyć dalej, jeśli coś się stanie ze Spendlovem? W najgorszym wypadku musi sam wrócić do piratów i oddać się w ich ręce, jak ów Rzymianin — Regulus — wrócił, żeby ponieść śmierć z rąk Kartagińczyków. Wygląda, że może nie być innego wyjścia.

— Dom Rządowy, milordzie — powiedział Gerard, przerywając mu tok koszmarnych rozmyślań.

Wartownicy u bramy, straż u drzwi. Jasno oświetlony hall wejściowy, gdzie adiutanci, niech ich diabli porwą, gapili się na niego z ciekawością. Gerard zresztą też. Wprowadzono go do wewnętrznego pokoju, a po chwili inne drzwi otworzyły się przed jego ekscelencją. Eskortujący go adiutant wycofał się. Ekscelencja był okropnie zły, tak zły, jak może być bardzo przerażony mężczyzna.

— I cóż to wszystko znaczy, milordzie?

Nie było w jego tonie nic z respektu należnego człowiekowi, który doszedł do tytułu para,

komuś o legendarnej sławie. Hooper miał rangę pełnego generała, znacznie wyższą od kontradmirała, a ponadto jako gubernator był absolutnym władcą na wyspie. Czerwona twarz i wylupiające niebieskie oczy — i ta niepoohamowana wściekłość — wydawały się potwierdzać plotkę, że jest on wnukiem osoby krwi królewskiej. Hornblower krótko i spokojnie wyjaśnił, co zaszło. Jeśli nie zdrowy rozsądek, to zmęczenie powstrzymało go od gniewnej reakcji.

— Milordzie, zdaje pan sobie sprawę, ile to wszystko kosztowało? — wybuchnął Hooper. — Każdy biały umiejący dosiąść konia jest w terenie. Moja ostatnia rezerwa, górale szkoccy, biwakują przy drodze. Nie śmiem myśleć, jakie to przyniesie skutki w postaci malarii i żółtej febry. Przez dwa tygodnie cały garnizon, poza nimi, pilnował, na pańskie życzenie, łodzi rybackich i strzegł plaż. Listy chorych są bardzo długie. A teraz to!

— Instrukcje, jakie otrzymałem, a sądzę, że i wasza ekscelencja, kładą najwyższy nacisk, sir, na tłumienie piractwa.

— Nie potrzebuję, żeby jakiś nic nie znaczący, narwany kontradmirał interpretował dane mi instrukcje — ciskał się Hooper. — Jakiż to układ zawarł pan z tymi swoimi piratami?

No właśnie. Niełatwo wyjaśniać cokolwiek człowiekowi w takim nastroju.

— Nie zawarłem właściwie żadnego układu, ekscelencjo.

— Wprost trudno uwierzyć, że miał pan tyle zdrowego rozsądku.

— Ale mam honorowe zobowiązanie.

— Honorowe zobowiązanie? Wobec kogo? Piratów?

— Nie, ekscelencjo. Wobec mojego sekretarza, Spendlove'a.

— Co to za zobowiązanie?

— Został zatrzymany jako zakładnik, gdy puszczone mnie wolno.

— Co mu pan obiecał?

Co? Powiedział, że będzie o nim myślał.

— Nic nie obiecałem mu słowami, ekscelencjo. Ale jedna rzecz została na pewno dana do zrozumienia.

— Co mianowicie?

— Że postaram się go uwolnić.

— A jak, pańskim zdaniem, miałby pan tego dokonać?

Nie ma rady, trzeba chwycić byka za rogi.

— Zostałem wypuszczony po to, abym zwrócił się do waszej ekscelencji o ułaskawienie piratów, pod pieczęcią.

— Ułaskawienie! Ułas...! — Hooper nie był nawet w stanie wypowiedzieć powtórnie do końca tego słowa. Gulgotał jak indyk przez kilka sekund i dopiero po przełknięciu śliny mógł mówić dalej. — Czy pan oszalał, milordzie?

— Po to zostałem zwolniony. I dlatego Spendlove jest trzymany dalej.

— Wobec tego ten Spendlove musi sam się jakoś stamtąd wydostać.

— Ekscelencjo!

— Czy pan myśli, że mogę przyznać prawo łaski bandzie piratów? O co panu chodzi? Żeby mogli żyć jak lordowie ze swoich łupów? Rozbijając się w powozach po wyspie? Piękny byłby to sposób tłumienia piractwa! Chce pan postawić całe Indie Zachodnie w stan wrzenia? Czy pan postradał zmysły?

Efektu tych słów nie złagodził bynajmniej fakt, że już od dłuższej chwili Hornblower domyślał się, iż argumentacja Hoopera pójdzie właśnie po tej linii.

— Ekscelencjo, zdaję sobie w pełni sprawę z trudności sytuacji.

— Cieszy mnie to. Wie pan, gdzie jest kryjówka piratów?

— Tak, ekscelencjo. To bardzo dla nich bezpieczne miejsce.

— Nieważne. Można ją z pewnością zlikwidować. Kilku powieszonych i spokój znów powróci na tę wyspę.

Cóż, na Boga, może zrobić lub powiedzieć? Zdanie ułożone w myśli wydało mu się zupełnie absurdalne, jeszcze zanim je wyrzekł.

— Będę musiał wrócić tam, ekscelencjo, zanim podejmie pan jakiegokolwiek kroki.

— Wracać tam? — Hooperowi oczy niemal wyszły z orbit, gdy pojął, co implikują słowa Hornblowera. — Co za nowy idiotyzm przyszedł panu do głowy?

— Muszę wracać i przyłączyć się do Spendlove'a, jeśli ekscelencja nie uważa się za kompetentnego w sprawie przyznania prawa łaski.

— Bzdura. Nie mogę go przyznać. Nie mogę. Nie chcę.

— Wobec tego nie mam innego wyjścia, ekscelencjo.

— Bzdura, powiedziałem. Bzdura! Nie przyrzekał pan. Sam pan powiedział, że nie złożył pan żadnego zobowiązania.

— W tej sprawie, ekscelencjo, sąd należy do mnie.

— W chwili obecnej nie jest pan zdolny wyrażać jakiegokolwiek sądu, jeśli w ogóle był pan kiedykolwiek. Czy może pan sobie chociaż przez chwilę wyobrazić, że pozwolę, aby wiązał mi pan ręce w taki sposób?

— Ekscelencjo, nikt bardziej niż ja nie ubolewa nad tą koniecznością.

— Koniecznością? Pan mi dyktuje? Muszę panu przypomnieć, że jestem wyższy od pana rangą, a przy tym gubernatorem tej wyspy. Jeszcze jedno słowo, milordzie, a zostanie pan aresztowany. Nie chcę więcej słuchać tych nonsensów.

— Ekscelencjo...

— Powiedziałem, ani słowa więcej. Ten Spendlove jest w służbie królewskiej. Musi brać na siebie ryzyko swego stanowiska, nawet będąc tylko sekretarzem.

— Ale...

— Ani słowa więcej, milordzie. Otrzymuje pan wyraźne ostrzeżenie. Jutro rano, kiedy pan odpocznie, będziemy mogli obmyślić sposób wykurzenia tych os z gniazda.

Hornblower sam pohamował dalsze słowa protestu cisnące mu się na usta. Grożąc aresztem Hooper nie rzucał słów na wiatr. Twarda dyscyplina, którą były przepojone siły zbrojne Korony, trzymała Hornblowera w swych kleszczach równie mocno, jak najmniej znaczącego marynarza. Nieposłuszeństwo rozkazowi to sprawa beznadziejna od samego początku. Chociaż własne sumienie pchało go z całą siłą naprzód, przed sobą miał niewzruszoną barierę dyscypliny. Jutro? Jutro będzie nowy dzień.

— Dobrze, ekscelencjo.

— Odpoczynek nocny świetnie panu zrobi, milordzie. Najlepiej będzie, jak się pan tu prześpi. Może powie pan swemu oficerowi flagowemu, co będzie pan potrzebował ze świeżego ubrania, to poślę do Domu Admiralicji, żeby przygotowano te rzeczy na rano.

Ubranie? Hornblower popatrzył po sobie. Zupełnie zapomniał, że jest ubrany w wieczorowy strój. Jednym spojrzeniem przekonał się, że już nigdy nie będzie mógł go włożyć. Teraz mógł sobie wyobrazić, jak wygląda w całości. Zmizerowane policzki porasta pewnie szczeciniasta broda, krawat jest w okropnym nieładzie. Nic dziwnego, że w poczekalni przyglądano mu się ciekawie.

— Ekscelencja jest bardzo uprzejmy — rzekł.

Pozory grzeczności nie zaszkodzą w sytuacji chwilowo przymusowej. Coś w tonie Hoopera powiedziało mu, że to zaproszenie mogło równie dobrze być rozkazem, że jest w tym stopniu

więźniem w Domu Rządowym, jak gdyby Hooper naprawdę urzeczywistnił groźbę aresztowania go. Skoro już musi się poddać, przynajmniej na razie, to najlepiej poddać się elegancko. Jutro będzie nowy dzień.

— Pozwoli pan, milordzie, że go zaprowadzę do jego pokoju — powiedział Hooper.

Lustro w sypialni potwierdziło najgorsze obawy Hornblowera co do własnego wyglądu. Łoże z ogromną moskitierą było szerokie i kuszące. Zbolałe stawy domagały się, żeby pozwolił sobie paść na łóżko i odetchnąć; znużony umysł chciał zapaść się w niepamięć, zapomnieć we śnie o troskach, jak zapomina pijak pod wpływem alkoholu. Namydlenie ciała w letniej kąpieli, mimo piekącego protestu otartych miejsc na skórze, przyniosło ulgę. A przecież, wykąpany i odprężony, przyodziany w koszulę ekscelencji płaczącą mu się u kolan, nie potrafił pofolgować słabości ciała i ducha. Jego najskrytsze ego nie chciało przyznać się do nich. Zaczął kuśtykać bosy po pokoju. Brakowało mu pokładu rufowego, żeby pochodzić po nim. Rozgrzane od świec tropikalne powietrze w sypialni mniej sprzyjało przyływowi natchnienia niż świeży wiatr morski, wokół bzykały moskity, tnąc go po szyi i gołych nogach i rozpraszając tok myśli. Była to jedna z cięższych nocy w jego życiu. Chwilami, jakby odprężony, siadał w fotelu, lecz po paru sekundach świeży strumień myśli znów poderwał go na nogi, zmuszając do chodzenia tam i z powrotem na obolałych stopach.

Wściekało go, że nie jest w stanie skoncentrować się na problemie Spendlove'a. Czuł dla siebie pogardę, że pozwala myślom odwracać raz po raz jego uwagę od oddanego sekretarza. Jeszcze przed upływem nocy obmyślił sposób, w jaki on sam dobrałby się do gniazda pirackiego, gdyby nie miał związanych rąk. Podsumowując swe plany doznał nawet satysfakcji, która przeszła jednak w ściskającą serce rozpacz na wspomnienie o Spendlove'ie w rękach piratów. Robiło mu się niedobrze, gdy myślał o groźbie Johnsona, że wydłubie oczy Spendlove'owi. Nie wiedział, kiedy znużenie zmogło go. Usiadł w fotelu, podparłszy głowę ręką, by ocknąć się ze wzdrygnięciem w momencie opadania do przodu. Przebudzenie nie było kompletne. Nieświadom tego, co robi, usadowił się z powrotem w fotelu i spał dalej, nie korzystając z szerokiego łóża. Poderwało go stukanie do drzwi — stał, mrugając powiekami i patrząc wokół siebie. Zastanawiając się, gdzie jest, próbował opanować się na tyle, żeby sprawiało wrażenie, iż spanie w fotelu, gdy się ma łóżko do dyspozycji, jest najzwyczajszą rzeczą na świecie.

Wszedł Giles niosąc czystą bieliznę, mundur i brzytwy. Czynności związane z goleniem i starannym ubieraniem się pozwoliły mu się uspokoić i nie dopuszczały do zbyt gorączkowego myślenia o problemie, który będzie musiał rozwiązać w ciągu następnych pięciu minut.

— Ekscelencja byłby rad, gdyby jego lordowska wysokość zechciał spożyć z nim śniadanie.

Tę wiadomość przekazano Gilesowi przez drzwi. Zaproszenie musiało być, rzecz jasna, przyjęte, gdyż znaczyło tyle samo co rozkaz królewski. Hooper lubił widocznie stek na śniadanie, bo srebrny półmisek ze stekami z cebulą został wniesiony, gdy tylko Hornblower wyrzekł oficjalne „Dzień dobry”. Hooper popatrzył dziwnie na Hornblowera, gdy ten, zapytany przez lokaja, poprosił o kawałek melona i gotowane jajko — zły to był początek, gdyż fakt, że Hornblower miewa przy śniadaniu takie cudzoziemskie, sfrancuziałe zachcianki, utwierdził Hoopera w opinii o jego ekscentryczności. Lata życia na ładzie nie stępiły w Hornblowerze apetytu na świeże jajka w skorupkach, zawsze odczuwanego podczas dziesięcioleci spędzonych w morzu. Hooper pomazał

stek musztardą i zabrał się ochoczo do jedzenia.

— Dobrze pan spał?

— Dziękuję, ekscelencjo, nie najgorzej.

Opuszczenie przez Hoopera oficjalnego „milordzie” było z jego strony oznaką, chociaż niezbyt subtelną, że jest skłonny zapomnieć o rozmowie z ubiegłej nocy i zachować się wspaniałomyślnie, jakby Hornblower był normalną osobą, z przelotnym tylko potknięciem na swym koncie życiowym.

— O interesach pomówimy po śniadaniu.

— Jak pan sobie życzy, ekscelencjo.

Ale nawet gubernator nie może być pewien, co mu się zdarzy za chwilę. U drzwi zrobiło się zamieszanie i do pokoju wpadła grupka ludzi, lokaj, dwaj adiutanci, Gerard i... i... kóż to jest? Błady, w poszarpanym ubraniu, wyczerpany, niezdolny prawie trzymać się na chwiejnych nogach.

— Spendlove! — wykrzyknął Hornblower. Łyżka spadła z brzękiem na podłogę, gdy zerwał się z miejsca i skoczył ku przybyłemu.

Uścisnął serdecznie dłoń Spendlove'a i wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu. Chyba nie miał w życiu momentu, który by mu sprawił tak czystą radość.

— Spendlove! — chwilowo był tylko w stanie powtórzyć nazwisko.

— Czy to powrót syna marnotrawnego? — spytał Hooper od stołu.

Hornblower przypomniał sobie o wymogach grzeczności.

— Ekscelencjo, czy mogę przedstawić mego sekretarza, pana Erazma Spendlove'a?

— Miło mi poznać pana, młody człowieku. Proszę zająć miejsce przy stole. Przynieście panu Spendlove'owi coś do jedzenia! Wygląda, że szklanka wina dobrze by mu zrobiła. Dajcie tu karafkę i szklanę.

— Nie jest pan ranny? — pytał Hornblower. — Nic się panu nie stało?

— Nie, milordzie — odparł Spendlove, prostując ostrożnie nogi pod stołem. — Tylko moje nieprzywykłe kończyny zeszywniały po tych siedemdziesięciu milach na grzbiecie końskim.

— Siedemdziesiąt mil? — zdziwił się Hooper. — Skąd?

— Zatoka Montego, ekscelencjo.

— To znaczy, że musiał pan uciec w nocy.

— O zmroku, ekscelencjo.

— Ale co pan zrobił, człowieku? — dopytywał się Hornblower. — Jak pan się wydostał?

— Skoczyłem, milordzie. Do wody.

— Do wody?

— Tak, milordzie. W rzece u stóp urwiska woda ma głębokość ośmiu stóp — dosyć, żeby złagodzić upadek z każdej wysokości.

— Więc tak to było. Ale... ale... w ciemnościach?

— To było łatwe, milordzie. Wyjrzałem przez szaniec za dnia. Gdy mówiłem „do widzenia” waszej lordowskiej wysokości. Zapamiętałem miejsce i zmierzyłem wzrokiem odległość.

— A potem?

— A potem skoczyłem, gdy było całkiem ciemno i padał duży deszcz.

— Co robili piraci? — spytał Hooper.

— Kryli się przed deszczem, ekscelencjo. Na mnie nie zwracali uwagi w przekonaniu, że po wciągnięciu drabiny nie mam żadnych szans.

— No i?...

— No więc puściłem się pędem i, jak już powiedziałem, ekscelencjo, przeskoczyłem przez szaniec, spadając do wody na nogi.

— Bez obrażeń?

— Bez obrażeń, ekscelencjo.

Żywa wyobraźnia Hornblowera odtworzyła cały przebieg tego wyczynu, sześć kroków poprzez ciemność i ulewny deszcz, skok, długie spadanie. Czuł, że włosy jeżą mu się na karku.

— Bardzo chwalebny wyczyn — zauważył Hooper.

— Nic wielkiego dla kogoś zdesperowanego, ekscelencjo.

— Być może. A potem? Gdy znalazł się pan w wodzie? Czy ścigano pana?

— O ile się orientuję, ekscelencjo, to nie. Może upłynął jakiś czas, nim spostrzegli moją nieobecność. Ale wtedy musieliby spuścić drabinę i zejść po niej. Oddalając się stamtąd nic nie słyszałem.

— Którędy pan szedł? — spytał Hornblower.

— Trzymałem się rzeki, milordzie, posuwając się w dół z jej biegiem. Jeśli pan pamięta, milordzie, to czyniąc wstępne obserwacje uznaliśmy, że wpływa do morza w zatoce Montego.

— Czy ta wędrówka była łatwa? — pytał Hornblower. Chociaż bardzo był poruszony, pewna myśl zrodziła mu się w głowie, domagając się uwagi.

— Niełatwa w ciemnościach, milordzie. Miejscami występowały bystrzyny, a głązy były oślizłe. Mam wrażenie, że główny nurt jest wąski, chociaż nie mogłem sprawdzić tego wzrokiem.

— A w zatoce Montego? — pytał Hooper.

— Była tam straż pilnująca łodzi rybackich, ekscelencjo, półkompania Pułku Zachodnioindyjskiego. Kazałem zbudzić oficera, on znalazł dla mnie konia i pojechałem drogą bitą.

— Zmieniał pan konie po drodze?

— Mówiłem, że jadę w bardzo ważnej misji, ekscelencjo.

— Szybko się pan uwinął.

— Patrol w Mandeville poinformował mnie, że wasza lordowska wysokość jest w drodze do jego ekscelencji, toteż pojechałem wprost do Domu Rządowego.

— Bardzo rozsądnie.

Obok obrazu skoku w ciemnościach w wyobraźni Hornblowera pojawiły się teraz inne fragmenty koszmarnej przeprawy przez rzekę, przewracanie się na śliskich kamieniach, zapadanie w niespodziewane głębie, trudna wędrówka wzdłuż niewidocznych brzegów, potem nie kończąca się wyczerpująca jazda.

— Panie Spendlove, przedstawię pańskie zachowanie lordom komisarzom — oznajmił oficjalnym tonem.

— Muszę podziękować waszej lordowskiej wysokości.

— A ja przedstawię je sekretarzowi stanu — odparł Hooper.

— Ekscelencja jest nazbyt łaskaw.

Fakt, że Spendlove potrafił połknąć ogromny stek z cebulą w trakcie składania meldunku (co można było stwierdzić rzuciwszy okiem na jego talerz) był dla Hornblowera jeszcze jednym, i to nie najniższym osiągnięciem, jego sekretarza. Musiał chyba nauczyć się jeść bez żucia.

— Dość komplementów — powiedział Hooper, wycierając resztki sosu kawałkiem chleba. — Teraz musimy zlikwidować piratów. Ta ich kryjówka, powiada pan, jest mocna?

Hornblower pozostawił odpowiedź Spendlove'owi.

— Nie do zdobycia w bezpośrednim ataku, ekscelencjo.

— Hm. Sądzi pan, że będą stawiać opór?

Przez ostatnie kilka minut Hornblower sam się nad tym zastanawiał. Co zrobią ci ludzie, bez przywódcy, a teraz oszołomieni kompletnym fiaskiem swego planu?

— Mogą się rozproszyć, ekscelencjo, po całym lądzie — odparł Spendlove.

— Mogą. Wówczas będę zmuszony polować na nich. Patrole na wszystkich drogach, ruchome oddziały w górach. A lista chorych już i tak jest długa.

Żołnierze wystawieni w Indiach Zachodnich przez dłuższy czas na wpływy atmosferyczne będą marli jak muchy, a wyłapanie przestępców może równie dobrze trwać tygodnie.

— Może się rozproszą — zaczął Hornblower, a potem zdecydował się: — lecz moim zdaniem, ekscelencjo, nie zrobią tego.

Hooper spojrzał bystro na niego.

— Sądzi pan, że nie?

— Sądzę, że nie, ekscelencjo.

Banda była już w rozpacz i desperacji, gdy przebywał wśród nich. Bez dowódcy są trochę jak dzieci. Na urwisku mają schronienie, żywność — mają dom, jeśli można to tak nazwać. Nie będą chcieli go opuścić.

— A pan powiada, że miejsce jest nie do zdobycia? Oznaczałoby to długotrwałe oblężenie.

— Mógłbym ich szybko zlikwidować siłami morskimi, ekscelencjo, gdyby ekscelencja pozwolił mi spróbować.

— Wasza lordowska wysokość może próbować wszystkiego, co mogłoby ocalić życie ludzi.

Hooper patrzył na niego zaciekawiony.

— A zatem poczynię przygotowania — rzekł Hornblower.

— Uda się pan morzem do zatoki Montego?

— Tak.

Powstrzymał się od dodania „oczywiście”. Ci z armii lądowej zawsze mają trudności z uświadomieniem sobie wygody, jaką daje morze, gdy zachodzi potrzeba szybkich, sekretnych ruchów.

— Utrzymam moje patrole na wypadek, gdyby udało im się drapnąć w trakcie wykurzania ich z gniazda przez pana — oznajmił Hooper.

— Uważam, że będzie to przezorny krok ze strony waszej ekscelencji. Mam nadzieję, że realizacja mojego planu nie potrwa długo. Za pozwoleniem waszej ekscelencji...

Hornblower wstał od stołu.

— Już pan idzie?

— Każda godzina jest ważna, ekscelencjo.

Hooper patrzył na niego jeszcze bardziej badawczo niż przedtem.

— Marynarka wojenna okazuje rezerwę, z której jest znana — powiedział. — No cóż, trudno. Zamówcie tam powóz dla jego lordowskiej wysokości. Ma pan moją zgodę na próbę, milordzie. Proszę złożyć mi raport przez kuriera.

I tak, w ciepłym powietrzu poranka, wszyscy trzej, Hornblower, Spendlove i Gerard, znaleźli się w powozie.

— Stocznia — rzucił Hornblower i zwracając się do Spendlove'a rzekł: — Ze stoczni uda się pan na „Clorindę” i przekaze kapitanowi Fellowi mój rozkaz poczynienia przygotowań do wyjścia w morze. Za godzinę podniosę mój porządek. Potem rozkazuję panu odpocząć.

— Tak jest, milordzie.

W stoczni inspektor w stopniu kapitana robił, co mógł, żeby nie zdradzić zaskoczenia nie zapowiedzianą wizytą admirała, który według ostatnich wiadomości został porwany.

— Holmes, potrzebuję moździerza łodziowego — powiedział Hornblower, gestem przerywając uwagi inspektora o przyjemnym zaskoczeniu.

— Moździerz łodziowy, milordzie? T... tak, milordzie. Wiem, że jest jeden w magazynie.

— Niech go pan zaraz pośle na pokład „Clorindy”. Ale, ale, są do niego pociski?

— Tak, milordzie. Oczywiście nie napełnione.

— Napełni je artylerzysta „Clorindy”, gdy będziemy w drodze. Zdaje się, że po dwadzieścia funtów na sztukę. Niech pan przyśle dwieście, z lontami.

— Tak jest, milordzie.

— Potrzebny mi też ponton. Dwa pontony. Widziałem, że pańscy ludzie używają ich do uszczelniania poszycia i oczyszczania dna płomieniem. To pontony dwudziestostopowe?

— Dwudziestodwustopowe, milordzie — odrzekł Holmes. Był rad, że może dać tę odpowiedź i że admirał nie pyta o rzeczy tak mu nie znane, jak ciężar pocisków do mózdzierza łodziowego.

— Wezmę dwa, jak rzekłem. Niech je pan przyśle — zostaną załadowane na pokład.

— Tak jest, milordzie.

Kapitan Sir Thomas Fell włożył swój najlepszy mundur na powitanie admirała.

— Otrzymałem pański rozkaz, milordzie — rzekł, gdy świergot gwizdków zamarł w końcowym jęku.

— W porządku, Sir Thomasie. Chcę, żebyśmy ruszyli, gdy tylko zamówione przeze mnie wyposażenie znajdzie się na pokładzie. Może pan odcumowywać okręt. Płyniemy do zatoki Montego rozprawić się z piratami.

— Tak jest, milordzie.

Fell starał się nie patrzeć krzywo na dwa brudne pontony, które miał wziąć na swój nieposzlakowane czysty pokład — były to pontony służące do ustawiania rusztowań w stoczniach podczas prac przy burtach okrętów — a dwie tony zatłuszczonych pocisków, dla których musiał znaleźć miejsce, nie wyglądały lepiej. Nie był zadowolony, gdy otrzymał rozkaz odkomenderowania większej części swej załogi — dwustu czterdziestu ludzi — i całej piechoty morskiej jako grupy desantowej. Marynarze byli naturalnie zachwyceni perspektywą zmiany w codziennej rutynie i możliwością akcji bojowej. Fakt, że artylerzysta odmierzał proch armatni i wsypywał po dwa funty do każdego pocisku, widok zbrojmistrza przeprowadzającego wraz z admirałem przegląd pik abordażowych, osadzanie ciężkiego, przysadzistego mózdzierza w łożu na uskoku dziobówki — wszystko to podniecało ich. Przyjemnie było płynąć na zachód pod wszystkimi żaglami, zostawiając cypel Portland na trawersie, okrążyć cypel Negril o zachodzie słońca, chwytając w żagle sprzyjające powiewy bryzy morskiej, pozwalające oszukiwać pasat, sunąć jak duch w tropikalnej ciemności przy śpiewnych zawołaniach sondującego na ławie wantowej, by stanąć o świcie na kotwicy pośród płycizn zatoki Montego, gdy zielone góry Jamajki stały w ognistym blasku wschodzącego słońca.

Hornblower wyszedł na pokład, żeby to zobaczyć. Położywszy się spać po zachodzie słońca, obudził się o północy — dwie noce prawie bez snu naruszyły jego nawyki — i już chodził po pokładzie rufowym, podczas gdy podekscytowana załoga ustawiała się na śródokręciu. Uważnym okiem śledził przygotowania. Ten mózdzierz waży nie więcej niż czterysta funtów i nie będzie żadnej trudności z opuszczeniem go na ponton przy pomocy talii na noku rei. Odbyła się inspekcja ekwipunku muszkieterów. Załoga patrzyła zdziwiona na ludzi z pikami, siekierami, a nawet młotami drewnianymi i żelaznymi łomami. Gdy słońce wzbiło się wyżej i mocniej przygrzało, ludzie ci zaczęli schodzić do łodzi.

— Gig przy burcie, milordzie — zameldował Gerard.

— W porządku.

Na ładzie Hornblower odsalutował zdumionemu subalternowi dowodzącemu oddziałem pułku zachodnioindyjskiego pilnującego łodzi — wezwał on swoich ludzi pod broń, spodziewając się widocznie co najmniej inwazji francuskiej — i odprawił go.

Potem przebiegł ostatnim spojrzeniem po równych szeregach oddziału piechoty morskiej, w pełnym rynsztunku, odzianych w szkarłatne tuniki z białymi bandoletami. Pod koniec dnia nie będą wyglądać tak porządnie.

— Może pan zaczynać, kapitanie — powiedział. — Panie Spendlove, proszę informować mnie o wszystkim.

— Tak jest, milordzie.

Za Spendlovem jako przewodnikiem żołnierze piechoty morskiej pomaszzerowali naprzód, stanowiąc awangardę mającą zabezpieczać siły główne przed zaskoczeniem. Nadszedł czas wydania rozkazów pierwszemu oficerowi „Clorindy”.

— Panie Sefton, możemy już ruszać.

Rzeczka miała przy ujściu niewielką mieliznę, lecz udało się przeciągnąć tamtędy pontony z moździerzem i amunicją. Przez milę nad wodą biegła nawet utarta droga, toteż holowanie pontonów szło szybko. Zielone zarośla wokół holujących zgęstniały. Weszli w zasięg cienia, który początkowo wydawał się przyjemny, lecz w miarę jak szli naprzód, stawało się w nim duszno, a powietrze było tak wilgotne, że trudno było oddychać. Moskity cięły z jadowitą determinacją. Ludzie ślizgali się po zdradliwie gliniastym brzegu i padali w wodę z głośnym chlupotem. Wreszcie dotarli do pierwszego odcinka płycizn, gdzie rzeka spływała z bulgotem po długim zboczu widocznym między stromymi brzegami w świetle przesączającym się przez zieleń.

W każdym razie już choćby do tego miejsca zaoszczędzili milę albo i więcej dzięki transportowi wodą. Hornblower obejrzał uważnie siedzące na mieliznie pontony, grunt i drzewa. To było to, nad czym się zastanawiał. Warto spróbować, zanim zagna ludzi do morderczego wysiłku wciągania moździerza przy użyciu samej tylko siły.

— Panie Sefton, jeśli łaska, spróbujmy zrobić tu tamę.

— Tak jest, milordzie. Z siekierami! Pikami! Młotami! Do mnie!

Wszyscy byli wciąż w doskonałych nastrojach, podoficerowie z trudem hamowali żywiołą wesołość podwładnych. Rząd pik wbitych grotami w miejsca, gdzie grunt był na to dostatecznie miękki, utworzył pierwszy zarys tamy. Ludzie z siekierami zwalali niniejsze drzewa z dziecięcą radością niszczenia. Ci z żelaznymi łomami podważali pniaki i gałęzi. Mała lawina spadających pni i gałęzi zaczęła sypać się w koryto rzeki. Wokół nich skłębiła się woda. Przeszkoda była już dostateczna, żeby zatrzymać jej bieg. Hornblower patrzył, jak poziom wody podnosi się na jego oczach.

— Dawać więcej głazów! — krzyknął Sefton.

— Panie Sefton, niech pan ma oko na pontony — powiedział Hornblower. Nieruchawy tabor zaczynał już podnosić się na wodzie.

Ścinane wciąż drzewa i strącane głazy poszerzały, podwyższały i umacniały tamę. Woda przeciekała przez szpary, lecz tama zatrzymywała jej więcej, niż przepuszczała.

— Podciągnąć pontony pod prąd — rozkazał Hornblower.

Cztery setki ochoczo pracujących rąk zdziałały już dużo. Woda podniosła się na tyle, że można było przeciągnąć pontony w górę rzeki przez dwie trzecie płycizn.

— Myślę, panie Sefton, że trzeba by jeszcze jedną tamę.

Już nauczyli się sporo o budowaniu prowizorycznych tam. Wydawało się, że wystarczyła chwila, żeby zatkać koryto rzeki. Brodząc w wodzie po kolana marynarze podciągali pontony coraz wyżej. Osiadały chwilami na piasku, lecz w końcowym wysiłku przewleczono je po ostatniej płyciźnie na odcinek rzeki, gdzie bez trudu unosiły się na wodzie.

— Znakomicie, panie Sefton.

Oznaczało to czysty zysk ćwierci mili przed dalszymi płyciznami.

Gdy przygotowywali się do budowy następnej tamy, usłyszeli głuchy odgłos strzału z muszkietu, odbity echem w rozgrzanym powietrzu, a za nim jeszcze sześć. Upłynęło kilka minut, zanim zadyszany posłaniec nadbiegł z wyjaśnieniem.

— Melduje kapitan Seymour, sir. Ktosik z góry nas ostrzelał, sir. Jazem go widział między drzewami, ale uciekł.

— W porządku.

A zatem piraci postawili obserwatora nad rzeką. Teraz wiedzą, że idzie na nich jakiś oddział. Czas pokaże, jaki będzie ich następny krok. Tymczasem pontony znowu spłynęły na wodę i trzeba było pchać je dalej. Rzeczka wijąca się meandrami u stóp pionowych brzegów jakimś cudem była miejscami na tyle głęboka, że kosztem przeciągania od czasu do czasu pontonów przez małe bystrzyny pozwalała na spławianie ich. Hornblowerowi zaczęło się wydawać, że robi to już całe dnie, w oślepiających plamach światła słonecznego i mrocznych odcinkach cienia, z wodą kłębiącą się u kolan i stopami ślizgającymi się po głazach. Przy następnej tamie ogarnęła go pokusa, żeby usiąść i pozwolić, żeby pot ściekał po nim strumieniem. Ledwie siadł, gdy następny goniec przybiegł od awangardy.

— Kapitan Seymour melduje, sir. Kazał powiedzieć, że piraty osiadły na skałach, sir. Siedzom w jaskini, sir, wysoko na urwisku.

— Jak daleko stąd?

— Och, nie tak znowuż daleko, sir.

Hornblower zdał sobie sprawę, że nie należało oczekiwać dokładniejszej odpowiedzi.

— One strzelali do nas, sir — dodał goniec.

To lepiej określało odległość. Od dłuższego czasu nie było słychać strzelaniny, legowisko piratów musi więc znajdować się dalej niż zasięg odgłosu muszkietów.

— W porządku. Panie Sefton, proszę kontynuować. Ja pójdę naprzód. Proszę ze mną, Gerard.

Zaczął wdrapywać się i piąć na czworakach brzegiem rzeki. W trakcie posuwania się stwierdził, że brzeg po lewej stronie stawał się coraz wyższy i coraz bardziej spadzisty, aż przeszedł w prawdziwe urwisko. Po jeszcze jednym odcinku bystrzyn na zakręcie otworzył się przed nimi nowy widok. To tu, jak sobie przypominał, znajduje się to wysokie, urwiste zbocze z nawisem i wodospadem spadającym do rzeki u jego stóp, i długa, pozioma płaszczyna w połowie drogi na urwisko — otwarta łączka z kilkoma drzewami po prawej stronie i gromadką mułów na wąskim szmacie trawy między skalistym zboczem i rzeką. Na tej łące żołnierze piechoty morskiej, w czerwonych mundurach, rozciągnęli się w szerokie półkole, którego ośrodkiem była jaskinia.

Zapomniawszy o pocie i zmęczeniu Hornblower ruszył spiesźnie w stronę Seymoura otoczonego swymi żołnierzami i patrzącego w górę na urwiste zbocze. Przy nim był Spendlove. Obaj wyszli mu naprzeciw i zasalutowali.

— Są tam, milordzie — powiedział Seymour. — Oddali do nas kilka strzałów, gdy dotarliśmy w to miejsce.

— Dziękuję, kapitanie. Spendlove, jak się teraz panu podoba to miejsce?

— Wcale nie bardziej niż przedtem, milordzie.

— Uskok Spendlove'a — zażartował Hornblower. Pośpieszył brzegiem rzeki w kierunku jaskini wciąż spoglądając w górę.

— Uwaga, milordzie — krzyknął ostrzegawczo Spendlove.

W moment po jego słowach coś przeleciało z ostrym gwizdem tuż nad głową Hornblowera, nad szanccem przed jaskinią ukazał się kłębek dymu, a od ściany urwiska nadleciał ostry, dzwoniący odgłos wystrzału. Nad szanccem pojawiły się postacie, małe jak lalki z tej odległości, machające wyzywająco rękami, do uszu wspinających się dobiegło ich wycie.

— Któryś z nich ma strzelbę, milordzie — rzekł Seymour.

— Tak? Więc może lepiej wycofać się z zasięgu, zanim zdąży załadować ją ponownie.

Incydent początkowo nie zrobił większego wrażenia na Hornblowerze. Ale teraz uświadomił sobie nagle, że nieomal legendarna kariera wielkiego Lorda Hornblowera mogła się skończyć teraz i tutaj, że jego przyszły biograf mógłby pisać z ubolewaniem o ironii losu, który pozwalając Hornblowerowi wychodzić cało z tyłu rozstrzygających bitew kazał mu zginąć z rąk jakiegoś

zbrodniarza w nieznanym zakątku wyspy zachodnioindyjskiej. Zawrócił i oddalił się z tego miejsca, a inni wraz z nim. Szyję trzymał prosto i sztywno, mięśnie miał napięte. Wiele czasu upłynęło, od kiedy jego życie było ostatnio w niebezpieczeństwie. Starał się zachowywać naturalnie.

— Niedługo Sefton będzie tu z moździerzem — powiedział. Miał nadzieję, że te słowa nie brzmiały tak sztucznie w uszach innych, jak w jego własnych.

— Tak, milordzie.

— Gdzie go ulokujemy? — Rozejrzał się wokoło mierząc wzrokiem odległości. — Lepiej żeby się znalazł poza zasięgiem tej strzelby.

Zabrawszy się do dzieła od razu zapomniał o niebezpieczeństwie. Następny kłębek dymu nad szańcem, znowu echo wystrzału.

— Słyszał ktoś kulę? Nie? A więc można założyć, że jesteśmy poza zasięgiem tamtej strzelby.

— Przepraszam, milordzie — wtrącił Spendlove. — Jaki pana zdaniem może być zasięg moździerza łodziowego.

— Encyklopedysta Spendlove okazujący taką ignorancję! Siedemset jardów przy jednofuntowym ładunku prochu i piętnastosekundowym czasie lotu. Tutaj trzeba jednak wyrzucić pocisk sześćdziesiąt stóp wyżej niż punkt, z którego zostanie wystrzelony. Piękny problem batalistyczny. — Mówił to tonem absolutnie spokojnym, ufny, że nikt nie wie, iż o pierwszej w nocy sprawdzał te liczby w podręczniku. — Tamte drzewa przydadzą się nam, kiedy przyjdzie do podciągania moździerza w górę. A w odległości dwudziestu stóp od nich jest kawałek równego gruntu. Doskonale.

— Idą, milordzie.

Pojawił się pierwszy oddział sił głównych za odległym zakrętem urwiska, posuwając się spieszenie brzegiem rzeki. Zorientowawszy się w sytuacji, z wyciem runęli do biegu, to skacząc, to gramoląc się na czworakach po nierównym gruncie. Przypominali Hornblowerowi psy gnające z ujadaniem na widok osaczonej zdobyczy.

— Cicho tam! — huknął. — Hej ty, midszypmenie, nie możesz trzymać w garści swoich ludzi? Zapisz ich nazwiska do ukarania, a ja podam twoje panu Seftonowi.

Skonfundowani marynarze formowali się już spokojnie. Nadciągnęły pontony, sunąc jak przeznaczenie po cichym rozlewisku, holowane przez oddziały robocze brnące brzegiem rzeki.

— Rozkazy, milordzie? — spytał Sefton.

Hornblower przed wydaniem rozkazów obrzucił teren ostatnim spojrzeniem. Słońce dawno minęło zenit. Marynarze ochoczo wspinali się na drzewa, żeby mocować tam talie, wkrótce moździerz wisiał, kołysząc się, na grubej gałęzi. Tymczasem wciągnięto na górę jego łożo i ustawiono na równym miejscu. Artylerzysta ze spirytusową poziomnicą kręcił się przy nim

sprawdzając, czy stoi w pozycji poziomej. Następnie olbrzymim wysiłkiem rąk wciągnięto moździerz i opuszczono w położenie, zaś artylerzysta przetknął kliny przez śruby oczkowe.

— Czy mam otwierać ogień, milordzie? — zapytał Sefton.

Hornblower popatrzył na odległą półkę w ścianie urwiska po przeciwległej stronie rzeki. Piraci obserwują ich stamtąd. Czy rozpoznali ten pękaty przedmiot o niewielkich rozmiarach i nieokreślonym kształcie, oznaczający dla nich śmierć? Mogą wcale nie wiedzieć, co to takiego, przypuszczalnie wyglądają przez szaniec, próbując dojrzeć, co absorbuje uwagę tak licznej grupy ludzi.

— Artylerzysto, jaką macie elewację?

— Sześćdziesiąt stopni, sir... milordzie.

— Spróbujcie wziąć pocisk z piętnastosekundowym zapalnikiem.

Artylerzysta starannie wykonał proces ładowania, odmierzania prochu i wpychania go przybitką do komory, oczyszczania otworu zapalowego prętem i wypełniania go drobnoziarnistym prochem z rogu. Wziął płaskie szydło, wetknął je ostrożnie w wybrany punkt na drewnianym trzonku zapalnika — były to zapalniki bardzo świeżej konstrukcji, wyskalowane kreskami tuszowymi, oznaczającymi czas spalania — i wkręcił w pocisk, po czym opuścił pocisk na przybitkę.

— Lont — powiedział.

Ktoś uderzał krzemieniem o stal, żeby złapać iskrę na wolnotłący lont. Zapalił drugi od niego i podał go artylerzyście. Ten, schyliwszy się, sprawdził nastawienie moździerza na cel.

— Zapalać! — rozkazał. Jego pomocnik dotknął lontem zapalnika, który zaczął strzelać iskrami. Artylerzysta wetknął żarzący się lont w otwór zapalowy. Huk i kłęb dymu prochowego.

Hornblower stał daleko w tyle za moździerzem z twarzą ku niebu, żeby śledzić lot pocisku. Nic nie było widać na tle jasnego błękitu — nie, na wysokości trajektorii mignęła krótka czarna kreska i natychmiast znikła. Dalsze czekanie, nieunikniona obawa, że zapalnik nie zadziałał, a potem daleki wybuch i fontanna dymu u stóp urwiska, trochę w prawo od jaskini. Rozległ się jęk zawodu marynarzy obserwujących strzał.

— Cisza tam! — huknął Sefton.

— Artylerzysto, spróbujcie jeszcze raz — polecił Hornblower.

Obrócono moździerz nieznacznie na łożu, przewód lufy przetarto gąbką. Po założeniu ładunku artylerzysta wyjął z kieszeni ćwierćkwartową[20] miarkę, nabrał do niej pełno prochu i dosypał do ładunku. Znów przekłuł zapalnik, opuścił pocisk do lufy, wydał końcowy rozkaz i działa wypaliło. Czekanie, a potem kłęb dymu zawisł dumnie w powietrzu, wyglądało, że na linii z półką w urwisku. Znajdujący się tam nieszczęśnicy patrzyli, jak przeznaczenie zbliża się nieubłaganie ku nim.

— Zapalnik trochę za krótki — powiedział Hornblower.

— Ja myślę, milordzie, że to zasięg za krótki — odparł artylerzysta.

Następny wystrzał wzbudził chmurę pyłu i małą lawinę z przedniej ściany urwiska, wysoko nad półką, a zaraz potem pocisk wybuchł w miejscu upadku, na skraju rzeki po ich stronie.

— Lepiej — orzekł Hornblower. Miał okazję obserwować zasady wstrzeliwania się moździerzem — ogromnym, trzynastocalowym — w czasie oblężenia Rygi prawie dwadzieścia lat temu.

Jeszcze dwa strzały, oba zmarnowane — pociski wybuchły u szczytu swych trajektorii, wysoko, wysoko w górze. Widocznie nie za bardzo można było polegać na tych zapalnikach nowej konstrukcji. Chwilami deszcz odłamków wpadający do rzeki wzbijał z niej fontanny wody. Lecz teraz piraci muszą już w pełni zdawać sobie sprawę z tego, co potrafi moździerz.

— Gerard, niech mi pan da swoją lunetę.

Nastawił lunetę na uskok w ścianie urwiska. Widział teraz każdy szczegół, nierówny, kamienny szaniec z wodospadem na jednym końcu, nie mógł jednak dostrzec piratów. Schronili się w głąb pieczary albo przykucnęli za szanćcem.

— Oddać następny strzał.

Piętnaście długich sekund po wybuchu. Potem ujrzał odłamki wyfruwające spod nawisu.

— Dobry strzał! — wykrzyknął, kontynuując obserwację. Pocisk musiał wpaść prosto do pieczary. Lecz gdy wypowiadał te słowa, ciemna postać ukazała się przy szanćcu i wykonała zamach obu rękami. Na tle skały Hornblower zobaczył maleńki, czarny krążek pocisku spadający łukiem w dół, a potem chmurę dymu. Któryś z piratów chwycił gorący pocisk i wyrzucił go za szaniec. Zaiste desperacki wyczyn.

— Wystrzelić następny pocisk w to samo miejsce, z czasem spalania lontu zapalnika krótszym o sekundę i będzie po wszystkim — rzekł i natychmiast dodał: — Zaczekać.

Ci ludzie, w beznadziejnym położeniu, muszą się poddać, a nie czekać, aż zostaną zmasakrowani. Co ma zrobić, żeby nakłonić ich do tego? Wiedział doskonale.

— Wysłać parlamentariusza, milordzie? — spytał Spendlove wypowiadając jego myśl na głos.

— Zastanawiałem się nad tym — odrzekł Hornblower.

Taka misja będzie niebezpieczna. Jeśli piraci postanowili nie poddawać się, nie będą respektowali białej flagi i strzelą do tego, kto będzie ją niósł. Mają tam ze dwadzieścia muszkietów i co najmniej jeden karabin. Hornblower nie chciał posyłać nikogo rozkazem ani szukać ochotnika.

— Ja pójdę, milordzie — zaofiarował się Spendlove. — Oni mnie znają.

To jest cena, pomyślał Hornblower, jaką trzeba płacić za wysoką pozycję, za stanowisko admirała. Musi wysyłać swych przyjaciół na śmierć. Z drugiej jednak strony...

— Dobrze — powiedział.

— Człowieku, daj mi swoją koszulę i pikę — zwrócił się do kogoś Spendlove.

Z białej koszuli przywiązanej do drzewca piki rękawami zrobiono całkiem przyzwoitą białą flagę. Gdy Spendlove przechodził z nią przez kordon żołnierzy piechoty morskiej w czerwonych uniformach, Hornblower poczuł pokusę przywołania go z powrotem. Ostatecznie może zaofiarować tylko bezwarunkowe poddanie się. Już otworzył usta, lecz zamknął je, nie wypowiadając przygotowanych w myśli słów. Spendlove posuwał się ku rzece, co kilka sekund przystając i machając flagą. Hornblower nic nie mógł dojrzeć przez lunetę we wnętrzu pieczary. Potem błysnął metal i szereg głów pojawił się nad szańcem. Tuzin muszkietów celowało w Spendlove'a. Lecz ten zobaczył je również i zatrzymał się, powiewając flagą. Po długich sekundach napięcia odwrócił się plecami do muszkietów i zaczął iść z powrotem. Wówczas nad szańcem ukazał się kłęb dymu. Ktoś oddał strzał z karabinu, gdy tylko okazało się, że nie ma nadziei na zwabienie Spendlove'a w zasięg muszkietu. Spendlove wrócił, wlokąc za sobą pikę z koszulą.

— Nie trafił we mnie, milordzie — rzekł.

— Bogu dzięki — odparł Hornblower. — Artylerzysto, ognia.

Może wiatr skręcił trochę albo proch nie był jednakowego gatunku. Pocisk rozerwał się w powietrzu tuż pod poziomem pieczary — zapalnik był więc w porządku — lecz w sporej odległości od urwiska.

— Ognia jeszcze raz — rozkazał Hornblower.

Nareszcie. Buchnął dym, fontanna odłamków, prosto z jaskini. Straszna rzecz pomyśleć, co się tam dzieje wewnątrz.

— Znowu ognia.

Jeszcze jeden wybuch w pieczarze.

— Jeszcze ognia... Nie! Czekać.

Na szańcu ukazały się postacie ludzkie — a zatem ktoś przeżył oba wybuchy. Dwaj ludzie — małe laleczki w polu widzenia lunety — wydawało się, że skacząc w dół zawiśli w powietrzu. Hornblower śledził ich lunetą. Jeden spadł do wody wzbijając fontannę bryzgów. Drugi, który zwałił się na skalisty brzeg, był straszliwie pogruchotany. Hornblower znów uniósł lunetę w górę. Z szańca spuszczano drabinę. Jeden — i jeszcze jeden — dwaj ludzie schodzili po niej. Hornblower zatrzaskał futerał.

— Kapitanie Seymour! Niech pan wyśle żołnierzy w celu ujęcia jeńców.

Nie musiał oglądać straszego spustoszenia w pieczarze, zniekształconych ciał zabitych i wyjących z bólu rannych. Widział ich w wyobraźni, gdy Seymour składał mu meldunek o tym, co zastał, gdy wszedł po drabinie. Koniec z tym, załatwione. Rannych można opatrzyć i znieść na plażę ku czekającej ich śmierci, a tych, co nie ucierpieli, pognąć, ze związanymi rękoma obok nich. Będzie mógł posłać kuriera do gubernatora z wiadomością, że banda piratów została wykurzona, co pozwoli odwołać patrole i odesłać policję do domów. Nie musi oglądać nieszczęśników, nad którymi odniósł zwycięstwo. Minęło podniecenie towarzyszące polowaniu. Postawił sobie zadanie do wykonania, problem do rozwiązania, podobnie jak określenie długości geograficznej na podstawie obserwacji księżyca, i osiągnął sukces. Lecz miarą tego sukcesu będzie liczba powieszonych, zabitych i rannych, wliczając w to pogruchotaną postać leżącą na skałach z przetrąconym kręgosłupem. On zaś podjął się zadania, jedynie by zadowolić swą dumę, odzyskać szacunek dla samego siebie po owym niesławnym porwaniu. Nie pocieszyło go przekonywanie się w duchu, że to, co zrobił, i tak zostałoby zrobione przez kogoś innego, i to przy wielkich kosztach w postaci chorób i strat materialnych. Zaczął więc wymyślać sobie od kazuisty dzielącego włos na czworo. Rzadko się zdarzało, że Hornblower zrobił coś zasługującego na uznanie w swoich własnych oczach.

Miał przecież jakąś cyniczną przyjemność wiążącą się z jego wysoką szarżą, a polegającą na tym, że wydawszy Seftonowi i Seymourowi zwięzły rozkaz odprowadzenia grupy desantowej z powrotem na brzeg morski możliwie jak najszybciej, żeby jak najkrócej znajdowali się pod działaniem nocnego powietrza, mógł zostawić wszystko, wrócić na pokład i zjeść dobry posiłek — chociaż będzie się to wiązało z dosyć nudnym towarzystwem Fella — i ułożyć się do snu w wygodnej koi. Przyjemnie było potem stwierdzić, że Fell był już po obiedzie i że może zjeść obiad w towarzystwie tylko swego oficera flagowego i swego sekretarza. Niemniej jednak na jego usłanej płatkami róż drodze znalazł się niespodziewany cień, a podłożył go sam, o ironio, zachowując się w sposób, który miał według niego być uprzejmy.

— Spendlove, będę musiał dodać jeszcze linijkę do moich uwag na pański temat w liście do lordów Admiralicji — oświadczył. — To wyjście z flagą pokoju było dzielnym wyczynem.

— Dziękuję, milordzie — odparł Spendlove spuszczać wzrok na obrus i bębniąc po stole palcami, po czym dodał, z oczyma wciąż wbitymi w stół i niezwykłym u niego zdenerwowaniem: — Może zatem wasza lordowska wysokość zechce szepnąć za mną słówko gdzie indziej?

— Oczywiście że tak — odrzekł Hornblower z całą naiwnością. — Gdzie?

— Dziękuję, milordzie. Właśnie z myślą o tym dokonałem tego drobiazgu, o którym był pan łaskaw wyrazić się z aprobatą. Będę niezmiernie wdzięczny, jeśli wasza lordowska wysokość zechce zadać sobie trud szepnięcia o mnie pochlebnie do panny Lucy.

Lucy! Hornblower całkiem zapomniał o dziewczynie. Nie udało mu się ukryć zaskoczenia, które stało się wyraźnie widoczne dla Spendlove'a, gdy podniósł wzrok znad serwety.

— Żartowaliśmy, milordzie, na temat bogatego ożenku — rzekł. Wielka staranność, z jaką dobierał słowa, świadczyła o głębi jego uczuć. — Nie martwiłbym się, gdyby panna Lucy nie miała ani pensa. Milordzie, jestem głęboko zaangażowany uczuciowo.

— Ona jest bardzo uroczą dziewczyną — powiedział Hornblower, desperacko grając na zwłokę.

— Ja ją kocham, milordzie — wybuchnął Spendlove, pozbywając się powściągliwości. — Kocham ją bardzo. Na balu próbowałem wzbudzić w niej zainteresowanie moją osobą, ale nadaremnie.

— Przykro mi to słyszeć — odrzekł Hornblower.

— Nie mogłem nie zauważyć, milordzie, jaki podziw żywi ona dla pana. Wciąż o panu mówiła. Już wtedy pojąłem, że jedno pańskie słowo więcej zdziała niż moja długa przemowa. Gdyby zechciał pan szepnąć słówko, milordzie...

— Jestem przekonany, że przecenia pan mój wpływ — odpowiedział Hornblower, dobierając słów równie starannie jak Spendlove, ale miał nadzieję, że nie rzuca się to zbyt w oczy. — Niemniej jednak zrobię, oczywiście, co w mojej mocy.

— Nie muszę powtarzać, milordzie, jak bardzo będę wdzięczny — dziękował Spendlove.

Ten człowiek mówiący błagalnym tonem, ten biedak usychający z miłości to ten sam Spendlove, który odważył się na skok w ciemnościach w sześćdziesięciostopową przepaść. Hornblower przypomniał sobie wargi Lucy na swoich dłoniach i jak wlokła się za nim po podłodze na kolanach. Im mniej będzie miał do czynienia z tą sprawą, tym lepiej. Lecz uczucie dziecka prawie prosto z ławy szkolnej do mężczyzny w dojrzałych latach szybko prawdopodobnie przeminie, natomiast pamięć o poniżeniu będzie później równie przykra dla niej, jak jest teraz dla niego. Dziewczyna poczuje potrzebę upewnienia się ponownie o swej wartości, pokazania mu, że nie jest jedynym mężczyzną na świecie — a w jaki sposób może to okazać dobitniej niż wychodząc za innego? Mówiąc wulgarnie, Spendlove ma szansę wyzyskania u niej chwili słabości.

— Spendlove, jeśli dobre życzenia mogą coś pomóc, to życzę panu wszystkiego najlepszego.

Nawet admirał musi dbać o dobór słów. Dwa dni później powiadomił gubernatora, że wkrótce opuszcza port.

— Ekscelencjo, zabieram rano w morze moją eskadrę — oznajmił.

— Nie zaczeka pan, aż ich będą wieszać? — zdumiał się Hooper.

— Raczej nie — odparł Hornblower — i dodał niepotrzebnie : — Wieszanie, ekscelencjo, jest przeciwne mojej naturze.

Że wyjaśnienie to było nie tylko zbędne, ale i niewskazane, Hornblower zorientował się, gdy tylko ujrzał niepohamowane zdumienie na twarzy Hoopera. Hooper nie mógł być bardziej zaskoczony słysząc, że wieszanie nie leży w naturze Hornblowera, niż gdyby usłyszał wprost, że Hornblower nie zgadza się z wieszaniem — a tak przecież było właściwie.

Wyglądał zupełnie jak brytyjska jednostka wojenna. Nic dziwnego, pełnił bowiem tę rolę przez większą część okresu swego istnienia, do momentu, aż został wystawiony na sprzedaż przez marynarkę wojenną. Gdy teraz wpływał do portu, mógł bez kwestii zostać wzięty za bryg wojenny, z tą jedną różnicą, że zamiast znaku okrętowego powiewał nad nim proporczyk Królewskiej Eskadry Jachtowej. Hornblower odłożył lunetę, przez którą obserwował z zaciekawieniem wchodzenie brygu do portu Kingston i wrócił do listu Barbary, sprzed dwóch miesięcy, otrzymanego dwa tygodnie temu.

Mój najdroższy mężu (pisała Barbara),

Będiesz miał wkrótce gościa, pana Charlesa Ramsbottoma, milionera, który nabył od Marynarki Wojennej starą jednostkę z przeznaczeniem na jacht, nazwany przez niego „Bride of Abydos” [21], i zamierza odwiedzić na nim Indie Zachodnie. W eleganckim, towarzystwie pojawił się dopiero ostatnio, odziedziczywszy majątek po ojcu — wełna bradfordzka i kontrakty na umundurowanie dla wojska! Jednakże mimo niejasnego pochodzenia udało mu się wejść w sfery towarzyskie, może dlatego, że jest bardzo młody, bardzo czarujący, nieżonaty, trochę ekscentryczny i, jak już powiedziałam, milioner. Często go ostatnio widywałam w bardzo dobrych domach i polecam ci go, najdroższy, jeśli nie z innego powodu, to choćby dlatego, że zdobył maleńki kącik w moim sercu dzięki uroczej mieszance szacunku i zainteresowania, którą mogłabym uznać za nieodparcie pociągającą, gdybym nie była żoną najbardziej pociągającego mężczyzny na świecie. Zdobyl sobie rzeczywiście świetną opinię w kręgach towarzyskich zarówno po stronie Rządu, jak i Opozycji i mógłby stać się kimś ważnym w polityce, gdyby zechciał się jej poświęcić. Sądzę jednak, że przywiezie ci listy polecające od osobistości bardziej wpływowych niż twoja kochająca żona...

Przeczytawszy list do końca Hornblower stwierdził, że nie ma w nim nic więcej o panu Charlesie Ramsbottomie, i wrócił jeszcze do początkowego ustępu. Po raz pierwszy w życiu widział napisane to nowe słowo „milioner”, użyte zresztą dwa razy. I z miejsca mu się nie podobało. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł posiadać milion funtów, i to raczej nie w rozległych dobrach ziemskich, lecz w fabrykach, towarach i akcjach, a do tego gruby portfel państwowych papierów procentowych i okazały rachunek w banku. Istnienie milionerów, czy to wśród sfer towarzyskich, czy poza nimi, było czymś równie niesmacznym, jak samo słowo ostatnio wprowadzone do języka angielskiego. A ten wydał się Barbarze czarujący — Hornblower nie był przekonany, czy rzeczywiście można to uznać za rekomendację. Znowu wziął do rąk lunetę i patrzył, jak bryg staje na kotwicy. Szybkość, z jaką zwinęto żagle, świadczyłaby, że ma dużą załogę. Hornblower, będąc głównodowodzącym, rozliczanym z każdego wydanego pensa przez mających węża w kieszeni lordów Admiralicji, wiedział doskonale, ile coś takiego kosztuje. Ten pan Ramsbottom na swoją żeglarską zabawkę wydaje sumy, jakie starczyłyby tysiącu rodzin na chleb, piwo i boczek wieprzowy.

Bryg obrócił się dziobem do wiatru i naprawdę pięknie stanął na kotwicy. Niewątpliwie Hornblower chrząknąłby mimo woli z zadowolenia, gdyby ten statek należał do dowodzonych przez niego jednostek. Teraz chrząknięcie było mieszanką zazdrości i ironii. Odwrócił się, żeby w samotności Domu Admiralicji czekać na nieuniknioną wizytę.

Gdy gość się zjawił, Hornblower wziął w palce podaną mu kartę wizytową z prostym

nadrukiem „Mr Charles Ramsbottom” i obracając ją w palcach poczuł małą satysfakcję w stwierdzeniu, że natrafił wreszcie na nazwisko jeszcze brzydsze od tego, które sam nosił. Lecz jego właściciel, wprowadzony do pokoju, zrobił lepsze wrażenie. Ledwie po dwudziestce, niski i drobny i — w pełnym tego słowa znaczeniu — uderzająco przystojny, czarnowłosy i czarnooki, miał rysy, na które jedynym określeniem był przymiotnik „rzeźbione”. Opalony po tygodniach w morzu, wyglądał zupełnie inaczej, niż można by się spodziewać po potomku bradfordzkiego producenta wełny. Jego ciemnozielona marynarka i przepisowe białe bryczesy były w spokojnym, dobrym guście.

— Moja żona pisała do mnie o panu, panie Ramsbottom — odezwał się Hornblower.

— To bardzo uprzejmie ze strony Lady Hornblower. Ale oczywiście jest ona uosobieniem łaskawości. Czy mogę, milordzie, wręczyć listy polecające od Lorda Liverpoolu i biskupa Wilberforce?

A zatem Barbara miała zupełną rację prorokując, że Ramsbottom zdobędzie względy obu partii politycznych — były to listy od samego premiera i od wybitnego członka opozycji. Hornblower przebiegł je wzrokiem i był zdumiony serdecznością przebijającą przez urzędowe słowa tekstu.

— Świetnie, panie Ramsbottom — rzekł. Usiłował przyjąć ton, jakim w jego mniemaniu powinien mówić ktoś, kto przeczytał właśnie list polecający od premiera. — Czy mogę być w jakiś sposób pomocny panu?

— W tej chwili nie widzę nic takiego, milordzie. Muszę naturalnie uzupełnić wodę i zapasy, ale mój intendent to zdolny człowiek. Zamierzam kontynuować podróż wśród tych uroczych wysp.

— Oczywiście — odparł Hornblower łagodnym tonem. Nie potrafił sobie wyobrazić, po co ktoś chciałby dobrowolnie spędzać czas na tych wodach, gdzie wciąż tliło się piractwo, ani czemu komuś chciałoby się odwiedzać kraje, gdzie panowała endemicznie malaria i żółta febra, a wojna domowa, rewolucja i masakry domagały się jeszcze może obfitszego żniwa.

— „Bride of Abydos” to wygodny okręt, nieprawdaż? — spytał.

Te osiemnastodziałowe brygi Królewskiej Marynarki Wojennej były ogólnie uważane za jednostki nieprzyjemne, zatłoczone i miękkie.

— Dziękuję, milordzie, dosyć wygodny — odrzekł Ramsbottom. — Uczyniłem go lżejszym, zmieniając uzbrojenie, ma teraz tylko dwanaście dział — dwie szóstki o dalekim zasięgu i dziesięć karonad dwudziestoczerofuntowych, zamiast poprzednich trzydziestodwufuntówek.

— Tak że wciąż mógłby się uporać ze statkiem pirackim?

— Oczywiście, milordzie. Po zmniejszeniu obciążenia pokładu — o całe dziesięć ton — i zmianach w planie ożaglowania zrobiłem chyba z niego jednostkę zdatną do żeglugi.

— Jestem pewien, panie Ramsbottom, że tak — odrzekł Hornblower. Było to całkiem możliwe. Brygi wojenne były naturalnie zapchane działami i zapasami do granic stateczności i wytrzymałości

ludzkiej, tak że nawet umiarkowane zredukowanie ciężaru własnego takiej jednostki mogło dać bardzo pozytywne wyniki w zakresie wygody i zwrotności.

— Byłoby mi bardzo miło — ciągnął pan Ramsbottom — gdybym zdołał nakłonić waszą lordowską wysokość do odwiedzenia mnie na „Bride of Abydos”. Byłby to naprawdę zaszczyt, a i moja załoga byłaby uszczęśliwiona. Może udałoby mi się nawet namówić waszą lordowską wysokość na spożycie obiadu na brygu?

— Możemy pomówić o tym, panie Ramsbottom, po obiedzie u mnie — powiedział Hornblower, pamiętając o dobrych manierach i obowiązku zapraszania na obiad każdego posiadacza przyzwoitej rekomendacji.

— Jest pan bardzo uprzejmy, milordzie — odparł pan Ramsbottom. — Przy najbliższej okazji muszę oczywiście przedstawić moje listy polecające jego ekscelencji.

Było coś bardzo ujmującego w uśmiechu pana Ramsbottoma, gdy to mówił, zdawanie sobie sprawy z wymogów etykiety towarzyskiej i tolerancyjny do niej stosunek. Przybywający na Jamajkę normalnie byli obowiązani złożyć najpierw uszanowanie gubernatorowi, lecz Ramsbottom nie był zwyczajnym gościem. Z racji stanowiska dowódcy okrętu wypadało mu najpierw być z wizytą u władz Marynarki Wojennej, a więc u Hornblowera. Nieistotny drobiazg, mówił jego uśmiech, ponieważ jednak etykieta jest etykieta, trzeba zwracać na drobiazgi baczną uwagę.

Opuszczając pokój Ramsbottom pozostawił bardzo dobre wrażenie na niechętnie przedtem nastawionym Hornblowerze. Mówił z sensem o statkach i morzu, zachowując się przy tym swobodnie i naturalnie, nie żaden tam Lord Byron, który zresztą był chyba bardziej niż ktokolwiek inny odpowiedzialny za szerzenie się manii jachtingu wśród bogatych. Hornblower był nawet gotów wybaczyć mu „zdobycie maleńkiego kącika” w sercu Barbary. A w trakcie kilkudniowego pobytu Ramsbottoma na Jamajce polubił naprawdę tego młodzieńca, szczególnie po przegraniu do niego dwóch funtów po desperackiej rozgrywce wista i po wygraniu dziesięciu w innej rozgrywce, w której trzeba przyznać, Ramsbottom miał złą passę. Koła towarzyskie Jamajki ciepło przyjęły Ramsbottoma, nawet gubernator spoglądał na niego z aprobatą, a żona gubernatora, Lady Hooper, głośno wychwalała jego świetne maniery i uważający sposób bycia.

— Nie spodziewałem się tego po synu przemysłowca bradfordzkiego — przyznał niechętnie Hooper.

— Sir, czy będzie pan na obiedzie na „Bride of Abydos”? — spytał Hornblower.

— Idę na ten obiad, odparł Hooper, który lubił zjeść — lecz to tylko jacht, więc mam słabą nadzieję na coś dobrego.

Za radą Ramsbottoma Hornblower przybył wcześniej na pokład, żeby mieć czas na obejrzenie okrętu. Powitano go jak w Marynarce Wojennej, z trapowymi i długim świstem gwizdków bosmańskich, gdy wstępował na pokład. Witając się z Ramsbottomem uściskiem dłoni, już rozglądał się bystro wokoło. Tocząc spojrzeniem po białym, lśniącym pokładzie, po linach zwiniętych z idealną symetrią, zbiorze lśniących pik i kordelasów opartych o grodz, gdzie mosiądz rzucał błyski

w słońcu, po zdyscyplinowanej, przepisowo ustawionej załodze w granatowych swetrach i białych spodniach, mógłby powiedzieć, że znajduje się na jednostce Królewskiej Marynarki Wojennej.

— Milordzie, mogę przedstawić moich oficerów? — spytał Ramsbottom.

Było ich dwóch, poruczników z rezerwy Marynarki Wojennej na połowie pensji, zahartowanych w bojach marynarzy. Ściskając ich dłonie, Hornblower pomyślał, że gdyby nie tuzin pomyślnych uśmiechów losu, on sam mógłby wciąż jeszcze być porucznikiem dorabiającym sobie do połowy pensji na jachcie jakiegoś bogacza. Poprowadzony na dziób rozpoznał jednego z członków załogi stojącego na bacność przy armacie.

— Byłeś ze mną na „Renown”, wtedy w 1800 — powiedział.

— Tak, sir, milordzie, byłem, sir. — Marynarz uśmiechał się z zażenowaniem i dumą, nieśmiało ujmując wyciągniętą dłoń Hornblowera. — A Charlie Kemp, sir, milordzie, o, tamten, sir, to on też był z panem, na Bałtyku. A znowuż Bill Cummings, ten tam na dziobówce, był marsowym na fokmaszcie, jak opływał Horn na „Lydii” z panem, sir, milordzie.

— Cieszę się, że was znowu spotykam — powiedział Hornblower. To była prawda, ale prawdą też było, że cieszył się, iż nie musi przypominać sobie ich nazwisk. Poszedł dalej.

— Jak widzę, panie Ramsbottom, pańska załoga składa się z ludzi z Marynarki Wojennej.

— Tak, milordzie, prawie wszyscy pochodzą z załóg okrętów wojennych.

W tych latach pokoju i depresji gospodarczej bardzo łatwo werbować załogę, pomyślał Hornblower. Można by nawet powiedzieć, że Ramsbottom robi przysługę społeczeństwu, dając łatwą pracę tym ludziom, którzy dobrze zasłużyli się ojczyźnie. Słuchając krótkich rozkazów wydawanych załodze uwijającej się na stanowiskach, Hornblower nie mógł stłumić uśmiechu. Pomyślał, że to delektowanie się Ramsbottoma odgrywaniem roli dowódcy jednostki wojennej jest nieszkodliwym przeciw kaprysem.

— Panie Ramsbottom — rzekł — ma pan bardzo sprawny okręt i dobrze wyszkoloną załogę.

— To przyjemność słyszeć te słowa z ust waszej lordowskiej wysokości.

— Pan sam nie służył nigdzie?

— Nie, milordzie.

Fakt, że w tym roku, 1821, można było jeszcze spotkać dorosłych mężczyzn, nawet głowy rodzin, za młodych przecież, żeby mogli byli odbywać służbę wojskową podczas wojen, które dewastowały świat przez całe pokolenie, wciąż wydawał się trochę dziwny. Hornblower poczuł się jak stuletni starzec.

— Przepraszam, milordzie, ale przybywają dalsi goście.

Dwaj plantatorzy — Hough i Doggart — a potem prezes sądu wyspy. Tak więc, wliczając gubernatora, będzie to obiad na sześć osób, trzy urzędowe i trzy prywatne. Stojąc pod tentem, który, rozciągnięty na bomie grota, zacieśniał pokład rufowy, obserwowali powitanie jego ekscelencji.

— Jak panowie sądzą, czy obiad dorówna świetności ceremoniału? — spytał Doggart.

— Intendent Ramsbottoma nabył wczoraj dwie tony lodu — odrzekł Hough.

— Po sześć pensów za funt. To się nieźle zapowiada — dorzucił Doggart.

Jamajka była ośrodkiem handlu detalicznego lodem przywożonym tu z Nowej Anglii na szybkich szkunerach. Pocięty i magazynowany przez zimę głęboko pod ziemią dostarczany był spiesznie na Karaiby w izolującym opakowaniu z trocin. U szczytu lata był w fantastycznej cenie. Hornblowera to zaciekało. Jeszcze bardziej zainteresował go widok marynarza na śródkręciu, obracającego równomiernie korbą. Praca ta, wprawdzie nieustanna, nie wyglądała na zbyt ciężką, lecz Hornblower w żaden sposób nie potrafił się domyślić, jaką funkcję może spełniać ta korbka w życiu okrętu. Goście oddali ukłony jego ekscelencji i na jego propozycję zasiedli w wygodnych fotelach. Natychmiast zjawił się steward, roznosząc kieliszki sherry.

— Na Boga, znakomite! — wykrzyknął gubernator po pierwszym nieufnym łyku. — Żadne z tych waszych olorosos, żadne z tych słodkich, lepiących się ciemnych sherry.

Gubernator z racji krwi królewskiej płynącej rzekomo w jego żyłach i dzięki swej pozycji mógł pozwalać sobie na uwagi, które w ustach kogoś innego mogłyby uchodzić za niegrzeczne. Ale sherry było naprawdę doskonałe, jasne, wytrawne, o niewymownie delikatnym smaku i bukicie, chłodne, lecz nie zmrożone. Nowy dźwięk dobiegł uszu Hornblowera. Zwrócił głowę w kierunku dziobu. U podstawy grotmasztu grała niewielka orkiestra złożona z różnych instrumentów strunowych, których nazw, z wyjątkiem skrzypiec, nigdy nie próbował się nauczyć. Gdyby nie ta okropna muzyka, nie mogłoby być nic przyjemniejszego niż siedzieć tak pod tentem na pokładzie dobrze wyposażonego okrętu, gdy bryza morska ledwo się zaczyna, popijając to wspaniałe sherry. Na nieznaczny gest gubernatora szybko podano mu nowy kieliszek.

— O! — zdziwił się gubernator. — Ma pan dobrą orkiestrę, panie Ramsbottom.

Wiadomo było powszechnie, że rodzina królewska dziedziczy zamiłowanie do muzyki.

— Muszę podziękować waszej ekscelencji — odrzekł Ramsbottom. Jeszcze raz napełniono kieliszki, zanim Ramsbottom zechciał wysłuchać słów, które steward szepnął mu do ucha. — Ekscelencjo, milordzie, panowie, podano do stołu.

Ruszyli gęsiego zejściówką. Najwidoczniej zwałono wszystkie grodzie w rufowej części okrętu, żeby stworzyć kajutę dostatecznie obszerną, chociaż niską. Karonady przy obu burtach wprowadzały dyskretny ton wojenny w luksusową scenerię. Wszędzie były kwiaty. Pośrodku stał stół jadalny nakryty lśniącobiałym obrusem. Osłony wiatrowe przy włazach ułatwiały dopływ powiewu pasatowego do kajuty, w której, dzięki podwójnemu cieniowi, tentu i pokładowi, panował miły chłód. Lecz oko Hornblowera natychmiast dostrzegło dwa dziwne przedmioty, jakby małe koła,

wstawione w oba otwory włazowe i obracające się nieustannie. Teraz się domyślił, po co marynarz na śródkręciu kręcił korbą. Napędzał te dwa koła, a one z kolei, obracając się dzięki jakiemuś oryginalnemu mechanizmowi, niby skrzydła wiatraka, tylko że w przeciwnym kierunku, właczały powietrze z zewnątrz do kajuty.

Zasiadłszy do stołu według uprzejmych wskazówek gospodarza, goście czekali na podanie obiadu. Pojawiło się pierwsze danie — dwie duże wazy wstawione w jeszcze większe, napełnione kruszonym lodem. Wazy w środku zawierały szarawą ziarnistą substancję.

— Kawior! — wykrzyknął jego ekscelencja, nakładając sobie obficie po pierwszym zdumionym rzucie oka na zawartość waz.

— Mam nadzieję, sir, że smak jego będzie panu odpowiadał — rzekł Ramsbottom. — Może zechce pan wypić do niego tej wódki. Takiej samej, jaką się podaje w Rosji do stołu cesarskiego.

Teraz wszyscy mówili o wódce i kawiorze. Hornblower ostatnim razem próbował tej kombinacji podczas obrony Rygi w 1812, co pozwoliło mu dorzucić swoje trzy grosze do rozmowy. Podano następne danie.

— Panowie są przyzwyczajeni do tego rodzaju potrawy — powiedział Ramsbottom — ale nie muszę wypowiadać przeprosin za jej podanie. O ile wiem, to jeden z największych przysmaków na tutejszych wyspach.

Była to latająca ryba.

— Na pewno nie ma za co przepraszać, gdy jest podana w taki sposób — zauważył jego ekscelencja. — Pański chef de cuisine[22] musi być geniuszem.

Sos podany do ryby leciutko smakował musztardą.

— Milordzie, reńskie czy szampan? — zaszemrał głos w uchu Hornblowera, który już przedtem dosłyszał, że na podobne pytanie gubernator odparł: „Spróbuję najpierw reńskiego”. Szampan był wytrawny i zdradliwie lekki, idealnie pasujący do podanej potrawy. Wielcy smakosze starożytności: Neron, Witeliusz czy Lukullus nie zaznali nigdy smaku szampana pitego do latającej ryby.

— Hornblower, niedługo zacznie pan żyć nowym życiem — odezwał się jego ekscelencja.

— Bez wątpienia, sir.

Siedzący między nimi Ramsbottom popatrzył na nich z wyrazem uprzejmej ciekawości.

— Wasza lordowska wysokość wychodzi w morze?

— W przyszłym tygodniu — odparł Hornblower. — Wyprowadzam moją eskadrę na ćwiczenia przed nadejściem okresu huraganów.

— Jest to oczywiście konieczne dla utrzymania jej w sprawności — zgodził się Ramsbottom.
— Długo potrwają te ćwiczenia?

— Dwa tygodnie, może dłużej — odrzekł Hornblower. — Muszę pilnować, żeby moi ludzie nie odwykli od sucharów, solonej wołowiny i wody z baryłek.

— I pan też — zachichotał gubernator.

— I ja też — powtórzył smętnie Hornblower.

— Zabiera pan, milordzie, całą eskadrę? — spytał Ramsbottom.

— Wszystkie jednostki, jakie się da. Zaganiam ludzi do intensywnej pracy i staram się nie robić wyjątków.

— Powiedziałbym, że to słuszna zasada — odrzekł Ramsbottom.

Zupa podana po latającej rybie była ostra, mocno doprawiona korzeniami, w sam raz dla zachodnioindyjskich podniebień.

— Dobra! — stwierdził krótko gubernator po pierwszej łyżce. Szampan znów poszedł w ruch i rozmowa stawała się coraz bardziej ożywiona, a Ramsbottom zręcznie ją podtrzymywał.

— Jakie wieści z lądu, sir? — spytał gubernator. — Ten Boliwar... ma jakieś sukcesy?

— Kontynuuje walkę — odparł gubernator. — Lecz Hiszpania śpieszy z posiłkami, gdy tylko pozwalają na to jej własne kłopoty. O ile wiem, rząd w Caracas oczekuje właśnie ich przybycia w większej sile. Wówczas może uda im się zająć równiny i przepędzić Boliwara. Czy wie pan, że przebywał on tu na wyspie przed kilku laty jako wygnaniec?

— Naprawdę, sir?

Wszystkich gości przy stole ciekawiła desperacka wojna domowa prowadzona na lądzie stałym. Masakra i mordy, ślepy heroizm i gorąca ofiarność, lojalność wobec króla i dążenie do niepodległości — wszystko to można było napotkać w Wenezueli. Wojna i zaraza zamieniały urodzajne pola w ugory i dziesiątkowały mieszkańców gęsto zaludnionych miast.

— Hornblower, a w jakiej sytuacji są Hiszpanie teraz, po wybuchu buntu w Maracaibo? — zadał pytanie gubernator.

— Strata nie jest poważna, sir. Dopóki mają dostęp do La Guairy, droga do transportu morskiego pozostaje dla nich otwarta — drogi lądowe są tu tak podłe, że zawsze korzystano z La Guairy dla utrzymywania kontaktu z resztą świata. Wprawdzie to tylko otwarta reda, ale może dobrze służyć jako kotwiczowisko.

— Czyżby Maracaibo zbuntowało się, ekscelencjo? — spytał lekkim tonem Ramsbottom.

— Wiadomość nadeszła dziś rano. Boliwar ma się nareszcie czym pochwalić po ostatnich niepowodzeniach. Jego wojsko zaczynało już pewnie upadać na duchu.

— Jego wojsko, sir? — odezwał się prezes sądu. — Połowa jego ludzi to angielska piechota.

Hornblower wiedział, że to prawda. Trzon armii Boliwara stanowili weterani brytyjscy. Llanerzy[23], mieszkańcy równin wenezuelskich, zasilają go świetną kawalerią, ale nie nadają się do ciągłej walki.

— Nawet brytyjska piechota może się zniechęcić walcząc w beznadziejnej sprawie — wyrzekł z powagą gubernator. — Hiszpanie sprawują kontrolę nad przeważającą częścią wybrzeża — niech pan spyta obecnego tu admirała.

— Tak jest — przyznał Hornblower. — Przypierają korsarzy Boliwara do muru.

— Panie Ramsbottom — odezwał się gubernator — mam nadzieję, że nie zamierza pan angażować się w tę awanturę?

— Gdyby pan to uczynił, szybko załatwiliby się z panem — dodał prezes sądu. — Donowie nie będą tolerowali żadnych interwencji. Złapią pana i będzie pan marniał przez lata w hiszpańskim więzieniu, zanim uda się nam wyzwolić pana ze szponów króla Ferdynanda. Jeśli nie zabierze pana wcześniej tyfus lub nie zostanie pan powieszony jako pirat.

— Z pewnością nie zamierzam kręcić się w pobliżu lądu stałego — odrzekł Ramsbottom. — W każdym razie, póki trwa wojna. A szkoda, ponieważ Wenezuela to ojczyzna mojej matki i radbym odwiedzić ten kraj.

— Ojczyzna pańskiej matki, panie Ramsbottom? — zdziwili się gubernator.

— Tak, sir. Moja matka była szlachcianką wenezuelską. U nich byłbym Carlosem Ramsbottomem y Santona.

— Brzmi to bardzo interesująco — zauważył gubernator.

I bardziej groteskowo niż Horatio Hornblower. Światowy zasięg handlu brytyjskiego sprawiał, że producent wełny z Bradford mógł mieć matkę Wenezuelkę. W każdym razie to wyjaśniało, skąd u Ramsbottoma ta ciemna, niemal śniada uroda.

— Mogę równie dobrze poczekać, aż pokój zostanie załatwiony w taki czy inny sposób — powiedział Ramsbottom lekkim tonem. — Są inne miejsca, dokąd można popłynąć. A tymczasem, sir, może zechce pan zwrócić uwagę na tę oto potrawę?

Na stół wjechało teraz główne danie, pieczone kurczęta i szynka wieprzowa, oraz półmisek, na który wskazał Ramsbottom. Jego zawartość była przykryta ułożonymi na wierzchu jajkami w koszulkach.

— Jakaś kombinacja? — spytał nieufnie gubernator. Jego ton wskazywał, że na tym etapie obiadu spodziewał się raczej porządnej pieczeni.

— Proszę spróbować, sir — zachęcał Ramsbottom. Gubernator nałożył sobie trochę.

— Niezłe — stwierdził, — Co to jest?

— Ragout z konserwowego mięsa wołowego — odparł Ramsbottom. — Czy panowie też zechcą spróbować? Milordzie?

Było to przynajmniej coś nowego, niepodobnego w smaku do niczego, co Hornblower dotąd próbował, a już na pewno niczym nie przypominającego wołowiny z solanki, jaką jadał przez dwadzieścia lat.

— Wyjątkowo smaczne — powiedział. — Jak je zakonserwowano?

Ramsbottom skinął na obsługującego stół stewarda, który postawił przed nimi kwadratowe pudełko z żelaza. Gdy Hornblower wziął je do ręki, wydawało mu się ciężkie.

— Szkło jest równie dobre do tego celu — wyjaśniał Ramsbottom — ale mniej wygodne w użyciu na pokładzie okrętu.

Steward zabrał się do otwierania metalowej puszkii grubym nożem. Przeciął i podważył wieczko i otwartą puszkę podał zebranym do obejrzenia.

— Cynowana puszkii — ciągnął Ramsbottom — zamykana hermetycznie w wysokiej temperaturze. Pozwolę sobie zaryzykować stwierdzenie, że ta nowa metoda będzie miała poważny wpływ na zaopatrzenie statków. Wołowinę po wyjęciu z puszkii można jeść na zimno lub przyrządzaną jak ta tutaj.

— A jajka w koszulkach? — spytał gubernator.

— To pomysł mego kucharza, sir.

Rozmowa o tym ulepszeniu — i o świetnym burgundzie podanym do potrawy z puszkii — oderwała uwagę od kłopotów Wenezueli i od wenezuelskiej matki Ramsbottoma. W miarę jak dolewano wina konwersacja stawała się ogólna i nieco chaotyczna. Hornblower wypił tyle, na ile sobie pozwolił. Dzięki swej zwykłej niechęci do nadmiaru uniknął jakoś dalszego picia. Godny uwagi był fakt, że i Ramsbottom pozostał trzeźwy. Był opanowany i mówił spokojnym głosem, podczas gdy twarze innych czerwieniały coraz bardziej. W kajucie rozbrzmiewały huczne toasty i śpiewy nie mające żadnego z nimi związku. Hornblower wyczuł, że wieczór, który go zaczyna nudzić, staje się nudny i dla gospodarza. Był więc rad, gdy jego ekscelencja podniósł się wreszcie z miejsca i opierając się o stół wygłosił słowa pożegnania.

— Diabelnie dobry obiad — orzekł — a z pana, Ramsbottom, diabelnie dobry gospodarz. Chciałbym, żeby takich było więcej.

Hornblower wymienił uścisk dłoni.

— Bardzo miło z pana strony, milordzie, że zechciał pan tu przybyć — powiedział Ramsbottom. — Żałuję, że muszę skorzystać z tej okazji, żeby się pożegnać z waszą lordowską wysokością.

— Pan odpływa wkrótce?

— Myślę, milordzie, że za kilka dni. Jestem przekonany, że uzna pan ćwiczenia eskadry za zadowalające.

— Dziękuję bardzo. Dokąd uda się pan teraz?

— Z powrotem, milordzie, będę lawirował pod wiatr między Wyspami Nawietrznymi. Może zahaczę o Bahamy.

— Niech pan tam prowadzi ostrożną nawigację. Życzę szczęścia i przyjemnej podróży. W liście do żony napiszę o pańskiej wizycie.

— Milordzie, proszę przekazać Lady Hornblower moje najlepsze życzenia i wyrazy szacunku.

Ramsbottom do końca zachował dobre maniery. Pamiętał o rozesłaniu przed odpłynięciem wizytówek *"Pour prendre congé"* [24]. Matki niezamężnych córek bardzo żałowały, że odpływa. Hornblower widział, jak wczesnym świtem „Bride of Abydos” ruszyła półwiatrem w kierunku wschodnim, żeby opłynąć cypel Morant z bryzą od lądu. A potem w nawale zajęć związanych z wyprowadzaniem eskadry w morze na ćwiczenia zapomniał o brygu. Ilekroć spoglądał na „statki i okręty JKM w Indiach Zachodnich” będące pod jego dowództwem, na twarz wypływał mu nieuchronnie kwaśny uśmiech. On, który w czasie wojny miałby potężną flotyllę, teraz dowodził trzema małymi fregatami i różnorodną kolekcją brygów i szkunerów. Lecz to wystarczało dla celów, jakie sobie postawił. W opracowanym przez niego planie ćwiczeń fregaty stawały się trójpokładowcami, brygi odgrywały rolę jednostek z siedemdziesięcioma czterema działami, a szkunery — fregat. Miał awangardę, siły główne i tyły. Krążył po morzu z okrętami w formacji gotowej stawić czoło nieprzyjacielowi. Po flaglinkach fruwały w górę ostre reprimendy, gdy którejs z jednostek nie udawało się trzymać pozycji. Kazał przygotowywać okręty do boju, dywizjonami wchodził na linię walki w przodzie i halsując obustronnie oskrzydlał wyimaginowaną linię nieprzyjaciela. W czarnych jak smoła ciemnościach kazał zapalać niebieskie latarnie sygnalizujące „widać nieprzyjaciela”, a wówczas dwudziestu dowódców i tysiąc marynarzy wyskakiwało z koi i hamaków, żeby brać się za bary z nie istniejącym przeciwnikiem.

Bez ostrzeżenia wywieszał sygnał stawiający najmłodszych oficerów na czele ich jednostek, a potem zarządzał skomplikowane manewry obliczone na to, żeby napędzić porządnego stracha przyglądającym się bezsilnie faktycznym dowódcom okrętów — lecz ci młodzi porucznicy będą może kiedyś musieli dowodzić okrętami liniowymi w bitwie, od której mógłby zależeć los Anglii, więc trzeba zahartować ich nerwy i przyzwyczaić ich do kierowania okrętami w groźnych sytuacjach. W połowie ćwiczeń z żaglami dawał sygnał „Okręt flagowy płonie. Wszystkie łodzie na wodę”. Kazał grupom desantowym szturmować nie istniejące baterie na jakiejś niewinnie

wyglądającej, nie zamieszkałej skale koralowej i przeprowadzał inspekcję tych grup, gdy już znalazły się na lądzie, sprawdzając każdy zamek w każdym pistolecie i nie słuchając wcale tłumaczeń, co doprowadzało ludzi do zgrzytania zębami ze złości. Zasadzał dowódców do planowania i przeprowadzania wypadów odcinających i wypowiadał zjadliwe uwagi na temat przygotowań do obrony i metod ataku. Zestawiał jednostki w pary, żeby prowadziły ze sobą walki, zaoczając się wzajemnie na widnokręgu i płynąc ku sobie w gotowości do oddania tak ważnej, otwierającej bitwę salwy burtowej. Wyzyskiwał chwile ciszy morskiej, każąc marynarzom holować swoje jednostki łodziami z użyciem długich wiosł w desperackim wysiłku wyprzedzenia idącego przed nimi okrętu. Ćwiczył ludzi, aż padali na nosy, a wtedy wymyślał dla nich nowe zadania, żeby im dowieść, że wciąż jeszcze mogą się zdobyć na wysiłek, aż trudno byłoby w końcu powiedzieć, czy „stary Horny” częściej wymawiano z przekleństwami, czy z podziwem.

Eskadra wprowadzana przez Hornblowera z powrotem do Kingston była więc już przygotowana do walk. Zanim jednak jeszcze „Clorinda” weszła do portu, podpłynęła do niej łódź wioząca jednego z adiutantów gubernatora z pismem do Hornblowera.

— Sir Thomasie, zechce pan łaskawie wydać rozkaz opuszczenia mojego barkasa na wodę? — poprosił Hornblower.

Pośpiech był bardzo wskazany, gdyż w swej notatce gubernator pisał krótko:

Milordzie,

Jest rzeczą konieczną, aby Wasza Lordowska Wysokość znalazł się tu możliwie jak najszybciej w celu udzielenia wyjaśnień co do sytuacji w Wenezueli. Prosi się zatem i rozkazuje, żeby Wasza Lordowska Wysokość zameldował się u mnie natychmiast.

Augustus Hooper, gubernator

Hornblower nie miał oczywiście pojęcia, co zaszło w Wenezueli w ciągu ostatnich dwóch tygodni, czy nawet wcześniej. Nie próbował nawet zgadywać, o co chodzi gubernatorowi, gdy pojazd w wielkim pośpiechu wioził go do Domu Rządowego, a zresztą gdyby próbował, nie udałooby mu się choćby zbliżyć do prawdy.

— Co to wszystko znaczy, Hornblower? — w te słowa przemówił do niego gubernator. — Jakie ma pan upoważnienie do blokowania wybrzeża Wenezueli? Czemu nie zostałem poinformowany?

— Niczego takiego nie robiłem — odparł oburzony Hornblower.

— Ależ... Niech to diabli, człowieku, mam tu dowód. Holendrzy, Hiszpanie i połowa narodów świata, wszyscy mnie tu nachodzą z protestami z tego powodu.

— Zapewniam pana, sir, że nie podejmowałem żadnych działań na wybrzeżu wenezuelskim. Byłem od niego pięćset mil.

— Więc co to znaczy? — krzyczał gubernator. — Niech pan spojrzy na to!

Trzymał jakieś papiery w jednym ręku, bijąc w nie wściekle drugą, toteż Hornblower miał pewne trudności z wzięciem ich od niego. Jego dotychczasowa konsternacja rosła w miarę, jak je czytał. Jedno pismo było oficjalną depeszą w języku francuskim od holenderskiego gubernatora Cura,ao, drugie pisane było wyraźniej, większymi literami, więc przeczytał je najpierw. Był to duży arkusz papieru pokryty śmiałym pismem.

W związku z tym, że — czytał — Lordowie Komisarze otrzymali pismo odnośnie wykonania nakazu Lorda Wysokiego Admirała Wielce Czcigodnego Wicehrabiego Castlereagha, jednego z głównych Sekretarzy Stanu Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości w sprawie ustanowienia Blokady Wybrzeża Dominium Jego Arcykatolickiej Królewskiej Mości w Wenezueli i Wysp przynależnych do Dominium Jego Królewskiej Mości Króla Niderlandów, a mianowicie Cura,ao, Aruba i Bonaire

Ja, Horatio Lord Hornblower, Kawaler Wielkiego Krzyża Najzaszczytniejszego Orderu Łaźni, Kontradmiral Białej Eskadry Dowodzący okrętami i statkami Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości na Wodach Zachodnioindyjskich.

Ogłaszam niniejszym, iż

Wybrzeże Kontynentu Ameryki Południowej od Kartageny do Dragon's Mouth i

Wymienione wyżej holenderskie wyspy Cura,ao, Aruba i Bonaire

Są obecnie pod blokadą i że

Każdy statek jakiegokolwiek rodzaju wiozący materiały wojenne lub ich nie wiozący, a schwytyany na próbie wejścia do jakiejkolwiek przystani portowej lub na redę w obrębie tak określonego Terytorium lub

Kręcący się w pobliżu z zamiarem wejścia do którejkolwiek z tych przystani portowych albo na redę

Będzie abordażowany i odesłany pod sąd Wysokiego Sądu Admiralicji Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości i

Zostanie osądzony i skonfiskowany bez odszkodowania dla jego właścicieli, właścicieli ładunku, czarterujących, dowódcy lub załogi.

*Podpisano przeze mnie, pierwszego dnia
czerwca 1821*

Hornblower, Kontradmiral

Po przeczytaniu tego dokumentu Hornblower przebiegł drugi pobieżnym spojrzeniem. Był to energiczny protest holenderskiego gubernatora w Cura,ao, żądający wyjaśnień, przeprosin, natychmiastowego odwołania blokady i przykładowego zadośćuczynienia. Hornblower patrzył na

Hoopera ze zdumieniem.

— Forma jest zgodna z wymogami prawa — rzekł wskazując na proklamację — lecz ja tego nie podpisywałem. To nie mój podpis.

— A wobec tego?... — bełkotał w podnieceniu Hooper. — Sądziłem, że działa pan na podstawie tajnych rozkazów z Londynu.

— Nic podobnego, sir — Hornblower wpatrywał się w Hoopera przez następną sekundę, zanim zaświtało mu w głowie wyjaśnienie — Ramsbottom!

— Co pan ma na myśli?

— Przedstawia się jako ja czy też przynajmniej jako jeden z moich oficerów. Czy można się zobaczyć z tym Holendrem, który to przyniósł?

— Czeka obok w pokoju. Jest tam i Hiszpan wysłany łodzią rybacką z La Guairy przez Morilla.

— Czy mógłby ich pan tu poprosić?

Obaj, Holender i Hiszpan, pałali oburzeniem, którego nie pohamował fakt, że zostali przedstawieni admirałowi, odpowiedzialnemu w ich mniemaniu za tę komplikację. Holender mówił płynnie po angielsku i do niego zwrócił się najpierw Hornblower.

— W jaki sposób dostarczono proklamację? — zapytał.

— Jednym z pańskich okrętów. Przez jednego z pańskich oficerów.

— Jaki okręt?

— Korweta „Desperate”.

— Nie mam takiej jednostki. Nie ma jej też na liście Marynarki Wojennej. Kto dostarczył proklamację?

— Dowódca.

— Kto to był? Jak wyglądał?

— Oficer. Dowodzący kapitan, z epoletami.

— W mundurze?

— W galowym mundurze.

— Młody? Stary?

— Bardzo młody.

— Niski? Szczupły? Przystojny?

— Tak.

Hornblower wymienił spojrzenie z Hooperem.

A ta korweta, „Desperate”? Około stu siedemdziesięciu ton, bukszpryt zamocowany prawie poziomo, grotmaszt przesunięty dosyć daleko ku rufie?

— Tak.

— To wyjaśnia sprawę, sir — rzekł Hornblower do Hoopera, a do Holendra: — Wywiedziono was w pole. Przykro mi to mówić. Ten człowiek to oszust. A proklamacja jest podrobiona.

Holender tupnął nogą ze złości. Przez kilka chwil nie potrafił znaleźć słów, żeby się wysłowić w obcym języku, wreszcie z bełkotu wyłoniła się nazwa, którą tak długo powtarzał, aż została zrozumiana.

— „Helmond”. „Helmond,,!

— Co to jest ten „Helmond”, sir — zapytał Hornblower.

— Jeden z naszych statków. Pański okręt — „Desperate” — wziął go do niewoli.

— Cenna jednostka?

— Wiózł działa dla armii hiszpańskiej. Dwie baterie artylerii polowej, armatki, przodki, amunicję, wszystko.

— Piractwo! — wykrzyknął Hooper.

— Na to wygląda — zgodził się Hornblower.

Oficer hiszpański kręcił się niecierpliwie, rozumiejąc, jak się wydawało, tylko częściowo rozmowę prowadzoną w języku angielskim. Hornblower zwrócił się do niego i starając się za wszelką cenę przypomnieć sobie zapomnianą hiszpańszczyznę, próbował w kulejących zdaniach wyjaśnić sytuację. Hiszpan zalał go w odpowiedzi tak gwałtownym potokiem słów, że Hornblower raz po raz musiał go prosić, żeby mówił wolniej. Ramsbottom wpłynął do La Guairy, przywożąc ze sobą swoją cenną proklamację. Na samą wieść, że Marynarka Brytyjska ustanowiła blokadę, żaden statek, z wyjątkiem „Helmonda”, nie odważył się wyruszyć w kierunku wybrzeża południowoamerykańskiego. A „Helmond” był gorąco oczekiwany. Boliwar maszerował na Caracas. Bitwa, od której zależało całe hiszpańskie panowanie nad Wenezuelą, wisiała w powietrzu. Morillo ze swą hiszpańską armią bardzo potrzebował artylerii. Teraz nie tylko mu ją zabrano, lecz po usłyszanych wyjaśnieniach można było mieć pewność, że działa, te dwie baterie

artylerii polowej są w rękach Boliwara. Oficer hiszpański załamał ręce w rozpacz.

Hornblower przetłumaczył pokrótce gubernatorowi treść rozmowy, a Hooper pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Boliwar ma te armaty. To nie ulega wątpliwości. Panowie, bardzo mi przykro, że tak się stało. Muszę jednak z naciskiem stwierdzić wobec panów, że rząd jego królewskiej mości nie przyjmuje za to odpowiedzialności. Jeśli wasi szefowie nie poczynili kroków w kierunku zdemaskowania tego szalbierza...

Słowa te wywołały nowy wybuch. Rząd brytyjski ma obowiązek zapewnić, aby żaden szalbierz nie przyodziewał się w jego mundur i nie udawał oficera w jego służbie. Trzeba było całego słoniowatego taktu Hoopera, by uspokoić rozgniewanych oficerów.

— Panowie, jeśli pozwolicie mi naradzić się z admirałem, to może dojdziemy do jakichś zadowolających konkluzji.

Zostawszy sam na sam z gubernatorem, Hornblower musiał siłą opanowywać uśmiech — nie wyrósł ze swego nawyku śmiania się w kryzysowych sytuacjach. Było coś zabawnego w myśli, że trójgraniasty kapelusz i para epoletów mogłaby zmienić bieg wojny. Przekonanie, że jedna mała jednostka byłaby w stanie dokonać czegoś takiego, można było uznać za hołd oddany potędze marynarki wojennej.

— Ramsbottom i jego wenezuelska matka! — westchnął Hooper. — To nie tylko piractwo, lecz ciężka zdrada. Trzeba będzie go powiesić.

— Mhm — mruknął Hornblower. — Przypuszczalnie ma jakieś pełnomocnictwo korsarskie od Boliwara.

— Ale przebieranie się za oficera brytyjskiego? Sporządzanie fałszywych dokumentów urzędowych?

— To był wybieg wojenny. W 1812 oficer amerykański zwiódł władze portugalskie w Brazylii w bardzo podobny sposób.

— Coś takiego słyszałem też i o panu — zauważył Hooper szczerząc zęby.

— Istotnie, sir. W czasie wojny walczący, który wierzy w to, co mu się mówi, jest głupcem.

— Lecz my nie jesteśmy stronami walczącymi.

— Nie, sir. I nie ponieśliśmy żadnej straty. Holendrzy i Hiszpanie mogą mieć pretensje wyłącznie do samych siebie.

— Ale Ramsbottom jest poddanym jego królewskiej mości.

— To prawda, sir. Lecz jeśli otrzymał stanowisko dowódcy od Boliwara, to jako oficer wojsk

rewolucyjnych może robić rzeczy, jakich nie mógłby robić jako osoba prywatna.

— Czyżby pan chciał sugerować, że mamy pozwalać mu kontynuować tę jego blokadę? Nonsens, człowieku.

— Oczywiście że nie, sir. Zaaresztuję go, a jego okręt przy pierwszej okazji odeślę do decyzji sądu. Lecz zaprzyjaźnione mocarstwo pyta pana, sir, jako przedstawiciela jego królewskiej mości, czy pan ustanowił blokadę. Musi pan uczynić wszystko, co w pańskiej mocy, żeby wykazać prawdę.

— Teraz mówi pan przynajmniej jak ktoś rozsądny. Musimy przekazać zaraz wiadomość do Curaçao i Caracas. To będzie pańskie najpilniejsze zadanie. Najlepiej niech się pan tam uda osobiście.

— Dobrze, sir. Odpłynę z bryzą lądową. Czy ma pan, sir, jakieś dalsze instrukcje dla mnie?

— Żadnych. Co dzieje się na pełnym morzu to pańska rzecz, a nie moja. Odpowiada pan przed rządem poprzez Admiralicję. Szczerze mówiąc, nie zazdroścę panu.

— Jakoś to przeżyję, sir. Popłynę sam do La Guairy, a do Curacao skieruję jakąś inną jednostkę. Jeśli wasza ekscelencja zamierza napisać oficjalne odpowiedzi na adresowane do pana zapytania, to może byłyby gotowe przed moim odpłynięciem?

— Sporządzą je od ręki. — Gubernator nie potrafił stłumić jeszcze jednego wybuchu gniewu. — Ten Ramsbottom... ze swoimi konserwami wołowymi i kawiozem!

— Poświęcił płótkę, ekscelencjo, żeby złapać dużą rybę — zauważył Hornblower.

Tak więc okazało się, że załoga HMS „Clorindy” nie spędzi, jak się spodziewała, tej nocy na rozpuście w Kingston. Zamiast tego pracowała do świtu przy uzupełnianiu zapasów i wody, i to tak ciężko, że nie starczało tchu na przeklinanie admirała, który wyciął im taki kawał. Z pierwszym brzaskiem poranka, wspomagani słabymi podmuchami od lądu, odcumowali i „Clorinda”, z proporcem admirałskim na stermaszcie, popłynęła bejdewindem na południowy wschód, w tysięczmilową podróż do La Guairy. Na pokładzie wiozła generała-brygadiera Don Manuela Ruiza, przedstawiciela Morilla, któremu Hornblower zaproponował powrót tą drogą do jego kwatery głównej. Generał chciał wrócić jak najprędzej, żeby położyć kres blokadzie Ramsbottoma. Było rzeczą jasną, że siły królewskie w Wenezueli znalazły się w trudnej sytuacji, więc przez całą drogę myślał tylko o tym. Prześliczny zachód słońca oznaczał dla niego tylko, że minął jeszcze jeden dzień, a on nie dotarł do celu. Nie fascynowała go bynajmniej dzielność, z jaką „Clorinda” szła swoim kursem ostro na wiatr wśród bryzgów piany, spychając na bok długie fale atlantyckie, gdyż nie mknęła fordewindem ze swą największą prędkością. Co dzień w południe, kiedy wyznaczano na mapie pozycję okrętu, patrzył przed siebie długo i z ciężkim sercem, próbując ocenić na oko dystans, jaki mieli jeszcze do przebycia. Nie miał tego doświadczenia we współżyciu z morzem, pozwalającego poddać się z rezygnacją działaniu sił niezależnych od człowieka. Gdy wiatr skręcił na południe i stał się dla nich niepomysłny, jak to było przez kolejne dwa dni, Ruiz omal nie oskarżył Hornblowera o sprzymierzenie się z nieprzyjaciółmi i nie chciał wcale słuchać jego uspokajających wyjaśnień, że to posuwanie się na wschód przy żeglowaniu prawym halsem, do czego

„Clorinda” była teraz zmuszona, w dalszej drodze może się okazać nieocenione. Miał za złe kapitanowi Fellowi, że nakazał przezornie zwinąć górne żagle, gdy znaleźli się w niebezpiecznej bliskości Grand Cay[25], a o świcie następnego ranka wspiał się na wanty tak wysoko, jak mu stało odwagi, wyglądając gór Wenezueli — nie rozpoznawszy zresztą lądu w sieniej kresce, jaką dojrzał przed sobą.

Jeszcze zanim stanęli na kotwicy, podpłynęła do nich łódź od brzegu i natychmiast na pokładzie rufowym „Clorindy” odbyła się narada między Ruizem i przybyłym oficerem.

— Mój generał jest w Carabobo — poinformował Ruiz Hornblowera. — Ma tam być bitwa. Bolívar maszeruje na Puerto Cabello, i mój generał idzie z armią na jego spotkanie.

— Gdzie Ramsbottom i jego okręt? Ruiz spytał wzrokiem przybyłego.

— W pobliżu Puerto Cabello.

Było to, rzecz jasna, najbardziej prawdopodobne miejsce, ta reda położona sto albo mniej mil na zachód i dająca możliwość wyładowania wyposażenia, idealna pozycja dla kontrolowania całej komunikacji morskiej między Curacao i La Guaira.

— A zatem ruszam w kierunku Puerto Cabello — zdecydował Hornblower. — Pan, Don Manuelu, może mi towarzyszyć, jeśli pan chce. Wiatr jest pomyślny i ze mną dopłynie pan tam szybciej, niżby pan dojechał konno.

Ruiz wahał się przez moment. O ile na koniach znał się doskonale, o tyle do okrętów odnosił się podejrzliwie. Lecz korzyść była tak oczywista, że przyjął propozycję.

— A więc dobrze — zakonkludował Hornblower. — Sir Thomasie, niech pan będzie łaskaw wybrać kotwicę. Proszę trzymać kurs na Puerto Cabello.

Teraz „Clorinda” miała silny pasat z baksztagu, najkorzystniejszy dla niej do żeglugi. Z postawionymi żaglami bocznymi i po wciągnięciu wszystkich możliwych płótnisk poszła szybko do przodu. Koń w pełnym galopie byłby może szybszy, ale żaden koń nie potrafiłby jak „Clorinda” utrzymywać godzinami pełnej prędkości czy też w ogóle ją osiągać na górskich ścieżkach Andów Morskich. Żadna prędkość nie zadowalała oczywiście Ruiza. Z lunetą przy oku patrzył, jak płyną wzdłuż odległego brzegu, aż zmęczony wzrok przestał prawie widzieć. Potem zaczął chodzić tam i z powrotem po pokładzie rufowym. Strumyki potu ściekały mu z czoła i policzków, w miarę jak słońce, dochodząc do zenitu, lało żar pionowo w dół. Obrócił podejrzliwe spojrzenie na Hornblowera, gdy załoga „Clorindy” pobiegła na maszty zwinąć żagle.

— Płyniemy teraz ku brzegowi, generale — uspokoił go Hornblower.

Z sondującymi na ławie wantowej „Clorinda” szła ku redzie. Ruiz odwrócił się do Hornblowera i stał wyprostowany, nasłuchując wśród śpiewnych zawołań innego, odleglejszego głosu.

— Działa! — powiedział.

Hornblower wyteńczył słuch. Słabiutki, prawie niesłyszalny dźwięk ucichł i nie było słycać nic poza szumem fal prutyh przez okręt i odgłosami przygotowań do rzucenia kotwicy.

— Sir Thomasie, proszę łaskawie zarządzić na moment „ciszę”.

Umilkli sondujący, na „Clorindzie” zapanowała cisza, tylko wiatr grał dalej w takielunku i szemrało morze za burtą. Bardzo odległy, głuchy wybuch. Następny. Dalsze dwa.

— Dziękuję, Sir Thomasie. Może pan dalej robić swoje.

— Działa! — powtórzył Ruiz, patrząc na Hornblowera pałającym wzrokiem. — Biją się!

Gdzieś na przedmieściach Puerto Cabello rojaliści i republikanie zwarli się w walce. A działa, które słyszeli? Mogły to być przecież te, które wiozł „Helmond”, teraz w rękach powstańców strzelających z nich do prawowitych właścicieli. Fakt użycia artylerii oznaczał, że toczy się walna bitwa, a nie drobna potyczka. Tam decyduje się los Wenezueli. Ruiz bił pięścią w otwartą dłoń.

— Sir Thomasie, proszę mieć w pogotowiu łódź, żeby bez zwłoki zawiozła generała na ląd.

Gdy gig odbijał od burty „Clorindy”, Hornblower spojrział na słońce, przywołał przed oczy wyobraźni mapę wybrzeża wenezuelskiego i podjął następną decyzję. Jak to bywa zwykle w marynarce wojennej, po długim, nużącym okresie czekania nadchodził czas na działanie. Kiedy gig wrócił, Hornblower był gotów do wydania następnego rozkazu.

— Sir Thomasie, niech pan będzie tak łaskaw i każe znów postawić żagle. Póki dnia, możemy kontynuować poszukiwanie Ramsbottoma w kierunku zachodnim.

Dobrze byłoby uzyskać możliwie jak najwcześniej wiadomości o rezultacie bitwy, a równie dobrze, a nawet lepiej, dostać jak najszybciej Ramsbottoma w ręce. Nie zauważyli jego brygu między La Guaira i Puerto Cabello, a nie mógł odpłynąć dużo dalej wzdłuż wybrzeża. Słońce już się zniżało, oślepiając obserwatorów patrzących w tym kierunku w trakcie wędrówki „Clorindy” wybrzeżem prowincji Carabobo. Niedaleko przed nimi ląd wybiegał nagle na północ, ku cypłowi San Juan — był to brzeg zawietrzny. Ciekawa rzecz, że Ramsbottom zapuścił się aż tak daleko ku zawietrznej, chyba że zmienił hals i ucieka, zorientowawszy się, że czas jego sukcesów już minął.

— Hej, pokład! — krzyknął obserwator z salingu na bramstendze fokmasztu. — Jakieś górzyisko na lewo od dziobu, ledwo co go widać. Prosto na słońce. Ale to może być statek, sir. Maszty i reje statku, sir, bez postawionych żagli.

Byłoby rzeczą nie do wiary, żeby Ramsbottom stanął na kotwicy tutaj, pod niebezpiecznym brzegiem zawietrznym. Ale w wojnie musi się robić rzeczy nie do wiary. „Clorinda” już dawno zwinęła żagle boczne. Po krótkim rozkazie Fella i pięciu minutach pracy załogi szła pod samymi marslami i kliwrami. Słońce zapadło w ławicę chmur, zabarwiając ją szkarłatem.

— Hej, pokład! Dwa statki, sir. Na kotwicy. Jeden z nich to bryg, sir.

Bryg! To prawie na pewno Ramsbottom. Teraz, gdy słońce skryło się za chmury, można było skierować lunetę we wskazanym kierunku. Były tam, wyraźnie widoczne na tle zachodzącego słońca, rysując się czarnymi sylwetkami na szkarłatnej chmurze, miały maszty i reje fregaty i brygu na kotwicy. Sir Thomas wzrokiem spytał Hornblowera o rozkazy.

— Sir Thomasie, proszę łaskawie podejść na tyle blisko, na ile uzna pan za możliwe. I mieć oddział abordażowy w pogotowiu do zajęcia tych jednostek.

— Uzbrojony oddział abordażowy, milordzie?

— Jak pan woli. On nie ośmieli się stawić nam oporu siłą.

Działa brygu nie były wytoczone, nie miał też założonych siatek przeciwabordażowych. Zresztą mały bryg, stojący na nie bronionym kotwicowisku, nie miał żadnej szansy wobec fregaty.

— Milordzie, stanę na kotwicy, jeśli pan zezwoli.

— Oczywiście.

Była to bez wątpienia „Bride of Adydos”. Trudno pomylić ją z jakimkolwiek innym statkiem. A ta druga jednostka? Najprawdopodobniej „Helmond”. W wyniku rewolty Maracaibo ta część wybrzeża dostała się we władanie powstańców. Wiezione przez „Helmonda” baterie artylerii polowej zostały tu pewnie przetransportowane tratwami na brzeg — w tej małej zatoczce była plaża, gdzie można to było zrobić — i dostarczone armii powstańczej, szykującej się do marszu na Puerto Cabello. Po wykonaniu zadania Ramsbottom będzie pewnie nadrabiał bezczelnością, utrzymując — jak Hornblower już przypuszczał — że ma jakieś zlecenie korsarskie od Boliwara.

— Sir Thomasie, popłynę z grupą abordażową.

Fell obrzucił go pytającym spojrzeniem. Do admirałów nie należy abordażowanie obcych jednostek z małych łodzi, gdzie nie tylko mogą fruwać kule, ale gdzie jakiś z nieskończonej liczby wypadków możliwych na małych łódkach mógłby sprawić, że leciwy i nie tak już sprawny oficer wysokiej rangi wypadnie za burtę i utonie, stając się przyczyną nie kończących się kłopotów dla dowódcy okrętu. Hornblower odgadywał myśli Fella, nie miał jednak zamiaru czekać spokojnie na pokładzie rufowym „Clorindy”, aż przyjdzie meldunek z „Bride of Adydos”, jeśli wydając rozkaz może mieć oczekiwaną wiadomość o kilka minut wcześniej.

— Milordzie, zabiorę pańską szpadę i pistolety — wmieszał się Gerard.

— Nonsens! — zachnął się Hornblower. — Niech pan tylko spojrzy!

Patrząc przez lunetę na zakotwiczone jednostki, widział duży ruch wokół nich. Od jednej i drugiej odbijały spiesznie łodzie, kierując się ku brzegowi. Wyglądało, że Ramsbottom chce umknąć cichaczem.

— Ruszamy — powiedział Hornblower.

Podbiegł do burty okrętu i skoczył ku fałom łódki. Opuszczając się po nich niezręcznie, starł sobie skórę z delikatnych dłoni.

— Cumy rzuć! Odbijać! — rozkazał, kiedy Gerard wylądował obok niego. — Odbijać!

Łódka odbiła od burty okrętu i płynęła to wzbijając się chybotliwie na fale, to lecąc w dół. Marynarze wiosłowali ile sił. Natomiast łódź opuszczająca „Bride of Abydos” nie poruszała się, jak by przystało, gdyby była z okrętu wojennego i jak oczekiwano po Ramsbottomie. Wioślarze pracowali zupełnie nieskładnie. Obróciła się na wysokiej fali i jeszcze raz, gdy któryś złapał raka[26]. W mgnieniu oka Hornblower znalazł się przy burcie rozchybotanej łupiny. Wioślarze nie byli tymi schludnymi marynarzami, których widział na „Bride of Abydos”. Mieli smagłe twarze i odziani byli w łachmany. Nie było też Ramsbottoma na ławce rufowej. Zamiast niego siedział tam osobnik z dużym czarnym wąsem. Miał na sobie coś, co kiedyś było granatowo-złotym mundurem. Oświetlał go czerwieniejący blask zachodzącego słońca.

— Kim pan jest? — spytał Hornblower i zaraz powtórzył to pytanie po hiszpańsku.

Wioślarze przerwali swe wysiłki i łódź stanęła na wiosłach, wznosząc się i opadając na fali.

— Porucznik Perez z Pierwszego Pułku Piechoty Armii Wielkiej Kolumbii.

Wielka Kolumbia. Tak właśnie Boliwar nazwał republikę, którą chciał ustanowić swoim powstaniem przeciwko Hiszpanii.

— Gdzie jest pan Ramsbottom?

— Admirał był na lądzie przez ubiegły tydzień.

— Admirał?

— Don Carlos Ramsbottom y Santona, admirał Marynarki Wojennej Wielkiej Kolumbii. — Admirał, nic mniej.

— Co pan robił na pokładzie tego statku?

— Pilnowałem go, czekając na przybycie waszej ekscelencji.

— Nikogo więc nie ma na pokładzie?

— Nikogo.

Łódki znów wzbily się i opadły na fali. Ten ich taniec przyprawiał Hornblowera o mdłości, nie dawał myśleć logicznie. Był przygotowany na aresztowanie Ramsbottoma, lecz aresztować porucznika piechoty na wodach terytorialnych to zupełnie inna sprawa.

— Gdzie załoga statku?

— Na ładzie. Z admirałem. Z armią.

Pewnie biją się za Boliwara. Zaś artylerzyści obsługują skradzione działa.

— W porządku. Może pan odpływać.

Wystarczyło upewnić się co do „Bride of Abydos”, nie było sensu aresztować ludzi Boliwara wykonujących tylko rozkazy zwierzchników.

— Podwieźcie mnie do burty brygu.

W gasnącym świetle dnia na pokładzie „Bride of Abydos” nie było widać większego nieporządku. Załoga odchodząc zostawiła widocznie wszystko w marynarskim ładzie, a oddział południowoamerykańskich żołnierzy, który go pilnował, nie narobił bałaganu, chociaż pod pokładem będzie to pewnie wyglądało inaczej. Trudno jednak wyobrazić sobie, co by się stało, gdyby wichura zaczęła dąć po tym niebezpiecznym kotwicowisku w stronę brzegu. Widocznie po pomyślnym przeprowadzeniu planu Ramsbottomowi stało się obojętne, co będzie z jego brygiem.

— Ahoj! Ahoj!

Ktoś wołał przez tubę z drugiego okrętu. Hornblower wyjął tubę z uchwytu przy sterze i odkrzyknął.

— Jestem admirał Horatio Hornblower z Marynarki Wojennej Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości. Zaraz do was przybywam.

Było prawie ciemno, kiedy w świetle dwóch latarni wchodził na pokład „Helmonda”. Kapitan, który go powitał, był przysadzystym mężczyzną mówiącym świetnie po angielsku, lecz z wyraźnym, chyba holenderskim akcentem.

— Trochę się pan guzdra! — zaczął obcesowo. Nie tak należało zwracać się do oficera Królewskiej Marynarki, a z pewnością nie do admirała i para.

— Dziękuję za uprzejmość — wybuchnął Hornblower.

Dwaj mężczyźni stanęli gniewni naprzeciwko siebie w migotliwym świetle latarni i wtedy Holender pomyślał, że lepiej trzymać się na wodzy, mając do czynienia z kimś, kto koniec końców dysponuje na tym odludnym wybrzeżu dostateczną siłą, żeby wymusić wykonanie wszelkich wydanych przez siebie rozkazów.

— Sir, zejdźmy, proszę, pod pokład — rzekł. — Może kieliszek sznapsa?

W wygodnej, przyjemnie umeblowanej kajucie zaproponował Hornblowerowi, żeby usiadł, i podał mu kieliszek.

— Ucieszyłem się, sir, zobaczywszy wasze marsie — zaczął Holender. — Przez dziesięć dni cierpiałem męki. Mój statek... mój ładunek... to wybrzeże...

Urywane słowa mówiły o jego obawie znalezienia się w rękach powstańców i niepokoju związanym z faktem, że zmuszono go stanąć na kotwicy blisko brzegu zawietrznego, ze zbrojną strażą na pokładzie.

— Jak to było? — spytał Hornblower.

— Ten przeklęty mały bryg strzelił mi przed dziób, jeszcze gdy widać było Bonaire. Stanęliśmy w dryf, a oni wzięli nas abordażem. Postawili na pokładzie uzbrojoną straż. Myślałem, że to któraś z pańskich jednostek. Doprowadzili nas tu i postawili na kotwicy. Potem wyszło do nas wojsko. Wtedy zorientowałem się, że nie jest to ani bryg wojenny, ani brytyjski.

— I zabrali pański ładunek?

— Tak. Dwanaście dziewięciofuntowych armatek polowych, z przodkami, jaszczami i zaprzęgami. Jeden wóz amunicyjny. Wóz naprawczy z narzędziami. Amunicji na dwa tysiące rund. Tona prochu armatniego w baryłkach. Wszystko. — Holender cytował najwidoczniej dosłownie z konosamentu.

— Jak przetransportowali to na ląd?

— Tratwami. Ci Brytyjczycy pracowali jak wariaci. Byli wśród nich marynarze.

Ładnie, że powiedział to prawie bez cienia pretensji w tonie. Przypuszczalnie użyto pontonów z baryłek. Hornblower powiedział sobie w duchu, że w taki właśnie sposób on sam podszedłby do problemu zabrania ładunku na brzeg. Prawdopodobnie powstańcy zapewnili dużą liczbę niewykwalifikowanej siły roboczej, co jednak nic nie ujmowało temu osiągnięciu.

— A potem wszyscy odeszli z działami? — pytał dalej Hornblower.

— Wszyscy. Nie było ich za wielu na dwanaście armat.

Nie za wielu. Załoga „Bride of Abydos” liczyła jakieś siedemdziesiąt pięć osób — w gruncie rzeczy ledwie dosyć na obsadzenie dwóch baterii w razie bitwy.

— I zostawili wenezuelską straż na statku?

— Tak. Widział ich pan, jak uciekali, kiedy podpływaliście. Trzymali nas tu na kotwicy pod zawietrznym brzegiem.

Miało to oczywiście uniemożliwić Holendrowi rozprzestrzenienie wiadomości o oszustwie, jakiego się dopuszczono.

— Ci... ci zbóje nie mają najmniejszego pojęcia o statkach. — Holender ciągnął opowieść o swych niedolach. — Raz „Desperate” zaczęła wlec kotwicę. Musiałem posłać moich ludzi...

— Miał pan szczęście, że nie puścili pańskiego statku z dymem — stwierdził Hornblower. — I jeszcze większe, że go nie splądrowali. Ma pan szczęście, że nie jest pan w więzieniu na lądzie.

— Może tak, ale...

— W takim razie, sir — przerwał Hornblower — jest pan wolny. Może pan odpłynąć przy tej bryzie lądowej i jutro w nocy rzucić kotwicę w Willemstadt.

— Ale mój ładunek, sir. Zostałem uwięziony. Byłem w niebezpieczeństwie. Bandera mojego kraju...

— Właściciele pańskiego statku mogą wnieść sprawę do sądu, jeśli zechcą. Słyszałem, że Ramsbottom to zamożny człowiek. Można dochodzić na nim szkód.

— Ale... ale... — Holender nie umiał znaleźć słów na odpowiednie wyrażenie zarówno tego, co myślał o sposobie, w jaki był traktowany, jak i o niedostatecznym współczuciu ze strony Hornblowera.

— Rząd pański może oczywiście wysłać protesty. Do gubernatora Wielkiej Kolumbii lub do króla Ferdynanda. — Czyniąc tę śmiechu wartą sugestię Hornblower usiłował zachowywać kamienny wyraz twarzy. — Muszę panu pogratulować, sir, że udało się panu wyjść cało z bardzo poważnego niebezpieczeństwa. Mama nadzieję, że będzie pan miał pomyślną podróż do kraju.

Uwolnił „Helmonda” i dostał w swe ręce „Bride of Abydos”. Tyle dokonał, jak dotąd, podsumowywał w duchu swe osiągnięcia, kiedy łódź niosła go z powrotem na „Clorindę”. Rząd w kraju może się spierać o szczegóły natury prawnej, jeśli zechce wziąć sobie na głowę ten kłopot. Nie umiał sobie wyobrazić, co rząd i Admiralicja pomyślą o jego wyczynach. Poczł leciutki dreszcz niepokoju, gdy zaczął się zastanawiać nad tą stroną sytuacji. Lecz admirał nie może zdradzać swoich obaw przed nikim, a już na pewno nie przed tak ograniczonym dowódcą okrętu, jakim był Sir Thomas Fell.

— Będę zobowiązany, Sir Thomasie — rzekł wróciwszy na pokład „Clorindy” — jeśli wyśle pan załogę przyciągnąć na bryg. Może poinstruuje pan łaskawie dowodzącego nimi oficera, żeby trzymał się blisko nas? Popłyniemy znowu w kierunku Puerto Cabello, gdy tylko uzna pan to za dogodne.

Fell był może ograniczony, ale znał się na żeglarstwie. Hornblower mógł zdać się na niego w trudnym powrocie nocą wzdłuż brzegu. Bryza od lądu, kapryśna wprawdzie i niełatwa do przewidzenia, dawała jednak możliwość odzyskania cennych mil straconych w kierunku zawietrznym, i nie wolno było zaprzepaścić tej szansy. Hornblower mógł zejść do dusznej kajuty i ułożyć się do snu. Miał za sobą pracowity dzień i czuł się fizycznie zmęczony. Leżał w koi — irytujące strużki potu spływały mu po żebrach — i usiłował oderwać myśli od przetrwania sytuacji. Brytyjska opinia publiczna zaczynała patrzeć przychylnym okiem na walki o wolność toczone we wszelkich zakątkach świata. Ochotnicy brytyjscy odgrywali w nich pewną rolę — Richard Church już od lat dowodził powstaniem Greków przeciwko Turkom; Cochrane walczył właśnie na Pacyfiku o wolność Południowej Ameryki. Jeśli już o to idzie, to tysiące żołnierzy brytyjskich służyło w szeregach armii Boliwara opodal na stałym lądzie. W Anglii hojnie szafowało się prywatnymi pieniędzmi na sprawę wolności, tak jak Ramsbottom szafował swymi.

Trudno było jednak wyciągnąć z tego wszystkiego jakiś wniosek na temat reakcji rządu

brytyjskiego na ten problem — polityka wcale nie musi być w zgodzie z opinią publiczną w kraju. A jeśli idzie o lordów Admiralicji, to można mieć pewność, że ich reakcja będzie, jak zawsze, nie do przewidzenia. To samo dotyczy jego królewskiej mości — Jerzego IV. Hornblower podejrzewał, że Pierwszy Dżentelmen Europy dawno zrezygnował ze swego niezdecydowanego liberalizmu. Niedaleka przyszłość mogła kryć w zanadru reprimendę dla głównodowodzącego siłami jego królewskiej mości w Indiach Zachodnich, a może nawet zdezwuowanie jego poczynań i odwołanie go ze stanowiska.

Umysł Hornblowera doszedł w końcu do pocieszającej pewności, że przyszłość jest niepewna i że w ciągu najbliższych godzin nie może zrobić nic, co wpłynęłoby na jej zmianę. Powiedziawszy to sobie, mógłby już wreszcie zasnąć. I był istotnie na granicy drzemki, kiedy sięgnął ręką, żeby otrzeć coś, co wydawało mu się strużką potu ciekącą po nagich żebrach. Ale to nie był pot. Po ruchach pod jego palcami poznał, że to karaluch pełzał mu po skórze. Wzdrygnął się z obrzydzenia. Chociaż Karaiby znane były z karaluchów, nie udało mu się do nich przywyknąć. Przeszedł po ciemku do drzwi od kajuty rufowej i otworzył je, wpuszczając stamtąd światło lampy, w którym ujrzał, jak tuzin tych obrzydliwych stworzeń umyka w popłochu.

— Milordzie! — To wierny Gerard, usłyszawszy, że admirał kręci się po kajucie, wstawał spiesźnie ze swej koi.

— Niech pan wraca do koi — burknął Hornblower.

Włożył przygotowaną przedtem jedwabną koszulę nocną z wymyślnymi plisami z przodu i wszedł na pokład. Księżyc wypłynął już na niebo i „Clorinda” sunęła spokojnie z bryzą od lądu, wiejącą teraz bardziej od trawersu. Karaluchy wyгнаły mu z głowy wszystkie myśli o kłopotach. Mógł oprzeć się o reling i w pogodzie ducha kontemplować uroki cudownej nocy. O świcie na morze spadła cisza, ale pół godziny później przelotny powiew pomyślnego wiatru pozwolił „Clorindzie” i „Bride of Abydos”, płynącej o milę za jej rufą, utrzymać kurs na Puerto Cabello. Przez lunetę było już widać miasto na półwyspie, ku któremu „Clorinda” szybko się zbliżała. Wychodziły stamtąd łodzie rybackie, małe łupinki wiosłami pomagające sobie w wydostaniu się na morze przy nie sprzyjającym wietrze. Patrzącym przez lunetę coś w ich wyglądzie wydało się dziwne, a gdy „Clorinda” podeszła bliżej, okazało się, że są załadowane ludźmi do granic możliwości. Lecz wiosła pracowały bez przerwy i łódki dzielnie okrążyły półwysep, śpiesząc ku otwartemu morzu, na wschód, w stronę La Guairy.

— Myślę, że generał Morillo przegrał bitwę — zauważył Hornblower.

— Naprawdę, sir? — powiedział Fell z respektem.

— Myślę także, że w Puerto Cabello jest sporo ludzi, którzy wolą, żeby ich tam nie było, kiedy wmaszeruje El Liberador — dodał Hornblower.

Słyszał, że wojna o niepodległość jest prowadzona z hiszpańskim okrucieństwem, że nawet na reputację Boliwara padł cień egzekucji i masakr. Lecz te przepelnione łódki dowodziły, że spodziewano się, iż Puerto Cabello podda się Boliwarowi. Wygrał bitwę pod Carabobo. Zwycięstwo w otwartym polu tak blisko Caragao oznaczało niewątpliwą przegraną sprawy

królewskiej. Carabobo stanie się Yorktown południowoamerykańskiej wojny o niepodległość, co do tego nie było wątpliwości. Przypuszczalnie Ramsbottom uznał, że strata „Bride of Abydos” jest niczym w porównaniu z uwolnieniem kontynentu.

Trzeba było jednak uzyskać na to potwierdzenie. Rządowi brytyjskiemu będzie zależało na szybkiej informacji z pierwszej ręki na temat sytuacji w Wenezueli.

— Sir Thomasie — powiedział. — Udam się na ląd.

— Weźmie pan uzbrojoną straż, milordzie?

— Jak pan chce — odparł Hornblower. Tuzin marynarzy z muszkietami nie wyrwałby go z pazurów zwycięskiej armii, lecz wyrażenie zgody oszczędzało mu dyskusji i pełnych wyrzutu spojrzeń.

Gdy Hornblower stanął na nabrzeżu w oślepiającym blasku słońca, ujrzał małą wyludnioną przystań. Nie została ani jedna łódka rybacka, nie widać też było żadnej istoty ludzkiej. Szedł szybko, za nim straż z ciężkim tupotem, a u boku Gerard. Długa, kręta ulica nie była, jak się okazało, zupełnie opuszczona przez mieszkańców, można bowiem było dojrzeć kilka kobiet, paru starców i kilkoro dzieci wyglądających ukradkiem z domów. A potem w oddali, po prawej stronie, rozległa się krótkotrwała strzelanina z muszkietów. Odgłos strzałów niósł się głuchym echem w ciężkim, wilgotnym powietrzu. Nadciągnęła upiorna kolumna obdartusów, chorych i rannych, kuśtykających środkiem drogi. Niektórzy, upadłszy, z trudem dźwigali się na nogi, lecz Hornblower widział i takich, którym nie udało się podnieść. Ci albo staczali się na bok drogi, albo leżeli na niej bez ruchu, gdy kulejący towarzysze idąc dalej potykali się o nich. Ranni, półnaczy, bosy, nieprzytomni z gorączki lub zgięci w pół z bólu szli drogą, zataczając się, a grzechot muszkietów za nimi stawał się coraz bliższy. Ostatnim rannym następowali na pięty pierwsi żołnierze z ariergardy, których łachmany ledwo przypominały granatowo-białe mundury hiszpańskiej armii królewskiej. Hornblower zanotował w pamięci, że siły królewskie są wciąż zdolne uformować się w zdyscyplinowaną ariergardę, nie są zatem jeszcze kompletnie rozgromione, lecz ariergarda ta liczyła najwyżej kilkuset ludzi. Nie szli oni wprawdzie w należyтым ordynku, lecz wciąż walczyli, odgryzając zębami łuski, przybijając ładunki, wpychając ustami kule do luf muszkietów i czekając — w pojedynkę lub dwójkami — na osłonę, żeby oddać celny strzał do ścigających. Było między nimi może tuzin oficerów z obnażonymi, połyskującymi w słońcu szpadami. Dowodzący oficer na koniu zauważył Hornblowera i jego towarzyszy i zatrzymał konia zdumiony.

— Kim pan jest? — zawołał.

— Anglik — odparł Hornblower.

Lecz nim zdążyli zamienić jeszcze choć słowo, strzelanina z tyłu nasiliła się, a na linii z ariergarda pojawiło się tuzin jeźdźców, lansjerów z pikami — blask słońca odbijał się w ich grotach. Ujrzawszy ich, wyjeżdżających z bocznej uliczki, ariergarda załamała się i popadłszy w rozsypkę, pognęła jak szalona ulicą w obawie, że zostanie odcięta. Hornblower widział, jak grot piki wbił się między łopatki jednego z uciekających, który, padłszy twarzą w dół, był wleczony przez jard po powierzchni drogi, zanim jeździec wyrwał z niego pikę, zostawiając go wijącego się

jak zwierzę z przetrąconym krzyżem. Jego ciało tratowali strzelcy powstańczej awangardy biorący udział w potyczce, chmara ludzi o wszelkich odcieniach skóry, ładujący w biegu broń i strzelających. Chwilami w powietrzu roiło się od kul.

— Milordzie... — zaczął z wymówką Gerard.

— W porządku. Już po wszystkim — uspokoił go Hornblower.

Bitwa przetoczyła się drogą obok nich. Nikt, poza hiszpańskim oficerem, który zapytał, kim są, nie zwrócił na nich uwagi. Ale teraz ich lśniące złotem mundury, epolety i trójgraniaste kapelusze przyciągały wzrok małej kolumny piechoty maszerującej w prawidłowym szyku. Znowu oficer na koniu podjechał do nich z tym samym co poprzedni pytaniem i dostał od Hornblowera tę samą odpowiedź.

— Ingleses? — powtórzył oficer. — Anglicy? Ależ... pan jest brytyjskim admirałem.

— Dowodzącym eskadrą brytyjską na wodach Indii Zachodnich — uzupełnił Hornblower.

— Miło mi widzieć pana, sir. William Jones, były kapitan Dwudziestego Trzeciego Pułku Piechoty, obecnie major dowodzący batalionem w armii Wielkiej Kolumbii.

— Rad jestem z poznania pana, majorze.

— Przepraszam, ale wzywają mnie obowiązki — rzekł Jones zawracając konia.

— Hurra dla Anglii! — odezwał się ktoś w maszerujących szeregach. Zawtórował mu wątły okrzyk. Połowa tych obdartych strachów na wróble to pewnie Brytyjczycy, wymieszani teraz nie do rozróżnienia z Murzynami i Południowoamerykanami. Za nimi jechała kawaleria, regiment za regimentem, potok ludzi i koni zalewający drogę niby rzeka wypełniająca się wodą po brzegi. Lansjerzy i lekka kawaleria, konie z odparzonymi grzbietami i okulawione, większość jeźdźców ze zwojem liny u łęków siodeł. Wszyscy byli obdarci i chwiali się ze zmęczenia. Sądząc po wyglądzie ludzi i zwierząt, byli długo w drodze i bili się ciężko, a teraz resztkami sił parli za pobitym przeciwnikiem. Orientując się po liczbie kolumn, Hornblower obliczał, że przejechało około tysiąca ludzi, gdy poprzez monotony stukot podków nowy odgłos przedarł się do jego uszu. Głuche uderzenia i wstrząsy, długie i nierówne. To nadjeżdżały działa wleczone przez zmordowane konie prowadzone za pyski przez obdartych i zarośniętych ludzi odzianych w resztki granatowych bluz i białych kiedyś spodni. To była załoga „Bride of Abydos”. Jeden z nich, podniósłszy znużoną głowę, rozpoznał stojących przy drodze.

— Poczciwy stary Horny! — krzyknął. Jego głos, osłabły ze zmęczenia, zabrzmiał jak głos starca.

W oficerze towarzyszącym konno marynarzom Hornblower rozpoznał jednego z poruczników Ramsbottoma. Siedział na wlokącym się koniu tak, że można w nim było od razu poznać marynarza, a gdy mijał Hornblowera, pozdrowił go znużonym uniesieniem ręki. Z turkotem przetoczyło się jedno działo, za nim drugie. Działa z Carabobo, te, które wywalczyły niepodległość dla kontynentu.

Hornblower uświadomił sobie, że nie widział dotąd Ramsbottoma, a spodziewał się zobaczyć go na czele kolumny artylerii, lecz w momencie, gdy o tym pomyślał, coś obok drugiego działa zwróciło jego uwagę. Były to nosze końskie, zrobione naprędce z dwóch drągów i kawałków płótna. Zawieszono je między dwoma końmi, jednym z przodu, drugim z tyłu. W tych noszach, osłoniętych od góry materiałem rozpiętym na dwóch tyczkach, leżał mężczyzna drobnego wzrostu, czarnobrody, opadły bezsilnie na podłożone pod plecy poduszki. Dwaj marynarze prowadzili konie za pyski. Nosze huśtały się na boki i kołysały do przodu i do tyłu w takt nierównych stąpań zwierząt, a w nich kołysał się ten czarnobrody mężczyzna. Zdołał on jednak zauważyć grupkę przy drodze i dźwignąwszy się do pozycji siedzącej, kazał marynarzom prowadzącym konie, żeby zesli z drogi i zatrzymali się przy Hornblowerze.

— Dzień dobry, milordzie — odezwał się. Mówił wysokim, histerycznym głosem.

Hornblower musiał spojrzeć raz, drugi i trzeci, żeby go rozpoznać. Czarna broda, rozgorączkowane oczy, przerażająca, śmiertelna bladość twarzy, na której opalenizna wyglądała jak sztuczna powłoka, wszystko to utrudniało identyfikację.

— Ramsbottom! — wykrzyknął.

— Onże sam, choć trochę zmieniony — odparł Ramsbottom z chichotem.

— Czy jest pan ranny? — pytał Hornblower. W momencie gdy wypowiadał te słowa, dostrzegł, że lewą rękę Ramsbottoma spowija zwój bandażu ze szmat — tak intensywnie wpatrywał się w twarz Ramsbottoma, że do tej pory ręka uszła jego uwagi.

— Złożyłem ofiarę na ołtarzu sprawy wolności — odparł Ramsbottom z tym samym chichotem. — Mogło w tym śmiechu być szyderstwo lub zwykła histeria.

— Co się stało?

— Moja lewa dłoń spoczęła na polu Carabobo — chichotał Ramsbottom. — Wątpię, czy miała chrześcijański pogrzeb.

— Dobry Boże!

— Widzi pan moje działa? Moje piękne działa? Rozniosły Donów na strzępy pod Carabobo.

— Ale pan... co zrobiono z pańską ręką?

— Chirurgia polowa, oczywiście. Wrząca smoła na kikut. Czy pan, milordzie, czuł kiedy, jak parzy wrząca smoła?

— Moja fregata stoi zakotwiczona na redzie. Mam na pokładzie chirurga...

— Nie... och, nie. Muszę jechać z moimi działami. Muszę oczyścić El Liberadorowi drogę do Caracas.

Ten sam śmiech. To nie był śmiech szydery, lecz człowieka na skraju delirium, desperacko usiłującego zachować przytomność umysłu, żeby nie dać się zepchnąć z drogi do swego celu. Ten człowiek nie bronił się śmiechem przed płaczem. Śmiał się, żeby nie sądzono, że odgrywa bohatera.

— Och, pan nie może...

— Sir! Sir Milordzie!

Hornblower odwrócił się. To salutował midszypmen z fregaty, podniecony ważnością przynieszonej przez siebie nowiny.

— Co jest?

— Wiadomość od kapitana, milordzie. Na horyzoncie morskim widać okręty wojenne, Fregata hiszpańska i druga, wyglądająca na holenderską, milordzie. Idą prosto na nas.

To naprawdę groźna wiadomość. Musi podnieść swój porzecz na „Clorindzie” i wyjść na spotkanie tych obcych jednostek, lecz poinformowano go o tym w fatalnym momencie. Popatrzył na Ramsbottoma i znów odwrócił się do midszypmena. Umysł jego, zwykle tak szybki, teraz działał z opóźnieniem.

— W porządku — rzucił krótko. — Powiedz kapitanowi, że zaraz będę.

— Tak jest, milordzie. — Hornblower zwrócił się do Ramsbottoma. — Muszę iść — rzekł. — Muszę.

— Milordzie — jęknął Ramsbottom. Resztką gorączkowego ożywienia opuściła go. Osunął się z powrotem na poduszki i przez sekundę lub dwie zbierał siły, żeby znów przemówić, a gdy zaczął, słowa przychodziły mu z trudem. — Czy zajął pan „Bride”, milordzie?

— Tak. — Musi kończyć tę rozmowę, musi wracać na okręt.

— Moja pocziwa „Bride”. Milordzie, w magazynie rufowym jest jeszcze jedna beczułka kawioru. Proszę wziąć ją sobie, milordzie.

Znowu ten chichot. Leżąc z przymkniętymi oczyma i nie słysząc spieszego „do widzenia”, rzuconego przez odchodzącego Hornblowera, Ramsbottom śmiał się dalej, i Hornblowerowi wydawało się, że śmiech ten ściga go, gdy szybkim krokiem szedł ku nabrzeżu i wchodził do łodzi.

— Odbijać! Mocno wiosłować!

„Clorinda” stała na kotwicy, a przy niej „Bride of Abydos”, zaś w dali można było bez żadnych wątpliwości zobaczyć marsie dwóch fregat zdążających w ich stronę. Wdrapał się po burcie okrętu, nie tracąc ani chwili na ceremoniał powitania. Zbyt był zaabsorbowany ocenianiem sytuacji taktycznej, pozycji „Bride of Abydos” i tempa zbliżania się obcych jednostek.

— Podnieść mój porzecz — polecił, a potem, odzyskując równowagę, dodał ze swą zwykłą,

wyszukaną grzecznością: — Sir Thomasie, będę zobowiązany, jeśli założy pan szpryngi na linę kotwiczną przez furty rufowe w obu burtach.

— Szpryngi, milordzie? Tak jest, milordzie.

Przesunięto liny przez furty rufowe i przyczepiono je do liny kotwicznej. Skracając jedną lub drugą przy pomocy kabestanu będzie mógł obracać okręt, nastawiając działa na cel w pożądanym kierunku. Było to tylko jedno z ćwiczeń, do których zmuszał załogę podczas niedawnych manewrów. Wymagało dużego, bardzo dobrze skoordynowanego wysiłku ze strony marynarzy. Po okręcie poniosły się rozkazy. Oficerowie i podoficerowie biegli na czele swych oddziałów wyciągać liny i przesuwać je ku rufie.

— Sir Thomasie, niech pan każe łaskawie, żeby przeciągnięto bryg na kotwicy zawoźnej w naszą stronę. Chcę, żeby stał między nami a brzegiem.

— Tak jest, milordzie.

Teraz okazało się, że jest trochę czasu w zapasie. Zbliżające się fregaty, widoczne już nad widnokretem, gdy nastawiło się na nie lunety z pokładu rufowego, zwijały górne żagle. Mając je wciąż w polu widzenia, swej lunety, Hornblower ujrzał, że ich grotmarsle poszerzyły się nagle przy wykonywaniu zwrotu. Okręty stanęły w dryf, a w chwilę później łódź z fregaty holenderskiej podpłynęła do okrętu hiszpańskiego. Pewnie na naradę. Ze względu na różnice językowe trudno było oczekiwać, że mogłyby uzgodnić tok działania przy pomocy sygnału czy nawet tuby głosowej.

— Sir Thomasie, hiszpan ma porzecz komodora. Zechce pan być gotów do odwzajemnienia salutu, gdy tylko oni oddadzą go mojej fladze?

— Tak jest, milordzie.

Narada trwała pewien czas, przez drugą połówkę klepsydry i początek następnej. Okropne skrzywienie pod pokładem i szczęk kabestanu oznaczały sprawdzanie szpryngów. „Clorinda” obróciła się nieco w prawo, a potem trochę w lewo.

— Szpryngi sprawdzone i gotowe, milordzie.

— Dziękuję, Sir Thomasie. Czy zechce pan, teraz posłać załogę na stanowiska i przygotować okręt do boju?

— Okręt do boju? Tak jest, milordzie.

Podejmowanie tego środka ostrożności łączyło się z przykrymi konsekwencjami, oznaczało bowiem, że posłanie, książki i rzeczy osobiste zostaną wyniesione z kajuty w wielkim nieporządku, na którego zlikwidowanie potrzeba będzie potem może całych dni. Z drugiej strony jednak, jeśli te fregaty przybywają ze zdecydowanym zamiarem walki, to jego reputacja nie ostałaby się, gdyby nie był gotów stawić im czoła. Wytaczanie armat i przenoszenie pocisków, właściwie już pod ostrzałem, spowodowałyby straszliwy chaos. Bitwa — jeśli do niej doszło — zostałaby przegrana jeszcze przed jej rozpoczęciem. Zaś te przygotowania — przeszywające gwizdki, ochryple krzyki

podoficerów, zorganizowane ruchy ludzi i dział, miarowy tupot żołnierzy piechoty morskiej, zdążających na pokład rufowy, i rozkazy rzucane ostrym głosem przez ich oficera, gdy formowali się w równy szereg — wszystko to budziło w nim dawny dreszczyk podniecenia.

— Okręt gotowy do boju, milordzie.

— Dziękuję, Sir Thomasie. Proszę łaskawie być w pogotowiu.

Akurat starczy czasu, nawet jeśli obcy nadpłynęliby natychmiast i ruszyli do boju bez pertraktacji. Szybko manipulując szpryngami ostrzela pierwszego przybysza ogniem flankowym tak dokładnie, że jego dowódca pożałuje, że się w ogóle narodził. Teraz musi czekać, a załoga okrętu, stojąc przy swoich działach, musi czekać razem z nim, podczas gdy lonty będą się tlić w swoich cebrzykach, oddziały ochrony przeciwpożarowej będą stać w pogotowiu z kubłami, a chłopcy od roznoszenia prochu z nośnikami naboju czekać na sygnał do rozpoczęcia bieganina między magazynem prochowym i armatami.

— Nadpływają, milordzie!

Marsie przybysza znowu się zwięziły, maszty zbiegły się w linię. Fregaty szły dziobami prosto na „Clorindę”. Hornblower trzymał je spokojnie w polu widzenia lunety. Widział, że nie wytoczono żadnych dział, lecz trudno było orzec, czy nie są przygotowane do boju. Coraz bliżej i bliżej, teraz znalazły się prawie w zasięgu najdalszego przypadkowego strzału armatniego. W tym momencie z prawej strony dziobu hiszpana pojawił się obłoczek dymu, i Hornblower nie potrafił powstrzymać nerwowego przetykania śliny. Wiatr rozwiał dym, ale w ślad za pierwszym kłębuszkiem pojawił się następny. Gdy zniknął, do uszu Hornblowera dobiegł głuchy huk pierwszego wybuchu. Poczł na moment pokusę wykonania w pamięci obliczeń arytmetycznych, obejmujących prędkość dźwięku niesionego nad wodą i pięciosekundowe przerwy między salutami dział oraz odległości między okrętami, lecz trzeba było dać spokój tej luksusowej zachciance.

— Sir Thomasie, może pan odwzajemnić salut, jak dla komodora.

— Tak jest, milordzie.

Trzynaście wystrzałów z dział dla flagi kontradmirałskiej, jedenaście dla komodora. Dwadzieścia cztery wystrzały, razem sto dwadzieścia sekund, czyli dokładnie dwie minuty. Przy końcu salutów tamte jednostki, zbliżające się z prędkością czterech mil na godzinę, znajdą się o kabel bliżej, w zasięgu dalekiego strzału armatniego.

— Sir Thomasie, będę wdzięczny, jeśli pan każe kilkoma obrotami kabestana skrócić linę prawego szpryngu.

— Tak jest, milordzie.

Znowu dało się słyszeć bardzo głośne skrzypienie i „Clorinda” obróciła się burtą ku nowo przybyłym, gotowa do salwy burtowej. Nic nie zaszkodzi, jeśli się im pokaże, że czeka ich gorące przyjęcie, gdyby knuli coś złego. Może to oszczędzić wielu późniejszych kłopotów.

— Zwijają żagle, milordzie!

Sam też to widział, ale nie warto było mówić o tym. Sadząc po tempie, z jakim sprzątało żagle, obie jednostki miały liczne załogi. Teraz robiły zwrot prosto na wiatr. Hornblowerowi zdawało się, że słyszy wycie lin towarzyszące rzucaniu kotwicy. Wyglądało to na moment rozstrzygający i Hornblower już miał go zaakcentować zatrzaśnięciem lunety, gdy ujrzał, że z hiszpana opuszczają łódź.

— Chyba wkrótce będziemy mieli gości — zauważył.

Wydawało się, że łódź mknie jak na skrzydłach po lśniącej wodzie. Wioślarze pracowali jak szaleni — pewnie w odwiecznym pragnieniu marynarzy pokazania tym z innej marynarki wojennej, co potrafią.

— Łódź, ahój! — wykrzyknął obwołanie oficer wachtowy.

Oficer hiszpański na ławce rufowej, rzucający się w oczy dzięki epoletom, odwzajemnił obwołanie. Hornblower nie bardzo był pewien, co tamten krzyknął, lecz list, którym przy tym wymachiwał, wyjaśniał sprawę.

— Sir Thomasie, proszę przyjąć go na pokład.

Przeszedłszy przez burtę porucznik hiszpański rozejrzał się uważnie wokół siebie. Nie zaszkodzi, że zobaczy ludzi na stanowiskach i poczynione przygotowania. Od razu wyłowił wzrokiem Hornblowera i zasalutowawszy z ukłonem, wręczył mu list.

Su excelencia el Almirante Sir Hornblower — widniał napis na nim.

Hornblower złamał pieczęć, czytanie po hiszpańsku nie sprawiło mu trudu.

Brygadier Don Luiz Argote będzie zaszczycony, jeśli Jego Ekscelencja Sir Hornblower zgodzi się na rozmowę z nim. Brygadier byłby rad, gdyby mógł złożyć wizytę na okręcie Jego Ekscelencji i byłoby mu równie miło, gdyby Jego Ekscelencja zechciał przybyć na okręt Jego Arcychrześcijańskiej Królewskiej Mości.

Hornblower wiedział, że w Hiszpańskiej Marynarce Wojennej „brygadier” znaczy to samo co u nich „komodor”.

— Napiszę odpowiedź — rzekł. — Sir Thomasie, proszę zająć się tym panem. Gerard, proszę ze mną.

Pod pokładem na okręcie przygotowanym do boju trudno było doszukać się papieru do pisania i atramentu, jeszcze trudniej było ułożyć list po hiszpańsku, gdyż na piśmie błędy ortograficzne i gramatyczne bardziej się uwydatniają niż w mowie. Na szczęście można było wyzyskać list brygadiera jako źródło informacji na temat ortografii i skomplikowanej formy warunkowej.

Kontradmiral Horatio Hornblower będzie bardzo rad przyjąć Brygadiera Don Luiza Argote

na swoim okręcie flagowym w każdej chwili, kiedy Brygadier sobie tego zażyczy.

Trzeba było znaleźć wosk do pieczętowania i świecę, nie wolno lekceważyć tych drobnych formalności.

— W porządku — rzekł Hornblower, aprobując niechętnie drugi odcisk po pierwszej nieudanej próbie. — Proszę szybciotko popłynąć łodzią na „Bride of Abydos” — i sprawdzić, czy zostało tam trochę sherry, które Ramsbottom podał na swoim przyjęciu.

Gdy brygadier wszedł przez burłę „Clorindy”, został przyjęty z należytymi honorami. Za nim postępowwała inna postać, w trójgraniastym kapeluszu i epoletach. Hornblower skłonił się, zasalutował i przedstawił się.

— Pozwoliłem sobie poprosić kapitana Van der Maesena z Królewskiej Niderlandzkiej Marynarki Wojennej, żeby mi towarzyszył — wyjaśnił brygadier.

— Z wielką przyjemnością witam na pokładzie kapitana Van der Maesena — odparł Hornblower. — Może panowie zechcą zejść ze mną do kajuty. Bardzo mi przykro, że nie będzie nam tam zbyt wygodnie, ale jak panowie widzą, ćwiczyłem załogę w jej powinnościach.

Pośpiesznie ustawiono parawan, odgradzając rufową część fregaty, przyniesiono stół i krzesła. Brygadier z coraz większym zdumieniem popijał wino z podanej szklanki. Po kilku nieuniknionych minutach beładnej rozmowy — hiszpański był jedynym językiem, którym mówili wszyscy trzej — brygadier przystąpił do rzeczy.

— Ma pan tu piękny okręt, milordzie — rzekł. — Przykro mi widzieć pana w towarzystwie pirata.

— Ma pan seÔor, na myśli „Bride of Abydos”?

— Naturalnie, milordzie.

Hornblower dostrzegł otwierającą się przed nim pułapkę.

— Senior nazywa ją statkiem pirackim?

— A jak pan ją nazywa, milordzie?

— Czekam, żeby usłyszeć pańską opinię, senior.— Musi uważać, żeby nie powiedzieć niczego zobowiązującego.

— Milordzie, jej wyczyny wymagają wyjaśnienia. Zdobyła i splądrowała statek holenderski. Można to interpretować jako akt piractwa. Z drugiej strony można by powiedzieć, że działała w ramach tak zwanych listów kaperskich wystawionych przez buntowników w Wenezueli. W pierwszym wypadku kapitan Van der Maesen zajmie się nią jako jednostką piracką. W drugim, jeśli jest statkiem korsarskim, ja ją skonfiskuję, jako okręt nieprzyjazny wobec mojego kraju.

— Jak na razie, señor, sąd nie określił jej statusu dla żadnego z tych dwóch wypadków. Tym samym, panowie, jest ona dalej w moim posiadaniu.

Zaczęła się rozgrywka. Hornblower patrzył na przybyszy wzrokiem możliwie pozbawionym wyrazu. Co do jednej rzeczy był pewien, że cokolwiek zostanie postanowione w sprawie „Bride of Abydos”, ani rząd brytyjski, ani brytyjska opinia publiczna nie zaaprobuje jego potulnego przyzwolenia na zabranie jej sobie z rąk.

— Milordzie, zapewniłem kapitana Van der Maesena o moim poparciu w każdej akcji, jaką zdecyduje przedsięwziąć, a on dał mi takie samo zapewnienie.

Kapitan holenderski potwierdził to skinieniem głowy i na pół zrozumiałym zdaniem. Dwóch na jednego, innymi słowy, sytuacja, w której „Clorinda” nie może spodziewać się wygrania.

— Wobec tego, panowie, mam nadzieję, najszczerzą nadzieję, że zechcecie zaaprobować mój tok działania.

Był to najuprzejmiejszy sposób przeciwstawienia się im, jaki potrafił wymyślić.

— Trudno mi uwierzyć, milordzie, że rozciąga pan opiekę Brytyjskiej Królewskiej Marynarki Wojennej na piratów czy korsarzy w wojnie, w której jego królewska moc jest stroną neutralną.

— Mógł pan zauważyć, señor, że „Bride of Abydos” pływa pod banderą jego brytyjskiej królewskiej mości. Oczywiście rozumieją panowie, że jako oficer marynarki wojennej nie mogę pozwolić na zdjęcie tej bandery.

Rzucił więc ostateczne wyzwanie. Za dziesięć minut od tej chwili może się zacząć ostrzał armatni. Za dziesięć minut jego pokład może zostać zasłany zabitymi i rannymi. On sam może zginąć. Hiszpan popatrzył na Holendra i z powrotem na Hornblowera.

— Byłoby nam bardzo przykro podjąć zdecydowane działanie, milordzie.

— Miło mi to słyszeć, senor. To utwierdza mnie w mojej decyzji. Możemy się rozstać jak najlepsi przyjaciele.

— Ale...

Brygadier nie chciał, żeby jego ostatnie zdanie zinterpretowano jako oznakę ustąpienia. Wypowiedział, jak sądził, dalszą pogroźkę. Interpretacja jego słów przez Hornblowera sprawiła, że zaniemówił na moment.

— Jestem więcej niż rad, panowie, że jesteśmy zgodni. Może wypilibyśmy zdrowie naszych monarchów jeszcze jedną szklanką wina, seŃor — czy mogę skorzystać z okazji, aby podkreślić z uznaniem dług reszty świata wobec pańskiego kraju za tak świetny produkt?

Przyjmując ich wycofanie się za fakt dokonany, dawał im szansę wycofania się z honorem. Gorzka chwila przyznania, że dali się zbić z tropu, przyszła i odeszła, zanim to sobie uświadomili. Jeszcze raz Hiszpan i Holender wymienili bezradne spojrzenia, a Hornblower skorzystał z okazji, żeby dolać wina.

— Zdrowie jego arcykatolickiej królewskiej mości, senor. Zdrowie jego królewskiej mości króla Niderlandów.

Podniósł w górę szklankę. Nie mogli odmówić toastu, chociaż brygadier wciąż jeszcze otwierał i zamykał usta, starając się znaleźć słowa na wyrażenie tego, co czuł. Ponieważ Hornblower czekał ze szklanką w ręku, zwykła uprzejmość zmusiła brygadiera do wypowiedzenia toastu.

— Zdrowie jego brytyjskiej królewskiej mości.

Wypili równocześnie.

— Była to czarująca wizyta, panowie — rzekł Hornblower. — Jeszcze szklaneczkę? Nie? Czy panowie muszą odchodzić tak szybko? Wiem jednak, że wzywają panów rozliczne obowiązki wymagające waszej uwagi.

Gdy trapowi w białych rękawiczkach ustawili się przy furcie wejściowej, a pomocnicy bosmańscy dmuchnęli w gwizdki, zaś załoga okrętu, ciągle przy działach, stanęła na baczność, żegnając odchodzących gości, Hornblower znalazł wreszcie chwilę, żeby się rozejrzeć wokoło. Ci chłopcy trapowi, pomocnicy bosmańscy i ludzie z obsady dział mogli znaleźć się w tym momencie w obliczu śmierci, gdyby przebieg tej rozmowy był bardziej burzliwy. Zasłużył na ich wdzięczność, lecz oczywiście nigdy jej mieć nie będzie. Żegnając się uściskiem dłoni z brygadierem, ostatecznie wyjaśnił sytuację.

— Szczęśliwej drogi, seŃor. Mam nadzieję, że będę miał przyjemność spotkania się z panem ponownie. Wypływam do Kingston, gdy tylko zacznie się pomyślna bryza od lądu.

Jeden z listów pisywanych regularnie przez Barbarę, otrzymany w parę miesięcy później, pomógł mu wyklarować ostatecznie ten incydent.

Mój najdroższy Mężu (pisała Barbara. List składał się z kilku kartek; pierwsza zawierała rzeczy najbardziej interesujące Hornblowera i dopiero na drugiej Barbara przeszła do swych zwyczajowych towarzyskich i zawodowych plotek).

Wczoraj wieczorem Lord Kanclerz siedział przy obiedzie po mojej lewej ręce i miał wiele do powiedzenia na temat „Bride of Abydos” i w konsekwencji, ku mojej wielkiej radości, o moim drogim Małżonku. Rząd hiszpański i holenderski przez swego ambasadora i ministra złożyły naturalnie protest ministrowi spraw zagranicznych, który mógł tylko potwierdzić przyjęcie not i przyrzec odpowiedź, gdy zostaną już wyjaśnione prawne aspekty sprawy. W całej historii prawa Admiralicji, powiedział Lord Kanclerz, nie było jeszcze tak skomplikowanego wypadku. Ubezpieczyciele zaskarżyli ubezpieczonych o niedbalstwo (mam nadzieję, że prawidłowo zastosowałam te terminy techniczne, mój Najdroższy), gdyż kapitan „Helmonda” nie podjął kroków dla sprawdzenia bona fides „Bride of Abydos”, a ponadto w dalszym ciągu zarzucają zaniedbanie ze strony rządu holenderskiego, ponieważ zajęcie miało miejsce na holenderskich wodach terytorialnych pod Bonaire, zaś Holendrzy gorliwie zaprzeczają zarówno zaniedbaniu, jak i temu, że zajęcie faktycznie miało miejsce w obrębie ich wód terytorialnych. Ponadto samo splądrowanie i przetrzymywanie miało miejsce na hiszpańskich wodach terytorialnych. Wydaje się też, że pewne niedomówione komplikacje wypływają z faktu, iż zastałeś „Bride of Abydos” opuszczoną przez załogę — czy wiesz, Najdroższy, że fakt, czy jej kotwica istotnie dotykała dna, czy też nie, wydaje się mieć wielkie znaczenie prawne? W każdym razie, jak dotąd, nie wszczęto postępowania prawnego w żadnym sądzie, ponieważ, jak się wydaje, nikt nie jest w stanie zdecydować, jaki sąd ma jurysdykcję w tej sprawie (mam nadzieję, Najdroższy, że zapiszesz swojej żonie na plus uważne wysłuchiwanie i notowanie w pamięci tych trudnych wyrażen). Przyjmując przeciętnie cztery miesiące na każdą podróż okrężną do Indii Zachodnich, potrzebną dla zebrania dowodów przez osoby upoważnione do działania, i biorąc pod uwagę zarzuty procesowe, ich odpieranie i dupliki, Lord Kanclerz jest zdania, że upłynie trzydzieści siedem lat, zanim sprawa dotrze do Izby Lordów, i dodał, chichocąc w talerz z zupą, że do tej pory nasze zainteresowanie sprawą znacznie osłabnie.

To jeszcze bynajmniej nie wszystkie nowiny, Najdroższy. Jest coś jeszcze, co wielce by mnie zmartwiło, gdyby nie fakt, że wiem, iż mój Małżonek, admirał, będzie zachwycony. Pijąc dziś herbatę z Lady Exmouth (wiem, jak Twoje drogie oczy otwierają się szeroko z przerażenia na myśl, że kobiety mogą znać takie tajemnice), dowiedziałam się, że Ich Lordowskie Wysokości szczególnie aprobują Twoje stanowisko wobec władz Hiszpańskiej i Holenderskiej Marynarki Wojennej — Najdroższy, tak bardzo się cieszę, chociaż nigdy w to nie wątpiłam. Postanowiono już przedłużyć Twoje dowództwo na dalszy rok, i moja radość na myśl, jak Cię ucieszy ten dowód uznania, prawie całkiem uśmierza mój smutek z powodu dalszej separacji. Najdroższy, nie ma kobiety, która mogłaby tak Cię kochać — nie ma na świecie kobiety, która kochałaby mężczyznę tak, jak ja Ciebie kocham, najwierniejszego, najdzielniejszego, najdumniejszego, najmędrszego — nie wolno mi dalej tak pisać, bo mam jeszcze jedną nowinę.

A nowina jest taka: rząd zawsze, jak się wydaje, patrzył łaskawym okiem na wysiłki kolonii

hiszpańskich zmierzające do uzyskania niepodległości, i z najwyższą dezaprobatą przyjął decyzję rządu hiszpańskiego w sprawie próby odbicia tych kolonii przy pomocy wojsk wysłanych z Europy. Były oznaki, że inne mocarstwa, niechętnie ruchom wolnościowym, rozważają udzielenie pomocy wojskowej Hiszpanii w Ameryce Hiszpańskiej. Zwycięstwo pod Carabobo, gdzie biedny pan Ramsbottom i jego działa odegrały taką rolę, sprawiło, że taka interwencja stała się bardzo nieprawdopodobna. Jest wielką tajemnicą państwową, tak wielką, że przy herbacie mówi się o niej tylko szeptem, iż rząd brytyjski zastanawia się nad wydaniem deklaracji, że nie dopuści do interwencji wojskowej w Ameryce Hiszpańskiej. I wydaje się, iż rząd nasz jest w tym względzie zgodny z rządem amerykańskim, gdyż sądzi się, że prezydent Monroe planuje wydanie podobnej deklaracji i że dyskusje na ten temat są w toku. Tak więc mój najdroższy Małżonek znajduje się w centrum spraw światowych i jak zawsze w centrum najserdeczniejszych uczuć swej małżonki.

Huragan

Hornblower dotarł pieszo do swego biura w Domu Admiralicji dokładnie o pół do szóstej rano. Teraz, kiedy nastąpiło lato, o tej porze było wystarczająco widno na załatwienie spraw, a równocześnie dość chłodno. Gerard i Spendlove, jego porucznik flagowy i sekretarz, czekający tam na niego — mieliby się z pyszna, gdyby nie czekali — poderwali się na baczność bez stuknięcia obcasami (bo w ciągu trzech lat przekonali się, że ich szef tego nie lubi), ze słowami „Dzień dobry, milordzie”, „Dzień dobry, milordzie”, wypowiedzianymi równocześnie, jakby byli dwiema lufami dubeltówki.

— ...dobry — odmruknął Hornblower. Nie pił jeszcze swojej porannej kawy, w przeciwnym razie powiedziałby całe „Dzień dobry”.

Usiadł przy biurku. Spendlove czekał za jego plecami z plikiem papierów, podczas gdy Gerard składał pierwszy raport poranny.

— Warunki pogodowe normalne, milordzie Dzisiaj woda wysoka o jedenastej trzydzieści. Nic nie wpłynęło w nocy, a ze stacji sygnałowej nie dostrzeżono dziś rano żadnej jednostki. Żadnych wiadomości o statku pocztowo-pasażerskim, milordzie, ani o „Trytonie”.

— Negatywny meldunek, jeśli istnieje coś takiego — zauważył Hornblower. Negatywny z ostatnich dwóch zdań równoważyły się wzajemnie. HMS „Tryton” przywoził następcę, który miał przejąć od niego dowództwo u końca jego trzyletniej służby, a Hornblowera nie cieszyła perspektywa, że nie będzie już głównodowodzącym w Indiach Zachodnich. Natomiast pocztowiec zachodnio-indyjski wiozł jego żonę, której nie widział przez cały ten okres i której przybycia wyglądał niecierpliwie. Przybywała, żeby odbyć z nim powrotną podróż do Anglii.

— Statek pocztowy ma być tu lada dzień, milordzie — odezwał się Gerard pocieszająco. — Panie Gerard, do pana należy mówić to, o czym ja nie wiem — syknął Hornblower. Wściekał się, że go pocieszają jak dzieciaka, a jeszcze bardziej go złościło, że jego osobisty sztab uważa, że może mu zależeć na zobaczeniu się z żoną. Obejrzał się przez ramię na sekretarza. — Co pan tam ma, Spendlove?

Spendlove zaczął spieszenie przekładać trzymane w ręku papiery. Lada moment przyniosą

Hornblowerowi poranną kawę, a on ma coś, czego nie chciałby pokazać szefowi, zanim tej kawy nie dostanie i nie wypije jej choć trochę.

— Tu są zestawienia stoczniowe do trzydziestego pierwszego ultimo, milordzie — rzekł.

— Nie może pan powiedzieć „do końca ubiegłego miesiąca?” — zżymał się Hornblower, biorąc od niego papiery.

— Tak jest, milordzie — odparł Spendlove w nadziei, że szybko podadzą kawę.

— Jest tam coś? — pytał Hornblower rzucając okiem na zestawienia.

— Nic, co by wymagało pańskiej specjalnej uwagi, milordzie.

— Więc po co zawraca mi pan głowę? Co dalej?

— Patenty podoficerskie, milordzie, dla nowego artylerzysty na „Clorindzie” i dla bednarza stoczniowego.

— Pańska kawa, milordzie — przerwał w tej chwili Gerard, z wyraźną ulgą w głosie.

— Lepiej późno niż wcale — warknął Hornblower. — I na litość boską, nie róbcie tyle szumu koło mnie. Sam sobie naleję.

Spendlove i Gerard krzątali się, robiąc miejsce na biurku na postawienie tacy, i Spendlove spiesznie cofnął rękę od ucha dzbanka.

— Niech to diabli, za gorąca — mruknął Hornblower po wypiciu łyku. — Zawsze, u diabła, jest za gorąca.

W ubiegłym tygodniu wprowadzono nowy porządek, zgodnie z którym kawa była przynoszona, gdy już znalazł się w biurze, bo przedtem, gdy czekała tu na niego, żalił się, że zawsze jest za chłodna. Lecz ani Spendlove, ani Gerard nie czuli się w możności przypomnieć mu o tym.

— Podpiszę te patenty — westchnął Hornblower. — Nie dlatego, iż uważam, że bednarz zasługuje na to. Te jego beczki mają szpary jak klatki na ptaki.

Spendlove nasypał przez sito z naczynka piasku na mokry podpis Hornblowera i odłożył patenty na bok. Hornblower znowu łyknął kawy.

— Milordzie, oto pańska odmowa na zaproszenie Crichtonów. W trzeciej osobie, więc pański podpis nie jest konieczny.

Gdyby mu to powiedziano chwilę wcześniej, Hornblower zapytałby, czemu w takim razie zawraca mu się tym głowę, zapomniawszy o wydanym przez siebie poleceniu, aby nie wysyłano niczego w jego imieniu, zanim on tego nie przejrzy. Ale już dwa łyki kawy zrobiły swoje.

— W porządku — rzekł, przebiegając pismo wzrokiem, i znowu sięgnął po kubek.

Spendlove patrzył, jak w kubku ubywa kawy i uznał, że nadszedł bardziej sprzyjający moment. Położył na biurku list.

— Od Sir Thomasa, milordzie.

Hornblower westchnął cicho biorąc pismo. Kapitan Sir Thomas Fell z HMS „Clorindy” to człowiek denerwujący i wiadomość od niego zwykle oznaczała kłopoty — niepotrzebne zresztą i dlatego budzące niechęć. Ale tak nie było w tym wypadku. Hornblower przeczytał oficjalny dokument i spojrzał przez ramię na Spendlove'a.

— O co tu chodzi? — spytał.

— To dosyć ciekawy przypadek, jak słyszałem, milordzie — odparł Spendlove.

Był to „list okolicznościowy”, formalne żądanie ze strony kapitana Fella odbycia sądu wojennego nad muzykantem Hudnuttem, członkiem orkiestry oddziału Królewskiej Piechoty Morskiej, za „złośliwe i uporczywe nieposłuszeństwo rozkazom”. Takie oskarżenie, jeśli zostanie uzasadnione, oznacza śmierć lub taką chłostę, że lepsza byłaby śmierć. Spendlove wiedział doskonale, że jego admirał nie znosi wieszania i chłostania.

— Oskarżenie wnosi tamburmajor — mruknął Hornblower do siebie.

Znał tamburmajora Cobba doskonale, a przynajmniej na tyle, na ile pozwalały specyficzne okoliczności. Jako admirał i głównodowodzący Hornblower miał własną orkiestrę, kierowaną przez Cobba posiadającego patent podoficerski. Przed wszelkimi oficjalnymi okazjami, gdzie potrzebna była muzyka, Cobb meldował się u Hornblowera po rozkazy oraz instrukcje, a Hornblower odgrywał wówczas farsę z wyrażaniem zgody na przedstawiane propozycje. Nigdy nie przyznał publicznie, że nie odróżnia jednej nuty od innej. W rzeczywistości potrafił odróżniać melodie na podstawie ich skoczności albo długości. Czuł się nieco zażenowany w wypadku, gdy fakt ten okazywał się być znany szerzej, niż przypuszczał.

— Co ma pan na myśli, Spendlove, mówiąc, „ciekawy przypadek”? — zapytał.

— Sądzę, że mamy tu do czynienia ze świadomością artystyczną, milordzie — odparł ostrożnie Spendlove. — Hornblower nalał sobie drugą filiżankę kawy i zabierał się do niej ze smakiem. Może to mieć wpływ na fakt, czy muzykantowi Hudnuttowi spadnie głowa z karku, czy nie, pomyślał Spendlove. Równocześnie Hornblower czuł nieuniknioną irytację, wypływającą z konieczności wysłuchiwania plotek. Admirał w swej wspaniałej izolacji nie wiedział nic, albo bardzo mało, o wielu sprawach znanych jego najbliższemu rangą podwładnemu.

— Świadomość artystyczna? — powtórzył. — Porozmawiam z tamburmajorem. Proszę zaraz posłać po niego.

— Tak jest, milordzie.

Otrzymał jedną potrzebną wskazówkę i nie chciał się zniżyć do wyciągania dalszych ze Spendlove'a, chyba że rozmowa z Cobbem okaże się bezowocna.

— Zanim przyjdzie, sporządźmy szkic raportu.

Tamburmajor Cobb nie nadchodził jeszcze przez jakiś czas, a gdy się pojawił, jego lśniący mundur wskazywał, że zadbał o swój wygląd. Mundur i spodnie były świeżo uprasowane, guziki lśniły, szarfa została należycie udrapowana, a rękonośnica szpady błyszczała jak srebro. Ten potężnego wzrostu mężczyzna z ogromnym wąsem wszedł do pokoju z wielkim hałasem, a jego kroki odbijały się echem, jakby ważył dwa razy więcej niż faktycznie. Zatrzymawszy się przed biurkiem, stuknął obcasami i dziarsko wyrzucił rękę do góry, salutując w sposób modny właśnie w Królewskiej Piechocie Morskiej.

— Dzień dobry, panie Cobb — przemówił Hornblower uprzejmie. To „panie”, podobnie jak szpada, wskazywały, że z racji posiadanego patentu należy traktować Cobba jak dżentelmena, mimo że awansował z szeregowca.

— Dzień dobry, milordzie. — Słowa te sprawiły to samo wrażenie dziarskości, co gest ręki przy salutowaniu.

— Chcę usłyszeć to oskarżenie przeciwko muzykantowi Hudnuttowi.

— Więc, milordzie... — Spojrzenie w bok rzucone przez Cobba stanowiło wskazówkę dla Hornblowera.

— Wyjdźcie, panowie — rzekł do oficerów — i zostawcie mnie sam ma sam z panem Cobbem.

Drzwi zamknęły się, a Hornblower zaproponował z wielką uprzejmością:

— Niech pan siada, panie Cobb, i opowie mi swobodnie, co się naprawdę stało.

— Dziękuję, milordzie.

— No więc?

— Ten młody Hudnutt, milordzie, to największy dureń, jaki może istnieć. Przykro mi, że to się stało, milordzie, ale zasługuje na to wszystko, co go czeka.

— Tak? Dureń, powiada pan?

— Kompletny dureń, milordzie. Nie powiem, że nie jest dobrym muzykantem, bo jest. Nie ma nikogo, kto tak grałby na kornecie jak on. To prawda, milordzie. Pod tym względem to chłopak cudo. Kornet to jest nowo wprowadzony instrument, milordzie. Nie mieliśmy go w naszej orkiestrze od przeszło roku. Dmucha się w niego jak w trąbkę, ale to trzeba umieć, chociaż są tam też klawisze, milordzie. I on dokonuje w tym cudów, a raczej dokonywał, milordzie.

Ta zmiana na czas przeszły oznaczała, że w zdecydowanej opinii Cobba Hudnutt, wskutek śmierci lub inwalidztwa, nigdy więcej nie będzie grał na kornecie.

— To człowiek młody?

— Dziewiętnastolatek, milordzie.

— I cóż on zrobił?

— To był bunt, milordzie, zwykły bunt, chociaż oskarżam go tylko o nieposłuszeństwo rozkazom.

Bunt, zgodnie z Regulaminem Wojennym, oznaczał śmierć, nieposłuszeństwo rozkazom oznaczało „śmierć lub taką mniejszą karę jak...”

— Jak to było?

— A więc, milordzie, to było tak. Mieliśmy próbę nowego marsza przysłanego ostatnim statkiem pocztowym. Nazywa się „Dondello”, milordzie. Sam kornet i bębny. Zabrzniał jakoś inaczej, więc kazałem Hudnuttowi zagrać jeszcze raz. I usłyszałem, co on robi, milordzie. W tym marszu jest akurat dużo obniżonych B, a on nie brał ich bemolowe. Spytałem go, czemu to robi i on powiedział, że to brzmiałoby za słodko. Tak powiedział, milordzie. A przecież tak właśnie jest napisane w nutach. *Dolce*, stoi tam, a *dolce* znaczy słodko, milordzie.

— Wiem — skłamał Hornblower.

— Więc ja na to: „Zagra pan jeszcze raz i obniży pan to B”. A on odpowiada: „Nie mogę”. Wtedy ja: „To znaczy pan nie zagra?” I dodaję: „Dam panu jeszcze jedną szansę...”, chociaż według prawa nie powinienem, milordzie. I jeszcze: „Niech pan pamięta, to rozkaz” i daję im znak batutą, oni zaczynają i on znowu gra naturalne B. To ja mówię: „Słyszał pan, że wydałem rozkaz?” A on, że tak. Więc potem już nic nie mogłem zrobić, milordzie. Wezwałem straż i kazałem zabrać go do aresztu. No i wtedy musiałem wnieść oskarżenie, milordzie.

— To się stało w obecności orkiestry?

— Tak, milordzie. Całej orkiestry, szesnastu.

Świadome nieposłuszeństwo rozkazom w obecności szesnastu świadków. Fakt, czy było ich sześciu, szesnastu czy sześćdziesięciu, nie ma większego znaczenia, chodzi raczej o to, że wszyscy, których Hornblower ma pod swym dowództwem, wiedzą już do tej pory, że ktoś zbuntował się przeciwko dyscyplinie, że świadomie nie posłuchał rozkazu. Po to, żeby inni nie przeciwstawiali się rozkazom, człowiek ten musi umrzeć lub otrzymać chłostę, po której stanie się bezradnym kaleką. Hornblower wiedział, że mocno dźwierży władzę w rękę, lecz wiedział także o ukrytych niepokojach. A przecież — gdyby nieposłuszeństwo dotyczyło innego rozkazu, gdyby, powiedzmy, ktoś odmówił posuwania się po rei w kierunku noku, nawet w najbardziej niebezpiecznych warunkach, Hornblower nie zastanawiałby się wcale nad sprawą, mimo niechęci dla okrucieństwa fizycznego. Ten rodzaj rozkazów musi być zawsze wykonywany. „Świadomość artystyczna”, powiedział

Spendlove. Hornblower nie miał pojęcia, jaka jest różnica między B i B obniżonym, lecz uświadamiał sobie mgliscie, że dla pewnych ludzi może to być ważne. Człowiek może czuć pokusę odmówienia wykonania czegoś, co uraża jego wrażliwość artystyczną.

— Przypuszczam, że ten człowiek był trzeźwy? — spytał nagle.

— Tak, trzeźwy, jak pan i ja, milordzie.

Inna myśl przebiegła Hornblowerowi przez głowę.

— Czy istnieje możliwość pomyłki w druku nut? — spytał. Stał wobec problemu, na którym nie znał się zupełnie.

— No cóż, milordzie, takie rzeczy się zdarzają. Lecz to do mnie należy stwierdzić, czy jest pomyłka, czy jej nie ma. I chociaż on umie czytać nuty, nie wiem, czy potrafi czytać pismo drukowane, milordzie, a nawet jak potrafi, to nie sądzę, żeby umiał czytać po włosku, a tam, w urzędowych nutach, stoi *dolce*, milordzie.

W oczach Cobba pogłębiało to jeszcze zbrodnię, jeśli pogłębienie było w ogóle możliwe. Nie tylko jego rozkaz nie został wykonany, lecz Hudnutt nie respektował pisemnych instrukcji przysłanych przez kogoś z Londynu, odpowiedzialnego za rozsyłanie nut orkiestrom piechoty morskiej. Cobb był przede wszystkim żołnierzem piechoty morskiej, a dopiero potem muzykantom, Hudnutt może czuć się przede wszystkim muzykantom, a potem żołnierzem piechoty morskiej. Lecz dlatego właśnie, pomyślał natychmiast Hornblower, tym bardziej trzeba potępić Hudnutta. Żołnierz piechoty morskiej ma być żołnierzem piechoty morskiej przede wszystkim i zawsze. Jeśli żołnierze piechoty morskiej zaczną wybierać, czy chcą być żołnierzami piechoty morskiej, czy nie, Regiment Królewski przestanie być oddziałem wojskowym. Zaś jego, Hornblowera, obowiązkiem jest zapewnić, żeby pozostał oddziałem wojskowym.

Hornblower intensywnie badał twarz Cobba. Człowiek ten mówi prawdę, przynajmniej na tyle, na ile ją zna. Nie zniekształca świadomie faktów z powodu osobistego uprzedzenia czy w wyniku jakiejś zadawnionej niechęci. Jeśli podjęte przez niego działanie i jego meldunek w tej sprawie są wynikiem zazdrości czy wrodzonego okrucieństwa, nie zdaje on sobie z tego sprawy. Na sądzie wojennym zrobi wrażenie godnego zaufania świadka. Nie ulegał zmieszaniu pod uważnym spojrzeniem Hornblowera.

— Dziękuję, panie Cobb — wyrzekł wreszcie Hornblower. — Jestem zadowolony z tak jasnego wyłożenia faktów. To będzie wszystko na razie.

— Dziękuję, milordzie — odparł Cobb, podrywając swą ciężką postać z krzesła, w sposób zdumiewający łącząc zwawość z wojskową sztywnością. Stuknął obcasami, wyrzucił do przodu rękę salutując, wykonał zwrot w tył precyzyjnie jak na paradzie i tupiąc głośno wymaszerował krokami tak dokładnymi, jakby odmierzał je własnym metronomem.

Gdy Gerard i Spendlove wrócili do pokoju, Hornblower zapatrzony w przestrzeń błyskawicznie otrząsnął się z zamyślenia. Jego podwładni nie powinni nigdy domyślić się, że dał się

poruszyć ludzkim uczuciom, i to w prostej sprawie natury administracyjnej.

— Panie Spendlove, proszę łaskawie przygotować brulion mojej odpowiedzi Sir Thomasowi do mojego podpisu. Może to być zwykłe potwierdzenie otrzymania, lecz wówczas proszę dodać, że nie ma możliwości natychmiastowego wszczęcia kroków, gdyż nie jestem w stanie zebrać teraz potrzebnej liczby kapitanów przy tyłu odkomenderowanych okrętach.

Wyjąwszy nagłe wypadki, sąd, który mógłby wydać wyrok śmierci, nie może zostać zwołany, jeśli nie ma możliwości zebrania co najmniej siedmiu kapitanów i dowódców mniejszych okrętów jako sędziów. To dawało mu czas na zastanowienie się, co powinien przedsięwziąć.

— Jak sądzę, człowiek ten znajduje się w więzieniu stoczniovym — ciągnął Hornblower. — Przypomnijcie mi, żebym go sobie obejrzał, gdy będę dziś przechodził przez stocznię.

— Tak jest, milordzie — rzekł Gerard, uważnie starając się nie zdradzić zdumienia z powodu tego, że admirał chce tracić czas na odwiedzenie zbuntowanego żołnierza piechoty morskiej.

Ale nie było to bardzo z drogi Hornblowerowi. Gdy nadszedł czas, ruszył wolno przez piękny ogród Domu Admiralicji i inwalida Ewans, były marynarz, który był głównym ogrodnikiem, nadbiegł spiesznie, kulejąc, żeby otworzyć furtkę bramy w palisadzie o wysokości piętnastu stóp, chroniącej stocznię przed złodziejami i w tej części swego przebiegu oddzielającej ogród Admiralicji od stoczni. Evans zdjął kapelusz i stał kiwając się u bramy, z harcapem dyndającym mu na plecach i śniadą twarzą rozciągniętą w promiennym uśmiechu.

— Dziękuję wam, Evans — rzekł Hornblower przechodząc przez bramę.

Więzienie stało w odosobnieniu na skraju stoczni, mały sześcienny budynek z bali z drewna mahoniowego, ułożonych ukośnie w dziwny sposób, prawdopodobnie w więcej niż jednej warstwie. Miał dach z liści palmowych, o grubości jarda czy nawet więcej, co pomagało utrzymywać w nim chłód pod upalnym słońcem. Od bramy Gerard pobiegł przodem — Hornblower uśmiechnął się na myśl o zdrowym pocie, który się pojawi po tym biegu — żeby znaleźć oficera służbowego i dostać klucz do więzienia. Hornblower poczekał, aż otwarto kłódkę, żeby mógł zajrzeć w ciemne wnętrze. Na dźwięk klucza Hudnutt wstał, a gdy postąpił do przodu w światło, okazało się, że jest niezwykle młody, ze śladami jednodniowego zarostu, ledwo widocznymi na policzkach. Był nagi, poza kawałkiem płótna na biodrach, i oficer służbowy cmoknął z irytacją.

— Włóż coś na siebie i doprowadź się do przyzwoitego wyglądu — warknął, lecz Hornblower powstrzymał go.

— Nie trzeba. Mam bardzo mało czasu. Chcę, żeby ten człowiek powiedział mi, czemu został oskarżony. Reszta niech odejdzie poza zasięg słuchu.

Hudnutt był zaskoczony tą nagłą wizytą, ale i bez tego było widać, że to chłopiec nieśmiały. Mrugał wielkimi niebieskimi oczyma w blasku słońca, a jego szczupła postać chwiała się w zakłopotaniu.

— Co zaszło? Mów — odezwał się Hornblower.

— No więc, sir...

Hornblower musiał wyduszać z niego opowieść, która, słowo po słowie, potwierdziła wszystko, co powiedział Cobb.

— Nie mogłem grać tej muzyki, sir, za nic na świecie.

Niebieskie oczy patrzyły ponad głową Hornblowera w nieskończoność, może na coś niewidzialnego dla reszty świata.

— Byłeś głupcem, odmawiając wykonania rozkazu.

— Tak, sir. Możliwe, sir.

Akcent z Yorkshire, z jakim mówił Hudnutt, brzmiał dziwnie w tej tropikanej scenerii.

— Czemu zamustrowałeś na okręt?

— Dla muzyki, sir.

Trzeba było dalszych pytań, żeby wydobyć z niego całą historię. Chłopiec ze wsi w Yorkshire, nierzadko głodny. W ostatnich latach wojny kwaterował tam pułk kawalerii. Muzyka orkiestry pułkowej była prawdziwym cudem dla tego dziecka, które w ciągu dziesięciu lat swojego życia słyszało tylko fujarki wędrownych muzykantów. Uświadomiła mu tkwiącą w nim straszliwą, przemożną potrzebę. Wszystkie dzieci ze wsi chodziły za orkiestrą (Hudnutt, mówiąc to, uśmiechnął się rozbijając), ale żadne tak uparcie jak on. Trębacze rychło go zauważyli i śmiali się z jego dziecinnych uwag na temat muzyki, lecz w miarę upływu czasu śmiech zaczął mieszać się z sympatią. Pozwalali mu dmuchać w instrumenty, pokazywali, jak układać wargi, i byli zdumieni wynikami. Po Waterloo pułk wrócił do wsi i przez następne dwa lata chłopiec uczył się dalej, choć były to głodne lata powojenne, kiedy od świtu do nocy powinien był odganiać ptaki z zagonów i oczyszczać pole z kamieni.

A potem pułk przeniesiono, głodne lata trwały dalej, i młodziutki chłopak zabrał się do orki, wciąż tęskniąc za muzyką, gdy trąbka kosztowała więcej niż cały roczny zarobek mężczyzny. Potem krótki okres prawdziwego szczęścia — znów ten rozbijający uśmiech — gdy przyłączył się do wędrownej trupy teatralnej jako chłopiec do wszystkiego i muzykant. Wtedy nauczył się odczytywać nuty, chociaż nie umiał czytać drukowanego słowa. Brzuch miewał pusty równie często jak przedtem, a dziedziniec stajenny był mu luksusowym łóżem. To były miesiące, gdy nocą gryzły go pchły, za dnia bolały stopy, a wszystko się skończyło porzuceniem go, gdy zachorował. Nastąpiło to w Portsmouth i wtedy — tak musiało się stać — głodny i osłabiony, został zabrany przez sierżanta przemierzającego ulice z orkiestrą w poszukiwaniu chętnych do piechoty morskiej. Jego zaciągnięcie się zbiegło się z wprowadzeniem cornet a pistons do muzyki wojskowej, zaś następną rzeczą, jaka mu się przydarzyła, był fakt, że znalazł się na okręcie płynącym do Indii Zachodnich, gdzie miał stać się członkiem orkiestry głównodowodzącego pod batutą tamburmajora Cobba.

— Rozumiem — powiedział Hornblower i rzeczywiście coś zaczął rozumieć.

Sześć miesięcy z wędrowną trupą aktorską było kiepskim przygotowaniem do dyscypliny w Królewskiej Marynarce Wojennej. To rzecz oczywista, a reszty mógł się domyślić, tej wrażliwości na muzykę, która stała się faktyczną przyczyną kłopotów. Ponownie obrzucił chłopca wzrokiem, zastanawiając się, co robić w tej sytuacji.

— Milordzie! Milordzie! — Gerard biegł ku niemu. — Statek pocztowy sygnalizował, milordzie. Widać flagę na maszcie stacji sygnałowej!

Statek pocztowy? Barbara jest na jego pokładzie. Trzy lata minęło od czasu ich ostatniego widzenia, a teraz od trzech tygodni oczekiwał jej z minuty na minutę.

— Niech przywołają mój barkas. Już idę — rzekł.

Fala podniecenia zmiotła zainteresowanie sprawą Hudnutta. Miał już pośpieszyć za Gerardem, lecz zawahał się. Co może powiedzieć w dwie sekundy człowiekowi czekającemu na wyrok śmierci? Co może powiedzieć, gdy sam kipi radością, temu chłopcu, zamkniętemu w klatce niby zwierzę, niby wół bezradnie czekający na rzeźnika?

— Do widzenia, Hudnutt. — To było wszystko, co zdołał rzec, zostawiając go stojącego w oniemieniu. Śpiesząc za Gerardem słyszał szczeł kluczy i kłódki.

Sześć wioseł wparło się w błękitną wodę, lecz żadna prędkość, jaką mogły nadać tańczącemu na falach barkasowi, nie mogła zadowolić Hornblowera. Oto i bryg, z żaglami strymowanymi tak, żeby chwycić pierwsze niepewne powiewy bryzy morskiej. Przy relingu biały punkcik, biała postać — Barbara powiewająca chusteczką. Barkas stanął przy burcie. Hornblower wspiął się na pokład po podwężniach wantowych i za chwilę Barbara była w jego ramionach, jej wargi na jego ustach, szare oczy śmiejące się do niego i znowu usta na ustach, i popołudniowe słońce lejące żar na oboje. Potem odsunęli się od siebie na odległość ramion i przyglądali się sobie. Barbara podniosła ręce, żeby mu poprawić halsztuk, i wtedy już był pewien, że są naprawdę razem, gdyż pierwszym gestem Barbary zawsze było poprawienie mu halsztuka.

— Świetnie wyglądasz, mój drogi — rzekła.

— I ty też!

Po miesiącu w morzu miała policzki złote od opalenizny. Barbara nigdy nie starała się mieć modnej kremowej cery, różniącej nie pracującą damę od mleczarki czy gęsiareczki. Roześmieli się do siebie z prostego szczęścia, znowu się pocałowali, by wreszcie zluźnić uścisk.

— Kochany, to jest kapitan Knyvett, który tak uprzejmie opiekował się mną w czasie drogi.

— Witamy na pokładzie, milordzie. — Knyvett był niski, tęgi i siwy. — Ale obawiam się, że nie zostanie pan dziś z nami na dłużej.

— Będziemy oboje pańskimi pasażerami w drodze powrotnej do kraju — rzekła Barbara.

— Jeśli przybędzie mój następca — zauważył Hornblower, dodając do Barbary: — „Trytona” jeszcze nie ma.

— Upłynie całe dwa tygodnie, zanim będziemy gotowi, milordzie, do powrotu — powiedział Knyvett. — Mam nadzieję, że nie ominie nas przyjemność towarzystwa pana i jej lordowskiej wysokości.

— I ja też mam szczerą nadzieję, że tak się stanie — odparł Hornblower. — Na razie opuszczamy pana — sądzę, że przybędzie pan na obiad do Domu Admiralicji, gdy tylko znajdzie pan czas. Kochanie, możesz zejść do barkasa?

— Oczywiście — odparła Barbara.

— Gerard, pan zostanie na pokładzie i zajmie się bagażami jej lordowskiej wysokości.

— Tak jest, milordzie.

— Nie ma nawet czasu przywitać się z panem, panie Gerard — rzuciła Barbara, gdy Hornblower prowadził ją ku podwieziom.

Barbara nie miała obręczy w spódnicach, wiedziała dosyć o wiatrach hulających na pokładach, aby z nich zrezygnować. Hornblower skoczył na ławkę rufową barkasa, sternik kazał załodze odwrócić oczy ku morzu, żeby nie zobaczyli czegoś, czego nie powinni byli widzieć, gdy wśród furkotania halek Knyvett i Gerard opuszczali Barbarę w ramiona Hornblowera.

— Ruszać!

Barkas odbiwszy od burty okrętu popłynął błękitną wodą w kierunku mola Domu Admiralicji, z Barbarą i Hornblowerem siedzącymi dłoń w dłoń na ławce rufowej.

— Cudownie, kochany — powiedziała Barbara, rozglądając się po wyjściu na ląd. — Żywot głównowodzącego upływa w przyjemnych miejscach.

Dosyć przyjemnych, pomyślał Hornblower, jeśli się zapomni o żółtej febrze i piratach, o międzynarodowych kryzysach i w gorącej wodzie kąpanych żołnierzach piechoty morskiej, czekających na sąd. Lecz nie była to pora na mówienie o takich rzeczach. Evans, kuśtykając na swojej drewnianej nodze, czekał na molu, żeby ich przywitać, i stał się niewolnikiem Barbary, od kiedy został jej przedstawiony.

— Musicie oprowadzić mnie po ogrodach, jak tylko znajdę pierwszą wolną chwilę — powiedziała Barbara.

— Tak, wasza lordowska wysokość. Oczywiście, wasza lordowska wysokość.

Szli wolno w kierunku domu. Tu przed Hornblowerem stanął delikatny problem pokazania wszystkiego Barbarze i przedstawienia jej swoich pracowników. Dom Admiralicji prowadzony był według zasad ustalonych przez Admiralicję, toteż Barbarze nie wolno byłoby żądać wymiany

elementu umeblowania czy zmiany statusu któregokolwiek z zatrudnionych tu marynarzy. Będzie tu tylko gościem, do tego ledwie tolerowanym. Na pewno będzie miała chęć zmienić to i owo w umeblowaniu i przeorganizować personel, lecz jej ewentualne projekty nie będą mogły być wprowadzone w życie.

— Wygląda na to, że dobrze się składa, kochany rzekła Barbara — iż mój pobyt tu ma być krótki. Jak krótki?

— Do przybycia Ransome'a na „Trytonie” — odparł Hornblower. — Powinnaś, moja droga, wiedzieć o tym, zważywszy, ile plotek nasłuchiłaś się od Lady Exmouth i innych.

— Tak, ale to wciąż nie jest dla mnie jasne. Kiedy kończy się twoja kadencja?

— Formalnie skończyła się wczoraj. Lecz pozostanę dowódcą tak długo, dopóki nie zostaną zwolniony oficjalnie przez Ransome'a po jego przybyciu. „Tryton” długo nie przybywa.

— A gdy Ransome przybędzie?

— Przejmie ode mnie dowództwo i oczywiście wprowadzi się do tego domu. Jego ekscelencja zaprosił nas, żebyśmy byli jego gośćmi w Domu Rządowym aż do naszego odpłynięcia, kochana, do domu.

— Rozumiem. A jeśli Ransome spóźni się na tyle, że ucieknie nam statek pocztowy?

— To zaczekamy na następny. Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Byłoby to niedogodne.

— Czy Dom Rządowy jest aż tak zły?

— Jest znośny, skarbie, ale ja miałem na myśli Ransome'a. Żaden nowy głównodowodzący nie chce, aby wisiał mu na karku jego poprzednik.

— Krytykujący oczywiście jego wszystkie poczynania. Czy ty byś tak właśnie robił, mój drogi?
— Nie byłbym człowiekiem, gdybym zachowywał się inaczej.

— A ja wiem doskonale, kochany, jak bardzo ludzki jesteś z natury — powiedziała Barbara wyciągając rękę do niego. Byli teraz w sypialni, z dala od oczu służby i personelu i mogli zachowywać się jak zwykli ludzie do chwili, aż mocne stukanie do drzwi nie oznajmiło przybycia Gerarda i bagażu. Zaraz też nadszedł Spendlove z listem do Barbary.

— List powitalny, skarbie, od jego ekscelencji — wyjaśniła Barbara po przeczytaniu. — Jesteśmy proszeni na obiad *en familie*[27].

— Nic ponad to, czego się spodziewałem — odrzekł Hornblower i sprawdzwszy spojrzeniem, że Spendlove wyszedł, dodał: — i nie więcej, niż się obawiałem.

Barbara spojrzała mu w oczy z konspiratorskim uśmiechem. — Przyjdzie czas — rzekła.

Tyle rzeczy było do omówienia, tyle nowin do wzajemnej wymiany. Długie, długie listy krążące między nimi, gdy byli z dala od siebie, wymagały uzupełnień i wyjaśnień, a w każdym razie była ich żądna Barbara po pięciu tygodniach w morzu bez żadnej wiadomości. Późną porą następnego dnia, gdy jedli obiad we dwójkę, w rozmowie padło nazwisko Hudnutta. Hornblower krótko opisał sytuację.

— Masz zamiar dać go pod sąd wojenny? — spytała Barbara.

— Chyba tak, gdy będę mógł zwołać sąd.

— A jaki będzie werdykt?

— Winien, rzecz jasna. Co do tego nie ma wątpliwości.

— Nie chodzi mi o werdykt. Mam na myśli wyrok. Jaki będzie wyrok?

Barbara uzyskała prawo zadawania tego rodzaju pytań i nawet wyrażania opinii o sposobie pełnienia obowiązków służbowych przez swego małżonka teraz, gdy już pozwolił sobie w jej obecności na wzmiankę na ten temat.

Hornblower zacytował ustęp Regulaminu Wojennego, od blisko trzydziestu lat regulującego jego żywot w okresach służby na morzu:

„Każda osoba popełniająca takie przestępstwo uznana za winną wyrokiem sądu wojennego winna ponieść śmierć lub tego rodzaju mniejszą karę, na jaką sąd wojenny, na podstawie natury i stopnia przestępstwa, uzna, że ona zasługuje”.

— Nie mówisz tego poważnie, skarbie? — Barbara siedząca po drugiej stronie stolika patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. — Śmierć? Ale powiedziałeś też przecież „tego rodzaju mniejszą karę”. Jaka to może być kara?

— Chłosta na oczach floty. Pięćset uderzeń bata. Pięćset uderzeń bata? Za granie B naturalnego, zamiast B o pół tonu niższego. Właśnie takich słów można było oczekiwać od kobiety.

— Kochana, nie o to się go oskarża. Oskarża się go o świadome nieposłuszeństwo rozkazom.

— Przecież to taki drobiazg.

— Kochanie, nieposłuszeństwo rozkazom nigdy nie może być drobiazgiem.

— Zachłostałbyś człowieka na śmierć za to, że nie chciał grać B obniżonego? Cóż za krwiożerczy sposób wyrównywania rachunku!

— Nie idzie tu o wyrównywanie rachunków, skarbie. Karę wymierza się, żeby powstrzymać innych od nieposłuszeństwa rozkazom. To nie jest zemsta.

Ale Barbara, jak przystało na kobietę, trzymała się swego stanowiska, niezależnie od tego jak

mocno atakowana była z flanki przez zimną logikę.

— Lecz jeśli go powieszisz — czy też może raczej wychłostasz — już nigdy nie zagra znowu B naturalnego. Cóż to da dobrego?

— Chodzi o dobro Służby, moja droga...

Hornblower ze swej strony stał na pozycji, która, jak wiedział, nie jest w pełni do utrzymania, lecz porywczosć Barbary sprawiła, że zapalił się w obronie swej ukochanej Służby.

— Dowiedzą się o tym w Anglii — ciągnęła Barbara, a potem uderzyła ją nowa myśl: — On może oczywiście apelować, nieprawdaż?

— Na wodach krajowych mógłby. Lecz jestem głównodowodzącym poza krajem i od mojej decyzji nie ma odwołania.

Mówił śmiertelnie poważnie. Poprzez stół Barbara patrzyła rozwartymi oczyma na tego człowieka, który nagle z jej czulego, kochającego, wrażliwego małżonka przemienił się we władcę decydującego o życiu i śmierci. A wiedziała, że nie może, nie wolno jej wykorzystywać swej uprzywilejowanej pozycji małżonki do wywierania wpływu na jego decyzję. Nie ze względu na dobro Służby, ale dla ich szczęścia małżeńskiego.

— I proces odbędzie się wkrótce? — spytała. Zmiana, jaka w niej zaszła, dała się wyczuć w tonie.

— Z chwilą gdy uda mi się zwołać sąd. Zwłoka w sprawach dyscypliny działa fatalnie na to, co jest jej przedmiotem. Jeśli człowiek zbuntuje się w poniedziałek, należy go sądzić we wtorek i powiesić we środę. Ale nie mam dosyć kapitanów pod ręką. Z dowódcą „Trytona”, gdy przybędzie tu Ronsome, liczba ich stanie się dostateczna, lecz wówczas ja będę już zwolniony z dowództwa i sprawa znajdzie się w innych rękach. Jeśli jednak przedtem przybędzie „Flora” — odkomenderowałem ją do pilnowania wybrzeża Zatoki Meksykańskiej — ja będę odpowiedzialny.

— Rozumiem, skarbie — mruknęła Barbara, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Jeszcze zanim znowu się odezwał, wiedziała, że jest coś, co złagodzi surowość jego dotychczasowych słów.

— Naturalnie, moja droga — ciągnął — nie podjąłem jeszcze decyzji. Jest inna możliwość, którą rozważam.

— Tak? — ledwo była w stanie wyrzec to słowo.

— Potwierdzenie ustaleń i wyrok byłby końcową czynnością w okresie pełnienia przeze mnie dowództwa. Dałoby mi to wymówkę — powód do złagodzenia wyroku aktem łaski w uznaniu dobrego zachowania eskadry w okresie, gdy była pod moim dowództwem.

— Rozumiem, skarbie. A jeśli Ransome przybędzie przed „Florą”?

— Nie będę nic mógł zrobić, poza...

— Poza...

— Mógłbym zasugerować Ransome'owi, żeby zaczął sprawowanie dowództwa od aktu łaski.

— Czy on się zgodzi?

— Kochana, bardzo mało wiem o Ransome'ie. Po prostu nie umiem powiedzieć.

Barbara otworzyła usta, żeby coś odrzec. Chciała powiedzieć: „Czy on uzna, że B grane pół tonu niżej jest ważniejsze od życia ludzkiego?” — lecz natychmiast zmieniła zamiar. Zamiast tego powiedziała coś innego, co też, i od dłuższej chwili, wisiało jej na ustach.

— Kocham cię, skarbie — rzekła.

Znowu ich spojrzenia zetknęły się ponad stołem i Hornblower poczuł, jak wzbierające w nich uczucia spotykają się, by połączyć się jak dwie wartkie rzeki. Wiedział doskonale, że wszystko, co mówił o dyscyplinie i przykładach, nie ma żadnego wpływu na zmianę opinii Barbary. Kobieta (bardziej nawet niż mężczyzna), przekonywana wbrew swej woli, upiera się dalej przy swoim zdaniu. Lecz Barbara nie powiedziała tego, powiedziała coś innego — i jak zawsze coś bardziej odpowiedniego do okoliczności. Ani samą zmianą tonu, ani podniesieniem brwi o włos nie wprowadziła do rozmowy faktu, że Hornblower jest głuchy na muzykę. Kobieta mniejszej klasy wyzyskałaby to jako argument w tej sprawie. Ona wiedziała o jego głuchocie na dźwięki, on wiedział, że ona wie i ona wiedziała, że on wie, lecz nigdy dotąd ani on nie musiał przyznawać się do tej wady, ani ona mówić, że wie o niej, i on kochał ją za to.

Następnego ranka musiał powiedzieć sobie, że głównodowodzący w Indiach Zachodnich, nawet jeśli czeka już tylko na następcę, ma wciąż obowiązki do wypełniania, mimo że właśnie przyjechała do niego żona. Jednak cudowna to rzecz, że Barbara mogła iść z nim przez ogrody Domu Admiralicji, odprowadzając go aż do furtki w bramie wysokiej palisady stoczni. Trochę źle się złożyło, że w momencie gdy Evans otwierał furtkę, po drugiej stronie palisady pojawił się Hudnutt, odbywający w tym czasie spacer. Maszerował tam i z powrotem między dwoma rzędami żołnierzy piechoty morskiej pod komendą kaprała. Straż była w paradnych mundurach z bagnetami na broni, a Hudnutt bez nakrycia głowy, jak przystało więźniowi pod oskarżeniem.

— Więzień i eskorta — stać! — wrzasnął kapral na widok admirała. — Eskortą, prezentuj — broń!

Hornblower odsalutował, jak należało i odwrócił się, żeby powiedzieć żonie „do widzenia”.

— Eskortą, na ra...mię broń! — kapral komenderował wielkim głosem w sposób przyjęty w piechocie morskiej, jakby eskorta znajdowała się po drugiej stronie stoczni, a nie o dwa jardy od niego.

— Kochanie, czy to ten muzykant... Hudnutt? — spytała Barbara.

— Tak — odparł.

— Więzień i eskorta, w prawo zwrot! Szybkim krokiem — naprzód marsz! — huknął kapral, i grupka odmaszerowała. Barbara patrzyła za nimi, mogła to teraz robić, gdy Hudnutt odwrócony do niej plecami nie zdawał sobie z tego sprawy. Przedtem nie chciała przyglądać się człowiekowi, który wkrótce ma być sądzony o życie. Dopasowany mundur piechoty morskiej nie maskował wątlęgo, trochę chłopięcego ciała, słońce padało na jasne włosy.

— To jeszcze chłopiec — zauważyła Barbara.

Mógłby to być kolejny nie mający nic do rzeczy fakt, gdyby chciała spierać się z małżonkiem na temat jego obowiązków. Siedemnasto- czy siedemdziesięcioletni, każdy podlegający czyimkolwiek rozkazom, musi być im posłuszny.

— Nie jest staruszkiem, kochanie — zgodził się Hornblower.

Potem ucałował Barbarę w podsunięty policzek — nie był pewien, czy admirał w mundurze powinien całować żonę na do widzenia w obecności swego personelu, ale Barbara nie miała co do tego wątpliwości. Zostawił ją przy furtce gawędzająca z Evansem, wodzącą spojrzeniem po uroczym ogrodzie i popatrującą na ruchliwą stoczną po drugiej stronie palisady.

Obecność żony była rzeczą cudowną, chociaż oznaczało to dla niego dużo więcej zajęć. Następne dwa, trzy dni były okresem intensywnego życia towarzyskiego, wyższe sfery na wyspie pragnęły maksymalnie wyzyskać przelotny pobyt małżonki admirała, żony para, kobiety, w której żyłach płynęła najbardziej błękitna krew po jej własnych przodkach. Hornblowerowi, z żalem myślącemu o bliskim końcu okresu swego dowództwa, przypominało to trochę arystokratów tańczących podczas rewolucji francuskiej, zanim sąd skazał ich na gilotynę, lecz Barbara, jak się zdawało, dobrze się bawiła, może dlatego, że właśnie przeżyła pięć bardzo nudnych tygodni i miała przed sobą nowe pięć.

— Moja droga, tańczyłaś dużo z młodym Bonnerem — zauważył, gdy znowu znaleźli się w domu po przyjęciu u gubernatora.

— Doskonały z niego tancerz — odparła Barbara.

— Ale chyba trochę hultaj — odparował Hornblower. — Nigdy mu niczego nie dowiedziono, lecz wiele się podejrzewa: szmuglowanie, przemyt niewolników i cała reszta.

— Jest zapraszany do Domu Rządowego — rzekła Barbara.

— Jak powiedziałem, nic nie udowodniono. Lecz z urzędu często interesowało mnie, co robią te jego łodzie rybackie. Któregoś dnia, skarbie, może się okazać, że tańczyłaś z przestępcą.

— Przestępcy są zabawniejsi niż urzędnicy wojskowi — odparła Barbara z uśmiechem.

Zadziwiająca była jej aktywność. Nawet po całonocnej zabawie za dnia jeździła konno, a Hornblower cieszył się, że jest w towarzystwie młodych ludzi, chętnych do występowania jako eskorta Lady Hornblower, sam bowiem musiał pilnować swoich obowiązków, a poza tym w ogóle nie lubił koni. Zabawne było nawet patrzeć na jawne adorowanie jej przez wszystkich, jego

ekscelencję, młodych ludzi towarzyszących jej w przejażdżkach konnych, nawet ogrodnika Evansa, wszystkich, z kim miała cokolwiek do czynienia.

Barbara wyjeżdżała któregoś ranka na przejażdżkę konną przed nastaniem upału dziennego, gdy do Hornblowera w Domu Admiralicji wprowadzono posłańca.

— Wiadomość od kapitana, milordzie. Sygnalizował „Tryton”. Płynie do nas pomyślnym wiatrem.

Hornblower zaniemówił na moment. Chociaż wiadomości tego rodzaju należało się wciąż spodziewać przez ostatni miesiąc, nie był jeszcze całkiem przygotowany na to, co się z nią wiązało.

— W porządku. Pozdrowienia dla kapitana. Zaraz przybywam.

A więc to koniec jego trzech lat służby na stanowisku głównodowodzącego. Ransome przejmie dowództwo, może dziś, a na pewno jutro, a on zostanie na połowie pensji i będzie musiał wracać do kraju. Dziwna mieszanina myśli przebiegała mu przez głowę, gdy przygotowywał się na powitanie Ransome'a. Młody Ryszard, mający właśnie zacząć naukę w Eton; wspomnienie mroźnej zimy w Smallbridge; sprawdzanie końcowych rozliczeń. Dopiero idąc do swego barkasa przypomniał sobie, że już nie będzie musiał podejmować decyzji w sprawie Hudnutta.

Na „Trytonie” nie powiewał porządek admirałski, gdyż według prawa Ransome nie mógł pełnić dowództwa, póki go nie przejął. Oddawane teraz saluty potwierdzały jedynie dołączenie się „Trytona” do floty zachodnio-indyjskiej. Ransome był tęgim mężczyzną z gęstymi, modnymi bokobrodami, w których było więcej siwych włosów niż czarnych. Miał na piersi małe odznaczenie towarzystwa Łażni, niewiele znaczące w porównaniu ze wspnianym Wielkim Krzyżem Hornblowera. Jeśli na swym obecnym stanowisku nie popełni większego błędu, przypuszczalnie będzie mógł liczyć na tytuł szlachecki. Przedstawił swego kapitana, Colemana, którego Hornblower wcale nie znał, a potem nastawił uważnie ucha na wyjaśnienia Hornblowera dotyczące tego, co już zostało załatwione, i na temat planów na przyszłość.

— Przejmę dowództwo jutro — zdecydował.

— To da nam czas na przygotowanie pełnego ceremoniału — zgodził się Hornblower. — W tej sytuacji, sir, czy zechce pan spędzić tę noc w Domu Rządowym? Rozumiem, że jest on do pańskiej dyspozycji, jeśli uzna to pan za dogodne.

— Po co przeprowadzać się dwa razy — odparł Ransome. — Zostanę tu na noc.

— Dom Admiralicji, sir, będzie oczywiście gotów dla pana jutro. Może zrobi nam pan zaszczyt i zje dziś z nami obiad? Mógłbym wówczas przekazać panu pewne informacje o tutejszej sytuacji.

Ransome spojrzał na Hornblowera nieco podejrzliwie. Nie chciał, aby jego poprzednik narzucał mu gotową politykę. Lecz propozycja była niewątpliwie sensowna.

— Będzie to wielka przyjemność. Muszę panu podziękować, milordzie.

Hornblower uczynił taktowny krok, aby rozproszyć jego podejrzenia.

— Statek pocztowy, którym moja małżonka i ja wracamy do Anglii, przygotowuje się obecnie do wyjścia w morze, sir. Odpływamy nim, to kwestia kilku dni.

— W porządku, milordzie — odparł Ransome.

— A zatem ponownie witając pana serdecznie, sir, pozwolę sobie teraz odejść. Czy możemy oczekiwać pana o czwartej? Czy też woli pan inną porę?

— Czwarta bardzo mi odpowiada — odrzekł Ransome.

Król umarł, niech żyje król, myślał Hornblower w drodze powrotnej. Jutro ktoś inny zajmie jego miejsce, a on stanie się zwykłym oficerem na połowie pensji. Splendor i powaga głównodowodzącego przejdą z niego na Ransome'a. Myśl ta była trochę przykra, uznał, że jego uprzejmie obojętne poza wobec Ransome'a kosztowała go sporo i naprawdę uważał, że Ransome powinien odwzajemnić się większą uprzejmością. Ulżył sobie nieco, opowiadając Barbarze o rozmowie, ale opanował się na widok jej rozbawionego mrugnięcia i podniesionej brwi.

— Najśłodszy prostaczek z ciebie, mój najdroższy — powiedziała. — Czy nie przychodzi ci w ogóle do głowy, jak można by to wyjaśnić?

— Nie — odparł Hornblower.

Barbara podeszła blisko i spojrzała mu w twarz.

— Nic dziwnego, że cię kocham — rzekła. — Czy nie sądzisz, że dla nikogo nie byłoby łatwo przyjść na miejsce Hornblowera? Okres, przez jaki dowodziłeś, obfitował w niezwykle sukcesy. Ustanowiłeś normę, jakiej Ransome'owi trudno będzie sprostać. Można by powiedzieć, że jest zazdrosny, zawistny — i zdradził się z tym.

— Trudno mi naprawdę w to uwierzyć — upierał się Hornblower.

— A ja kocham cię za to, że nie możesz uwierzyć — ciągnęła Barbara. — Powtórzyłabym to tysiąc razy na sto różnych sposobów, gdybym nie musiała iść i włożyć na siebie najpiękniejszej sukni, żeby podbić serce admirała Ransome'a.

Ransome był mężczyzną o dobrej prezencji, mocno zbudowany, z bokobrodami, i w ogóle. Hornblower nie docenił w istocie tego faktu przy ich pierwszym spotkaniu. Jego zachowanie było nieco serdeczniejsze w obecności Barbary, co mogło być skutkiem jej osobowości, lecz również, jak sobie Hornblower uświadomił, wynikiem tego, że Ransome wiedział, iż Lady Hornblower jest osobą wielce wpływową w kołach politycznych. Hornblower zrobił wszystko, aby wyzyskać to lekkie ocieplenie ze strony Ransome'a. Podawał wino, a przy tym pozwalał, aby niby przypadkiem wymykały mu się przydatne informacje o warunkach w Indiach Zachodnich — informacje niby przypadkowe, żeby Ransome nie mógł go podejrzewać o próbę wywierania wpływu na jego przyszłą politykę, a jednak użyteczne, które Ransome mógł przechwycić i zapamiętać, śmiejąc się w duchu z lekkomyślności Hornblowera. Mimo wszystko obiad nie był zbyt udany. Wciąż panowało

pewne napięcie.

A gdy zbliżał się ku końcowi, Hornblower zauważył spojrzenie rzucone na niego przez Barbarę, tylko jedno i bardzo przelotne. Ransome mógł go nie zauważyć, lecz Hornblower zrozumiał. Barbara przypominała mu o sprawie tak dla niej ważnej. Odczekał do odpowiedniego zwrotu w rozmowie, aby podnieść ten temat.

— Ach, tak — rzekł — jest jeszcze do odbycia sąd wojenny. Muzykant z piechoty morskiej...

Lekkim tonem opowiedział Ransome'owi okoliczności wypadku. W przeciwieństwie do Ransome'a zdawał sobie sprawę, z jaką uwagą Barbara śledziła wyraz twarzy nowego dowódcy w miarę postępu opowieści.

— „Powtarzające się i świadome nieposłuszeństwo zgodnemu z prawem rozkazowi” — Ransome powtarzał słowa Hornblowera. — To mogło oznaczać bunt.

— Mogło — zgodził się Hornblower. — Lecz jest to raczej ciekawy przypadek. Cieszę się, że decyzja w tej sprawie będzie należała do pana, a nie do mnie.

— Wygląda mi na to, że dowody będą bezsporne.

— Niewątpliwie. — Hornblower zmusił się do uśmiechu, chociaż telepatycznie wyczuwał intensywność zainteresowania Barbary. — Lecz okoliczności są trochę niecodzienne.

Kamienny wyraz twarzy Ransome'a był bardzo zniechęcający. Hornblower wiedział, że sytuacja jest beznadziejna. Nie próbowałby dalej, gdyby nie było tu Barbary. Skoro jednak była, niepotrzebnie brnął jeszcze.

— Gdyby rozprawa odbywała się, zanim złożyłem dowództwo, mógłbym — naturalnie nie myślałem o tym wcześniej — złagodzić wyrok w uznaniu dobrego sprawowania eskadry.

— Tak? — mruknął Ransome. Żadna monosylaba nie mogłaby wyrazić większego braku zainteresowania, lecz Hornblower ciągnął dalej:

— Przyszło mi do głowy, że mógłby pan ten fakt uznać za pomyślną okazję do okazania łaski jako pańskiego pierwszego urzędowego aktu.

— To będzie sprawa mojej własnej decyzji.

— Oczywiście — zgodził się Hornblower.

— A ja naturalnie nie potrafię sobie wyobrazić, żebym mógł zrobić coś takiego. Nie mogę pozwolić, żeby eskadra sądziła, że będę pobłażliwy w sprawach dyscypliny. Nie mogę wprowadzać nieładu na samym początku mego dowództwa.

— Oczywiście — powtórzył Hornblower. Widział bezcelowość dalszego argumentowania i był nawet za to wdzięczny. — Jest pan najlepszym i jedynym sędzią wszystkich okoliczności.

— Zostawię was teraz, panowie, przy winie — odezwała się nagle Barbara. Hornblower zdążył jeszcze obrócić na nią wzrok i zobaczyć, jak zmrożony wyraz jej twarzy topnieje w uśmiechu, który znał tak dobrze. — Dobranoc, admirale. Zrobię wszystko, co w mojej mocy — w ramach przepisów Marynarki Wojennej — żeby dopilnować, by dom ten był w dobrym stanie, gdy będzie go pan przejmował jutro rano, i mam nadzieję, że będzie w nim panu wygodnie.

— Dziękuję — odparł Ransome. Obaj panowie podnieśli się. — Dobranoc, skarbie — powiedziała Barbara do Hornblowera. A on wiedział, że uśmiech, jakim go obdarowała, nie był całkiem szczery i że jest ona w bardzo złym nastroju.

Gdy zostali sami, Hornblower podał porto i usadowiwszy się, przygotował się na wieczór, który zapowiadał się długi. Ransome, pokazawszy, że nie da się wodzić za nos, i dawszy wyraźnie do zrozumienia, że nie pójdzie na żadną sugestię ze strony Hornblowera, nie miał przecież nic przeciwko uzyskaniu informacji, które same mu się narzucały. Ani przeciwko skończeniu tej butelki i zaczęciu następnej.

Było więc bardzo późno, gdy Hornblower poszedł do łóżka, nie zapalając światła, żeby nie przeszkadzać Barbarze. Poruszał się po pokoju jak umiał najciszej. Rzucając w ciemności spojrzenia w stronę drugiego łóżka (pomieszczenia marynarki wojennej w niewielkim stopniu uwzględniały istnienie żon marynarzy i nie przewidywały podwójnego łoża), nie dostrzegł żadnego poruszenia pod moskitierą i był z tego rad. Gdyby Barbara nie spała, nie mogliby uniknąć rozmowy o sprawie Hudnutta.

Nie było też na to czasu następnego ranka, gdyż z chwilą gdy go zbudzono, Hornblower musiał pośpieszyć do ubieralni, wdziać najlepszy mundur ze wstęgą i gwiazdą i podążyć na uroczystość zmiany dowództwa. Jako oficer, którego luzowano, znalazł się pierwszy na pokładzie „Clorindy” i stanął przy prawej burcie, a za nim jego sztab. Przywitawszy go kapitan Sir Thomas Fell zajął się przyjmowaniem innych kapitanów przybywających na pokład. Na rufówce orkiestra piechoty morskiej — bez Hudnutta — grała wiązaną melodię, gwizdki pomocników bosmańskich nieprzerwanie rozdzierały powietrze, witając wciąż nowych przybyszów, słońce przygrzewało, jakby to był jakiś zwyczajny dzień. Potem nastąpiła pauza pełna dramatycznego napięcia. Orkiestra znów buchnęła marszem i przy łoskocie werbli i fanfarach trąbek Ransome przeszedł przez burtę, a jego sztab za nim, żeby zająć miejsce przy lewej burcie. Fell salutując podszedł do Hornblowera.

— Załoga okrętu uformowana, milordzie.

— Dziękuję, Sir Thomasie. — Spendlove wsunął kartkę w dłoń Hornblowera, który postąpiwszy do przodu, zaczął: — Rozkazy Lordów Komisarzy, dotyczące wykonywania urzędu Lorda Naczelnego Admirala, do mnie, Horatia Lorda Hornblowera, Kawalera Wielkiego Krzyża Najzaszczytniejszego Orderu Łaźni, Kontradmirala Eskadry Czerwonej...”

Było mu naprawdę trudno powstrzymać głos od drżenia i zmuszać się do czytania suchym, rzeczowym tonem. Złożył pismo i wydał swój ostatni rozkaz.

— Sir Thomasie, proszę łaskawie opuścić mój porzecz.

— Tak jest, milordzie.

Rozległ się pierwszy z trzynastu wystrzałów salutu, czerwony proporzec spływał wolno z topu stermasztu. Spływał długo, powoli, przez sześćdziesiąt sekund, bo tyle trwało trzynaście wystrzałów, a gdy znalazł się na dole, poprzednia miesięczna pensja Hornblowera, jako dowódcy, stała się mniejsza o czterdzieści dziewięć funtów, trzy szylingi i siedem pensów. W chwilę później wystąpił do przodu Ransome z pismem w rękę, żeby odczytać rozkazy Lordów Komisarzy dla niego, Henry'ego Ransome'a, Towarzysza Najzaszczytniejszego Orderu Łaźni, Kontradmirala Eskadry Niebieskiej.

— Wciągnąć moją flagę, Sir Thomasie.

— Tak jest, sir.

Po stermaszcie frunął w górę niebieski proporzec. Okręt czekał w milczeniu, aż rozwinie się na topie, a gdy wiatr go rozwinął, huknął salut i orkiestra buchnęła melodią. Po oddaniu ostatniego wystrzału Ransome stał się prawie „głównodowodzącym okrętów i statków jego królewskiej mości na wodach Indii Zachodnich”. Znowu odezwała się gromko orkiestra i przy jej dźwiękach Hornblower postąpił do przodu salutując nowemu głównodowodzącemu.

— Pozwolenie na opuszczenie okrętu, sir?

— Pozwolenia udzielono.

Przy łoskocie werbli i dźwiękach trąbek i gwizdków bosmańskich Hornblower przeszedł przez burtę. Mógł odczuwać wzruszenie albo głęboki żal, lecz już czekało go coś, co od razu wyrwało go z tego nastroju.

— Milordzie — odezwał się Spendlove siedzący przy nim na ławce rufowej.

— Słucham?

— Ten więzień... Hudnutt, ten muzykant z piechoty morskiej...

— Co z nim?

— Uciekł, milordzie. Wyłamał się w nocy z więzienia.

To rozstrzygało, bez najmniejszej wątpliwości, los Hudnutta. Nic nie mogło go uratować. Był już jakby trupem, a niedługo może być z nim gorzej, niż gdyby nie żył. Na Jamajce żadnemu dezterterowi czy więźniowi zbiegłemu z więzienia nie udało się jeszcze uniknąć powtórnego złapania. To jest wyspa, i to nieduża, i w dodatku czeka nagroda w wysokości dziesięciu funtów za informację pozwalającą ująć zbiega, zaś na Jamajce dziesięć funtów to fortuna znacznie większa niż w Anglii. Tyle co roczny zarobek robotnika, a nawet więcej, suma przewyższająca ilość pieniędzy, jakie niewolnik może ujrzeć naraz w całym swoim życiu. Żaden dezterter nie ma szans, jego biała twarz, nie mówiąc o mundurze, zwróci uwagę wszędzie na wyspie, gdziekolwiek się znajdzie, a czekająca nagroda sprawi na pewno, że zostanie wydany. Hudnutt jest skazany na złapanie. A czeka

go coś więcej. Na sędzie wojennym padną dodatkowe oskarżenia. Ucieczka z więzienia. Dezercja. Uszkodzenie własności rządowej. Zniszczenie munduru. Zostanie z pewnością powieszony. Jedyna inna możliwość to poddanie go chłóście kolejno na wszystkich jednostkach floty, a wtedy umrze na pewno pod razami bata. Hudnutt to już trup, i taki będzie koniec jego talentu muzycznego.

Ta ponura myśl zaprzętała mu umysł przez całą drogę do mola i sprawiła, że w milczeniu wsiadł do powozu gubernatora, który miał go zawieść do Domu Rządowego — nie miał już powozu głównodowodzącego. Siedział w milczeniu przez cały czas jazdy.

Ledwie jednak ujechali milę, napotkali ożywioną kawalkadę, która ze stukotem podków końskich zbliżała się ku nim. Hornblower zobaczył najpierw Barbarę — zauważyłby ją w każdym tłumie, nawet gdyby nie wyróżniała się swoim białym koniem. Jego ekscelencja jechał u jej boku z jednej strony, a Lady Hooper z drugiej. Cała trójka była pogrążona w ożywionej rozmowie. Za nimi podążało mieszane towarzystwo adiutantów i cywilów. Kawalkadę zamykał oficer żandarmerii wojskowej i dwóch ludzi z jego straży.

— Ha, Hornblower! — zawołał gubernator ściągając cugle. — Pańska uroczystość zakończyła się, jak widzę, wcześniej niż oczekiwałem.

— Dzień dobry, sir — powiedział Hornblower. — Sługa szanownej pani.

Potem uśmiechnął się do Barbary — zawsze, nawet w depresji, potrafił uśmiechać się na jej widok. Odwzajemniła mu się uśmiechem ledwie widocznym pod woalem amazonki.

— Może pan przyłączyć się do naszego polowania. Któryś z moich adiutantów da panu konia — rzekł Hooper, a potem, zerknąwszy do powozu, dodał: — Nie, raczej nie, w tych jedwabnych pończochach. Może pan jechać za nami powozem jak dama przy nadziei. Jak królowa Francji, niech mnie licho! Zawracaj, stangrecie.

— Na co polujecie, sir? — spytał Hornblower z lekką konsternacją.

— Na pańskiego dezertera. Możemy się trochę zabawić na jego konto — odparł Hooper.

Polowali na człowieka, największe polowanie, jakie może być — ale Hudnutt, marzycielski, nieobecny myślami Hudnutt, to marna zwierzyna. W grupie jechało dwóch kolorowych służących, śniady i czarny, każdy z trójką ogarów na smyczy, ponure, odrażające typy. Nie chciał mieć nic wspólnego z tym polowaniem, nic zupełnie. Chciał kazać, żeby powóz zawrócił. To koszmar, a on nie miał siły obudzić się z niego. Straszną rzeczą było widzieć Barbarę biorącą w tym udział. U bramy stoczni przed wysoką palisadą orszak zatrzymał się.

— Tu jest ten areszt — powiedział oficer żandarmerii, wskazując gestem. — Może pan obejrzyć dziurę w dachu, sir.

Kawałek strzechy palmowej był zerwany. Pewnie budynek więzienny nie był zbyt mocny. Żeby się jednak z niego wydostać, trzeba było przejść następnie przez palisadę o wysokości piętnastu stóp — ale nawet po dokonaniu tego czekało zbiega pewne schwytnie gdzieś na wyspie.

— Idziemy — rzekł oficer żandarmerii. Ze swoją strażą i ludźmi dzierzącymi psy pokłusował do więzienia na terenie stoczni i tam wszyscy zsiadli z koni. Wprowadzili psy do aresztu, gdzie miały one pewnie obwąchać posłanie więźnia. Potem psy pojawiły się z powrotem we drzwiach, z nosami przy ziemi, obwąchując grunt pod dziurą w dachu. Błyskawicznie pochwyciły zapach i zaczęły rwać się na smyczach tak, że kolorowi służący mieli trudności z dosiadaniami koni, a potem pognały przez teren stoczni. Rzuciły się na palisadę, skacząc na nią i śliniąc się z podniecenia.

— Przeprowadźcie je na tę stronę! — krzyknął gubernator i zwracając się do Hornblowera, dodał: — Ten pański człowiek jest z piechoty morskiej, nieprawdaż? Nawet marynarz miałby trudności z wdrapaniem się na tę palisadę.

Hudnutt mógł dokonać tego w nastroju egzaltacji, pomyślał Hornblower — ci marzyciele czasem zachowują się jak szaleńcy.

Ogary wyprowadzono przez bramę stoczni i doprowadzono do odpowiedniego punktu po zewnętrznej stronie palisady. Błyskawicznie znów zwęszyły trop i szarpiąc się na smyczach popędziły naprzód.

— W drogę! — wykrzyknął gubernator, ostrogami poganiając konia do biegu ich śladem.

A więc Hudnutt wdrapał się na tę piętnastostopową palisadę. Musiał być szalony. Cała kawalkada popędziła naprzód. Woźnica poganiał konie ciągnące powóz tak szybko, jak na to pozwalała ich powaga i nierówności drogi. Powóz trząsał się i podskakiwał to rzucając Hornblowera na siedzącego obok Gerarda, to znowu na Spendlove'a naprzeciwko. Jechali prosto drogą ku otwartej przestrzeni z Górami Błękitnymi w oddali. Galopujący przodem jeźdźcy przeszli w kłus, a woźnica poszedł ich śladem, tak że powóz posuwał się teraz spokojniej.

— Całkiem świeży ślad, milordzie — zauważył Gerard popatrując na ogary wciąż biegnące na naprężonych smyczach.

— A jednak musiał tu być spory ruch od czasu, gdy on nią przechodził — rzucił Spendlove.

— Ach! — zawołał Gerard, wciąż śledząc psy przed nimi — Schodzą z drogi.

Gdy powóz dojechał do zakrętu, ujrzeli, że jeźdźcy skręcili w szeroką ścieżkę przez plantację trzciny cukrowej. Woźnica, wcale tym nie zrażony, skierował powóz za nimi, ale po dwóch milach szybkiej jazdy zatrzymał konie.

— Sprawdzamy tu, Hornblower — wyjaśniał gubernator.

— Ta ścieżka przechodzi tutaj na drugą stronę rzeki Hope.

Kawalkada, przystanąwszy, dawała oddech koniom. Barbara pomachała do niego dłonią w rękawicze.

— Nie ma śladu po drugiej stronie — rzekł gubernator, a potem rzucił do ludzi z psami gończymi: — Sprawdźcie w dół i w górę rzeki. I po obu brzegach.

Oficer żandarmerii zasalutował przyjmując rozkaz.

— Pański człowiek wiedział, że będziemy gonić go z psami — zauważył gubernator. — Szedł w bród rzeką. Ale musi wyjść z niej wcześniej czy później i znowu złapiemy trop.

Barbara podprowadziła swego konia do powozu i odchyliła woal, żeby zamienić z mężem kilka słów.

— Dzień dobry, kochanie — rzekła.

— Dzień dobry — odpowiedział Hornblower.

Trudno było mówić coś więcej w obliczu wypadków ostatniej godziny czy dwóch i wszystkich ich implikacji. A Barbara prawie się nie zarumieniła od upału i wysiłku. Miała wygląd mizerny i zmęczony, jej uśmiech był wyraźnie blady. Hornblower pomyślał, że w tym polowaniu uczestniczy ona równie niechętnie jak on. Może też pozwoliła sobie na zbytne angażowanie się w przeprowadzkę z Domu Admiralicji do Domu Rządowego, dokonaną tego ranka. Po kobiecemu nie była w stanie dopuścić, by to zadanie zostało wykonane przez ludzi z Marynarki Wojennej bez jej nadzoru, mimo że Marynarka dokonywała podobnych przeprowadzek setki tysięcy razy. Próbowwała kierować wszystkim i w rezultacie była zmęczona.

— Chodź i usiądź w powozie, skarbie — zaproponował. — Gerard zajmie się twoim koniem.

— Pan Gerard ma na nogach jedwabne pończochy, takie same jak ty, mój drogi — odparła Barbara, uśmiechając się poprzez zmęczenie — a poza tym zbyt szanuję jego powagę, żeby go sadzać na damskim siodle.

— Lady Hornblower, mój stajenny poprowadzi pani konia — wtrącił gubernator. — Wygląda, że to polowanie marnie się skończy.

Hornblower wygramolił się z powozu, żeby pomóc Barbarze przy zsiadaniu z damskiego siodła i wchodzeniu do powozu. Gerard i Spendlove, którzy wysiedli za nim, wrócili po chwili wahania i usiedli plecami do koni.

— Do tego czasu ogary powinny były coś wyczuć — rzekł gubernator. Cztery psy przebadały już oba brzegi w obu kierunkach na znacznym odcinku. — Czy mógł wdrapać się na drzewo?

Hornblower wiedział, że człowiek może być przebieglejszy od lisa. Lecz ten aspekt natury Hudnutta był dla niego niespodziewany.

— Ekscelencjo, ani śladu tropu — zameldował oficer żandarmerii, podjeżdżając kłusem. — Nic w ogóle.

— No trudno, wobec tego wracamy do domu. Rozrywka okazała się marna. Pojedziemy przodem, Lady Hornblower, jeśli pani pozwoli.

— Do zobaczenia w domu, droga Lady Hornblower — zawtórowała jak echo Lady Hooper.

Powóz znów zawrócił i jechał ścieżką za jeźdźcami.

— Obawiam się, kochanie, że miałeś pracowity ranek — odezwał się Hornblower. Ludzie z jego personelu siedzieli naprzeciwko, musiał więc zachować pewną oficjalność tonu.

— Wcale nie — odparła Barbara zwracając ku niemu głowę, żeby napotkać jego spojrzenie. — Bardzo miły ranek, skarbie, dziękuję. A ty — mam nadzieję, że twoja uroczystość poszła gładko?

— Dziękuję, dosyć. Ransome... — szybko zrezygnował z tego, co zamierzał powiedzieć. Nie mógł przy swych podwładnych powiedzieć o Ransome'ie tego, co powiedziała by samej tylko Barbarze.

Konie ciągnące powóz biegły klusem i w upale rozmowa nie kleiła się. Sporo czasu upłynęło, zanim minęli bramę Domu Rządowego, gdzie musiał odsalutować straży, i zatrzymali się przed wejściem. Czekali na nich adiutanci, lokaje i pokojówki, lecz Barbara wcześniej załatwiła przeprowadzkę i w ogromnej, przepaścistej sypialni i gotowni, przeznaczonej dla ważnych gości, rzeczy Hornblowera i jej były już ułożone.

— Nareszcie sarni — uśmiechnęła się Barbara. — Teraz możemy cieszyć się na zobaczenie Smallbridge.

Tak też było. To był początek jednego z tych okresów przejściowych, które Hornblower znał tak dobrze, jak zna je każdy marynarz, dziwne dni czy tygodnie między jednym życiem a drugim. Przestał być głównodowodzącym, teraz musi przetrwać do czasu, aż będzie przynajmniej panem we własnym domu. W tej chwili czuł pilną potrzebę kąpieli, koszula pod ciężkim płaszczem mundurowym przylgnęła mu do żeber. Może już nigdy, nigdy, do końca życia, nie będzie się kąpał gdzieś w morzu pod wodą z pompy do zmywania pokładu, owiewany przez pasat. Z drugiej strony, przynajmniej do końca pobytu na Jamajce, nie będzie musiał nosić munduru.

Pod wieczór tego samego dnia Barbara zwróciła się do niego z prośbą:

— Skarbie, czy będziesz łaskaw dać mi trochę pieniędzy?

— Oczywiście — odparł Hornblower.

Odczuwał w tych sprawach pewną drażliwość, z której większość mężczyzn by się śmiała. Barbara wniosła do ich związku sporo pieniędzy, które, oczywiście, były teraz jego własnością, i miał absurdalne poczucie winy, że ona musi prosić go o nie. To poczucie winy było, rzecz jasna, absolutnie śmieszne. Nie było przyjęte, żeby kobiety w jakikolwiek sposób dysponowały pieniędzmi, poza drobnymi sumami na gospodarstwo domowe. Nie mogły ze skutkiem prawnym podpisywać czeków, nie mogły zawierać żadnych transakcji handlowych, co było rzeczą absolutnie właściwą i słuszną, jeśli się zważy ich brak zdolności. Może z wyjątkiem Barbary. Do męża należało trzymanie ręki na całych pieniądzach i wydzielanie, pod nadzorem, tyle, ile potrzeba.

— Ile byś chciała, moja droga? — zapytał.

— Dwieście funtów — odpowiedziała.

Dwieście funtów? Dwieście funtów! To całkiem inna sprawa. To jest fortuna. Na co, u licha, potrzeba Barbarze dwustu funtów tu, na Jamajce? Na całej wyspie nie ma pewnie ani jednej sukni czy pary rękawiczek, które chciałyby kupić. Może kilka pamiątek. Najbardziej wymyślny komplet umywalniany z szyldkretu nie kosztuje na Jamajce pięciu funtów. Dwieście funtów? Jest kilka pokojówek, którym będzie chciała dać napiwki na odjeźdny, ale wystarczy po pięć szylingów, najwyżej pół gwinei.

— Dwieście funtów? teraz powtórzył to na głos.

— Tak, kochany, jeśli jesteś tak dobry.

— Oczywiście do mnie będzie należało rozdanie napiwków lokajowi i stajennym — rzekł — wciąż starając się znaleźć powody, dla których uważała, że potrzebna jej ta ogromna suma.

— Tak, niewątpliwie, mój drogi — odparła Barbara cierpliwie. — Ale mnie pieniądze są potrzebne na inne cele.

— Lecz to masa pieniędzy.

— Mimo to sądzę, że stać nas na to. Proszę, skarbie...

— Oczywiście, oczywiście — odparł spieszenie Hornblower. Nie mógł znieść, że Barbara musi go prosić. Wszystko, co ma, należy do niej. Zawsze sprawiało mu przyjemność uprzedzać jej życzenia, spełniać z wyprzedzeniem każdą prośbę, żeby nigdy nie musiała jej wypowiadać. Było mu wstyd, że Barbara, ta cudowna Barbara, musi zniżać się do tego, żeby prosić jego, niegodnego, o zrobienie czegoś dla niej.

— Wypiszę zlecenie na Summersa — ciągnął. — Jest agentem Couttsa w Kingston.

— Dziękuję ci, kochany — odparła Barbara. Jednakże wręczając zlecenie nie potrafił się powstrzymać, żeby nie dodać:

— Będiesz uważać, kochana, prawda? Dwieście funtów, w banknotach czy w złocie...

Te wyrażające niepokój słowa przeszły w bezładne mruczenie. Nie chciał się wtrącać. Nie chciał sprawować nad Barbarą władzy jakby ojcowskiej, jaką zarówno prawo, jak i zwyczaj dawały mężowi nad żoną. A potem przyszło mu do głowy możliwe wyjaśnienie. Lady Hooper grała namiętnie i dobrze w karty. Pewnie Barbara przegrała sporo do niej. A w takim wypadku nie musi się martwić. Barbara też gra dobrze. W sposób zrównoważony i beznamiętny. Odegra się. W każdym razie nie jest hazardzistką. Może w drodze powrotnej rozegrają kilka partyjek pikiety — jeśli w ogóle można coś zarzucić Barbarze, to jej skłonność do zrzucania się trochę bezmyślnie z kart przy niższych rozgrywkach, więc będzie mógł jej dać kilka dyskretnych rad. Znajdował też jakąś prostacką, połączoną z czułością przyjemność w myśli o Barbarze nie chcącej przyznać się przed stale wygrywającym mężem, że sama zgrała się w karty. Głębokiemu szacunkowi, jaki żywił do niej, towarzyszyła (jak smakowi steku wołowego może towarzyszyć smak musztardy) świadomość, że z tym wszystkim jest ona bardzo ludzka. Hornblower wiedział, że nie może być miłości bez szacunku — ale też i bez odrobiny poczucia humoru.

— Jesteś najukochańszym człowiekiem na świecie — powiedziała Barbara, a on uświadomił sobie, że jej oczy były utkwione w jego twarzy przez kilka ostatnich sekund.

— Jestem ogromnie szczęśliwy, że to słyszę — odparł ze szczerością, w którą nikt nie mógł wątpić. A potem oboje przypomnieli sobie, że w tym domu są już tylko gośćmi, i to przytłumiło intensywność ich uczuć.

— Staniemy się najbardziej niepopularnymi osobami na Jamajce, jeśli przez nas ich

ekscelencje będą musiały czekać z obiadem — rzekł Hornblower.

Są teraz tylko gośćmi, zwyczajnymi, czasowymi rezydentami. Ich obecność jest ledwie tolerowana przez ludzi, którzy dalej muszą wieść urzędniczy żywot. O tym myślał Hornblower podczas obiadu, gdy nowy głównodowodzący zasiadł na honorowym miejscu. Pomyślał o generale bizantyjskim[28], oślepionym i pozbawionym łask, żebrzącym na rynku, i omal nie powiedział: „Dajcie grosik Belizariuszowi”, gdy gubernator odwrócił się, żeby go wciągnąć do rozmowy.

— Nie złapano dotąd pańskiego człowieka z piechoty morskiej — rzekł Hooper.

— Już nie mojego, sir — zaśmiał się Hornblower — teraz to żołnierz piechoty morskiej admirała Ransome'a.

— Rozumiem, że nie ma wątpliwości, iż z o s t a n i e schwytany — odezwał się Ransome.

— Nie straciliśmy ani jednego dezertera przez cały okres mego tutaj pobytu — zauważył Hooper.

— To bardzo uspokajające — zauważył Ransome.

Hornblower rzucił ukradkiem przez stół spojrzenie na Barbarę. Jadła obiad z pozornym spokojem, ale bał się, że to przypomnienie zepsuje jej humor, gdyż wiedział, jak bardzo się przejęła losem Hudnutta. Kobieta ma zwyczaj uważać, że w sprawach ją obchodzących to co nieuniknione nie powinno być nieuniknione. Sposób, w jaki Barbara opanowywała swoje uczucia, stanowił jeszcze jeden powód do podziwu.

Lady Hooper zmieniła temat i rozmowa stała się ogólna i wesoła. Hornblower zaczął naprawdę dobrze się bawić, lekkomyślnie rad, że za nic nie odpowiada. Na jego ramionach nie ciążyły troski. Wkrótce — z chwilą gdy statek pocztowy będzie gotów do odpłynięcia — znajdzie się w drodze do Anglii, a potem osiadzie sobie w Smallbridge, podczas gdy ci ludzie tutaj będą dalej borykać się z niewdzięcznymi problemami w tropikalnym upale. Nic tu nie miało już dla niego znaczenia. Jeśli Barbara jest szczęśliwa, to on absolutnie nie ma o co się martwić, a Barbara wyglądała na szczęśliwą, gdy gawędziła z sąsiadami po obu stronach.

Przyjemnie też było myśleć, że nie będzie większego picia, gdyż po obiedzie miało się odbyć przyjęcie na cześć nowego głównodowodzącego, na które zostali zaproszeni ci wszyscy ludzie z towarzystwa na wyspie, którzy nie uczestniczyli w obiedzie. Złapał się na tym, że patrzy na życie nowymi oczyma i że je właściwie aprobuje.

Po obiedzie, gdy panowie i panie znowu spotkali się w salonie i gdy zaanonsowano pierwszych nowych gości, udało mu się zamienić kilka słów z Barbarą i stwierdzić, że czuje się zadowolona i nie jest zbyt zmęczona. Miała promienny uśmiech i błyszczące oczy. W końcu musiał się od niej odwrócić, żeby wymienić uścisk dłoni z panem Houghem, który przybył właśnie wraz z małżonką. Dalsi goście napływali strumieniem. Nagły przyływ granatu, złota i bieli zaznaczył przybycie Colemana, dowódcy „Trytona”, i dwóch jego poruczników. Ransome przedstawił

osobiście Colemana Barbarze i Hornblower mimo woli usłyszał rozmowę tuż za jego plecami.

— Kapitan Coleman to mój dawny przyjaciel — mówiła Barbara. — Nazywał się pan wówczas Perfecto Coleman, nieprawdaż, kapitanie?

— A pani, madam, była Lady Leighton.

Całkiem nieszkodliwa uwaga, ale wystarczyła, żeby zburzyć kruche szczęście Hornblowera, przyciemnić jasno oświetloną salę i sprawić, że towarzyska paplanina zabrzmiała w jego uszach jak łoskot burzy. Poprzez jej zgiełk słowa Barbary przebiły się ostro, niby nuta gwizdka.

— Kapitan Coleman był oficerem flagowym mojego pierwszego małżonka — wyjaśniła Barbara.

Miała pierwszego małżonka, była Lady Leighton. Hornblowerowi prawie zawsze udawało się zapominać o tym. Kontradmirał Sir Percy Leighton zginął za kraj z ran otrzymanych w bitwie w zatoce Rosas całe trzynaście lat temu. Ale Barbara była żoną Leightona, wdową po Leightonie. Była żoną Leightona, zanim stała się małżonką Hornblowera. Hornblower bardzo rzadko myślał o tym, lecz gdy pomyślał, zawsze odczuwał zazdrość, która, zdawał sobie sprawę, była szaleńcza. Każde przypomnienie nie tylko budziło ją ponownie, lecz przynosiło mu z bolesną jasnością wspomnienia rozpacz, zawiści, gorzkich drwin z siebie w owych dniach. Czuł się wówczas głęboko nieszczęśliwy, a to sprawiło, że i dziś jest tym samym co wtedy bardzo nieszczęśliwym mężczyzną. Nie był już znanym, kończącym świetny okres służby żeglarzem, lecz przegranym kochankiem, lekceważonym nawet przez własne, godne pogardy ja. Znow doznał całej męki bezgranicznego, a nie zaspokojonego pożądanego, które zmieszało się z uczuciami zazdrości, jakich doznawał w tej chwili.

Hough czekał odpowiedzi na uczynioną przez siebie uwagę. Hornblower zmusił się, żeby wymyślić jakieś lekkie zdanie, które niechby nawet i nie pasowało do okoliczności. Hough odszedł, a Hornblower stwierdził, że znow mimo woli patrzy na Barbarę. Miała dla niego w pogotowiu uśmiech, więc musiał się jej odwzajemnić, ale wiedział, że jego uśmiech jest odpychający, krzywy, ponury, jak wyszczerzone zęby w twarzy trupa. Zauważył, że na jej twarzy odmalowało się zmartwienie, wiedział, jak błyskawicznie wyczuwała jego nastroje, a to jeszcze bardziej pogarszało sprawę. Była kobietą bez serca, mówiącą o swoim pierwszym mężu — a o jego zazdrości nie tylko nie wiedziała, lecz nawet nie podejrzewała jej istnienia. Czuł się jak człowiek, który z twardej ziemi zszedł nagle w grząskie bagno niepewności.

Do sali wszedł kapitan Knyvett, prostoduszny, o siwej głowie, odziany w granatowy garnitur z bezpretensjonalnymi mosiężnymi guzikami. Patrząc na zbliżającego się, Hornblower z trudem przypominał sobie, że to dowódca statku pocztowego Jamajki.

— Odpływamy od dziś za tydzień, milordzie — oznajmił. — Jutro wydamy zawiadomienie o przyjmowaniu poczty.

— Świetnie — odparł Hornblower.

— Z tego wszystkiego widzę — ciągnął Knyvett, gestem zaznaczając obecność Ransome'a —

że będę miał przyjemność towarzystwa waszej lordowskiej wysokości i jej lordowskiej wysokości.

— Tak, tak, istotnie — potwierdził Hornblower.

— Będą państwo moimi jedynymi pasażerami — dodał Knyvett.

— Świetnie — powtórzył Hornblower.

— Mam nadzieję, że wasza lordowska wysokość uzna „Pretty Jane”[29] za statek dobrze wyposażony i wygodny.

— I ja również — odrzekł Hornblower.

— Jej lordowska wysokość zna oczywiście pokładówkę, która będzie pomieszczeniem państwa. Spytałem ją, milordzie, czy mogłaby doradzić dodanie czegoś, co zwiększy wygodę państwa.

— Doskonale.

Knyvett oddryfował po tym chłodnym przyjęciu i dopiero wówczas Hornblower uzmysłowił sobie, że musiał sprawić na nim wrażenie wyniosłego para, ledwie zdobywającego się na prostą uprzejmość w stosunku do zwykłego dowódcy statku pocztowego. Pożałował swego zachowania i znowu desperacko próbował zapanować nad sobą. Spojrzawszy na Barbarę stwierdził, że prowadzi ożywioną pogawędkę z młodym Bonnerem, właścicielem łodzi rybackich, kupcem o mętnej reputacji, handlującym czym się da, przed którym już ją ostrzegał. To by mogło pogłębić jego niedolę, gdyby było możliwe.

Jeszcze raz zrobił wysiłek, żeby się opanować. Wiedział, że w tej chwili jego twarz jest zimna, zastygła i obojętna, więc błędząc w tłumie próbował nadać jej przyjemny wyraz.

— Czy da się pan skusić, Lordzie Hornblower? — spytała starsza dama stojąca przy stoliku karcianym w alkowie. Hornblower przypomniał sobie, że ona dobrze gra w wista.

— Oczywiście, z przyjemnością — odparł z przymusem.

Miał teraz o czym myśleć. Przez pierwsze kilka partii trudno mu się było skoncentrować, tym bardziej, że hałas czyniony przez orkiestrę potęgował zgiełk towarzyszący przyjęciu, lecz dawne nawyki wróciły, gdy przyszła jego kolej rozdania pięćdziesięciu dwóch kart. Siłą woli przekształcił się w myślącą maszynę, grając chłodno i poprawnie, a potem gdy rober wydawał się przegrany, coś poniosło go mimo woli. Następną partia pozwoliła mu zabłysnąć dzięki przydaniu grze, dotychczas mechanicznej, cech ludzkich, elastyczności, niemożliwej do przewidzenia przebiegłości, cech określających różnicę między graczem drugorzędnym a pierwszorzędnym. Po czwartym zagranu już się dobrze orientował w kartach partnerów. Pewna specjalna zagrywka mogła mu umożliwić wyjaśnienie sytuacji, zabranie wszystkich lew i wygranie robra. Przy grze według utartych zasad partia skończyłaby się tym, że weźmie tylko dwanaście lew i rober będzie dalej wątpliwy. Warto było spróbować — teraz lub wcale. Bez wahania położył damę kier na asa, którym jego partner musiał wyjść. Wziął następną lewę i wówczas zapanował nad sytuacją, zabrał atuty, wyszedł w swój pewny kolor i patrzył z satysfakcją, jak jego przeciwnicy zrzucają najpierw

waleta, a potem króla kier, a w końcu wyszedł w trójkę kier, zabierając ostatnią lewę, ku konsternacji przeciwników.

— Ależ to wielki szlem — powiedziała ze zdumieniem starsza pani, która była jego partnerką. — Nie rozumiem... nie mam pojęcia, jak... wygraliśmy ostatecznie tego robra!

Był to dobry kawałek roboty, uzasadniający wewnętrzne uczucie, że czegoś dokonał. Była to partia, którą w przyszłości będzie mógł rozgrywać w myślach, układając się do snu. Gdy gra w karty dobiegła końca i goście zaczęli się rozchodzić, udało mu się, już z bardziej naturalnym wyrazem twarzy, pochwycić wzrok Barbary, a ona z westchnieniem ulgi mogła sobie powiedzieć, że jej mężowi mija jeden z tych jego kapryśnych nastrojów.

I dobrze, że tak było, gdyż następne kilka dni miały być trudne. Nie zostało mu prawie nic do roboty w czasie, gdy „Pretty Jane” przygotowywała się do wyjścia w morze. Niby bezradny widz musiał stać z boku i patrzeć, jak Ransome przejmuje dowództwo, które on sprawował przez trzy lata. Trudna będzie pewnie kwestia hiszpańska w obliczu francuskiej inwazji na Hiszpanię w celu przywrócenia Ferdynanda VII na tron, jest też kwestia meksykańska i sprawa wenezuelska. Nie potrafił nie złościć się na myśl, że Ransome może nieumiejętnie je rozgrywać. Z drugiej strony skromną pociechą był fakt, że Hudnuttowi, jak dotąd, udawało się uniknąć schwytania. Hornblower naprawdę się bał, że gdyby chłopak został zaarrestowany i osądzony jeszcze podczas ich pobytu na wyspie, Barbara mogłaby się w to wmieszać osobiście, apelując do Ransome'a czy nawet do gubernatora. Barbara, jak się wydawało, zapomniała o całej sprawie bardziej niż Hornblower, który wciąż ją silnie przeżywał i bardzo się denerwował, że absolutnie nie jest w stanie wywrzeć najmniejszego wpływu na jej przebieg. Trudno było zająć tu filozoficzne stanowisko, powiedzieć sobie, że nikt, nawet on, Hornblower, nie może powstrzymać działania nieubłaganej maszyny przepisów Regulaminu Służby Królewskiej Marynarki Wojennej. A Hudnutt jest zdolniejszy, niż to sobie wyobrażał, skoro potrafił już przez tydzień unikać schwytania — chyba że nie żyje. To byłoby zresztą dla niego najlepszym wyjściem.

Kapitan Knyvett przybył osobiście z wiadomością, że „Pretty Jane” jest prawie gotowa do drogi.

— Bierzemy właśnie na pokład resztę ładunku, milordzie — oznajmił. — Drewno kamieszowe już załadowane, a włókno kokosowe czeka na nabrzeżu. Jeśli wasza lordowska wysokość i jej lordowska wysokość przybędą dziś wieczorem na statek, odpłyniemy o świcie z bryzą od lądu.

— Dziękuję, kapitanie. Bardzo jestem panu zobowiązany — odrzekł Hornblower, starając się nie przesadzić w odrabianiu chłodu okazanego Knyvettowi na przyjęciu u gubernatora.

„Pretty Jane” była brygiem gładkopokładowym, z tym że na śródokręciu miała małą, lecz solidną pokładówkę dla pasażerów. Barbara zajmowała ją przez pięć tygodni w drodze z kraju. Teraz weszli tam razem wśród rozgwaru panującego na statku szykującym się do drogi powrotnej.

— Spoglądałam, kochany, na tę drugą koję — powiedziała do Hornblowera, gdy znaleźli się w pokładówce — i mówiłam sobie, że niedługo mój mąż będzie tam spał. Wydawało mi się to, skarbie, zbyt piękne, aby było możliwe.

Przerwał im hałas za drzwiami.

— Ta skrzynia, proszę pani? — spytał służący z Domu Rządowego wnoszący bagaż na pokład pod nadzorem Gerarda.

— Ta? Och, prosiłam już o to kapitana. Ma iść do między pokładu.

— Tak, proszę pani.

— Smakołyki w puszkach cynowych — wyjaśniła Barbara Hornblowerowi. — Wiozłam je ze sobą z kraju dla ciebie, żeby ci było przyjemnie w drodze do domu, skarbie.

— Jesteś za dobra dla mnie — odrzekł Hornblower.

Skrzynia tej wielkości i wagi przeszkadzałaby w pokładówce. W międzypokładzie jej zawartość będzie łatwo dostępna.

— Co to jest włókno kokosowe? — spytała Barbara patrząc, jak jedna z ostatnich bel wędruje w dół przez luk.

— Włochate łupiny orzechów kokosowych — wyjaśnił Hornblower.

— Po co, na Boga, wieziemy to do Anglii? — spytała Barbara.

— Są teraz maszyny, które potrafią to tkać. W Anglii robią już z tego maty kokosowe na metry.

— A drewno kampszowe?

— Wyciągają z niego barwnik. Jasnoczerwoną farbę.

— Jesteś, kochany, niezawodnym źródłem informacji — zaśmiała się Barbara — i wszystkiego innego w życiu dla mnie.

— Nadchodzą ich ekscelencje, milordzie — powiedział ostrzegawczo Gerard stając w drzwiach pokładówki.

Oznaczało to ostatnie pożegnania w dobiegającym końca wieczorze. Bolesna, smutna chwila. Dużo uścisków dłoni; pocałunki Lady Hooper w oba policzki Barbary; wciąż powtarzane słowo „żegnajcie”, przytłaczające swoją ostatecznością. Żegnajcie, przyjaciele i znajomi, żegnaj, Jamajko i stanowisko głównodowodzącego. Żegnaj, jedno życie, gdy o drugim nic jeszcze nie wiadomo. Pożegnać ostatnią niewyraźną postać znikającą w mroku nabrzeża i potem obrócić się ku stojącej przy nim Barbarze, niezmiennie wśród tych zmian.

O pierwszym brzasku następnego dnia znalazł się na pokładzie. Czuł się dziwnie niezręcznie, gdy, zmuszony trzymać się na boku, obserwował, jak Knyvett odcumowuje „Pretty Jane” od nabrzeża, żeby złapać bryzę lądową i wyjść z portu. Na szczęście Knyvett był ulepiony z twardej gliny i wcale mu nie przeszkadzało, że musi prowadzić statek pod okiem admirała. Bryza od lądu wypełniła

żagle, „Pretty Jane” nabierała prędkości. Pozdrowili Fort Augusta opuszczeniem bandery i wykładając ster na burtę wykonali zwrot, zostawiając rafy Drunken Cay i South Cay po lewej burcie przed wejściem w długi odcinek prowadzący na wschód. A Hornblower mógł odetchnąć i cieszyć się nową perspektywą spożywania śniadania z żoną na pokładzie.

Sam się zdziwił łatwością, z jaką przywykał do roli pasażera. Początkowo tak bardzo uważał, żeby się w nic, broń Boże, nie wtrącać, że nawet nie śmiał spojrzeć na kompas, żeby zobaczyć, jakim płyną kursem. Zadowalał się tym, że siedzi z Barbarą na dwóch krzeselkach hamakowych w cieniu pokładówki — były tam ucha, o które można było zaczepić krzesła, aby nie ześlizgiwały się po pokładzie na zawietrzną przy przechyłach „Pretty Jane” — nie myśląc o niczym szczególnym, obserwując latające ryby, żłobiące bruzdy w powierzchni wody, i patrząc, jak mijają ich kępy żółtego sargasu, złociste na tle błękitu, a od czasu do czasu dostrzegając żółwia dzielnie wypływającego w morze daleko od lądu. Mógł obserwować, jak kapitan Knyvett i jego oficer nawigacyjny biorą w południe wysokość[30] i stwierdzić przy tym, że zupełnie go nie ciekawią otrzymane przez nich dane liczbowe — prawdę mówiąc bardziej interesowała go punktualność czasu posiłków. Żartowali sobie czasem z Barbarą, iż „Pretty Jane” tyle już razy przebyła tę trasę, że sama umiałaby dopłynąć do kraju, a umysł mu się tak rozleniwił, że ten żarcik wydawał mu się zabawny.

Były to właściwie pierwsze jego wakacje po trzech latach wytężonej pracy. Przez większą część tamtego okresu często bywał bardzo przemęczony, a zawsze zapracowany. Zanurzył się w próżnowanie, jak można zanurzyć się w ciepłą kąpiel, z tą różnicą, że wcale się nie spodziewał, iż znajdzie takie odprężenie i ulgę w tym lenistwie i (być może rzecz ważniejsza) w ustaniu odpowiedzialności. Nic nie miało znaczenia w czasie tych cudownych dni, gdy „Pretty Jane” posuwała się na północ. Najmniej ze wszystkich na statku interesował się tak palącą sprawą, jak czy wiatr się utrzyma i umożliwi jej obejście cypla Maysi po nawietrznej bez konieczności zmiany halsu, i wcale się nie przejął, gdy im się to nie udało. Z filozoficznym spokojem przetrwał długie halsowanie pod wiatr z powrotem w kierunku Haiti i uśmiechał się pobłażliwie słuchając małego wybuchu radości na pokładzie, gdy przy następnej zmianie halsu udało im się przejść przez Kanał Nawietrzny, tak że mogli już prawie uznać, iż wyszli z Karaibów. Uporczywe, choć przejściowe skręty pasatu ku północy nie pozwoliły im na próbę przejścia przez Caicos Passage i musieli popłynąć na wschód w stronę Silver Bank Passage. Caicos czy Silver Bank — czy nawet Turks Island albo Mouchoir — było mu wszystko jedno. Było mu wszystko jedno, czy przybędzie do rajy w sierpniu czy we wrześniu.

Ale jego instynkt tylko drzemał. Tego wieczora, kiedy znaleźli się naprawdę na Atlantyku, poczuł się niespokojny i zdenerwowany, po raz pierwszy od czasu opuszczenia Jamajki. Było coś ciężkiego w powietrzu i coś niezwykłego w martwej fali, mocno kołyszącej „Pretty Jane” na boki. Wichura przed nadejściem ranka, pomyślał. Rzecz raczej niezwykła pod tą szerokością geograficzną i o tej porze roku, ale nic, doprawdy, czym by się należało niepokoić. Nie powiedział Barbarze o swoich spostrzeżeniach, żeby jej nie martwić, lecz w nocy budził się kilkakrotnie, by stwierdzić, że statek mocno się kiwa. Gdy wywołano wachtę, zauważył, że cała załoga została zatrzymana na pokładzie do zwijania górnych żagli i poczuł pokusę, żeby wyjść i zobaczyć, co się dzieje. Hałas na zewnątrz obudził Barbarę.

— Co to? — zapytała sennie.

— To tylko blindklapy[31] — odparł.

Ktoś zamknął osłony iluminatorów pokładówki i zaśrubował je — Knyvett musiał spodziewać się zalewania statku wielką falą. Barbara zasnęła i Hornblower też poszedł w jej ślady, lecz po pół godzinie znowu się obudził. Wichura nie ustawała i statek ciężko pracował na rozhuśtanym morzu, tak że wszystko w nim stękało i trzeszczało. Hornblower leżał w ciemności, czując, jak „Pretty Jane” podnosi się pod nim, opada i przechyla na burty, słysząc i odczuwając drzenie naprężonego takielunku stałego, przekazywanego poprzez pokład na koję. Miał chęć wyjść i popatrzeć na pogodę, ale bał się, że zbudzi Barbarę.

— Nie śpisz, kochany? — dobiegł go cichy głos z drugiej strony pokładówki.

— Nie — odrzekł.

— Wygląda na to, że morze się rozfalowało.

— Trochę — odparł. — Nie ma się czym przejmować. Śpij dalej, skarbie.

Teraz nie mógł wyjść, bo Barbara nie spała i zauważyłaby to. Zmusił się, żeby leżeć spokojnie. W pokładówce z zamkniętymi osłonami przeciwburzowymi było bardzo ciemno i mimo wichury bardzo gorąco, może wskutek ustania wentylacji. „Pretty Jane” skakała na fali jak szalona, od czasu do czasu przechylając się na burtę tak mocno, że Hornblower bał się, że Barbara wypadnie z koi. A potem poczuł zmianę w zachowaniu się statku, różnicę w ogłuszającym skrzypieniu wypełniającym ciemność. Knyvett postawił „Pretty Jane” w dryf. Nie przechylała się już na burty, lecz zamiast, jak przedtem, kołysać się poprzecznie, kiwała się wściekle z dziobu na rufę, co wskazywało, że fala jest naprawdę wysoka. Bardzo chciał wyjść i zobaczyć to na własne oczy. Nie miał nawet pojęcia, która godzina — było za ciemno, żeby spojrzeć na zegarek. Na myśl, że może już być świt, nie potrafił powstrzymać się dłużej.

— Nie śpisz, kochanie? — spytał.

— Nie — odparła Barbara.

Nie dodała: „jak można w ogóle spać przy takim hałasie”, gdyż wyznawała zasadę, że nikt dobrze wychowany nie powinien narzekać na to, czego nie potrafi czy nie chce zmienić na lepsze.

— Kochanie, wyjdę na pokład, jeśli nie masz nic przeciwko temu, że cię zostawię — powiedział.

— Ależ oczywiście, idź, mój drogi, jeśli chcesz — odparła nie dodając, że sama też chciałaby móc wyjść z nim.

Hornblower sięgnął po omacku po spodnie i buty i pomagając sobie rękami doszedł do drzwi. Długie doświadczenie kazało mu trzymać się mocno przy ich otwieraniu, ale mimo to zaskoczyła go siła wiatru szalejącego na zewnątrz. Dał się mocno odczuć, chociaż teraz, gdy „Pretty Jane” stała w dryfie, drzwi od strony rufowej znajdowały się po zawietrznej pokładówki. Przesząpił przez próg i jakoś je zatrzasnął. Wiatr był straszliwy, lecz co dziwniejsza, bardzo ciepły. Hornblower miał

wrażenie, że wyjąca wokół niego wichura ma temperaturę pieca do wypalania cegieł. Starał się utrzymywać równowagę na kołyszącym się pokładzie w upalnej, huczącej zgiełkiem ciemności. Oceniał, ile czasu będzie potrzebował na przejście do steru i wychodząc spoza osłony pokładówki był już przygotowany na silniejsze uderzenie wiatru. Fruwające bryzgi wody zmoczyły go i zmieniły jego zdanie o wysokiej temperaturze powietrza — wszystko to zdążył sobie uświadomić w drodze do steru. W ciemnościach majaczyły tam jakieś postacie, czyjaś ręka w białym rękawie machnęła ku niemu, dając znać, że zauważono jego obecność, to znaczy że jest tu Knyvett. Hornblower spojrział na kompas. Potrzebował dużego wysiłku, żeby zebrać myśli i wyciągnąć prawidłowe wnioski z tego, co wskazywała tańcząca igła. Wiał bardzo silny wiatr z kierunku na zachód od północy. Rozejrzawszy się w ciemnościach zorientował się, że bryg sztormuje pod grotsztakslem, z którego widać było tylko róg. Knyvett krzyczał mu do ucha.

— Huragan!

— Na to wygląda — odkrzyknął Hornblower. — Będzie jeszcze gorzej, zanim przyjdzie zmiana na lepsze!

Huragan nie powinien się pojawić o tej porze roku, dobre dwa miesiące przed okresem, kiedy go oczekiwano, lecz ten gorący powiew, oznaki z wczorajszego wieczora, obecny kierunek wiatru, wszystko wydawało się potwierdzać, że to właśnie huragan. Pozostawało czekać na stwierdzenie, czy są na samej jego drodze, czy tylko na skraju. „Pretty Jane” zatrzęsa się i kiwnęła jak pijana, gdy masa wody pobłyskująca bielą, nieledwie fosforyzująca, wlawszy się przez dziób, poleciała przez nich w kierunku rufy. Hornblower uczeplił się czegoś kurczowo, gdy przelatująca po nim fala załapała go do pasa — przykre ostrzeżenie przed tym, co może jeszcze nadejść. Znaleźli się w wielkim niebezpieczeństwie. „Pretty Jane” może nie wytrzymać czekających ją uderzeń dziobem o fale, a w każdym razie przy obecnym znacznym znosie mogą zostać rzućni na brzeg San Domingo czy w okolicy Puerto Rico albo na jakąś rafę koralową po drodze i ulec całkowitemu zniszczeniu. Wiatr parł na nich z wyciem, a pod połączoną siłą jego uderzeń i naporu fal „Pretty Jane” przechylała się coraz bardziej, aż pokład pod Hornblowerem, trzymającym się czegoś desperacko i daremnie szukającym oparcia dla stóp, stanął prawie dęba. Fala rozbiwszy się o odsłonięte dno przeleciała nad statkiem, zalewając ludzi kaskadami wody. Statek wracał powoli do równowagi po tym uderzeniu. Żaden statek nie wytrzyma przez dłuższy czas takich ataków. Tępy odgłos uderzenia, a za nim seria przeraźliwych dźwięków zwróciła uwagę Hornblowera na grotsztaksel akurat w chwili, gdy wyrwał się z sejzingów i rozpadł na długie strzępy, które jeszcze przez chwilę łopotwały strzelając jak bicze. Na sztagu pozostał tylko jeden strzęp, trzaskający niby grom na wietrze, ledwie będący w stanie utrzymać „Pretty Jane” prawą stroną dziobu przeciw fali.

Nadchodził świt. Stali w żółtej poświacie pod niebem nisko wiszącym nad głowami. Spojrzawszy na maszty, Hornblower dostrzegł, że na grotrei pojawiło się wybrzuszenie, potem pęcherz, który szybko rozpadł się na strzępy. Wiatr wyrwał żagiel z sejzingów. Proces ten posuwał się wzdłuż rei, wiatr stalowymi palcami wbijał się w gruby zwój żagla, rozluźniając go, rozwijając i rwąc na pasma, by potem odrywając jedno po drugim porwać je w kierunku zawietrznym. Trudno było uwierzyć, że wiatr może mieć taką siłę.

Trudno też było uwierzyć, że fale mogą być tak wysokie. Rzut oka na nie od razu wyjaśniał, czemu statek tańczy jak szalony. Ich potężne rozmiary budziły przerażenie. Jedna z nich, zbliżająca

się do dziobu od prawej burty, nie była wysoka jak góra — Hornblower sam używał wyrażenia „wysoka jak góra” i teraz, próbując ocenić jej wysokość, musiał przyznać przed sobą, że była to przesada — lecz wysokością dorównywała wyniosłej iglicy kościoła. Ta kolosalna masa wody pędziła prosto na nich z prędkością konia wyścigowego, a co najmniej szybko biegnącego człowieka. Fala uniosła dziób „Pretty Jane”, która przechyliła się nagle na burtę, a potem zaczęła unosić się coraz bardziej stromo w górę na niebotycznej fali. Wyżej... wyżej... wyżej... Gdy doszła do jej szczytu, wydało się, że stanęła całkiem pionowo, jakby czekał tam na nią koniec świata. Na grzbiecie fali wiatr, na chwilę przez nią zasłonięty, runął na stateczek ze zdwojoną siłą. „Pretty Jane” przechylała się coraz mocniej na burtę, a równocześnie jej rufa dźwigała się w górę na przechodzącym pod nią grzbiecie fali. W dół... w dół... w dół... z pokładem w prawie pionowej pozycji, z dziobem w dole i prawie pionowo na burtę, a gdy leciała w dół po zboczu wału wodnego, mniejsze fale czekały już, żeby rozbić się nad nią. Zalewany wodą do pasa, potem do piersi Hornblower poczuł, że jego nogi tracą oparcie i musiał uczepić się czegoś wszystkimi siłami, żeby się uratować.

Nadszedł cieśla okrętowy, starając się przekazać kapitanowi jakąś wiadomość — nie można było mówić zrozumiale na tym wietrze, więc podniósł dłoń z rozpostartymi palcami. Oznaczało to, że w ładowni jest pięć stóp wody. Ale cieśla powtórzył gest. Potem spróbował znowu. Palce rozwarte dwa razy — a więc dziesięć stóp wody. Aż trudno w to uwierzyć, ale tak było — ciężka oscylacja pionowa „Pretty Jane” wskazywała, że pełno w niej wody. Hornblower przypomniał sobie wtedy, jaki ma ładunek. Drewno kamieszowe i włókno kokosowe. Bale drewna kamieszowego z trudem unoszą się na powierzchni wody, natomiast włókno kokosowe to substancja znana z doskonałej pływalności. Wpadłe do morza orzechy kokosowe (co zdarzało się często, biorąc pod uwagę skłonność palm do rośnięcia na skraju wody) utrzymywały się na powierzchni tygodniami i miesiącami, niesione przez prądy, co dawało łatwe wyjaśnienie szerokiego rozpowszechnienia się palm kokosowych. To właśnie włókno kokosowe utrzymuje „Pretty Jane” na powierzchni wody, mimo że jest pełna wody. Będzie utrzymywało ją przez długi czas i pewnie przetrwa „Pretty Jane”. Statek rozleci się raczej na kawałki, niż zatonie, bo świetna pływalność włókna kokosowego nie pozwoli mu na to.

Mają więc przed sobą może jeszcze godzinę życia albo dwie. Może. Następna fala spadająca zieloną kaskadą po odwróconej w górę burcie „Pretty Jane” była ponurym ostrzeżeniem, że obecna sytuacja może nie potrwać nawet tak długo. A poprzez łoskot i ryk rozbijającej się o statek fali, trzymając się czegoś desperacko, słyszał inne odgłosy, twardsze i ostrzejsze, i czuł drżenie pokładu pod stopami. Pokładówka! Pod naciskiem wody podniosła się na sworzniach. Trudno oczekiwać, że wytrzyma długo te uderzenia fal, musi zostać zmyta, i to niedługo. A — wyobraźnia Hornblowera pracowała gorączkowo — zanim to nastąpi, wypełni się wodą przez popękane spojenia. Znajdująca się wewnątrz Barbara utonie, zanim ciężar wody zerwie pokładówkę ze sworzni. Fale zmiotą ją za burtę, wraz z ciałem utopionej Barbary. Uczepiony podstawy kompasu Hornblower przeżył chwile duchowej męki, najcięższe, jakich doznał kiedykolwiek w całym swoim życiu. Często mu się już zdarzało spoglądać śmierci w twarz, ważyć szansę i rzucać na szalę własne życie, lecz teraz szło o życie Barbary.

Pozostawienie jej w pokładówce oznaczało dla niej pewną i rychłą śmierć. Ale może jeszcze wyprowadzi ją na zalewany falami pokład. Tu, przywiązana do masztu, będzie żyć tak długo, jak

długo zdoła przetrzymać uderzenia fal i ataki wichury, może aż „Pretty Jane” rozpadnie się w drzazgi.

Jeśli idzie o niego samego, to nieraz toczył przegraną grę do gorzkiego końca. Teraz musi zebrać siły, żeby zrobić to samo dla Barbary. Podjął decyzję. Dla Barbary postanowił walczyć, jak długo się da. Zmuszając się wśród ogłupiającego wycia wiatru do logicznego myślenia, układał swój plan. Poczekał na stosunkowo spokojną chwilę, żeby odbyć niebezpieczną krótką drogę do podstawy grotmasztu. Tam zaczął działać w gorączkowym tempie. Dwa odcinki fału grotmarsła. Musiał trzymać głowę odsuniętą, żeby manipulując palcami nie zaplątać się. Potem przebycie dwóch niebezpiecznych odcinków drogi, najpierw do steru, a stamtąd do pokładówki. Szarpnięciem otworzył drzwi i z linkami w rękach z wysiłkiem przestąpił próg. W pokładówce było dwie stopy wody falującej w takt ruchów statku. Barbara była tam. Zobaczył ją w świetle padającym przez drzwi. Trzymała się, jak umiała, w swojej koi. — Najdroższa! — powiedział. W pokładówce można się było słyszeć mimo szalonego hałasu na zewnątrz.

— Jestem tu, kochany — odpowiedziała.

W tym momencie nowa fala runęła na „Pretty Jane”. Woda wtargnęła przez otwierające się szczy pokładówki i czuł, jak cała konstrukcja podnosi się na sworzniach. Przeżył moment szalonej trwogi na myśl, że może przybył za późno, że pokładówka zostanie zaraz zmieciona, z nimi w środku. Ale wytrzymała — napór wody, gdy „Pretty Jane” przechylała się na drugą burtę, rzucił Hornblowera na przeciwległą grodzie.

— Skarbie, muszę cię stąd zabrać — rzekł, starając się mówić opanowanym tonem. — Będziesz bezpieczniejsza przywiązana do grotmasztu.

— Oczywiście, jak sobie życzysz, mój drogi — odparła spokojnie Barbara.

— Obwiążę cię linami — dodał Hornblower.

Barbara zdążyła ubrać się pod jego nieobecność, w każdym razie miała na sobie jakąś suknię czy halkę. Hornblower obwiązał ją linami, podczas gdy statek kiwał się i kołysał pod ich stopami. Barbara trzymała ręce podniesione do góry, żeby ułatwić mu zadanie. Zawiązał liny na węzeł wokół talii, pod delikatnymi piersiami.

— Słuchaj uważnie — rzekł i powiedział jej, póki jeszcze znajdowali się w dość spokojnym pomieszczeniu pokładówki, co chce, żeby robiła, jak ma, wyzyskując szansę, przebiec do steru, a stamtąd do grotmasztu.

— Rozumiem, kochany — powiedziała Barbara. — Pocałuj mnie jeszcze raz, mój najukochańszy.

Ucałował ją pośpiesznie, dotykając wargami ociekającego wodą policzka. Było to ledwie muśnięcie. W podświadomości Hornblower uznał, że dla tego pocałunku Barbara wystawiała na ryzyko ich życie, dziesięć tysięcy pocałunków w przyszłości dla jednego natychmiast. Czyniąc tak, postępowała po kobiecemu, ale Hornblower nie rozumiał, jak można przekładać jeden nad dziesięć

tysięcy. A ona jeszcze zwlekała.

— Najdroższy, zawsze cię kochałam — powiedziała. Mówiła szybko, nie licząc się jednak, jak należało, z ceną czasu. — Przez całe życie nie kochałam nikogo oprócz ciebie. Miałam kiedyś innego męża. Nie mogłam tego powiedzieć przedtem, bo byłoby to niełojalnością. Ale teraz... wiedz, że nigdy nie kochałam nikogo oprócz ciebie. Nigdy. Tylko ciebie, kochany.

— Tak, skarbie — odparł Hornblower. Słyszał jej słowa, lecz w tej naglącej chwili nie mógł poświęcić im należnej uwagi. — Stań tu. Chwyć się tutaj. Trzymaj się!

Ale to tylko mniejsza fala przeleciała nad nimi.

— Czekaj na znak ode mnie! — krzyknął Barbarze do ucha i popędził do kompasu. Grupa ludzi trzymała się steru.

Przez moment rozglądał się wokół gorączkowo. Potem machnął ręką i Barbara zaczęła się posuwać po rozchybotanym pokładzie, w miarę jak on ciągnął za linę, którą była obwiązana. Zdążył jeszcze okręcić ją zluźniona teraz liną, zaciągnąć mocno pętlę i złapać się czegoś, zanim następny grzywacz runął na statek, przelewając się górą... dalej... dalej... na drugą stronę. Gdy „Pretty Jane” powoli wynurzała się spod niego, Hornblowerowi wydało się, że z grupy przy sterze ubyła co najmniej jedna osoba, ale nie było czasu myśleć o tym, gdyż czekało ich jeszcze przebycie odcinka do grotmasztu.

W końcu udało się. Było tam już czterech ludzi, lecz mógł jeszcze przywiązać możliwie mocno Barbarę, a potem siebie. „Pretty Jane” wciąż przewalała się na burty. Wkrótce potem olbrzymia fala zmiotła pokładówkę i połowę relingu — Hornblower patrzył na szczątki lecące za burtę zawietrzną. Ten okropny widok zapadł mu w pamięć. Miał rację zabierając stamtąd Barbarę.

Właśnie utrata pokładówki była tym, co zwróciło jego uwagę na zachowanie „Pretty Jane”. Leżała w dolinie fali nie ustawiając się dziobem do grzywaczy. Brak oporu stawianego dotąd wiatrowi przez pokładówkę na samej rufie sprawił, być może, że stało się to bardziej zauważalne. W rezultacie statek kiwał się potężnie i wykonywał głębokie, obłądne przechyły boczne, a fale zalewały go coraz silniej. Nie można było się spodziewać, że przetrwają długo — ani statek, ani nieszczęśliwcy na pokładzie — a wśród nich Barbara i on. „Pretty Jane” rozleci się niedługo na szczątki. Trzeba coś zrobić, żeby utrzymać ją dziobem do fali. W normalnych warunkach wystarczyłby kawałek płótna żaglowego postawionego na rufie, lecz jak widzieli, żadne płótno nie wytrzymałoby naporu takiego wiatru. W obecnych okolicznościach napór wiatru na fokmaszt i bukszpryt z ich stałym takielunkiem równoważył napór na grotmaszt, trzymając statek wystawiony burtą na wiatr i fale. Jeśli nie można postawić żagla na rufie, to trzeba zredukować opór przeciw wiatrowi na dziobie. Muszą zwalić fokmaszt. Wówczas napór na grotmaszt wykręci dziób do fali, zwiększając szansę statku na przetrwanie, a usunięcie masztu zmniejszy także przechyły boczne. Nie ma co do tego wątpliwości, trzeba natychmiast zwalić maszt.

Knyvett był na rufie, przywiązany do steru, w odległości nie więcej niż kilku stóp i decyzja należała do niego jako dowódcy statku. Gdy „Pretty Jane” przez moment stała z pokładem poziomo, a wody nie było na nim więcej niż po kostki, Hornblower skinął na niego. Wskazawszy na dziób, na

nawietrzne wanty fokmasztu, sądził, że dosyć jasno przekazał swoją myśl gestami, lecz nie było widać, że Knyvett go zrozumiał. W każdym razie nie zrobił żadnego ruchu, wskazującego, że chce działać zgodnie z tą sugestią. Patrzył tylko otępiałym wzrokiem, potem odwrócił głowę. Hornblower czuł przez chwilę wściekłość. Następny przechył boczny i zalanie pokładu wodą zadecydowały za niego. Można dać sobie spokój z dyscypliną na morzu w obliczu obojętności i niekompetencji.

Lecz inni przy grotmaszcie byli równie zobojętniali jak Knyvett. Nie mógł zmobilizować ich do wspólnego wysiłku. Tu, przy maszcie, czuli się na razie bezpieczni i nie chcieli odejść z tego miejsca. Pewnie zresztą nie rozumieli, o co mu chodzi. Ten wściekły wiatr wyjący nad głowami otumaniał ich całkowicie, a lejące się na nich nieustannie potoki wody i desperacka konieczność walki o utrzymanie się na nogach nie pozwalały im zebrać myśli.

Do przecięcia want najlepsza byłaby siekiera, ale nie było siekiery. Mężczyzna obok niego miał u pasa nóż w pochwie. Chwyciwszy dłonią za rękojeść Hornblower zmusił się znowu do rzeczowego myślenia. Sprawdził ostrze, stwierdził, że jest ostre, zdjął z sąsiada pas z nożem i zapiął na sobie — marynarz nie protestował, tylko gapił się na niego w ogłupieniu. Znow trzeba było planować, starać się myśleć jasno na wyjącym wichrze pośród fontann bryzgów i rozbijających się wokół wałów wody. Hornblower odciął dwa kawałki z liny, którą był obwiązany, i zasupłał je mocno na sobie, tak że jeden z końców zwisał luźno. Potem popatrzył na wanty fokmasztu, obmyślając szczegóły. Nie będzie czasu na myślenie, gdy nadejdzie moment działania. Kawałek relingu przetrwał uderzenia fal — przypuszczalnie wanty nawietrzne stanowiły dla niego rodzaj falochronu. Ocenił i zmierzył wzrokiem odległość. Złuznił węzły mocujące go do masztu. Rzucił spojrzenie na Barbarę, zmuszając się do uśmiechu. Stała tam w swoich więzach, huragan rozwiewał jej długie mokre włosy. Dla pewności obwiązał ją dodatkową liną. Nie mógł już nic więcej zrobić. To był dom obłąkanych, szaleństwo, mokre, wyjące piekło, a on w tym piekle musiał mieć jasno w głowie.

Czekał, aż nadejdzie jego chwila. Najpierw źle obliczył czas i musiał cofnąć, dławiąc się z wielkiego podniecenia. Następna fala chlusnęła na niego, a gdy odpłynęła, raz jeszcze sprawdził ruch „Pretty Jane”, zacisnął zęby i odrzuciwszy przytrzymujące go do liny, rzucił się po stromym pokładzie, który, wraz z falą, osłonił go przed zdmuchnięciem przez wiatr. Dopadł relingu, mając w zapasie jeszcze pięć sekund — pięć sekund, żeby się przywiązać do want, i już grzywacz walił się na niego potokami wody, które najpierw podmyły mu nogi, a potem sprawiły, że puścił uchwyt. Przez sekundę czy dwie tylko liny go trzymały, aż wir pozwolił mu ponownie uchwycić się want rękami.

„Pretty Jane” znowu podniosła się z przechyłu. Hornblower miał trudności z przytwierdzeniem noża z pochwą na lince do nadgarstka, lecz musiał poświęcić na to cenne chwile, w przeciwnym razie bowiem wszystkie jego dotychczasowe wysiłki poszłyby na marne. Zaczął desperacko przecinać wantę. Nasiąkłe wodą włókna wydawały się twarde jak żelazo, ale czuł, że pękają po trochu, po kilka naraz. Był rad, że sprawdził, czy nóż jest ostry. Zanim przyszła następna fala, lina była już na pół przecięta. Gdy tylko wynurzył się ramionami z wody, zabrał się znow do cięcia. W trakcie pracy wyczuwał nieznaczną zmianę naprężenia, w miarę jak wanta wolniutko się złuzniała. Przyszło mu do głowy, że po przecięciu lina może zacząć niebezpiecznie łopotać na wietrze, lecz uznał, że póki trzymają wanty, reakcja nie będzie zbyt gwałtowna.

I tak też było. Wanta po prostu uciekła spod noża — wiatr porwał cały pięćdziesięciostopowy odcinek i zabrał mu go z oczu, zwiewając go pewnie jak banderę z topu masztu. Zabrał się do następnej wanty, piłując nożem w przerwach, gdy nie zalewały go gwałtowne fale. Na przemian to ciął nożem, to chwycił się czegokolwiek kurczowo. Z trudem łapał powietrze wśród lecących na niego bryzgów, dławił się i dusił pod zieloną wodą, ale wanty puszczały jedna po drugiej. Jednakże nóż się stępił, a teraz doszedł dodatkowy problem. Przeciął prawie wszystkie wanty najbardziej wysunięte ku rufie w obrębie zasięgu ręki i wkrótce będzie musiał przesunąć się, żeby dotrzeć do najdalszych na dziobie. Ostatecznie jednak nie musiał rozwiązywać tego problemu. Przy następnym przechyle bocznym i następnej fali, gdy miotał się właśnie pod wodą, poczuł szereg wstrząsów przekazanych przez kadłub statku na jego uczone oparcia dłonie — cztery słabe i jeden gwałtowny. Wynurzywszy się spod fali, zalany wodą oczyma zobaczył, co się stało. Cztery pozostałe wanty pękły wskutek naprężenia, pierwsza, druga, trzecia, czwarta, a potem odłamał się maszt. Obejrzawszy się przez ramię mógł dojrzeć jego kikut sterczący osiem stóp nad pokładem.

Różnica, jaką stanowiło to dla „Pretty Jane”, stała się natychmiast odczuwalna. Już następny przechył poprzeczny zakończył się niezdecydowanie, tylko gwałtownym zarzyciem dziobu w wodę, gdy wściekły wiatr naciskając na grotmaszt obrócił rufę statku i ustawił go dziobem do fali, a w każdym razie brak oporu stawianego przez wysoki fokmaszt zmniejszył amplitudę przechyłu bocznego. Fale rozbijające się teraz nad głową Hornblowera stały się prawie niegroźne dzięki mniejszej gwałtowności uderzeń i mniejszej ilości niesionej przez nie wody. Hornblower mógł oddychać, mógł rozglądać się wokół siebie. Zauważył coś jeszcze: fokmaszt, wciąż trzymający się statku zawietrznymi wantami, płynął teraz przed nim, bo „Pretty Jane” cofała się pod naporem wiatru. Działał więc jak dryfkotwa, nieznacznie hamując gwałtowność ruchów statku. Ponadto, ponieważ punkt przyczepienia szczątek znajdował się z lewej burty, statek skręcił lekko, wystawiając na fale raczej dziobową część lewej burty. Dzięki temu płynął pod najlepszym dla niego kątem, z małymi przechyłami poprzecznymi i długim kołysem wzdłużnym. Mimo że pełen wody, miał wciąż szansę, a Hornblower niezłe osłonięty na dziobie z prawej burty mógł z pewną dumą patrzeć na to, czego dokonał własnymi rękami.

Spojrzał na żalosne grupki ludzi oblepiających grotmaszt, ster i podstawę kompasu. Barbara była poza zasięgiem jego wzroku, wśród tych przy grotmaszcie, zasłonięta przed nim przez mężczyznę, i nagle zaczął się bać, żeby nie przytrafiło się jej coś złego. Zaczął się odwiązywać, żeby wrócić do niej i właśnie wtedy, gdy ustało przemożne zaabsorbowanie statkiem, coś przypomniało mu się nagle z taką siłą, że aż przestał manipulować palcami przy węzłach. Barbara ucałowała go, pod osłoną nie istniejącej już pokładówki. I powiedziała — dobrze pamiętał, co powiedziała. Słowa te zapadły w jego pamięć, czekając na jego uwagę aż do chwili, gdy nadejdzie jakaś przerwa w konieczności intensywnego działania. Nie tylko powiedziała, że go kocha, powiedziała też, że nigdy nie kochała innego. Skulony na pokładzie zalanego wodą statku, wśród wycia huraganu, Hornblower zdał sobie nagle sprawę, że zadawniona rana zagoiła się, że nigdy, do końca życia nie będzie już odczuwał dokuczliwego bólu zazdrości o pierwszego męża Barbary.

To wystarczyło, żeby go sprowadzić z powrotem w świat spraw praktycznych. Życie, które mu zostało, można mierzyć na godziny. Pewnie zginie do zapadnięcia nocy, a najpóźniej do następnego ranka, niż przeżyje. I Barbara też. Absurdalna przelotna chwila dobrego samopoczucia minęła natychmiast, ustępując szaleńczemu, przemożnemu uczuciu żalu. Musiał wyteńczyć całą siłę

woli, żeby znów zapanować nad omdlewającym ciałem i wyczerpanym umysłem. Musi działać i myśleć, jak gdyby nie był tak strasznie zmęczony, jak gdyby nie odczuwał rozpacz. Stwierdziwszy, że nóż wciąż dynda u jego nadgarstka, poczuł pogardę dla siebie, co zawsze było dla niego bodźcem do czynu. Odwiązał linkę i włożył nóż do pochwy, a potem przystąpił do obserwowania ruchów „Pretty Jane”.

Odmocowawszy się, pobiegł do grotmasztu. Straszliwy wichur mógł znieść go ku rufie i za burtę, lecz dzięki dźwignięciu się rufy w górę Hornblower zdążył rzucić się pod osłonę grupy ludzi przy grotmaszcie i chwycić się kurczowo za którąś z lin. Mężczyźni wiszący apatycznie w pętlach przytrzymujących ich lin ledwie rzucili okiem na niego i nie ruszyli się, żeby mu pomóc. Barbara, z mokrymi włosami zwisającymi po bokach twarzy, uśmiechnęła się i podała mu dłoń, a on precyzyjnie się przez otaczających ją mężczyzn i przywiązał się koło niej. Ujął znowu jej dłoń w swoją rękę, a uścisk odwzajemniony przez nią dodał mu ducha. Potem nic już nie można było zrobić, tylko trwać przy życiu.

Częścią procesu trwania przy życiu było nie myśleć o doskwierającym pragnieniu, w miarę jak dzień przemijał i żółte światło dzienne ustępowało czerni nocy. Lecz trudno było przestać myśleć o tym, gdy raz uświadomił sobie, jak bardzo chce mu się pić, a jeszcze bardziej gnębiła go myśl, że Barbara cierpi tak samo. Nie mógł nic zrobić w tej sprawie, nic, tylko stać w swoich więzach i trwać wraz z nią. Jednakże z nadejściem nocy wiatr utracił swą gorącość pieca do wypalania cegieł i dmuchał prawie chłodem, tak że Hornblower poczuł, że lekko drży. Obrócił się w więzach i objął ramionami Barbarę, przytulając ją do siebie, żeby zachować ciepło jej ciała. A w nocy zaczął się martwić zachowaniem mężczyzny obok, który wciąż opierał się o niego, coraz ciężiej, tak że od czasu do czasu Hornblower musiał puszczać Barbarę z objęć i mocno go odpychać. Za trzecim czy czwartym razem poczuł, że mężczyzna odpadł od niego bezwładnie i domyślił się, że już nie żyje. Dzięki temu zrobiło się trochę więcej miejsca przy maszcie, tak że zdołał przysunąć Barbarę blisko do drzewca, żeby mogła oprzeć się o nie plecami. Sądząc po bolesnych skurczach, jakie czuł w nogach, i krańcowym wyczerpaniu wszystkich członków pomyślał, że może to jej ulży. Przeżył chwilę pokusy, straszliwej pokusy, żeby się poddać, zostawić wszystko swojemu losowi, pozwolić sobie osunąć się na pokład i umrzeć, jak ten koło niego. Ale nie zrobił tego, bardziej ze względu na utrzymaną w ramionach żonę niż na siebie, z miłości raczej niż z dumy.

Wraz ze zmianą temperatury wiatru jego gwałtowność też stopniowo zmalała. W czasie tych strasznych godzin Hornblower początkowo nie pozwalał sobie na nadzieję, lecz w miarę upływu nocy poddawał się jej coraz bardziej. A w końcu nie można już było zaprzeczyć faktowi. Wiatr zamierał — najprawdopodobniej huragan odchodził od nich. Przez pewną część nocy była to jeszcze silna wichura, ale później podniósłszy głowę Hornblower musiał przyznać, że wichura przeszła w silny wiatr, który wymagałby tylko pojedynczego refowania — w istocie wiatr „bramslowy”. Ruchy „Pretty Jane” wciąż były gwałtowne, czego oczywiście można się było spodziewać: morze potrzebowało dużo więcej czasu niż wiatr, żeby się uspokoić. Statek dalej kołysał się z dziobu na rufę i nurzał jak szalony, to lecąc w górę, to w dół, lecz fale nie zalewały go całkowicie, nawet biorąc pod uwagę jego lepszą stateczność teraz, gdy dziobem był zwrócony do fali. Na grupkę ludzi przywiązanych do masztu nie lały się już potężne potoki, które przedtem miały nimi kaleczyć skórę. Woda nie sięgała nawet pasa, niedługo zalewała tylko kolana, a bryzgi przestały przelatywać koło nich.

Teraz Hornblower był w stanie zauważyć coś jeszcze. Padało, deszcz lał strumieniami. Gdy podniósł twarz ku niebu, kilka cennych kropeł spadło w jego spieczone, otwarte usta.

— Deszcz! — powiedział Barbarze do ucha.

Uwolnił się z jej ramion, dosyć gwałtownie, bo bardzo nie chciał stracić ani sekundy ulewy. Zdjął z siebie koszulę — podarła się na strzępy przy wyciąganiu spod lin, którymi był owiązany — i wystawił ją na niewidzialny deszcz siekający ich w ciemnościach. Nie wolno mu zmarnować ani sekundy. Koszula była mokra od wody morskiej. Wykręcał ją z gorączkowym pośpiechem, by znów wystawić na deszcz. Wycisnął z kawałka wodę do ust. Wciąż czuć było sól. Spróbował jeszcze raz. Jak nigdy jeszcze pragnął, aby ulewa trwała w swej gwałtowności, a bryzgi wody morskiej nie padały na nich zbyt gęsto. Teraz wodę z wykręconego kawałka koszuli można było uznać za słodką. Dotknął twarzy Barbary mokrym skrawkiem materiału i przycisnął go do jej ust.

— Pij! — powiedział jej ochryple do ucha.

Gdy przycisnęła dłońmi materiał do twarzy, wiedział, że zrozumiała, że wysysa z tkaniny cenny płyn. Chciał, żeby się pośpieszyła, żeby wypić, ile się da, póki deszcz jeszcze pada, jemu samemu ręce się trzęsły z pragnienia. W ciemnościach nie mogła wiedzieć, że on tak się niecierpliwi. Wreszcie oddała mu koszulę, a on wystawił ją znów na deszcz, ledwo będąc w stanie odczekać, aż nasiąknie wodą. Potem mógł przycisnąć materiał do ust, odchyliwszy głowę do tyłu, i pić, dławiąc się, na pół oszalały z rozkoszy. Poprawa samopoczucia dzięki wodzie wyciskanej do ust była nie do opisania.

Czuł, że wraca mu siła i nadzieja — siła przychodziła wraz z nadzieją. Ta woda, w ilości pięciu, może sześciu kieliszków do wina, złapana w koszulę, wystarczyła, żeby spowodować tę olbrzymią różnicę. Znów rozpostarł koszulę nad głową, dając jej nasiąknąć wodą w potokach deszczu, i podał Barbarze, a gdy w ciemnościach zwróciła mu ją, jeszcze raz zrobił to samo dla siebie. Kiedy wycisnął ją prawie do sucha, uświadomił sobie, że tymczasem deszcz ustał i przez chwilę poczuł żal. Powinien był zachować tę mokrą koszulę jako rezerwę, ale zaraz przestał sobie to wyrzucać. Większość wody ściekłaby z niej, a wskutek lecących wciąż na nich słonych bryzgów w parę minut to, co by zostało, byłoby nie do picia.

Teraz jednak myślało mu się lepiej. Mógł na trzeźwo stwierdzić, że wiatr słabnie szybko — sama ulewa stanowiła wskazówkę, iż huragan poszedł swoją drogą, zostawiając w swym śladzie torowym gwałtowne deszcze, które nie były wówczas czymś niecodziennym. A tam, ponad dziobem z prawej burty, zamiast przerażającego, żółtawego poblasku huraganu, pojawiła się na niebie leciutka różowość, jutrzienka nowego dnia. Namacał przytrzymujące go węzły i powoli, stopniowo porozwijał je. Gdy uwolnił się z ostatniego, zachwiał się wraz z przechyłem statku i poleciał do tyłu, z hukiem i chlupotem padając siedzeniem na mokry pokład. Była to fantastyczna przyjemność, siedzieć tak po biodra w wodzie wciąż omywającej pokład. Po prostu siedzieć i bardzo wolno zginać i prostować kolana, czuć życie wracające do zmartwiałych łądźwi. Było mu jak w niebie, a siódmym niebem byłoby móc skłonić głowę i poddać się snowi. Ale było coś, co musiał zrobić. Trzeba po stoicku ignorować bezsenność i zmęczenie fizyczne, jak długo jest szansa, że przeżyją, a światło dnia nasila się wokół nich. Dźwignął się i na ledwie mu posłusznych nogach wrócił do masztu. Odwiązał Barbarę, tak że mogła wreszcie osunąć się na pokład wciąż jeszcze

zalewany wodą. Złuził więzy, żeby mogła oprzeć się plecami o maszt, i znów opasał ją liną. W tej pozycji mogła spać. Była do tego stopnia wyczerpana, że nie zauważyła — a w każdym razie niczym tego nie okazała — skurzonego ciała zmarłego marynarza leżącego o jard od niej. Odsunął trupa i odciągnął go w bok, korzystając z przechyłu statku, a potem zajął się pozostałą trójką. I oni już próbowali się odwiązywać a gdy Hornblower zaczął przecinać liny, najpierw jeden, a potem drugi otworzył usta skrzecząc ochryple.

— Wody! Wody!

Byli tak bezradni i zależni od niego jak pisklęta. Hornblower zorientował się, że żaden z nich nie miał na tyle rozumu, żeby w ciemnościach zamoczyć swoją koszulę pod ulewnym deszczem. Musieli podstawiać usta pod strumienie wody, ale złapali jej tyle co nic. Popatrzył na widnokrąg. W dali dostrzegł jeden czy dwa szkwały, lecz trudno było przewidzieć, kiedy i czy w ogóle przelecą nad „Pretty Jane”.

— Będziecie musieli poczekać, moi chłopcy — rzekł.

Ruszył ku rufie, do drugiej grupki zgromadzonej przy sterze i u podstawy kompasu. Wisiało tam jeszcze czyjeś przywiązane ciało — trup Knyvetta.

Hornblower odnotował w myślach ten fakt z tym zwięzłym requiem stanowiącym dla Knyvetta pewne usprawiedliwienie, że być może dlatego nie podjął próby odcięcia fokmasztu, iż już wtedy śmierć brała go w swoje objęcia. Drugi trup leżał na pokładzie, pod nogami tych sześciu, co przeżyli. W sumie przetrwało dziewięć osób z załogi złożonej z szesnastu. Czterech znikło, widocznie zostali zmcyi tej nocy czy poprzedniej. Hornblower rozpoznał drugiego oficera i stewarda. Wszyscy, nawet drugi oficer, podobnie jak tamci przy maszcie, ochryplymi głosami domagali się wody. Im także dał tę samą nie pocieszającą odpowiedź.

— Usuńcie trupy za burtę — dodał.

Ocecił wzrokiem sytuację. Spoglądając przez burtę widział, że „Pretty Jane” miała jeszcze około trzech stóp wolnej burty, na ile można to było ocenić przy dużych przechyłach wzdłużnych statku na ciągle jeszcze wzburzonym morzu. Teraz, gdy znalazł się na rufie, do jego świadomości dotarły tępe stuki pod stopami towarzyszące przechyłom wzdłużnym i bocznym. To przedmioty pływające w ładowniach uderzały o spód pokładu miotane przez wodę wypełniającą wnętrze statku. Wiatr ustalił się na kierunku z północnego wschodu — zaczął znowu wiać pasat po przerwie wskutek huraganu. Niebo wciąż było ciemne i zaciągnięte chmurami, ale Hornblower czuł w kościach, że ciśnienie szybko rośnie. Gdzieś daleko po zawietrznej w odległości pięćdziesięciu, stu, a może dwustu mil leżał łańcuch Antyli — nie umiał określić, jak daleko i w jakim kierunku „Pretty Jane” zdryfowała w czasie sztormu. Wciąż mieli jeszcze szansę, czy raczej będą ją mieli, jeśli rozwiąże problem wody. Odwrócił się od załogi ledwie trzymającej się na nogach.

— Otwórzcie luki — rozkazał. — Ej, panie oficerze, gdzie zasztauowano beczułki z wodą?

— Na śródokręciu — odparł oficer oblizując suchym językiem suche wargi na wspomnienie wody. — W tyle za głównym lukiem.

— Zobaczymy — rzekł Hornblower.

Beczulki na wodę skonstruowane tak, aby nie wyciekała z nich słodka woda, nie powinny też były nabrać słonej wody. Lecz nie ma beczek absolutnie szczelnych, każda trochę przecieka, a wystarczy, że dostanie się do jej wnętrza odrobina słonej wody, żeby cała zawartość stała się nie do picia. Beczulki, przez dwie noce i dzień przesuwane przez wodę morską wdzierającą się pod pokłady, będą prawdopodobnie wszystkie uszkodzone.

— To tylko słaba nadzieja — rzeki Hornblower, chcąc zmniejszyć do minimum czekające ich niemal pewne rozczarowanie. Znów rozejrzał się wokół, sprawdzając, jaka jest szansa na nadejście szkwału.

Spojrząwszy w dół przez otwarty luk dopiero mogli ocenić trudności. Luk był zatkaany kilkoma belami włókna kokosowego. Obserwując je widzieli, że poruszają się ciężko, zgodnie z ruchami statku. Woda, która wdarła się do jego wnętrza, sprawiła, że ładunek wypłynął na jej powierzchnię — w istocie „Pretty Jane” utrzymywała się dzięki parciu ku górze ładunku spod pokładu. Było cudem, że pokład nie pękł. Nie było też mowy o zejściu na dół. Zejście między te pływające bele oznaczało pewną śmierć. Cała grupa zebrana przy otworze łukowym zareagowała bolesnym jękiem. Lecz w umyśle Hornblowera rysowała się już inna możliwość. Zwrócił się do stewarda.

— Były zielone orzechy kokosowe dla użytku pasażerów — rzekł. — Czy zostały jakieś?

— Tak, sir. Cztery czy pięć tuzinów. — Człowiek ten ledwo mógł mówić z pragnienia, osłabienia czy podniecenia.

— W rufowej ładowni?

— Tak, sir.

— W worku?

— Tak, sir.

— Chodźmy — rzekł Hornblower.

Orzechy kokosowe unosiły się na wodzie równie łatwo jak włókno kokosowe i były szczelniejsze niż jakakolwiek beczulka.

Odbili pokrywę luku rufowego i spojrzeli na wodę przelewającą się w dole. Nie było tu ładunku, grodz wytrzymała napór naprężenia. Odległość do powierzchni wody odpowiadała trzem stopom wolnej burty, jakie zostały „Pretty Jane”. Widać tam było różne rzeczy — prawie od razu wypłynął w obręb ich wzroku drewniany cebrzyk, a powierzchnia wody pokryta była prawie całkowicie szczątkami. Potem zobaczyli coś innego — orzech kokosowy. Widocznie worek nie był zawiązany — Hornblower uznał, że może tam ich pływać cały worek. Schylił się mocno i wyłowił orzech. Gdy wstał z owocem w ręce, cała grupka wydała nieartykułowany skrzek, tuzin rąk wyciągnęło się po orzech, a wtedy Hornblower uświadomił sobie, że musi utrzymać porządek.

— Cofnąć się! — a gdy wciąż posuwali się ku niemu, wyjął nóż z pochwy.

— Cofnąć się! Zabiję pierwszego, który mnie dotknie! — dodał. Wiedział, że z napięcia warczy jak dzika bestia, błyskając przy tym zębami. Wiedział też, iż w walce, jeden przeciwko dziewięciu, nie miałby żadnych szans.

— Posłuchajcie, chłopcy — rzekł. — Musimy tak zrobić, żeby starczyły nam na długo. Będziemy je racjonować. Niech każdy spróbuje. Zobaczymy, ile jeszcze uda się wam znaleźć.

Doszła do głosu siła jego osobowości i ta resztką zdrowego rozsądku, jaka została załodze. Cofnęli się. Wkrótce trzech uklękło nad otworem łukowym, a inni ostrożnie pochylali się nad nimi, zaglądając przez ramiona.

— Widzę jeden! — zaskrzeczał czyjś głos.

Jakaś ręka wsunęła się na dół i orzech został wyłowiony.

— Daj go tu — polecił Hornblower, a marynarz usłuchał bez oporu. Widać już było następny i jeszcze jeden. Zaczęli układać je w stos u stóp Hornblowera, tuzin, piętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia trzy cenne owoce, aż w końcu przestały się pokazywać.

— Jak będziemy mieć szczęście, znajdziemy potem więcej — pocieszył ich Hornblower. Objął wzrokiem całą grupę i Barbarę skuloną u podstawy grotmasztu. — Jest nas jedenaścioro. Po pół dla każdego na dziś. Druga połówka dla każdego jutro. Ja dziś rezygnuję ze swej racji.

Nikt nie zakwestionował jego decyzji — częściowo być może dlatego, że wszystkim bardzo pilno było zwilżyć usta. W końcu otwarto pierwszy orzech, bardzo ostrożnie, żeby nie uronić ani kropli, i pierwszy marynarz zaczął pić. Nie było mowy, żeby wypił więcej niż swoją połowę, gdyż wszyscy stali wokół niego, a ten, któremu miała przypaść druga połowa, po każdym łyku odrywał mu orzech od ust, żeby sprawdzić, ile płynu ubyło. Ci, którym przypadło czekać, aż trzęśli się z pożądlivosti, lecz mimo to musieli czekać. Hornblower nie miał zaufania, że podzielą się bez bijatyki albo rozlania zawartości, jeśli nie będzie stał nad nimi. Kiedy ostatni marynarz się napił, Hornblower wziął pozostałą połówkę i podał Barbarze.

— Wypij to, skarbie — rzekł, gdy pod dotknięciem jego dłoni zamrugała obudzona z ciężkiego snu. Piła chciwie, zanim odjęła orzech od ust.

— A ty piłeś, kochany? — spytała.

— Tak, skarbie, wypilem swoją porcję — skłamał spokojnie.

Gdy wrócił do grupki marynarzy, zastał ich na wydrapywaniu cienkiej, galaretowatej powłoki z wnętrza orzechów.

— Nie uszkodźcie łupin, chłopcy — powiedział. — Będą nam potrzebne, jak nadejdzie szkwał z deszczem. Zostawimy te orzechy pod strażą jej lordowskiej wysokości. Jej możemy ufać.

I znów go usłuchali.

— Wydostaliśmy jeszcze dwa, jak pana nie było, sir — oznajmił jeden z marynarzy.

Hornblower spojrział przez luk na wodę pokrytą śmieciem. Przyszedł mu do głowy nowy pomysł i znowu zwrócił się do stewarda.

— Jej lordowska wysokość przesłała na statek skrzynkę z żywnością — rzekł. — Żywność w puszkach cynowych. Złożono ją gdzieś tu, na rufie. Czy pan wie, gdzie?

— Na samej rufie, sir. Pod linami sterociągu.

— Hm — mruknął Hornblower.

Gdy się nad tym zastanawiał, nagły ruch statku wyrzucił fontannę wody z luku. Powinno jednak być możliwe dostanie się do tej skrzyni, rozbicie jej i zabranie zawartości. Ktoś silny, mogący długo wytrzymać w zanurzeniu, może to zrobić, jeśli da sobie radę z miotającą nim wodą.

— Będziemy mieć coś lepszego do jedzenia od galaretki kokosowej — rzekł — jeśli wydobędziemy te puszki.

— Ja spróbuję, sir — zaoferował się młody marynarz i Hornblower poczuł niewymowną ulgę. Nie chciało mu się schodzić tam samemu.

— Dobry chłopak z ciebie — pochwalił go. — Obwiąż się liną, zanim opuścisz się do luku. Wtedy będziemy mogli cię wyciągnąć, jeśli zajdzie potrzeba.

Zabrali się do przygotowań, gdy Hornblower ich powstrzymał.

— Czekajcie. Popatrzcie w stronę dziobu — zawołał.

W odległości mili był szkwał deszczowy. Widzieli go, szeroki słup wody po nawietrznej ściekający z nieba, o wyraźnie zarysowanym kształcie. Chmura, z której padało, wisiała niżej niż inne, a powierzchnia morza w obrębie deszczu miała inny odcień szarości niż gdzie indziej. Szkwał szedł ku nim — nie, niezupełnie. Środek przesuwał się ku punktowi w pewnej odległości na ich trawersie, co każdy mógł stwierdzić patrząc przez chwilę uważnie. Marynarze obserwujący drogę szkwału bluznęli przekleństwami.

— Na Boga, złapiemy jego ogon! — krzyknął oficer.

— Wykorzystajcie go jak najlepiej, gdy nadejdzie — dodał Hornblower.

Przez trzy długie minuty obserwowali zbliżanie się szkwału. Wydawało się, że stanął w odległości kabla, chociaż czuli odświeżający powiew wokół siebie. Hornblower podbiegł do Barbary.

— Deszcz! — powiedział.

Barbara odwróciła się twarzą do masztu, pochyliła i zaczęła coś rozwiązywać pod spódnicą. Po chwili szamotania halka opadła, a Barbara wystąpiła z niej i czekając na szkwał starała się wyżyć z niej jak najwięcej słonej wilgoci. Potem spadło kilka kropel, a za nimi cały potop. Cenny deszcz. Wystawiono na niego dziesięć koszul i halkę, wyżymano je, znowu podstawiano i wykręcano, aż wyżęta woda smakowała jak słodka. Wszyscy pili, jak oszaleli, pod huczącym wokół deszczem. Po dwóch minutach Hornblower krzyknął, żeby napełnili puste łupiny kokosowe i kilku z nich starczyło rozsądku i ducha obywatelskiego, żeby wyżyć koszule do skorup i dopiero potem poddać się ekstazie dalszego picia — nikt nie chciał zmarnować ani sekundy bezcennego deszczu. Lecz szkwał przeszedł równie szybko, jak nadleciał. Patrzyli, jak oddala się w kierunku rufy, tak szybko uciekając z ich zasięgu, jakby padał na pustynnej Saharze. Jednakże młodszy marynarze z załogi śmieli się teraz i żartowali. Nie musiał już opiekować się nimi. Ich apatia minęła. Na pokładzie nikt poza Hornblowerem nie pomyślał, że być może żaden szkwał deszczowy nie zahaczy o statek w ciągu całego następnego tygodnia. Musiał natychmiast zabrać się do dzieła, chociaż czuł ból we wszystkich stawach i mięśniach, chociaż mózg miał otępiały z wyczerpania. Zmusił się do myślenia, do zebrania sił. Przerwał głupawe prześmiewki i zwrócił się do tego, który zgłosił chęć zejścia do międzypokładu.

— Weź dwóch ludzi, żeby pilnowali liny. Niech jednym z nich będzie steward — polecił. — Panie oficerze, proszę ze mną na dziób. Trzeba jak najszybciej postawić żagle.

Tak zaczęła się podróż, która miała przejść do legendy, podobnie jak huragan, który właśnie przeszedł — nazwany „Huraganem Hornblowera” i wymieniany nie tylko dlatego, że Hornblower miał z nim do czynienia, lecz ponieważ jego niespodziewane nadejście spowodowało znaczne szkody. Hornblower nie uważał bynajmniej, że sama podróż czymś się szczególnie wyróżniła, chociaż odbyto ją na wraku prawie pełnym wody, niepewnie równoważonym przez bele włókna kokosowego. Była to tylko kwestia ustawienia go na pełny wiatr. Z zapasowej stengi bukszprytu (jedyne zapasowe drzewca, jakie przetrwało sztorm) wykonano maszt awaryjny po przymocowaniu go do kikuta fokmasztu, a żagle zrobiono z worków po włóknie kokosowym. Rozpostarte na awaryjnym fokmaszcie pozwoliły „Pretty Jane” posuwać się fordewindem z pasatem z prędkością mili na godzinę, podczas gdy załoga przygotowywała prowizoryczne żagle tylne, które podwoiły tę prędkość.

Nie było przyrządów nawigacyjnych — nawet kompas został wyrwany z zawiesznień przegubowych w trakcie sztormu — i przez pierwsze dwa dni nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują, poza tym, że gdzieś po zawietrznej, leżał łańcuch Antyli. Ale potem wstał dzień jasny i pogodny i ledwo nastał świt, a już marynarz na salingu grotmasztu dojrzał daleko przed nimi bardzo słabo widoczną cieniutką ciemną kreskę na widnokręgu. To był ląd. Mogły to być odległe, wysokie góry San Domingo lub położone bliżej niskie wzgórza Puerto Rico — na razie nie wiedzieli i pozostawali w nieświadomości, gdy słońce zaszło. Wszyscy byli bardzo spragnieni i nie bardzo mieli apetyt na skąpe racje wołowiny z puszek, wydzielonej im przez Hornblowera z odzyskanych zapasów.

Mimo zmęczenia mogli jednak spać tej nocy na materacach z włókna kokosowego na pokładzie wciąż od czasu do czasu obmywanym przez fale. Następnego ranka ląd był bliżej. Jego niski zarys wskazywał, że mogło to być Puerto Rico. A po południu dostrzegli łódź rybacką. Płynęła ku nim, zaintrygowana dziwnym statkiem zdążającym w jej kierunku, i wkrótce podeszła do burty. Rybacy

Mulaci gapili się na grupę dziwnych postaci machających do nich rękami. Hornblower zmusiwszy otumaniały mózg, otępiały od braku snu, zmęczenia i głodu, do przypomnienia słów hiszpańskich, obwołał ich. Rybacy mieli w łódce beczułkę wody i także dzban zimnego garbanzos, do uczy doszła puszka konserwy wołowej. Barbara nie mówiąca po hiszpańsku pochwyciła dwa słowa z toczonej w podnieceniu rozmowy.

— Puerto Rico? — spytała.

— Tak, skarbie — odparł Hornblower. — Nie jestem tym zbyt zaskoczony, a dla nas nawet lepiej, że nie San Domingo. Chciałbym przypomnieć sobie nazwisko tutejszego generała-kapitana — miałem z nim do czynienia w sprawie „Estrelli del Sur”. Jest markizem. Markiz de... de... Najdroższa, czemu nie położysz się i nie zamkniesz oczu? Jesteś wyczerpana.

Zaskoczyła go znowu jej bladość i to, że wyglądała na zmartwioną.

— Dziękuję, kochany, czuję się całkiem dobrze — odparła Barbara, chociaż napięty ton głosu przeczył jej słowom. Był to jeszcze jeden dowód siły jej charakteru.

Właśnie gdy się zastanawiali, co robić dalej, drugi z oficerów „Pretty Jane” zdradził pierwszą oznakę, że wraca mu duch. Wszyscy mogą opuścić wypełniony wodą wrak i płynąć łodzią rybacką do Puerto Rico, lecz on tego nie robi. Zna przepisy ratownictwa morskiego. Sfatygowany kadłub statku może jeszcze być coś wart, a już na pewno jego ładunek ma swoją wartość. Sam wprowadzi „Pretty Jane” do portu jutro rano. Uparł się, że zostanie na pokładzie z załogą.

Hornblower stanął przed decyzją nie napotkaną dotąd w jego urozmaiconej karierze. Opuszczenie statku teraz miałoby posmak dezercji, ale musiał myśleć o Barbarze. A jego pierwsza myśl, że nie przyszłoby mu nawet do głowy opuścić swoich ludzi, szybko ustąpiła następnej, że to nie są wcale „jego ludzie”.

— Jest pan, milordzie, jedynie pasażerem — powiedział oficer — rzecz dziwna, jak to „milordzie” znowu zabrzmiało naturalnie, gdy zetknęli się z cywilizacją.

— To prawda — zgodził się Hornblower. Nie wolno mu też chyba skazywać Barbary na jeszcze jedną noc na pokładzie zalewanego wodą hulka.

Wpływali więc do Puerto Rico w dwa lata po tym, gdy Hornblower był tu w bardzo odmiennych okolicznościach. I nic w tym nie było nienaturalnego, że ich przybycie postawiło tu wszystkich na nogi. Pchnięto posłańców do Fortaleza, a w kilka minut później na nabrzeżu pojawiła się postać wysoka i szczupła, z cienkim wąsikiem, którą Hornblower usiłował rozpoznać, chociaż kręciło mu się przed oczami.

— Mendez-Castillo — przedstawił się przybyły, wybawiając Hornblowera od dalszego wysiłku przypomnienia sobie jego nazwiska. — Jest mi ogromnie przykro widzieć wasze ekscelencje w tak ciężkim położeniu, mimo że wielka to dla mnie przyjemność znów witać waszą ekscelencję w Puerto Rico.

Trzeba było przestrzegać pewnych zasad etykiety, nawet w takich warunkach.

— Barbaro, kochanie, pozwól, że ci przedstawię: senior — major Mendez-Castillo, adiutant jego ekscelencji generał-kapitana. — Potem dodał po hiszpańsku: — Moja żona, la Baronesa Hornblower.

Mendez-Castillo skłonił się nisko, starając się ocenić wzrokiem stan wyczerpania nowo przybyłych. Potem podjął bardzo ważną decyzję.

— Jeśli wasze ekscelencje wyrażą zgodę, proponowałbym, aby formalne powitanie przez jego ekscelencję zostało odłożone do chwili, aż wasze ekscelencje będą lepiej do tego przygotowane.

— Wyrażamy zgodę — odrzekł Hornblower. Rozdrażniony, już miał wybuchnąć gwałtownie, mówiąc, że Barbara potrzebuje odpoczynku i opieki, lecz teraz, gdy załatwiono sprawy etykiety, Mendez-Castillo zrobił się uprzedzająco grzeczny.

— A zatem, jeśli wasze ekscelencje zadadzą sobie trud zejścia do mojej łodzi, będę miał przyjemność towarzyszenia im w nieformalnym przybyciu do pałacu Santa Catalina. Ich ekscelencje przyjmą państwo, lecz formalne wymogi etykiety nie muszą być przestrzegane i wasze ekscelencje będą mogły odetchnąć po strasznych przeżyciach, jakich, obawiam się, wasze ekscelencje doświadczyły.

Czy wasze ekscelencje zechcą zejść tędy?

— Jeszcze chwileczkę, jeśli pan łaskaw, senior. Ci marynarze tam na statku. Potrzebują żywności i wody. Mogą też potrzebować pomocy.

— Wydam rozkaz władzom portowym, żeby im posłano co trzeba.

— Dziękuję.

Zeszli więc do łodzi na krótki przejazd przez port. Mimo śmiertelnego zmęczenia Hornblower był w stanie zauważyć wszystkie łódki rybackie i jednostki kabotażowe spieszenie wychodzące w morze, przypuszczalnie żeby zbadać możliwość ratowania lub splądrowania „Pretty Jane”. Ten oficer miał absolutną rację, nie chcąc jej opuszczać. Ale teraz było to Hornblowerowi obojętne. Objął ramieniem Barbarę, gdy opadła na ławkę przy nim. Potem przejście przez bramę wodną pałacu, z pełną atencji służbą czekającą na nich. Oto i jego ekscelencja, i ciemnowłosa, piękna kobieta, jego żona. Od razu wzięła Barbarę pod swoją opiekę. Chłodne, ciemne pokoje i dalsi służący biegnący wykonywać rozkazy rzucane przez jego ekscelencję. Lokaje, pokojówki i osobiści służący.

— To jest Manuel, mój główny lokaj, ekscelencjo. Każdy rozkaz dany mu przez pana zostanie wykonany tak, jakby pochodził ode mnie. Posłałem po mojego lekarza, który będzie tu lada chwila. Teraz moja małżonka i ja odejdziemy i zostawimy wasze ekscelencje, żeby mogły odpocząć, zapewniając wasze ekscelencje, że jak najszybciej spodziewamy się, iż szybko powrócicie do siebie.

Tłum zmalął. Jeszcze przez chwilę Hornblower musiał utrzymywać w czujności swoje władze

umysłowe, gdyż z dużym szumem nadszedł doktor sprawdzić puls i obejrzyć języki. Wyjął skrzynkę z lancetami i począł robić przygotowania do upuszczenia Barbarze krwi, i Hornblower z trudem go powstrzymał i z jeszcze większym trudem nie pozwolił zaaplikować pijawek zamiast nacięcia żyły. Nie wierzył, że puszczenie krwi przyśpieszy zagojenie się skaleczeń na ciele Barbary. Podziękował doktorowi i wyprowadził go z pokoju z westchnieniem ulgi, myśląc niechętnie o lekach, jakie doktor przyrzekł przysłać. Pokojówki pomagały Barbarze zdjąć podarte resztki ubrania.

— Kochanie, myślisz, że zaśniesz? Czy jest coś jeszcze, o co powinienem poprosić? — Będę spać, najdroższy. — Potem znużona twarz Barbary zamiast się uśmiechnąć lekko, rozciągnęła się w szerokim, nieprzystojnym damie uśmiechu. — A ponieważ nikt tu poza nami nie mówi po angielsku, mogę swobodnie powiedzieć ci, najdroższy, że cię kocham, kochani cię bardziej, niż jakiegokolwiek znane mi słowa mogłyby to wyrazić.

Nie dbając o to, że patrzy służba, ucałował ją przed wyjściem do sąsiedniego pokoju, gdzie czekali na niego lokaje. Ciało miał poznaczone ciemnymi pręgami w miejscach, gdzie w czasie sztormu siła fal miotała nim w linach mocujących go do masztu. Otarte miejsca bolały piekielnie, gdy mył je gąbką zwilżoną w ciepłej wodzie. Wiedział, że delikatne ciało Barbary jest tak samo poznaczone. Ale Barbara była bezpieczna, wkrótce będzie dobrze się czuła i powiedziała, że go kocha. I... i powiedziała jeszcze coś więcej. To, co wyznała mu w pokładówce, zmyło wszystek ból z rany duchowej, znacznie, znacznie głębszej niż rany fizyczne. Czuł się szczęśliwy, leżąc w jedwabnej koszuli nocnej z wymyślnym heraldycznym haftem, którą przygotował mu lokaj. Spał głęboko i spokojnie, lecz obudził się przed świtem i o pierwszym brzasku wyszedł na balkon, żeby zobaczyć, jak „Pretty Jane” wpełza do portu eskortowana przez tuzin małych jednostek. Był zły, że nie jest na pokładzie, dopóki nie pomyślał znowu o żonie śpiącej w sąsiednim pokoju.

Czekały ich szczęśliwe chwile. W godzinę później usiadł w szlafroku na głębokim, zacienionym balkonie, z widokiem na port i morze, bujając się leniwie w fotelu, z Barbarą naprzeciwko popijającą słodką czekoladę i jedzącą słodkie bułeczki.

— Dobrze jest żyć — odezwał się Hornblower. W tych słowach była teraz siła i głębsze znaczenie, nie był to banalny zwrot rzucony w rozmowie.

— Dobrze być z tobą — odrzekła Barbara.

— „Pretty Jane” weszła rano bezpiecznie do portu — powiedział Hornblower.

— Patrzyłam na nią z mego okna — uśmiechnęła się Barbara.

Zaanonsowano Mendez-Castilla, który pewnie się dowiedział, że ich ekscelencje nie śpią i jedzą śniadanie. Zapytywał o zdrowie w imieniu jego ekscelencji i otrzymał zapewnienie, że goście szybko wracają do siebie. Oznajmił też, że wiadomość o ostatnich wydarzeniach zostanie natychmiast wysłana na Jamajkę.

— Bardzo to uprzejmie ze strony jego ekscelencji — odparł Hornblower. — A teraz co do załogi „Pretty Jane”. Czy ktoś się nimi zajmuje?

— Przyjęto ich do szpitala wojskowego. Władze portowe postawiły straż na pokładzie statku.

— To naprawdę wspaniale — ucieszył się Hornblower, rad, że nie musi już martwić się o nich.

Leniwie spędzony poranek, przerwany tylko wizytą doktora, odprawionego po zbadaniu pulsów i obejrzeniu języków, z gorącymi podziękowaniami za nie spróbowane leki. O drugiej był obiad, obfity posiłek podany ceremonialnie, lecz ledwie tknięty. Sjesta, a potem kolacja, jedzona już z większym apetytem, i spokojna noc.

Następny ranek był pracowitszy, gdyż trzeba było załatwić sprawę ubrania. Jej ekscelencja przysłała Barbarze krawcowe, i Hornblower nagimnastykował się służąc jako tłumacz w sprawach damskich, wymagających nie znanego mu słownictwa, i rozmawiając z krawcami od koszul i ubrań przysłanymi mu przez jego ekscelencję. Krawiec od ubrań był rozczarowany, gdy mu powiedziano, że Hornblower nie życzy sobie, żeby mu uszyto kompletny mundur kontradmirała brytyjskiego, ze złotymi lamówkami i całą resztą zdobień. Jako oficer na połowie pensji i bez stanowiska Hornblower nie potrzebował takiego munduru.

Po krawcu przybyła deputacja, oficer i dwaj członkowie załogi „Pretty Jane”.

— Przybyliśmy dowiedzieć się o zdrowie waszej lordowskiej wysokości i jej lordowskiej wysokości — powiedział oficer.

— Dziękuję wam. Jak widzicie, jej lordowska wysokość i ja całkiem wróciliśmy do siebie — odparł Hornblower. — A wy? Czy dobrze się wami zajmują?

— Bardzo dobrze, dziękujemy.

— Pan jest teraz dowódcą „Pretty Jane” — zauważył Hornblower.

— Tak, milordzie.

Dziwny to był sposób zdobycia stanowiska dowódcy.

— Co zamierza pan z nią zrobić?

— Dziś wyciągamy ją na ląd, milordzie. Może da się ją wyłatać. Ale straciła pewnie całe miedziane poszycie.

— Chyba tak.

— Myślę, że ją sprzedam za tyle, ile się da, to znaczy kadłub i ładunek — powiedział oficer z nutą goryczy w głosie — wcale nie dziwną w ustach kogoś, kto po raz pierwszy w życiu uzyskał dowództwo po to tylko, by stracić je natychmiast.

— Mam nadzieję, że się panu poszczęści — powiedział Hornblower.

— Dziękuję, milordzie. — Po chwili wahania dodał: — Muszę podziękować waszej lordowskiej wysokości za wszystko, co pan uczynił.

— Tę trochę, co zrobiłem, robiłem dla siebie i jej lordowskiej wysokości — odrzekł Hornblower.

Mówiąc to mógł się uśmiechnąć. W tym błogim otoczeniu wspomnienie wycia huraganu i ciosów fal przelewających się przez pokład „Pretty Jane” straciło swą bolesną ostrość. A obaj marynarze odpowiedzieli szerokim uśmiechem. Tu, w pałacu wicekrólewskim, trudno było wyobrazić sobie, jak stał z obnażonymi w grymasie wściekłości zębami i z wyciągniętym nożem, spierając się z nimi o jeden niedojrzały orzech kokosowy. Przyjemnie było, że rozmowa mogła się skończyć uśmiechami i kurtuazyjną wymianą zdań i że mógł zapaść znowu w rozkoszne lenistwo z Barbarą obok siebie.

Szwaczki i krawcy musieli pracować ciężko i do późna, gdyż następnego dnia wyniki ich wysiłków były gotowe do zmierzenia.

— Mój hiszpański grand! — wykrzyknęła Barbara, oglądając męża ubranego w surdut i bryczesy kroju portorykańskiego.

— Moja uroczą seŌora — odpowiedział Hornblower z ukłonem. Barbara miała we włosach grzebień i narzuconą na głowę mantylę.

— SeŌory z Puerto Rico nie noszą na szczęście gorsetów — zauważyła Barbara. — Nie wytrzymałabym teraz w czymś takim.

Była to jedna z nielicznych aluzji poczynionych przez Barbarę na temat szram i skaleczeń, jakie miała na całym ciele. Wychowana po spartańsku, uczyła się w szkole, gdzie nauczano pogardy dla przyznawania się do fizycznych słabości. Nawet składając mu przy tych słowach niby oficjalny dworski dyg, uważała, żeby nie zdradzić się z bólem, jakim zapłaciła za ten ruch, tak że Hornblower musiał się tego domyślić.

— Co mam powiedzieć dziś seŌorowi Mendez-Castillo, gdy przyjdzie ze swymi pytaniami? — spytał Hornblower.

— Uważam, skarbie, że teraz możemy już spokojnie zostać przyjęci przez ich ekscelencję — odparła Barbara.

Tu, w małym Puerto Rico, można było napotkać wspaniałość i ceremoniał dworu hiszpańskiego. Kapitan-generał był przedstawicielem króla, w którego żyłach płynęła krew Burbonów i Habsburgów, Ferdynanda i Izabeli, i jego osoba musiała być otoczona tym samym rytuałem i etykietą, żeby nie kwestionowano całej mistycznej świętości jego pana. Nawet Hornblower, póki nie zaczął omawiać szczegółów przygotowań z Mendez-Castellą, nie uświadamiał sobie ogromu łaskawości i wielkiego ustępstwa w pałacowej etykiecie, jakie wiązało się z wizytą złożoną przez ich ekscelencje tylnymi schodami rozbitkom, którzy zwrócili się do nich o gościnność. Teraz, po formalnej wizycie, wszystko to miało pójść w niepamięć.

Rozbawiła ich nerwowa wzmianka wypowiedziana przez Mendez-Castilla przeprasającym tonem, że Hornblower nie może się spodziewać takiego samego ceremonialnego powitania, jak podczas poprzedniej wizyty. Wtedy przybył do Puerto Rico jako głównodowodzący, teraz jest tylko oficerem na połowie pensji, gościem znakomitym (pośpieszył dodać Mendez-Castillo), lecz nieoficjalnym. Zaświtało mu, że Mendez-Castillo boi się jego wybuchu i obraży na wiadomość, iż tym razem zostanie powitany przez fanfary, a nie przez orkiestrę, salutem wartowników, a nie całej straży. Mógł utwierdzić swoją reputację człowieka nacechowanego taktem, i oświadczając całkiem szczerze — tę jego szczerłość poczytano za bardzo dyplomatyczne ukrycie własnych uczuć — że nie zrobi mu to żadnej różnicy.

I tak się też stało. Barbara i Hornblower zostali dyskretnie przeszmyglowani boczną bramą pałacu do łodzi i przewiezieni do potężnej bramy wodnej, którą Hornblower wpływał poprzednio. Tam wolnym, uroczystym krokiem przeszli przez bramę. Barbara z lewej strony u boku Hornblowera. Wartownicy po obu stronach bramy sprezentowali broń, a Hornblower oddał pozdrowienie uchylając kapelusza. Wszedłszy na dziedziniec zostali powitani za bramą fanfarami obiecany przez Mendez-Castilla. Nawet głuche na tony ucho Hornblowera upewniło go, że ich nie poskąpiono. Ciągnęły się długo, tak długo, że Hornblower dziwił się, jak trębaczowi starcza powietrza przy przechodzeniu od tonów piskliwych i łagodniejszych. Pomyślał, że ten trębacz to wielki wirtuoz. Dwaj wartownicy stojący dalej u stóp schodów sprezentowali broń; trębacz, ustawiony na szczycie schodów, trochę z boku, przyłożył instrument do ust, żeby odegrać dalszą serię fanfar, gdy Hornblower zdjął kapelusz i oboje z Barbarą zaczęli wchodzić na górę. Wspaniałe były te fanfary. Mimo że Hornblower przygotowywał się wewnętrznie do uroczystego wejścia do wielkiego hallu, nie mógł się powstrzymać, żeby nie rzucić krótkiego spojrzenia na trębacza. Za tym jednym spojrzeniem poszło następne. Trębacz był w peruce, upudrowany, odziany w lśniący mundur, ale było coś w jego postaci, co domagało się uwagi. Poczuli, że Barbara u jego boku zeszywniała i pomyliła krok. Trębacz odjął instrument od warg. To był... to był Hudnutt. Hornblower był tak zaskoczony, że omal nie upuścił kapelusza.

Lecz już minęli próg ogromnych drzwi i musiał dalej iść spokojnie z Barbarą, żeby nie zakłócić uroczystego ceremoniału. Ktoś głośno wypowiedział ich nazwiska. Przed nimi na końcu dwurzędu halabardzistów stały dwa paradne fotele, otoczone półkolem uniformów i sukni dworskich, gdzie siedziały oczekujące ich ekscelencje. Podczas poprzedniej wizyty Hornblowera generał-kapitan wstał i wyszedł siedem kroków na jego spotkanie, ale wówczas Hornblower był głównodowodzącym. Teraz oboje z Barbarą byli tylko osobami prywatnymi, toteż ich ekscelencje czekały siedząc, gdy oni wykonywali ukłony według wcześniej otrzymanych instrukcji. Hornblower skłonił się jego ekscelencji, gdyż był mu już przedstawiony. Odczekał, aż zostanie dokonana prezentacja Barbary i aż ona wykona dwa dworskie dygi. Skłonił się powtórnie, kiedy go przedstawiano jej ekscelencji, potem odsunął się na bok, czekając, aby ich ekscelencje przemówiły.

— Wielka to przyjemność witać znowu Lorda Hornblowera — rzekł jego ekscelencja.

— Równie wielka przyjemność poznać Lady Hornblower — dodała jej ekscelencja.

Hornblower spełnił wymogi etykiety, porozumiewając się z Barbarą, co ma odpowiedzieć.

— Moja małżonka i ja cenimy sobie wielce ogromny zaszczyt przyjęcia nas — powiedział.

— Jesteście u nas mile widzianymi gośćmi — odparł jego ekscelencja w sposób oznajmiający koniec rozmowy. Hornblower znowu się skłonił, dwa razy, Barbara dygnęła dwukrotnie i oboje wycofali się ukosem, żeby nie pokazać pleców ich ekscelencjom. Zaraz znalazł się przy nich Mendez-Castillo, żeby ich przedstawić innym gościom, lecz Hornblower musiał przedtem wyrazić zdumienie wobec Barbary z powodu ostatniego spotkania.

— Widziałaś, skarbie, trębacza? — spytał.

— Tak — odparła Barbara bezdźwięcznym tonem. — To Hudnutt.

— Zdziwiałeś — ciągnął Hornblower. — Nadzwyczajne. Nigdy nie uwierzyłbym, że jest do tego zdolny. Wyłamał się z więzienia, sforsował ogrodzenie i sam przedostał się z Jamajki na Puerto Rico. Wprost zdziwiałeś.

— Tak — zgodziła się Barbara.

Hornblower zwrócił się do Mendez-Castilla: — Wasz... wasz trompetero — powiedział, zgadując, że tak jest „trębacz” po hiszpańsku. Przyłożył jeszcze dłoń do ust gestem tłumaczącym, co chce powiedzieć.

— Uważa pan, że był dobry? — spytał Mendez-Castillo.

— Świetny — odparł Hornblower. — Kto to taki?

— Najlepszy z muzyków w orkiestrze jego ekscelencji — odparł Mendez-Castillo.

Hornblower patrzył na niego uważnie, lecz Mendez-Castillo miał dyplomatycznie obojętną twarz.

— Pański rodak, sir? — nalegał Hornblower. Mendez-Castillo rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

— Po co miałbym się nim zajmować, milordzie? — odparował. — Tak czy inaczej, sztuka nie zna granic.

— Nie — zgodził się Hornblower. — Sądzę, że nie. Granice są dziś elastyczne. Na przykład, senor, nie pamiętam, czy istnieje konwencja między pańskim rządem a moim co do wzajemnego wydawania dezertów.

— Dziwny zbieg okoliczności! — wykrzyknął Medez-Castillo. — Badałem tę kwestię kilka dni temu — całkiem bez powodu, zapewniam pana, milordzie. I stwierdziłem, że taka konwencja nie istnieje. Było szereg okazji, kiedy, w ramach dobrej woli, dezertów wydawano. Na nieszczęście jednak, milordzie, jego ekscelencja zmienił swój pogląd na tę sprawę od czasu, gdy pewien okręt „Estrella del Sur”, którą to nazwę prawdopodobnie przypomina pan sobie, milordzie — został wzięty do niewoli jako statek niewolniczy poza tutejszym portem w okolicznościach, jakie jego ekscelencja uznał za szczególnie irytujące.

Nie było wrogości w tych słowach ani śladu triumfu na twarzy Medez-Castilla, gdy je wypowiadał. Równie dobrze mógł być mówić o pogodzie.

— Teraz jeszcze bardziej doceniam uprzejmość i gościnność jego ekscelencji — rzekł Hornblower. Miał nadzieję, że nie zdradził się, że wpadł w zastawione przez siebie sidła.

— Przekażę te słowa jego ekscelencji — odparł Medez-Castillo. — A na razie wielu gości czeka niecierpliwie, żeby poznać waszą lordowską wysokość i jej lordowską wysokość.

O późniejszej porze tego wieczora Medez-Castillo podszedł do Hornblowera z wiadomością od jej ekscelencji, że markiza w pełni rozumie, iż Barbara może być zmęczona, że jeszcze nie wróciła całkiem do siebie po niedawnych przeżyciach, zapewniając, że jeśli jej lordowska wysokość i jego lordowska wysokość woleliby oddalić się bez ceremonii, ich ekscelencje to rozumieją. Medez-Castillo osobiście przeprowadził ich do przeciwległego końca sali i przez zamaskowane drzwi do miejsca, skąd tylne schody wiodły do ich apartamentu. Tam czekała już pokojówka przydzielona do obsługiwania Barbary.

— Powiedz, proszę, pokojówco, żeby odeszła — rzekła Barbara. — Dam sobie radę sama.

Jej ton był wciąż bezdźwięczny i obojętny. Hornblower popatrzył na nią, zaniepokojony, czy nie zmęczyła się zbyt. Lecz zrobił, jak chciała.

— Kochanie, czy mogę ci pomóc w jakiś sposób? — spytał, gdy dziewczyna odeszła.

— Możesz zostać i porozmawiać ze mną, jeśli chcesz — odparła Barbara.

— Oczywiście, z przyjemnością — odparł Hornblower. Było coś dziwnego w tej sytuacji. Spróbował wymyślić jakiś temat, który zmniejszyłby napięcie. — Wciąż trudno mi uwierzyć, że to Hudnutt...

— Właśnie o im chciałam pomówić — odparła Barbara.

Powiedziała to zduszonym głosem. Stała przy tym sztywniej i bardziej wyprostowana niż zwykle — nie można było stać prościej. Spojrzenie Hornblowera napotkała nieruchomym wzrokiem, jak żołnierz stojący na bacność w oczekiwaniu wyroku śmierci.

— O co chodzi, najdroższa?

— Znienawidzisz mnie — odrzekła.

— Nigdy! Nigdy!

— Nie wiesz, co ci chcę powiedzieć.

— Nic, co mogłabyś mi powiedzieć...

— Nie mów tego jeszcze! Poczekaj, aż usłyszysz. To ja uwolniłam Hudnutta. Ja

zorganizowałam mu ucieczkę.

Słowa te padły jak nagły piorun lub jakby w czasie zupełnej ciszy reja grotmasztu bez ostrzeżenia spadła na pokład.

— Najdroższa — powiedział Hornblower nie dowierającym tonem — jesteś zmęczona. Czemu nie?...

— Myślisz, że bredzę? — spytała Barbara. Mówiła wciąż głosem, jakiego Hornblower nigdy u niej nie słyszał, krótki, gorzki śmiech towarzyszył jej słowom.

— Nie byłoby w tym nic dziwnego. Bo przyszedł kres mojego szczęścia.

— Najdroższa... — próbował Hornblower.

— Och... — westchnęła Barbara. W tej jednej monosylabie zawarta była wszechogarniająca, ogromna czułość. Barbara odprężyła się na moment, lecz natychmiast znów zeszywniała i cofnęła wyciągnięte ku niemu ręce. — Proszę, posłuchaj. Już ci powiedziałam. Ja uwolniłam Hudnutta... Ja go uwolniłam!

Nie mogło być wątpliwości, że myśli to, co mówi, czy to była prawda, czy nie. I Hornblower stał jak wrośnięty w ziemię, patrząc na nią szeroko rozwartymi oczyma i stopniowo sobie uświadamiając, że to jednak prawda. Świadomość ta przenikała przez słabe punkty w murze jego oporu, a gdy zaczął składać sobie w myśli poszczególne fragmenty dowodów, miał wrażenie, jakby ze znaków na lince sondy odczytał nowy poziom wody w przybierającym przyptywie.

— Tamtej ostatniej nocy w Domu Admiralicji! — wykrzyknął.

— Tak.

— Wyprowadziłaś go przez furtkę w bramie do ogrodów!

— Tak.

— Potem pomógł ci Evans. Miał klucz.

— Tak.

— I ten człowiek z Kingston — Bonner — też musiał ci pomagać.

— Mówiłeś, że jest w nim coś z łotra. W każdym razie okazał chęć na przygodę.

— Ale... ale ślad, za którym szły psy gończe?

— Ktoś przeciągnął po ziemi koszulę Hudnutta na lince.

— Ale... ale nawet wtedy... — Nie musiała nic dodawać, mówiąc te słowa sam wydedukował

sobie resztę. — Te dwieście funtów!

— Pieniądze, o które cię poprosiłam — potwierdziła Barbara, nie oszczędzając sobie niczego. Nagroda za wydanie uciekiniera w wysokości dziesięciu funtów była zbyt mała, gdy znalazł się ktoś skłonny wydać dwieście funtów, żeby pomóc więźniowi w ucieczce.

Hornblower wiedział już teraz wszystko. Jego żona zakpiła z prawa. Wystawiła na pośmiewisko autorytet Marynarki Wojennej. Ośmieliła się... Wzbierający przypływ osiągnął nowy poziom.

— To przestępstwo! — rzekł. — Mogą skazać cię na deportację do końca życia... wysłać do Botany Bay[32]!

— Co mi tam? — wzruszyła Barbara ramionami. — Botany Bay! Czy ma to jakieś znaczenie teraz, kiedy ty już wiesz? Teraz, gdy przestaniesz mnie kochać na zawsze?

— Najdroższa! — Te jej ostatnie słowa były tak bardzo krzywdzące, że nie umiał odpowiedzieć w żaden inny sposób. Umysł jego usilnie pracował nad implikacjami sprawy. — Ten człowiek... Bonner może cię szantażować.

— Jest tak samo winien jak ja — odparła Barbara. Nienaturalna ochrypłość jej głosu sięgnęła szczytu i przy następnych słowach wróciła miękkość, wielka czułość, której nie mogła opanować. Uśmiechnęła się swoim dawnym tajemniczym uśmiechem do tego swojego męża. — Myślisz tylko o mnie!

— Oczywiście — odparł zdumiony Hornblower.

— Musisz jednak pomyśleć o sobie. Zdradziłam cię. Oszukałam. Wyzyskałam twoją dobroć, twoją szczodrość... och!

Uśmiech przeszedł w łzy. Strasznie było patrzeć na wykrzywioną łkaniem twarz Barbary. Wciąż stała jak żołnierz na baczość. Nie pozwoliła sobie na zakrycie twarzy rękami, stała tak, gdy toczyły się łzy, z brzydko wykrzywioną twarzą, nie oszczędzając sobie wstydu. W tym momencie pochwyciłby ją w ramiona, gdyby nie osłupiał ze zdumienia. Ostatnie słowa Barbary, wzbudzając na nowo zamęt w jego myślach, jeszcze bardziej go sparaliżowały. Jeśli cokolwiek wyjdzie na jaw, konsekwencje będą wprost niewyobrażalne. Połowa świata uzna, że Hornblower, ów legendarny Hornblower współdziałał w ucieczce i dezercji drobnego przestępcy. Nikt nie uwierzy w prawdę — a gdyby nawet prawda znalazła wiarę, połowa świata będzie śmiać się z Hornblowera wyprowadzonego w pole przez własną żonę. Straszna, przepaścista otchłań otwierała się przed nim. Lecz istnieje już inna otchłań — potworna męka, jaką cierpi Barbara.

— Miałam ci powiedzieć — mówiła dalej Barbara, wciąż wyprostowana, patrząc na niego osłepłymi od łez oczyma. — Miałam ci o tym powiedzieć, jak wrócimy do kraju. Tak myślałam przed huraganem. A tam, w pokładówce, miałam ci to powiedzieć po... po tych innych moich słowach. Lecz nie było czasu — musiałeś mnie zostawić. A ja musiałam powiedzieć ci najpierw, że cię kocham. Powiedziałam ci, chociaż powinnam była raczej wyznać ci mija winę. Powinnam była.

Nie zostawiała sobie żadnej wymówki, nie będzie się usprawiedliwiała, stawi czoło konsekwencjom tego, co zrobiła. A tam, w pokładówce, powiedziała, że go kocha, że nigdy nie kochała innego mężczyzny. Przypomnił sobie teraz o tym i to pozwoliło mu otrząsnąć się ze zdumienia, przerażenia, które go dotąd paraliżowało. Nic na świecie nie liczy się poza Barbarą. Teraz mógł już się ruszyć. Dwa kroki naprzód i znalazła się w jego ramionach. Jej łzy zwilżyły mu wargi.

— Ukochana! Mój skarbie! — powiedział, gdy wciąż nie wierząc, oślepla od łez, nie odwzajemniała mu uścisku.

A potem zrozumiała, w ciemnościach, jakie ją otaczały. Zarzuciła mu ramiona na szyję i już nie mogło być na świecie większego szczęścia. Nigdy nie istniała tak doskonała harmonia. Hornblower złapał się na tym, że się uśmiecha. Mógł śmiać się na głos z prostego szczęścia. To była jego stara słabostka: śmiać się, chichotać w momentach kryzysu. Mógłby śmiać się teraz w głos, gdyby sobie na to pozwolił — śmiać się z tego śmiesznego incydentu, mógłby się śmiać i śmiać. Lecz rozsądek podpowiedział mu, że w tej chwili jego śmiech mógłby zostać źle zrozumiany. Nie mógł jednak nic na to poradzić, że całując Barbarę uśmiechał się bez przerwy.

[1] Od ang. słowa „sharp”, oznaczającego m.in. „spiczasty”.

[2] „Roebuck” — „Kozioł”.

[3] Święte Przymierze — sojusz Rosji, Austrii i Prus, zawarty w 1815 r. z inicjatywy Aleksandra I w obronie zasad legitymizmu i porządku politycznego, przyjętego przez kongres wiedeński.

[4] „Daring” — „Śmiały”.

[5] *Fait accompli* (fr.) — fakt dokonany.

[6] Marsala — wino sycylijskie.

[7] Douche (fr.) — tusz, prysznic.

[8] Jego ekscelencja kontradmirał Lord Hornblower, kawaler wojskowego Orderu Łaźni. Jego ekscelencja generał-porucznik hrabia Cambronne, Wielka Wstęga Legii Honorowej.

[9] „Lightning” — „Błyskawica”.

[10] „Star” — „Gwiazda”.

[11] Zupa szkocka — zupa z głowizny baraniej, z ziarnami żyta i jarzynami.

[12] „Crab” był szkunerem urejonym, tzn. ponad fokzagle i grotzagle miał reje, stąd marsie na szkunerze.

[13] Wymowa słowa „Australia” po angielsku (Ostrelia) jest zbliżona do „Estrella”.

- [14] Cieśnina Solent w południowej Anglii, słynna z corocznych regat.
- [15] Kwarteron — potomek białej (białego) i Mulata (Mulatki), osoba ćwierćkrwi murzyńskiej.
- [16] Tynesider (ang.) — z akcentem z Newcastle-upon-Tyne w hrabstwie Northumberland w Anglii.
- [17] Donowie — panowie hiszpańscy, Hiszpanie.
- [18] „Blossom” — „Kwiecie”.
- [19] „Waverley” — jedna z najwybitniejszych powieści Sir Waltera Scotta (1771—1832), szkockiego i angielskiego poety i pisarza.
- [20] Ćwierć kwarty ang. = 0,142 l.
- [21] „Bride of Abydos” — „Narzeczona z Abydos”, nazwa jachtu wzięta z tytułu romantycznego poematu Byrona. Abydos jest nazwą miejscowości ze starożytnego górnego Egiptu, będącej ośrodkiem kultu Ozyrysa.
- [22] Chef de cuisine (fr.) — szef kuchni.
- [23] Llanero (hiszp.) — konny pastuch, zaganiacz stad w Ilanosach, stepach Kolumbii i Wenezueli.
- [24] *Pour prendre congé* (fr.) — „W związku z wyjazdem na urlop”.
- [25] Grand Cay — Wielka Skała Koralowa.
- [26] Zbyt głębokie zanurzenie wioseł.
- [27] *En familie* (fr.) — w gronie rodziny.
- [28] Belizariusz (ok. 504—565) — słynny wódz z czasów Justyniana I, niesłusznie oskarżony o udział w spisku na życie cesarza, pozbawiony łask i majątku. W wyniku domieszania przez legendę wątków z innych życiorysów Justynian miał go rzekomo oślepić, tak że kompletny nędzarz musiał żebrać na stare lata na ulicach miasta.
- [29] „Pretty Jane” — „Piękna Janina”.
- [30] Obserwacja wysokości słońca podczas kulminacji dla określenia szerokości geograficznej.
- [31] Blindklapy — osłony przeciwburzowe, zakładane na iluminatory, jak na łodzi okiennice, aby fale nie wybiły szkła.
- [32] Botany Bay — Zatoka Botaniczna, dawna osada dla skazańców w Walii, znana z różnorodności flory.